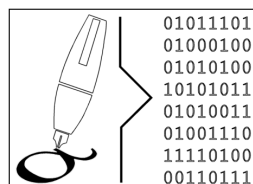


# ORSON SCOTT CARD

GLIZDAWCE

Przełożyła: Dorota Malinowska



Tytuł oryginału:

*Wyrms*

Data wydania polskiego: 1994 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1987 r.

*Dla  
Marka i Rany  
za serce*

## Od tłumaczki:

Większość użytych w książce imion ma znaczenie. Ponieważ zgodnie z obyczajem amerykańskim dziecku można nadać dowolne imię, w tekście angielskim taki zabieg nie razi. Natomiast w polskim byłby drażniący. Dlatego też pozostawiam imiona oryginalne, jedynie tutaj tłumaczę, co oznaczają.

*Angel* — anioł

*Calico* — perkal

*Consort* — małżonka

*Jakee* pochodzi od słowa *jake* — wieśniak

*Letheko* pochodzi od słowa *lethe* — zapomnienie

*Lyra* pochodzi od słowa *lure* — pociągać

*Kristiano* pochodzi od słowa *Christian* — chrześcijanin

*Nails* — paznokcie

*Patience* — cierpliwość

*Peace* — pokój

*Prekeptor* pochodzi od słowa *precept* — nakaz, przykazanie

*Reck* — dbać

*River* — rzeka

*Ruin* — niszczyć

*Sken* pochodzi od słowa *skein* — płatanina

*Strings* — sznurki

*Will* — wola

Na samą myśl o Spękanej Skale Patience czuła mrówki na skórze i dreszcz przebiegający po krzyżu. Dręczył ją głód, jakiego nie doznała nigdy wcześniej w życiu. Spękana Skała. Tam prowadzą wszystkie drogi i spływają wszystkie rzeki, tam spotyka się czas i kończy wszelkie życie.

W jej myślach rytmicznie rozbrzmiewały słowa:

*Tam prowadzą wszystkie drogi.*

*(Ale ojciec zamordował matkę. . .)*

*Tam spływają wszystkie rzeki.*

*(. . . by uratować mnie przed kimś. . .)*

*Tam spotyka się czas.*

*(. . . kto oczekuje mnie i wzywa, wzywa. . .)*

*Tam kończy się wszelkie życie.*

Te słowa napęłniały ją niewyobrażalnie silnym pragnieniem. Dobrze wiedziała, czego chce. Nie miała wątpliwości. Musi tam pójść. Spękana Skała wzywa ją.

# Rozdział 1

## CÓRKA HEPTARCHY

Wychowawca obudził ją na długo przed świtem. Poprzez cienki koc Patience czuła poranny chłód. Jej mięśnie zeszywniały od leżenia na twardej macie, rozłożonej wprost na ziemi. Lato bez wątpienia już minęło. Przez jedną krótką chwilę pozwoliła sobie na marzenie, by wychodzące na północ okno jej pokoju było oszklone lub przynajmniej osłonięte okiennicą na zimę.

Ale spartańskie warunki należały do treningu narzuconego jej przez ojca. Chciał ją zahartować i nauczyć pogardy dla dworskich luksusów i dla ludzi, którzy w nich żyli. Przypuszczała, że niedelikatne szturchnięcie, którym obudził ją wychowawca, też miało swój cel. Czyżby ją karał? Może uśmiechnęła się przez sen? Czy moje sny mogły być tak słodkie? Dzięki ci, Angelu, że uchroniłeś mnie, zanim zostałam zdeprawowana przez jakąś wymagowaną uciechę.

Ale kiedy zobaczyła twarz nauczyciela, wiedziała, że stało się coś niedobrego. I nie tyle zaniepokoiła ją jego zmartwiona mina, ile fakt, że pozwolił jej dostrzec swoją troskę. Potrafił kontrolować swoje emocje i ją uczył tego samego.

— Król wyznaczył ci zadanie — wyszeptał Angel.

Patience odrzuciła koc, zdjęła z parapetu miskę i oblała się lodowato zimną wodą. Nie pozwoliła sobie zadrzeć z chłodu. Potem wytarła się energicznie kąwakiem juty, aż poczuła, że szczypie ją skóra.

— Czy ojciec o tym wie? — zapytała.

— Lord Peace przebywa obecnie w Lakon — odparł Angel. — Wie czy nie wie, nic na to nie może poradzić.

Przyklękła szybko przed ikoną, która stanowiła jedyną ozdobę pokoju. Był to lśniący wizerunek statku kosmicznego „Konkeptoine”, wyryty w jasnozielonym kryształ. Miał większą wartość niż dom niejednego człowieka. Patience podobał się kontrast między zamierzonym ubóstwem sypialni i wystawnością religijnego symbolu. Dla księży oznaczało to pobożność. Ona widziała tylko ironię.

Patience wyszeptała „Przyjdź, Kristosie” w osiem sekund — miała w tym wprawę — ucałowała własne palce i dotknęła nimi „Konkeptoine”. Kryształ był

ciepły. Po tylu latach wciąż żywy. Kiedy dotykała go jej matka, będąc w tym samym wieku, co Patience teraz, z pewnością musiał być gorący. A zanim ona urodzi córkę, ikona od dawna będzie już zimna i martwa, uleci z niej światło.

Zwróciła się do nauczyciela, nie patrząc w jego stronę:

— Powiedz mi, jakież to zadanie wyznaczył mi król Oruc.

— Nie umiem ci odpowiedzieć. Wiem tylko, że posłał po ciebie. Ale ty potrafisz zgadnąć, prawda?

Angel oczywiście poddawał ją próbie. Takie było całe jej życie — sprawdzian za sprawdzianem. Czasami narzekała na to, ale tak naprawdę znajdowała przyjemność w rozwiązywaniu zadań, które ojciec i wychowawca jej stawiali.

Więc... czegoż to mógł chcieć od niej król Oruc? Heptarcha<sup>1</sup> nigdy przedtem jej nie wzywał. Oczywiście, często bywała w jego domu, ale zapraszano ją tylko jako towarzyszkę zabaw królewskich dzieci. Heptarcha nie powierzał jej dotąd żadnego zadania. Nic dziwnego zresztą. Miała dopiero trzynaście lat, nie mogła więc oczekiwać poleceń od samego króla.

Jednakże poprzedniego dnia zjawił się z poselstwem książę Tassali, królestwa położonego na wschodzie, którego heptarcha Korfu był w starożytnych czasach suzerenem<sup>2</sup>. Fakt ten obecnie nie miał wielkiego znaczenia: wszystkie siedem części, na jakie podzielony był świat, rządzone były dawniej przez heptarchę, lecz przed tysiącem lat królestwo Tassali uwolniło się spod panowania Korfu. Prekeptor, jedyny książę i pretendent do tronu Tassali, szesnastoletni chłopiec, przybył w towarzystwie wysoko urodzonych obywateli swego kraju, przywożąc heptarsze wystawne podarki. Nietrudno było się domyślić, że poselstwo ma za zadanie doprowadzić do małżeństwa dziedzica Tassali z jedną z trzech córek króla Oruca.

Posag bez wątpienia został ustalony wcześniej. Dziedzic królestwa nie zjawia się na spotkanie z narzeczoną, dopóki wszystkie szczegóły traktatu nie zostaną omówione. Ale Patience podejrzewała, że decyzję w sprawie jednego punktu umowy miano dopiero podjąć. Nie było do końca pewne, która z córek heptarchy poślubi przyszłego króla Tassali. Czternastoletnia Lyra, najstarsza i pierwsza pretendentka do tronu heptarchii? Rika, młodsza zaledwie o rok od Patience i najbystrzejsza ze wszystkich dzieci heptarchy? A może mała Klea, zaledwie siedmioletnia, ale wystarczająco dorosła do politycznego małżeństwa?

Patience widziała dla siebie tylko jedno zadanie związane z wizytą. Mówiła biegle po tassalińsku, a poważnie wątpiła, czy książę Prekeptor zna choć jedno słowo w języku agarant. Tassali było dość prowincjonalne i trzymało się kurczowo swego dialektu. Jeśli planowano spotkanie między Prekeptorem a jedną z córek Oruca, Patience znakomicie nadawała się na tłumaczkę. Ponieważ nie przypuszczała, by kandydatką mogła być Klea, a Rika radziła sobie całkiem dobrze

<sup>1</sup>heptarcha — władca siedmiu krajów

<sup>2</sup>suzuren — zwierzchnik feudalny

z tassalińskim, wszystko wskazywało, że wybranką miała zostać Lyrą.

Patience przeprowadziła całe to rozumowanie w czasie, gdy wciągała na siebie jedwabną koszulę. Potem odwróciła się z uśmiechem w stronę Angela.

— Mam zapewne tłumaczyć rozmowę między Prekeptorem a Lyrą podczas dzisiejszego spotkania, kiedy to okaże się, czy nie poczują do siebie tak silnej niechęci, że trzeba będzie zerwać zaręczyny, co mogłoby stać się przyczyną międzynarodowego konfliktu.

— To wydaje się najbardziej prawdopodobne. — Angel również się uśmiechnął.

— W takim razie powinnam odpowiednio się ubrać na oficjalne spotkanie przyszłych sojuszników. Czy zawołasz tu Nails i Calico?

— Zawołam — odrzekł Angel, ale zatrzymał się przy drzwiach.

— Pamiętaj — powiedział — że Prekeptor będzie dobrze wiedział, kim jesteś.

To było ostrzeżenie. Patience doskonale rozumiała, jak niebezpieczną grę prowadzi król Oruc, powierzając jej pośrednictwo w sprawie związanej z królewską sukcesją. Szczególnie w chwili, gdy jej ojca nie było w zamku. Oruc musiał celowo zaplanować wysłanie go do Lakon w tym czasie. Zgodnie z obowiązującymi zasadami to lord Peace powinien kierować negocjacjami dotyczącymi tak ważnego aliansu.

Pojawiły się służebnice Nails i Calico. Udawały, że są pogodne i zadowolone, choć najwyraźniej zostały wyrwane z głębokiego — a w przypadku Calico pijackiego — snu. Patience wybrała suknię i perukę, po czym pozwoliła się ubierać, bezwolna jak lalka.

— Wezwanie do króla — powtarzała Nails bez przerwy — to wielki honor dla córki niewolnika.

Patience denerwowało nazywanie jej ojca niewolnikiem, wiedziała jednak, że przez Nails nie przemawia złośliwość, jedynie głupota. A jak mawiał jej ojciec, nigdy nie należy złościć się na głupców za to, że są głupi! Lepiej, gdy nie ukrywają swojej głupoty, powtarzała sobie Patience. Sprawy stają się wtedy jasne i przejrzyste.

Kiedy kobiety skończyły jej toaletę, zaczynało właśnie wschodzić słońce. Patience odprawiła pokojówki i otworzyła małe mosiężne pudełko, zawierające przedmioty przydatne dla dyplomaty. Ojciec i Angel uznali, że jest już wystarczająco duża, i pozwolili jej dyskretnie ich używać.

Wyjęła linkę, która mogła służyć do samoobrony. Splot wykonany był z niezwykle mocnego, prawie przezroczystego plastiku. Wystarczyło lekko przycisnąć linkę do ciała, by je przeciąć. Na obu końcach znajdowały się węzły, tak że Patience mogła się posługiwać linką nie raniąc sobie palców.

Do ataku przewidziany był szklany wisiorek z zamkniętym w środku rojem prawie niewidocznych insektów, które zagnieżdżały się w ludzkim oku i w ciągu kilku minut potrafiły wybudować plaster miodu, wywołujący trwałą ślepotę.



Jeśli oczu nie usunęło się dość szybko, insekty atakowały w następnej kolejności mózg, powodując nieodwracalny paraliż. Straszliwa broń, ale Angel zawsze powtarzał, że dyplomata, który nie jest gotowy zabijać, sam powinien się szykować na śmierć. Patience odchyliła głowę i wpuściła do oczu krople — antidotum na wspomniane insekty. Będą działały przez cztery godziny. Ojciec nauczył ją, by nigdy nie nosiła przy sobie broni, która mogłaby okazać się obosieczna.

Podczas tych wszystkich czynności zastanawiała się, co też knuje król Oruc. Czemu nie zaangażował innego tłumacza? Wybranie Patience może być brzemienne w skutki, szczególnie jeśli Preceptor naprawdę wie, kim ona jest. Patience nie przychodziła na myśl ani jedna sytuacja, w której mogłaby odegrać pozytywną rolę jako tłumaczka, za to potrafiła wymienić dziesiątki problemów, które mogą wynikać z takiego wyboru króla Oruca. Udział córki lorda Peace w spotkaniu dziedzica korony możnego królestwa z córką heptarchy jako jego ewentualną przyszłą żoną?

Patience od dzieciństwa zdawała sobie sprawę, że nie jest zwyczajną niewolnicą. Jedną z pierwszych lekcji, jaką każde dziecko musiało opanować, dotyczyła ścisłego protokołu, określającego pozycje różnych poddanych. Dziwki i pomywaczki traktowane były gorzej od psów. Ambasadorowie i ministrowie, tacy jak jej ojciec, lord Peace, stawiani byli na równi ze szlachtą. Wyżej od nich znajdowali się już tylko heptarcha i głowy Czternastu Rodzin.

Ale nawet wśród dzieci najszlachetniejszych królewskich niewolników Patience traktowana była w szczególny sposób. Dorośli na jej widok wymieniali szeptem uwagi. Wiele osób ukradkiem dotykało wierzchem dłoni jej ust jakby w symbolicznym pocałunku.

Miała chyba pięć lat, kiedy powiedziała o tym ojcu. Wysłuchał jej z zachmurzonym czołem.

— Jeśli ktokolwiek zachowa się w podobny sposób, powiadom mnie natychmiast. A najlepiej byłoby, żebyś nigdy nie stwarzała okazji do takich gestów.

Jego głos brzmiał bardzo poważnie. Była pewna, że to ona zrobiła coś złego.

— Nie, dziecko — uspokoił ją ojciec. — Po pierwsze, nie okazuj lęku ani wstydu. Niech takie uczucia nigdy nie pojawiają się na twym obliczu.

Natychmiast rozluźniła mięśnie twarzy. Tego już dawno nauczył ją wychowawca Angel.

— A po drugie — mówił ojciec — nie zrobiłaś nic złego. Ale ci dorośli, którzy powinni być mądrzejsi, popełniają...

Patience oczekiwała, że powie coś w rodzaju „czyn naganny” lub „grzech”, ponieważ księża napomykali o różnych rzeczach, które niedobrzy ludzie robili z dziecięcymi ciałami.

Dlatego zaskoczyło ją, gdy usłyszała:

— Zdradę.

— Zdradę? W jaki sposób dotknięcie ust niewolnicy może zaszkodzić heptarsze?

Ojciec przez chwilę przyglądał się jej spokojnie.

— Postanowiłem powiedzieć ci to teraz — oświadczył. — Nie wiedząc o tym, nie będziesz umiała bronić się przed owymi bezmyślnymi zdrajcami. Twój dziadek był heptarchą do ostatniej godziny swego życia. A ja nie miałem braci ani sióstr.

Patience była wtedy ledwie pięcioletnim dzieckiem. Wiedziała już co nieco o prawach sukcesji, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, by zastosować je do siebie. Ojciec popatrzył znacząco w stronę korytarza, skąd mogła podsłuchiwać ich służba. Wszyscy oni, poza Angelem, wybrani zostali przez króla i otwarcie szpiegowali i donosili mu o wszystkim. Ojciec uśmiechnął się do Patience.

— Jak dajesz sobie radę z geblic?

Potem używając tego języka napisał na kartce papieru:

*Ułóż krótki list do Agaranthamoi Heptest*

Patience była szkolona w protokole imion i tytułów od chwili, gdy wypowiedziała pierwsze słowo. Umiejętność poruszania się po labiryncie precedensów, pozycji i królewskich faworów stała się jej drugą naturą. Doskonale znała meandry królewskich tytułów. Rdzeniem przydomka nadawanego rodzinie rządzącego heptarchy było zawsze słowo „hept”. Imię każdej osoby, w której żyłach płynęła błękitna krew, miało rdzeń „agaranth”.

Wiedziała też, że tylko panujący heptarcha mógł nazywać się Heptest, a Agaranthamoi oznaczało „najstarszy syn i jedyne dziecko”. Z tego wniosek, że Agaranthamoi Heptest określało heptarchę, który nie ma braci ani sióstr. Ponieważ Oruc, rządzący heptarcha, miał kilkoro rodzeństwa, jego dynastyczne imię brzmiało Agaranthkil. W takim razie nie mogło chodzić o niego, a stosowanie przydomka Heptest w stosunku do jakiegokolwiek żyjącej istoty poza Orucem było zdradą.

Ale zadanie, które postawił przed nią ojciec, nie polegało jedynie na odcyfrowaniu właściwego znaczenia imienia. Przecież dopiero co powiedział, że jej dziadek był rządzącym heptarchą, a sam Peace jego jedynym dzieckiem. W takim razie Agaranthamoi było imieniem pasującym jak ulał właśnie do niego. W ten sposób ojciec powiedział jej, że to on jest prawowitym królem Korfu.

Więc napisała krótki list:

*Agaranthamoi Heptest, Panie i Ojcze!*

*Twoja nic nie znacząca córka błaga Cię, byś był dyskretny, ponieważ imię to oznacza śmierć.*

*Twoja najpokorniejsza, Agaranthemem Heptek*

Ręka jej drżała, kiedy podpisywała się po raz pierwszy tym dziwnym imie-

niem. Agaranthemem oznaczało „najstarszą córkę i jedyne dziecko”, heptek „dziedzica rządzącego heptarchy”. To imię było równie niebezpieczne jak tamto napisane przez jej ojca. Ale było jej prawdziwym imieniem. W jakiś sposób, w którymś momencie historii, jej ojciec został pozbawiony tronu, a ona swego dziedzictwa. Dla pięcioletniego dziecka taka wiadomość musiała być jak uderzenie obuchem. Ale ona była Patience, córką lorda Peace’a i uczennicą Angela Prawie-Najmądrzejszego. Przez następne osiem lat, które minęły od tej rozmowy, nigdy nie wymieniła tego imienia, ani nie zdradziła nikomu słowem lub czynem, że wie kim powinna być z racji urodzenia.

Ojciec spalił papier i zagrzebał popiół w ziemi. Od tego dnia Patience przyglądała się ojcu, zastanawiając się, dlaczego stał się tym, kim był — najbardziej oddanym i lojalnym sługą króla Oruca, który zajął jego miejsce na tronie.

Nawet gdy byli zupełnie sami i nikt nie mógł ich usłyszeć, ojciec często do niej mówił:

— Dziecko, król Oruc jest najlepszym heptarchą, jaki może rządzić naszym światem w tych czasach. Nigdy w ciągu pięciu tysięcy lat, od chwili kiedy statek kosmiczny przywiódł pierwszych ludzi na Imaculatę, nie było tak ważne jak właśnie teraz, by nic nie zachwiało władzy królewskiej.

I naprawdę tak uważał. Robił wszystko, co mógł, by jej to udowodnić.

Próbowała odkryć, dlaczego ojciec jest pełen miłości i oddania wobec człowieka, który posiadał siłę i pozycję przynależną jemu samemu — lordowi Peace. W głębi serca niewypowiedzianie cierpiała. Czy ojciec jest tak słaby, że nie potrafi sięgnąć po wszystko, co się jemu należy?

Raz, kiedy miała dziesięć lat, napomknęła o dręczących ją wątpliwościach. I wtedy, tylko jeden jedyny raz, udzielił jej odpowiedzi. Najpierw dotknął palcami jej ust, tak jak to czynili zdrajcy pragnący otrzymać błogosławieństwo od królewskiej córki. Ale on jedynie chciał ją uciszyć. Potem, patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

— Król dba tylko o dobro królestwa. A królestwem jest cały świat.

To była cała odpowiedź, jaką od niego otrzymała. Potem zaczęła stopniowo rozumieć, o co mu chodziło. Heptarcha, ten prawdziwy heptarcha, zawsze działa z korzyścią dla całego świata. Inni możnowładcy mogą dbać o interesy dynastii i rodu, ale prawdziwy heptarcha potrafi zrezygnować nawet ze swej godności, pozwoli uzurpatorowi rządzić w Heptam, stolicy Korfu, jeśli — z jakiegoś niepojętego powodu — takie działanie przyniesie korzyść całemu światu.

Nigdy nie zrozumiała jednak, dlaczego usunięcie jej ojca z należnego mu miejsca miałyby przynieść korzyść komukolwiek. Wysłuchiwała publicznych debat, była świadkiem delikatnych negocjacji, które prowadziły do skupienia coraz większej władzy w rękach heptarchy i im więcej wiedziała, im większe czyniła postępy w sztuce dyplomacji i rządzenia, tym bardziej stawało się dla niej oczywiste, że najbardziej błyskotliwym umysłem, dzięki któremu król Oruc dysponuje

coraz potężniejszą władzą, jest lord Peace.

Zawsze powtarzała sobie, że jej wykształcenie nie jest jeszcze kompletne. Że któregoś dnia, jeśli się będzie pilnie uczyć i zgłębi wystarczająco wiele zagadek, zrozumie wreszcie, co jej ojciec próbuje osiągnąć, oddając się tak gorliwie dziełu umacniania władzy uzurpatora.

Jednakże teraz musiała stawić czoło sytuacji wcale nie teoretycznej. Miała trzynaście lat, zazwyczaj w tym wieku nie zaczynało się jeszcze kariery dyplomatycznej, ale król Oruc wzywał ją do rozpoczęcia służby. Wyglądało to na tak oczywistą pułapkę, że Patience prawie uwierzyła w niewinność jego zamiarów. Co dobrego mogło wyniknąć z postawienia na scenie wydarzeń prawdziwej następczyni tronu podczas delikatnych negocjacji dynastycznych? W czym mogło pomóc przypominanie Tassalianom, że obecna dynastia rządzi na heptarszym dworze dopiero od pięćdziesięciu lat? Że żyje córka prawowitych władców, którzy zasiadali na tronie heptarchii przez setki pokoleń, od pięćdziesięciu wieków, czyli od dnia, kiedy pierwsza istota ludzka postawiła stopę na Imaculacie? Zamysł był tak zuchwały, że z trudem przychodziło jej uwierzyć w możliwość korzyści równej potencjalnemu ryzyku.

Nieważne. Pójdę tam, gdzie król mi rozkaże. Zrobię to, czego on pragnie. Spełnię jego nadzieje.

Nie przyjął jej w pokojach dla gości. Na to była zbyt wczesna pora. Zaprowadzono ją natomiast do prywatnych apartamentów heptarchy, gdzie powietrze wciąż jeszcze przesycone było zapachem kiełbasek, spożywanych przez niego na śniadanie. Oruc w pierwszej chwili udał, że jej nie widzi. Prowadził ożywioną rozmowę z głową lady Letheko, zmarłej rok temu, która do końca życia pełniła funkcję konstabla. Jedyne ona na całym dworze znała się na niuansach protokołu tak dobrze, jak lord Peace. Nic więc dziwnego, że podczas jego nieobecności król Oruc rozkazał, by przyniesiono jej głowę z dworu niewolników. Musiał zasięgnąć porady w sprawie wizyty posła z Tassali.

— Nie należy podawać wina — upierała się Letheko. Poruszała wargami tak energicznie, że aż zakołysała się woda w słoju. Król Oruc odciął jej dopływ powietrza, by płyny uspokoiły się. Perspektywa zalania pięknych dywanów pokrywających podłogę nie była zachęcająca.

Głowa jednak nadal poruszała wargami, jakby jej słowa miały taką wagę, że nie warto było czekać na podobny drobiazg jak głos. Oruc nacisnął pompkę.

— Jeżeli zostanie podane wino, uznają, że jest to próba pozbawienia ich trzeźwego osądu. Traktują religię bardzo poważnie, w odróżnieniu od niektórych ludzi, zachowujących się, jakby Czuwający byli tylko. . .

Oruc ponownie odciął jej powietrze. Skinął na służącego, żeby zabrał głowę Letheko, i zwrócił się w stronę dziewczynki.

— Lady Patience — powiedział na powitanie.

— Heptarcha jest zbyt łaskawy, mówiąc tak do córki swego najpokorniejszego

niewolnika.

Był to formalny zwrot, ale Patience przejęła od swego ojca umiejętność nadawania przekonującej intonacji najbanalniejszym wypowiedziom. W jej ustach brzmiały, jakby je wypowiedziano po raz pierwszy.

— Urocza — stwierdził król Oruc. Odwrócił się do swej żony, zajętej czesaniem włosów. — Odłóż lustro, kochanie, i spójrz na nią. Słyszałem, że jest ładną dziewczyną, ale nie miałem pojęcia, jaka z niej piękność.

Consort odsunęła lustro. Patience zauważyła czystą nienawiść malującą się przez moment na twarzy kobiety. Dziewczynka zareagowała, jakby otrzymała spojrzenie pełne podziwu. Zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

— Urocza — potwierdziła Consort. — Ale ma za długi nos.

— Lady Consort niestety nie myli się — westchnęła Patience ze smutkiem. — To była również skaza na twarzy mojej matki, ale ojciec kochał ją pomimo to. — Lord Peace nie byłby zadowolony, że przypomniła parze królewskiej, nawet tak subtelnie, o swych koneksjach rodzinnych. Ale ton głosu dziewczynki był tak pokorny, że gospodarze naprawdę nie mogli się poczuć urażeni, zaś każda następna próba sprowokowania jej przez Consort ośmieszyłaby królową, nawet w oczach jej własnego męża.

Najwyraźniej Oruc to rozumiał.

— Mam wrażenie, że już się uczesałaś, kochanie — powiedział. — Może byś, moje serce, poszła sprawdzić, czy i Lyra jest gotowa.

Patience z satysfakcją stwierdziła, że prawidłowo odgadła, która z córek monarchy miała być ceną traktatu z Tassalianami. Bawiły ją także królewskie pozy, jakie Consort usiłowała przybierać, kiedy wychodziła z komnaty. Żałosny widok. Najwyraźniej małżonka Oruca nie dorastała do pozycji swego męża. Ale jej nienawiść była zrozumiała. Patience samym swym istnieniem zagrażała jej dzieciom.

Oczywiście żadnej z tych myśli nie zdradziła przed Orucem. On widział tylko nieśmiałą dziewczynkę, pragnącą dowiedzieć się, po co została wezwana przed oblicze króla. A już szczególnie nie mógł dostrzec jej napięcia. Patience wpatrywała się w twarz króla z taką uwagą, że każda sekunda przeciągała się w minutę, a najdrobniejsze drgnienie jego brwi czy warg zdawało się przesadne.

W krótkich słowach zawiadomił ją o tym, czego się już sama wcześniej domyśliła.

— Mamy nadzieję, że chętnie pomożesz porozumieć się tym dzieciom. Mówisz płynnie w języku Tassalian, a biedna Lyra zna zaledwie z dziesięć słów.

— To dla mnie wielki honor — odparła Patience. — Ale jestem tylko dzieckiem i boję się użyć mego głosu w tak ważkiej sprawie.

Mówiła to, co zdaniem ojca powinien powiedzieć lojalny sługa, kiedy decyzja króla wydawała się ryzykowna. Ostrzegała przed samą sobą.

— Wytrzymasz wagę tego honoru — odparł chłodno. — Ty i Lyra bawiłyście się razem od małego. Będzie się czuła znacznie swobodniej, książkę zresztą rów-

niez, jeśli tłumaczem okaże się inne dziecko. Może będą wobec siebie bardziej szczerzy.

— Zrobię, co w mojej mocy — powiedziała Patience. — I zapamiętam każde słowo, tak bym mogła uczyć się na błędach, jeśli wskażesz mi je później, panie.

Nie знаła go na tyle, by odczytywać myśli skryte pod nieruchomą twarzą. Czy naprawdę oczekiwał, że spełni dla niego rolę szpiega Lyry i księcia Tassali? A jeśli tak, czy zrozumiał jej odpowiedź jako obietnicę złożenia raportu? Ucieszyła go czy obraziła? Zrozumiała zbyt wiele czy za mało?

Odprawił ją ruchem dłoni. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że jeszcze nie może odejść.

— Panie — powiedziała.

Jego brwi powędrowały do góry. Przedłużanie pierwszego spotkania z królem było zwykłą arogancją, jeśli jednak powód okaże się wystarczający, powinna znaleźć wybaczenie w jego oczach.

— Widziałam głowę lady Letheko. Czy mogłabym zadać jej kilka pytań?

Król Oruc skrzywił się.

— Twój ojciec oświadczył mi, że jesteś dostatecznie przygotowana do pełnienia służby dyplomatycznej.

— Dobrze wyszkolony dyplomata wie — odpowiedziała cicho — że należy zdobyć więcej odpowiedzi, niż się to wydaje początkowo potrzebne, aby później nie zadawać zbędnych pytań.

— Pozwolimy ci rozmawiać z głową Letheko — powiedział Oruc. — Ale nie tutaj. Jak na jeden poranek nasłuchałem się już dość jej paplaniny.

Patience nie dostarczono stołu, więc pojemnik lady Letheko stanął na podłodze w holu. W geście grzeczności Patience usiadła po turecku, tak by Letheko nie musiała patrzeć na nią do góry.

— Czy ja cię znam? — zapytała głowa.

— Jestem tylko dzieckiem — odparła Patience. — Mogłaś mnie nie zauważyć.

— Zauważyłam cię. Twoim ojcem jest Peace.

Patience skinęła głową.

— A więc to tak. Król Oruc musi mnie ważyć lekce, jeśli oddaje mnie w ręce dziecka i to w tym zakurzonym korytarzu. Równie dobrze mógłby mnie wysłać do izby gminnej na skraju moczarów i pozwolić żebrakom zadawać mi pytania dotyczące protokołu obowiązującego w rynsztokach.

Patience uśmiechnęła się nieśmiało. Zdarzało jej się już w przeszłości wysłuchiwać tyrad Letheko, kiedy ta znajdowała się w podobnym nastroju, i wiedziała, że ojciec traktował to zawsze z przymrużeniem oka. Uśmiech dziewczynki podziałał tak samo, jak ironia lorda Peace.

— Ależ z ciebie diablątko — oświadczyła głowa.

— To samo twierdzi mój ojciec. Ale dręczą mnie pytania, na które tylko ty możesz odpowiedzieć.

— Co oznacza, że twój ojciec został gdzieś wysłany, bo w innym wypadku zapytałabyś jego.

— Mam być tłumaczką pomiędzy Lyrą i Prekeptorem podczas ich pierwszego spotkania.

— Znasz język Tassalian? No oczywiście, córka Peace'a musi umieć wszystko. — Letheko westchnęła przeciągle i teatralnie, a Patience zapewniła jej więcej powietrza, które umożliwiło głowie naprawdę głębokie westchnienie. — Kochałam twój ojca. Dwa razy owdowiał, ale mimo to nie zaproponował mi wspólnego łoża za posągiem Kapitana Statku Kosmicznego na Drodze Kości. A nie zawsze wyglądałam tak, jak teraz — zachichotała. — Był czas, kiedy miałam fantastyczne ciało.

Patience również się roześmiała.

— Więc, o co ci chodzi?

— Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o Tassalianach. Wiem, że są Wyznawcami, ale co to oznacza w praktyce? Czym można urazić Prekeptora?

— Cóż, nie należy żartować z figli-migli za posągiem Kapitana.

— Oni nie wierzą, że był Kristosem, prawda?

— Tassalianie są Oczekującymi, nie Pamiętającymi. Zgodnie z ich przekonaniami Kristus nigdy nie dotarł do Imaculaty, ale wypatrują dnia, gdy nadejdzie.

— Tak jak Czuwający?

— Boże, chroń nas przed Czuwającymi. Ale tak, prawie. Oczywiście są lepiej zorganizowani. Wierzą w wojnę, to podstawowa sprawa. Jako w sakrament. Ja znam się na protokole, pamiętaj, nie na teologii.

— Ostrzeż mnie przed tym, czego naprawdę powinnam się wystrzeżać.

— W takim razie przestań pompować powietrze.

Patience posłuchała, po czym położyła się na brzuchu przed głową, by czytać z ruchu warg i pochwyć te skrawki dźwięków, jakie mogą się wydobyć z nie oddychających ust.

— Jesteś w poważnym niebezpieczeństwie. Oni wierzą, że siódma siódma siódma córka urodzi Kristosa.

Patience nie była pewna, czy usłyszała prawidłowo. To zdanie było dla niej całkowicie niezrozumiałe. Pozwoliła sobie na wyraz zdziwienia.

— Nikt ci nie powiedział? — zapytała Letheko. — Niech Bóg cię ma w swojej opiece, biedne dziecko. Starożytna przepowiednia — niektórzy twierdzą, że jeszcze z czasów przylotu statku — głosi, że siódma siódma siódma córka uratuje świat. Lub zniszczy go. Przepowiednia jest niejasna.

Siódma siódma siódma córka. Cóż to, na litość Boską, miałoby znaczyć?

— Siedem razy siedem razy siedem pokoleń od czasu przylotu statku. Pierwsza była Irena. Ty jesteś trzysta czterdziesta trzecia.

Patience przykryła usta Letheko palcami, chroniąc ją przed popełnieniem straszliwej zdrady.

Letheko uśmiechnęła się szczerze rozbawiona.

— I cóż mi teraz mogą zrobić, może uciąć głowę?

Ale Patience nie była głupia. Wiedziała, że głowom można zadawać bardziej wyrafinowane tortury w prostszy sposób, niż było to możliwe w przypadku żywych istot ludzkich. Właściwie powinna była w tym momencie przerwać rozmowę z Letheko. Ale nigdy wcześniej nie słyszała o takiej przepowiedni. To było coś więcej niż świadomość, że jest możliwą pretendentką do tronu. Teraz dowiedziała się bowiem, że każdy wyznawca prawdziwej religii we wszystkich krajach tego świata uważa ją za tę, na którą wskazuje przepowiednia. Jak ojciec mógł przez te wszystkie lata nie powiedzieć jej, kim była w oczach otaczających ją ludzi?

Letheko mówiła dalej:

— Kiedy się urodziłaś, setki tysięcy Tassalian poszło na ochotnika do woj-ska z zamiarem dokonania najazdu na Korfu i wyniesienia cię na tron. Oni nie zapomnieli. Jeśli dasz im najmniejszą nadzieję, że do nich dołączysz, Tassalianie wypowiedzą Korfu świętą wojnę i zaleją ten kraj taką hordą i z taką siłą, że dałoby się to jedynie porównać z inwazją geblingów. Król Oruc musiał postradać zmysły, jeśli pozwala ci wejść do pokoju, w którym znajduje się młody książę Tassali nade wszystko pragnący udowodnić, że jest już mężczyzną.

Patience znowu przykryła usta Letheko palcami. Potem uniosła się na dłoniach, pochyliła i ucałowała pomarszczoną głowę w usta. Wprawdzie płyny w słoju wydawały nieprzyjemny zapach, ale Letheko podjęła wielkie ryzyko i przekazała jej coś znacznie ważniejszego niż wskazówki o obowiązującej etykietce w towarzystwie księcia Tassalian. W oku starej kobiety pojawiła się łza.

— Tyle razy — mówiła dalej bezgłośnie Letheko — pragnęłam wziąć cię w ramiona i zapłakać, moja heptarchini Agaranthemem Heptek.

— Gdybyś to zrobiła — szepnęła Patience — już bym teraz nie żyła. I ty również.

Letheko uśmiechnęła się swym szalonym uśmiechem.

— Ale ja przecież nie żyję.

Patience roześmiała się i dopompowwała do słoja Letheko powietrza, żeby głowa mogła roześmiać się na głos. A potem wezwała opiekuna głów, by zabrał starą damę na dwór niewolników.

Kiedy Patience szła ogromnymi pokojami królewskiego dworu, mijani ludzie ukazywali jej się teraz w innym świetle. Większość z nich nosiła oczywiście krzyże, ale taka była moda. Ilu wierzyło naprawdę? Ilu Patrzących, a może nawet Czuwających, żyło wiarą, że ona zbawi — lub zniszczy — ludzką rasę, dając Imaculacie Kristosa? Ilu byłoby gotowych oddać swe życie, aby obalić króla Oruca



i wynieść na tron heptarszego dworu lorda Peace'a wraz z Patience, jego córką i spadkobierczynią?

Wyobraźnia podsuwała jej obrazy krwawej rewolucji, lecz jednocześnie słyszała, jak tysiące razy wcześniej, chłodny głos ojca:

— Jesteś odpowiedzialna przede wszystkim za dobro tego świata. Dopiero gdy nic nie będzie mu zagrażało, masz prawo zająć się własnymi sprawami. Cały świat jest królewskim dworem.

Gdyby była zdolna wywołać krwawą wojnę religijną między Korfu a Tassali, nie mogłaby służyć swemu krajowi jako heptarchini. Bo czyż komukolwiek udałoby się przeżyć w takim oceanie krwi?

Nic dziwnego, że jej ojciec milczał. Gdyby odsłonił przed nią tę tajemnicę, byłaby narażona na straszliwą pokusę, której w młodszym wieku nie umiałaby się oprzeć.

Wciąż jeszcze jestem młoda, pomyślała. A król Oruc każe mi brać udział w spotkaniu Lyry i Prekeptora. Mogłabym z nim rozmawiać w języku Tassalian i nikt by nas nie zrozumiał, gdybyśmy knuli zdradę.

W ten sposób król mnie sprawdza. Będzie wiedział, czy ma we mnie lojalną sługę. Bez wątpienia zaaranżował nawet możliwość rozmowy z Letheko, gdyż chciał, żebym dowiedziała się od niej prawdy o sobie. Moje życie i, prawdopodobnie, życie ojca spoczęło w moich rękach.

Ojciec powiedziałby: czym jest twoje życie? czym jest moje życie? Żyjemy tylko po to, by służyć królewskiemu dworowi. I nie musiałby dodawać, bo ona i tak pamiętała, że cały świat jest królewskim dworem.

Patience uparcie powracała do nurtującej ją myśli, czy świat bardziej potrzebuje jej żywej czy martwej. Ale rozumiała też, że nie do niej należy decyzja, przynajmniej jeszcze nie teraz. Postanowiła próbować przeżyć, ponieważ nie widziała lepszego rozwiązania. A taki wybór skazywał ją na doskonałą, całkowitą lojalność wobec króla Oruca. Nic nie może nasuwać przypuszczenia, że choć przez moment rozważała przejęcie tronu.

Jedno było pewne. Kiedy to wszystko będzie za nią, żaden test ojca czy Angela już nigdy jej nie przestraszy.

## Rozdział 2

### MATKA BOGA

Lyra czekała w ogrodzie heptarszego dworu. Oczywiście było, że przy wyborze stroju pomagała jej matka. Suknia dziewczyny stanowiła dziwaczną mieszaninę niewinności i uwodzicielskiej zachęty. Skromna od szyi aż po koniuszki palców u nóg, tylko z odrobiną koronki przy dekolcie i mankietach. Za to uszyta z prawie przezroczystego materiału, tak że pod światło kobiece ciało Lyry było w pełni widoczne.

— Och, Patience, tak się ucieszyłam, kiedy ojciec zgodził się, żebyś była moją tłumaczką. Błagałam go przez dwa dni, aż wreszcie dał się wzruszyć.

Czyżby swą obecność tutaj zawdzięczała tylko błaganiom Lyry? To niemożliwe — Oruc był zbyt silnym człowiekiem, by z takiego powodu narazić sukcesję tronu na niebezpieczeństwo.

— Cieszę się, że przystał na to. — Patience uśmiechnęła się. — Przykro mi będzie, gdy opuścisz dwór, ale przynajmniej powiem ci, czy to pochwalam.

Był to oczywiście żart. Trzynastoletnia córka niewolnika nie mogłaby powiedzieć poważnie czegoś takiego córce heptarchy. Ale Lyra była tak zdenerwowana, że nawet nie dostrzegła niestosowności uwagi.

— Mam nadzieję. I jeśli zauważysz w nim jakąkolwiek skazę, która ujdzie moim oczom, błagam, powiedz mi. Tak bardzo chciałabym sprawić ojcu przyjemność i poślubić księcia, ale jeśli jest naprawdę wstrętny, nie zrobię tego za nic w świecie.

Patience nie okazała pogardy, którą czuła. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, by prawdziwej potomkini Kapitana Statku choćby przemknęło przez myśl, że może odmówić małżeństwa, ponieważ kawaler wydał się jej nieatrakcyjny, a nie biorąc pod uwagę racji stanu. Postawić własną, osobistą przyjemność ponad dobrem królewskiego dworu było dowodem, że Lyra nie dorasta do stojącego przed nią zadania. Powinnaś mieszkać w jakimś wiejskim dworku, pomyślała Patience, córko zaściankowego lorda, bywać na wiejskich zabawach i chichotać z przyjaciółkami na widok pryszczatych chłopców o nieświeżych oddechach.

Jednak ani słowami, ani wyrazem twarzy nie zdradziła swych uczuć. Stała się doskonałym lustrem, w którym Lyra zobaczyła dokładnie to, co chciała zobaczyć.

— Na pewno nie będzie taki okropny, Lyro. Rozmowy nigdy by nie doszły do tego stadium, gdyby na przykład z ramienia wyrastała mu druga głowa.

— Teraz już nikt nie miewa drugiej głowy — oświadczyła Lyra. — Znaleźli na to szczepionkę.

Biedne dziecko. Gdyby nie zdenerwowanie, chyba zrozumiałaby ironię.

Patience wydawało się zupełnie naturalne, że myśli o Lyrze, starszej od niej o trzy lata, jak o dziecku. Dziewczyna była rozpieszczana i mimo dojrzałości ciała nie wyszła jeszcze z wieku dziecięcego. W przeszłości, kiedy bawiły się razem w komnatach królewskich, Patience tysiące razy marzyła o przespaniu jednej jedynej nocy w miękkim łóżku którejś z córek heptarchy. Ale teraz, widząc tak mierne rezultaty wydelikacującego wychowania, dziękowała w duszy ojcu za zimny pokój, twarde łóżko, proste jedzenie, nie kończącą się naukę i ćwiczenia.

— Masz, oczywiście, rację — potwierdziła. — Czy mogę cię pocałować na szczęście?

Lyra z roztargnieniem wyciągnęła rękę. Patience uklękła i z uszanowaniem ucałowała jej palce. Już dawno temu nauczyła się, że taki hołd działa niezwykle łagodząco na córki Oruca. Angel zawsze powtarzał: twoja pokora łechce cudzą próżność.

Otworzyła się furka w głębi ogrodu. Wleciał przez nią biały sokół. Wzbił się w górę i zaczął zataczać kręgi. Inny biały ptak, siedzący już na oparciu ławki, właśnie w tej chwili rozpoczął wyśpiewywać słodkie trele. Lyra krzyknęła cicho, ale zaraz z przestachu zakryła usta dłonią, ponieważ oczywiste było, że sokół zauważył ptaka. Rzucił się w dół prosto na niego. . .

I został złapany w siatkę. Szarpał się, ale młody sokolnik sięgnął w głąb siatki zdecydowanym ruchem i wyciągnął ptaka za nogi. Sokolnik też był ubrany na biało, w biel tak doskonałą, że aż raziła oczy, kiedy słońce załamywało się na fałdach materiału. Młodzieniec zagwizdał i w tej samej chwili pojawiło się dwoje służących z klatkami. Zaraz też oba ptaki znalazły się w zamknięciu.

Mały śpiewak nie uronił w tym czasie ani jednej nuty. Scena ta musiała być ćwiczona wiele razy, pomyślała Patience, skoro białopióry ptaszek wyzbył się lęku przed sokolem.

Kiedy się jednak przyjrzała mu bliżej, odkryła całkiem odmienny powód jego odwagi. Ptak nie spłoszył się, ponieważ był ślepy. Wyłupiono mu oczy.

Służący cofnęli się ku drzwiom, a sokolnik padł na kolana przed Lyrą i zaczął przemowę po tassalińsku.

— *Me kia psole o ekeiptu* — powiedział.

— Tak zawsze będę cię bronił — przetłumaczyła Patience. Starła się stosować tę samą intonację, co Prekeptor.

— To było piękne — powiedziała Lyra. — Śpiew ptaka i jego ocalenie.

— *Iptura oeenue* — tłumaczyła Patience, naśladowując pełen zachwyty głos Lyrze. — *Oeris, marae i kio psolekte*.

— Mówisz tak samo jak ja — szepnęła Lyra.

Znowu odezwał się Prekeptor i Patience przetłumaczyła:

— Przyniosłem prezent dla córki heptarchy. Skinął na służącego, który podał mu księgę.

— To kopia Testamentu Ireney, córki Kapitana Statku — powiedział i wręczył podarek Patience, której ten gest wydał się całkiem niewłaściwy. Starający powinien w ogóle nie dostrzegać tłumaczki, tylko położyć księgę wprost w ręce obdarowywanej. Ale być może zgodnie ze zwyczajem Tassali kochankowie dawali sobie prezenty za pośrednictwem służących. Obcy miewali dziwne obyczaje.

Patience przekazała księgę Lyrze, która udała, że prezent ją ucieszył. Patience po cichu zwróciła uwagę dziewczyny na fakt, że strony książki wykonane zostały z liści papierowych tak doskonałych w kształcie, iż przy składaniu książki nie trzeba było ich przycinać.

— Bardzo trudno było wyhodować takie liście — powiedziała. Nie dodała jedynie, że jej zdaniem była to też idiotyczna strata czasu, ponieważ zwykły papier lepiej nadawał się do pisania i był trwalszy.

— Och — szepnęła Lyra. Po czym zdobyła się na krótkie podziękowanie.

— Nie myśl, że jestem dumny z moich umiejętności w dziedzinie hodowli roślin — zapewnił książę. — Mówi się często, że rośliny i zwierzęta na Imaculacie starają się zrozumieć, jakie są zamiary ludzi i dostosowują się do ich oczekiwań. Choć moje możliwości są skromne, z radością zrobię wszystko, czego zażąda córka heptarchy.

Patience czuła się coraz bardziej niezręcznie, ponieważ Prekeptor kierował swe słowa bezpośrednio do niej. A przecież tłumacz jest meblem. Każdy dyplomata się tego uczy. Najwyraźniej każdy, poza księciem Tassali.

Prekeptor podał jej następny prezent. Był to szklany pręt, wydrążony w środku i wypełniony światłem, widocznym nawet w świetle dnia. Kiedy osłonił go ręką, pręt wyraźnie pojaśniał. Książę znowu uśmiechnął się skromnie i oznajmił, że jest tylko prostym inżynierem.

— Gdyby na świecie żyli jeszcze Mądrzy, mógłbym stworzyć ten przedmiot znacznie szybciej, metodą zmian struktury genetycznej, ale ponieważ nie miałem innej drogi, przekształciłem ziele zwane zjadaczem statku w coś całkiem użytecznego. — Uśmiechnął się. — Będiesz mogła czytać Testament do poduszki, nawet gdy ojciec każe ci pogasić wszystkie świece.

— Nigdy nie czytam w łóżku — odparła zdziwiona Lyra.

— To był żart — wyjaśniła Patience. — Uśmiechnij się chociaż. Lyra zaśmiała się. Za głośno, ale przynajmniej starała się sprawić gościowi przyjemność. I to z oczywistych powodów. Białe ubranie nie ukrywało gibkości i siły obleczonego weń ciała, zaś twarz młodzieńca mogła być modelem dla rzeźbiarza pragnące-

go przedstawić w kamieniu wizerunek Odwagi, Męskości lub Prawości. Kiedy uśmiechał się, blask jego oczu zdawał się być pieszczotą. Nic z tego nie uszło uwagi Lyry.

Tyle tylko, że Prekeptor nie odrywał oczu od Patience, która wreszcie zrozumiała, jak niebezpieczną grę prowadzi książę.

— Córka heptarchy dowie się, że przepowiednia radości zawarta w Testamencie wypełni się za jej życia — powiedział Prekeptor.

Patience posłusznie przetłumaczyła, ale teraz wiedziała już, że każde jego słowo skierowane było do niej, prawdziwej córki heptarchy. Bez wątpienia w Testamencie musiała znajdować się wzmianka o siódmej siódmej siódmej córce. Prekeptor chciał zmusić Patience, by uznała los przypisany jej przez przepowiednię.

Książę miał jeszcze trzeci prezent. Była to plastikowa osłona dla szklanego pretu. Na jej powierzchni pojawiały się kolorowe, przezroczyste zwierzęta. Oświetlone od wewnątrz zdawały poruszać się z gracją. Prekeptor i tym razem wręczył prezent Patience.

— Córka heptarchy zobaczy, że może to nosić jak koronę, by cały świat ją podziwiał — powiedział. — To jest tak jak z przyszłością — można wybrać kolor i podążyć za nim. Jeśli córka heptarchy wybierze mądrze, odzyska wszystko, co straciła.

W końcu tej wyrafinowanej przemowy słowa straciły podwójne znaczenie. Teraz wyraźnie książę zwracał się tylko do Patience i proponował jej odzyskanie tronu.

Dziewczyna w żaden sposób nie mogła przetłumaczyć ostatniego zdania Prekeptora. Lyra domagałaby się wyjaśnień. Z drugiej jednak strony nie wolno jej było pozostawić wypowiedzi nie przetłumaczonej ani zmienić jej znaczenia, ponieważ to zostałyby zrozumiane przez podsłuchujących szpiegów Oruca jako przyjęcie propozycji zdrady.

Wobec tego milczała.

— Co on powiedział? — zapytała Lyra.

— Nie wiem — odparła Patience. Po czym zwróciła się do Prekeptora. — Przepraszam, ale moja znajomość tassalińskiego jest tak słaba, że nie byłam w stanie zrozumieć tego, co książę mówił. Błagam, aby książę rozmawiał o sprawach, które biedna tłumaczka może pojąć.

— Rozumiem — powiedział z uśmiechem. Ręce mu drżały. — Ja także czuję lęk, tutaj, w samym sercu dworu heptarchy. Ty jednak nie wiesz, że ludzie, którzy cię popierają, to wyszkoleni żołnierze i zamachowcy. Są gotowi wnikać do najtajniejszych zakamarków siedziby wroga i zniszczyć go.

Każda odpowiedź Patience byłaby równoznaczna z podpisaniem na siebie wyroku śmierci. Po pierwsze, ją również wyszkolono na zamachowca i wiedziała, że plan Prekeptora został zniweczony w tym samym momencie, kiedy o nim wspomniał na głos w ogrodzie. Natychmiast bowiem wszyscy Tassalianie przebywają

cy na dworze heptarchy zostaną aresztowani, skoro ich zbrodnicze plany wyjawiał sam książę. Jeśli wierzył, że nie jest podsłuchiwany tutaj, na otwartej przestrzeni ogrodu, musiał być, zdaniem Patience, głupcem, któremu nie warto powierzać życia.

Ale nie mogła powiedzieć nic, co by go powstrzymało, a ją oczyściło z ewentualnych zarzutów współuczestnictwa w spisku. Gdyby stwierdziła, że ona nie ma wrogów na heptarszym dworze, przyznałaby, że książę ma prawo nazywać ją córką heptarchy. Nie pozostało jej nic innego, jak nadal udawać, że nie rozumie, iż cała ta przemowa jest skierowana właśnie do niej. Czyli że nie rozumie najprostszych zwrotów w tassalińskim. Najprawdopodobniej nikt jej nie uwierzy, ale na tym jej nie zależało. Wystarczyło tylko stworzyć Orucowi możliwość udawania, że jej wierzy. Tak długo, jak oboje będą mogli udawać, że ona nie wie, kim naprawdę jest, ma szansę przeżycia.

Przywołała na twarz wyraz zmieszania.

— Przykro mi, ale chyba się pogubiłam — powiedziała. — Myślałam, że opanowałam język Tassalian wystarczająco biegle, ale najwyraźniej byłam w błądzie.

— Co on mówi? — zapytała Lyra. W jej głosie brzmiało teraz prawdziwe zaciekawienie. A sytuacja była rzeczywiście interesująca, ponieważ Prekeptor nie przybył wcale z zamiarem poślubienia Lyry, tylko w celu zabicia jej ojca, a bez wątpienia przy okazji także i jej.

— Przykro mi — powiedziała Patience — ale prawie nic nie zrozumiałam.

— Myślałam, że znakomicie władasz tym językiem.

— Ja też tak myślałam.

— Matko Kristosa — wyszeptał Prekeptor. — Matko Boska, dlaczego nie widzisz w moim zjawieniu się ręki przeznaczenia? Jestem aniołem, który stanął u drzwi i puka. Zwiastuję ci: Bóg narodzi się z twego łona.

Już same jego słowa budziły lęk, a żarliwość, z jaką je wymawiał, przerażała. Jaką rolę przeznaczył dla niej w swojej religii? Matka Boska — to była starożytna dziewica z Ziemi, a przecież mówił do Patience tak, jakby to było jej imię.

Nadal panowała nad sobą i ukrywała zaskoczenie. Pozwoliła sobie tylko na lekko zdziwioną minę.

— Święta Matko, czy nie widzisz, w jaki sposób Kristus przygotował drogę swego przyjścia? — Postąpił krok w jej stronę. Lecz widząc, jak stężała jej twarz, zatrzymał się, a potem cofnął dwa kroki. — Nieważne, co myślisz, nie pokrążujesz ścieżek Boga. On poświęcił siedem razy siedem pokoleń, aby stworzyć ciebie, matkę jego syna, który narodzi się na planecie Imaculata. Dłużej czekaliśmy na ciebie, niż na Ziemi oczekiwali Dziewicy.

Pozwoliła, by na jej twarzy znowu pojawiło się niepewne, zdziwione spojrzenie, a jednocześnie w popłochu zastanawiała się, co powinna zrobić. Czuła się trochę tak, jak podczas jednej z ulubionych zabaw Angela. Dawał jej do rozwiązania w pamięci złożone zadanie matematyczne, żadne pisane znaki nie mogły

pomagać jej w koncentracji — po czym natychmiast zmieniał temat i zaczynał opowiadać jakąś niezwykle zagmatwaną historię. Po paru minutach, a niekiedy nawet dobre pół godziny później kończył opowieść i bezzwłocznie żądał wyniku wyliczeń. A kiedy podała go, wymagał od niej powtórzenia całej historii. Ze szczegółami. Po latach ćwiczeń koncentrowanie się na dwóch sprawach jednocześnie nie sprawiało Patience kłopotu. Choć, oczywiście, nigdy wcześniej jej życie nie zależało od żadnej gry.

— Widzę, że nic ci nie powiedzieli. Nie chcieli, byś dowiedziała się, kim naprawdę jesteś. Nie udawaj, że nie znasz mojego języka. Wiem dobrze, że rozumiesz znaczenie każdego słowa. Powiem ci. Bóg stworzył Imaculatę jako najbardziej boską ze wszystkich planet. Tutaj, na tym właśnie świecie, siły stworzenia są głębokie i pełne mocy. Na Ziemi potrzeba było tysięcy pokoleń, by dokonała się ewolucja. Tutaj wystarczą nam trzy czy cztery pokolenia dla wygenerowania poważnych zmian gatunkowych. Jakby genetyczne cząsteczki rozumiały, czego od nich chcemy, i zmieniały się zgodnie z oczekiwaniami. Te trzy drobiazgi, które złożyłem w darze — to nowe, doskonałe gatunki, wykreowane przez człowieka na Imaculacie. Ta zasada dotyczy zarówno gatunków, które przybyły z Ziemi, jak i miejscowych. Tylko tutaj, na Planecie Bożej Kreacji, cząsteczka genetyczna każdego stworzenia jest zwierciadłem woli człowieka i zmieni się zgodnie z każdą komendą. Wystarczy zastanowić się, czy emisja światła zwiększy szansę rozrodczości rośliny i natychmiast wszystkie rośliny wydzielają dużo więcej energii promieniotwórczej. Nawet te, które nie biorą udziału w eksperymencie i rosną dobre pół mili dalej. Czy rozumiesz, co to znaczy? Tutaj, na Imaculacie, Bóg pozwolił nam skosztować swojej władzy.

Patience przez chwilę bawiła się myślą, czy nie zabić księcia, ale odrzuciła ten pomysł. Gdyby był to zwykły poddany heptarchy, jej obowiązkiem byłoby zgładzić go za wszystko, co już zdążył powiedzieć, choćby dlatego, że zagrażał życiu Lyry. Ale do prerogatyw tłumacza nie należało mordowanie dziedzica tronu Tassali. Król Oruc mógłby potraktować taki nieszczęsny incydent jako wtrącanie się do polityki zagranicznej.

— Ale dzieło hodowania ludzkiej rasy Bóg zarezerwował dla siebie — ciągnął dalej Prekeptor. — Ludzie jako jedyna forma życia na Imaculacie pozostali nie zmienieni. Gdyż to Bóg czuwa nad naszą drogą. A jego koronnym osiągnięciem jesteś ty — ponieważ zgodnie z wolą Boga masz urodzić Kristosa, jedynego Człowieka doskonałego, który będzie odbiciem Boga, tak jak cząsteczka genetyczna jest odbiciem woli, mózg jest lustrem świadomości, a układ limfatyczny obrazem namiętności. Mądrzy myśleli, że mogą ingerować w cząsteczkę genetyczną, że zmienią boży plan, uczyniwszy twego ojca niezdolnym do splodzenia córki, by przepowiednia nie mogła się spełnić.

Ale Bóg zniszczył Mądrych i twój ojciec splodził córkę, a ty urodzisz syna bożego, i ani ty sama, ani nikt inny nie może pokrzyżować tych boskich planów.

Teraz już Patience nie mogła odejść. Musiała wyraźnie pokazać, że odrzuca wszystko, co zostało powiedziane. Poza tym nie była pewna, czy Preceptor pozwoliłby jej odejść. Jego wiara była wiarą szaleńca. Dygotał i płonął takim żarem, że i w niej rozpałał ogień. Nie śmiała słuchać go dłużej, gdyż obawiała się, że zwątpi we własną niewiarę. Nie miała odwagi odejść ani uciszyć go ostatecznie. Pozostawało jej tylko jedno.

Sięgnęła do włosów, gdzie trzymała ukrytą pętlę.

— Co ty robisz? — zapytała Lyra, którą jako córkę heptarchy nauczono rozpoznawać każdą broń, jaką mógł się posłużyć zamachowiec.

Patience nie odpowiedziała. Zwróciła się do Preceptora:

— Książę, wydaje mi się, że zrozumiałam cię na tyle, by pojąć, że samym swym istnieniem zagrażam życiu mego szlachetnego heptarchy, króla Oruca. Skoro stanowią zagrożenie dla mego króla, jedyne, co mogę zrobić jako wierna poddana, to zakończyć moje życie.

Gwałtownym ruchem zacisnęła pętlę na własnej szyi, a potem nagłym szarpnięciem przecięła skórę na głębokość dwóch milimetrów. W pierwszej chwili prawie nie poczuła bólu. Cięcie nie było jednolite — w niektórych miejscach głębsze. Na szyi pojawiła się krew niby czerwony kołnierz.

Przerażenie Preceptora prawie ją rozbawiło.

— Mój Boże! — krzyknął. — Mój Boże, cóż ja najlepszego uczyniłem!

Nic nie zrobiłeś, ty głupcze, pomyślała Patience. Ja to zrobiłam. Wreszcie cię uciszyłam. Teraz już czuła prawdziwy ból, a od nagłego upływu krwi zakręciło jej się w głowie. Mam nadzieję, że cięcie nie jest zbyt głębokie, pomyślała. Nie chciałabym, żeby została blizna.

Lyra wrzeszczała. Patience poczuła, jak nogi się pod nią uginają. O, tak. Muszę upaść, jakbym naprawdę umierała, pomyślała. I pozwoliła sobie osunąć się na ziemię. Złapała się za szyję, delikatnie rozluźniając ucisk pętli. Zdziwiła ją ilość krwi, ciągle wypływającej z rany. Czy nie byłoby głupio, gdybym przecięła sobie skórę nazbyt głęboko i wykrwawiła się na śmierć, tu, na trawniku?

Preceptor rozpaczał głośno:

— Święta Matko, nie chciałem cię skrzywić. Boże, dopomóż jej, Panie na Niebiesiech, pogromco bluźnierców, wybac głupcowi, który oddał siebie na służbę Tobie, i uratuj Matkę twojego Syna. . .

Świat zatrzasnął wokół Patience czarne ściany, widziała przed sobą tylko tunel. Ujrzała dłonie, które odsunęły od niej Preceptora. Słyszała krzyki i płacz Lyry. Czuła unoszące ją z ziemi delikatne ręce i usłyszała czyjś szept:

— Nie było dotąd nikogo tak lojalnego wobec heptarchy, by wołał raczej odebrać sobie życie, niż wysłuchać zdrajcy.

Czy właśnie to zrobiłam? — pomyślała Patience. Odebrałam sobie życie?

A potem, kiedy wynosili ją z ogrodu, zaniepokoiła się, czy Angel uzna, że dobrze rozwiązała zadanie. Bo jeśli chodzi o opowieść, to zapamiętała każde słowo. Co do jednego.



## Rozdział 3

# SKRYTOBÓJCZYNI

Patience miała dosyć leżenia w łóżku już po pierwszym dniu. Niecierpliwili ją wizyty ludzi, którzy nie mieli nic mądrego do powiedzenia.

— Nie sądzę, by została ci blizna — pocieszała ją Lyra.

— Nie miałabym nic przeciwko niej — odparła Patience.

— To był najodważniejszy czyn, jaki w życiu widziałam.

— Nic podobnego — odparła Patience. — Wiedziałam, że nie umrę. To był jedyny sposób, by uciszyć księcia.

— Ale co on mówił? Patience potrząsnęła głową.

— Wierz mi, wcale się nie nadawał na męża dla ciebie.

Lyra wyglądała na poważnie zmartwioną. No cóż, miała powody. Może po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jej dynastyczne prawa są niebezpiecznie zagrożone, choćby Patience pozostała całkowicie lojalna.

— Czy on próbował... zaaranżować... no wiesz. Z tobą.

No tak. Lyra oczywiście nie martwi się wcale o dynastię. Nikt jej nigdy nie nauczył odpowiedzialności.

— Nie mogę o tym mówić — oświadczyła Patience. Ale odwróciła twarz, by Lyra przekonała samą siebie, że odpowiedź powinna brzmieć „tak”.

— Stojąc przede mną, chciał... ale dlaczego ty? Wiem, że słyniesz z urody, wszyscy to mówią, jednak to ja jestem córką heptarchy i też nie wyglądam najgorzej. Wcale nie. Mówię zupełnie obiektywnie.

— Chyba tylko taki mężczyzna nie chciałby cię mieć za żonę, który w wyniku strasznego wypadku uszkodził sobie pewne organy — parsknęła śmiechem Patience.

Lyra zrozumiała po dobrej chwili i spłonęła rumieńcem.

— Nie wolno ci mówić takich rzeczy.

Ale Patience pochlebiła jej próżności i w ten sposób Lyra uznała, że nie musi mieć wyrzutów sumienia. Dziewczyna wyszła.

Patience rozmyślała o wczorajszym spotkaniu. Przynajmniej nie poszłam na nie równie nieświadoma jak Lyra, która zresztą nadal nie orientuje się, co zaszło. Jednak kiedyś ktoś powie jej, kim jestem i dlaczego odwieczne prawa mojego ojca do tronu postrzegane są jako stojące powyżej roszczeń Oruca. Wtedy zrozumie, co się właściwie wczoraj wydarzyło i być może pojmie także, że ryzykując śmiercią, walczyłam o życie.

Ale nie reakcja Lyry ją niepokoiła. Ważne było, jakie stanowisko zajmie król Oruc. Był jedynym widzem, któremu Patience chciała sprawić przyjemność. Jeśli zrozumiał jej gest jako desperacką próbę udowodnienia lojalności, ona przeżyje. Ale jeśli pomyśli, że chciała się naprawdę zabić, uzna ją za osobę niespełna roztumu i nigdy nie powierzy jej żadnego zadania. Kariera Patience zakończy się, zanim jeszcze zdążyła się rozpocząć.

Lekarz zamknął jej ranę szczękami maleńkich skorek.

— To nie są zwyczajne skorki — objaśnił. — Zostały wyhodowane i działają jak mocne kleszcze, przytrzymują skórę dopóki mięśnie nie złączą się odpowiednio. Dostosowują się do elastyczności szyi i pomagają w procesie leczenia. Nie zostawiają blizn.

— Bardzo sprytnie — mruknęła Patience. Wszyscy uważali, że ona nie chciałaby mieć blizny. Nie była tego taka pewna. Nie zaszkodziłoby nosić na ciele pamiątki stale przypominającej o całkowitej lojalności, jaką wykazała w służbie królowi. Nawet kusiło ją, żeby oderwać skorki albo zmienić pozycję w łóżku, by blizna pomarszczyła się. Jednak takie zachowanie zdyskredytowałoby ją. Pomniejszyło znaczenie jej czynu.

A miał on swą moc. Oruc przyznał jej na czas rekonwalescencji pokój dla specjalnych gości na heptarszym dworze. Wiele osób zachodziło z życzeniami powrotu do zdrowia. Mało kto z nich przeszedł szkolenie w dyplomacji, więc nie potrafili ukryć prawdziwego powodu wizyt. Ich przyciągała Patience, młoda dziewczyna, w której wyczuwało się już pierwszą zapowiedź kobiety.

Dorośli, którzy nie potrafią się pogodzić z utratą młodości, wracają do niej myślami i boleśnie pragną powrotu urody lat młodzieńczych, choć wiedzą, że czasu nie da się cofnąć. Poza tym była prawdziwą córką heptarchy, legendarną siódmą siódmą siódmą córką Kapitana Statku. Dotąd nie mogli otwarcie z nią rozmawiać z lęku przed podejrzeniami króla. Ale nikt przecież nie mógł patrzeć krzywo na wizyty składane młodej dziewczynie, która służąc córce heptarchy dopełniła czyn tak heroiczny.

Odwiedzali ją pojedynczo i parami, mówili miłe słówka, ściskali dłoń. Wielu próbowało dotknąć ją gestem, należnym tylko rodzinie władcy. Tym odwzajemniała się gestem szacunku, wskazującym, że gość stoi wyżej od niej na drabinie społecznej. Niektórzy uważali to za sprytnie maskowanie się, inni za szczerą skromność. Dla Patience była to walka o życie.

Niepokoilo ją bowiem, że ani razu nie odwiedził jej Angel. Również ojciec

nie śpieszył się z powrotem do domu. Nie do pomyślenia było, żeby nie przyszli do niej, gdyby tylko mogli, a to oznaczało, że ktoś musiał zabronić im odwiedzin. Jediną osobą władną to uczynić był król Oruc. Najwyraźniej coś go zaniepokoiło w odegranym przez nią przedstawieniu. Nadal nie miał do niej zaufania.

Wreszcie wizyty ustały. Do pokoju wkroczył lekarz z dwoma służącymi. Delikatnie przełożyli dziewczynkę na nosze. Nie musieli mówić, gdzie ją zabierają. Kiedy Oruc wzywa, nie ma miejsca na dyskusję. Po prostu się idzie.

Postawili nosze na podłodze komnaty Oruca. Jego małżonka tym razem nie była obecna, ale heptarsze towarzyszyły trzy głowy. Patience nie znała ich, choć spędziła wystarczająco dużo czasu na dworze niewolników, by zapamiętać wszystkie przekazywane tam głowy. Wobec tego te albo nie należały do byłych ministrów spraw zagranicznych, albo też były tak ważne dla Oruca, że trzymał je w jakimś odosobnionym miejscu, by nikt inny nie mógł z nimi rozmawiać. Przy słojach ustawionych na osobnych stolikach siedziały karły, gotowe pompować powietrze.

— A więc to jest ta dziewczyna — oświadczyła jedna z głów, kiedy Patience znalazła się w komnacie. Ponieważ karzeł jeszcze nie zaczął pompować powietrza, z ust głowy nie wydobył się żaden dźwięk, Patience jednak potrafiła odczytać słowa z ruchu warg. I choć tego już nie była pewna, wydało jej się, że druga głowa wyszeptała jej prawdziwe imię: Agaranthemem Heptek.

Lekarz robił wokół swojej osoby bardzo wiele zamieszania pokazując, jak doskonale opatrzył ranę. Po której — naturalnie — nie pozostanie najmniejsza blizna.

— Bardzo dobrze, doktorze — powiedział Oruc. — Zawsze oczekuję od moich techników najwyższej sprawności.

Lekarzowi nie w smak było nazwanie go technikiem, ale oczywiście starał się ukryć niezadowolenie.

— Dziękuję, lordzie heptarcho.

— Żadnej blizny — powiedział Oruc. Wpatrywał się krytycznie w szyję dziewczyny.

— Ani śladu.

— Tylko sznurek robaków na szyi. Nie wiem, czy już nie wolałbym blizny od tych paskud.

— O, nie — zaprzeczył lekarz — one odpadną bardzo szybko. Jeśli przeszkadzają ci, panie, mogę je zdjąć nawet teraz.

Oruc wyglądał na znudzonego.

— To, co powiedziałem, doktorze, było żartem, a nie dowodem mojej głupoty.

— Och, oczywiście, zupełnie nie pomyślałem, proszę mi wybaczyć, jestem trochę zdenerwowany, ja... — w tej chwili lekarz uświadomił sobie, że brnie coraz dalej i wybuchnął nienaturalnym śmiechem.

— Dobra robota. Jestem zadowolony. Teraz proszę odejść. Lekarz pośpiesznie wykonał polecenie i zamknął za sobą drzwi. Oruc westchnął ze znużeniem.

— Życie na dworze przeżywa schyłek od czasu odejścia Mądrych.

— Trudno mi to stwierdzić, sir — powiedziała Patience. — Wtedy jeszcze nie było mnie na świecie. Nie znałam żadnego z Mądrych.

Brwi Oruca uniosły się w górę.

— Na niebiosa, ja także nie. — Jednak zaraz potrząsnął głową. — Chociaż to właściwie nieprawda. Znam kilku Mądrych pośród umarłych. — Nie potrzebował oglądać się na trzy głowy. — I nawet jednego Mądrego pośród żywych, jedyne-  
go człowieka spośród wszystkich moich ministrów, który udziela mi rad wartych wysłuchania. Temu człowiekowi los Korfu leży na sercu równie mocno, jak mnie.

— To mój ojciec.

— Cóż za żałosna sytuacja, prawda? — zapytał Oruc. — Nawet najmądrzejszy król potrzebuje dobrej rady, a mądrego doradcy trzeba na tym świecie szukać ze świecą. Oddałbym pół królestwa, by wiedzieć, co się stało z Mądrymi, którzy stąd odeszli, i jak ich tu przywieść z powrotem.

W tym momencie odezwała się jedna z głów. Widocznie karły zaczęły pom-  
pować powietrze.

— Oruc, już prędzej stracisz połowę królestwa, ponieważ nie dowiesz się tego.

Druga głowa wydała z siebie starczy chichot.

— To byłby dobry interes, oddać ziemię i otrzymać z powrotem Mądrych.

— Wiesz przecież, gdzie Mądrzy odeszli — odezwała się trzecia o ponurej  
twarzy i bezzębnych ustach. — Do Spękanej Skały. A stamtąd nie ma powrotu.

— To jest dylemat naszych czasów. — Oruc zwrócił się do Patience. — Już dawno minął czas kolejnej spodziewanej inwazji geblingów. Dwanaście razy pod-  
czas siedmiu tysięcy lat wylewały się na nas hordami ze swego ogromnego skalne-  
go miasta, z grot Stopy Niebios i za każdym razem ludzka cywilizacja padała pod  
tym ciosem. Potem wracali do swych jaskiń lub stawali się żałosnymi kupcami lub  
wędrowcami, a ludzie zaczynali od nowa podnosić się z upadku, próbując wskrze-  
sić wiedzę z pozostawionych resztek... Tylko jedna ludzka instytucja przetrwała  
wszystkie najazdy aż po czas trzynastej inwazji geblingów — jedna linia krwi,  
zapoczątkowana w chwili, gdy człowiek po raz pierwszy postawił stopę na Ima-  
culacie. — Choć nie powiedział tego, wiedziała, że mówi o rodzie heptarchów.  
Jej rodzie.

— A potem — ciągnął dalej Oruc — geblingi nie zaatakowały ludzi w spo-  
dziewanym czasie. Zamiast tego wszyscy Mądrzy, wszyscy uczeni mężczyźni  
i kobiety — nie, nie chodzi mi o uczonych, ale o tych, którzy osiągnęli prawdzi-  
we zrozumienie wiedzy — wszyscy, jeden po drugim, poczuli zew Spękanej Ska-  
ły. Niepowstrzymaną, natrętną potrzebę odejścia stąd. Twierdzili, że nie wiedzą,  
gdzie się kierują. Ale ci, którzy podążyli za nimi, powiedzieli potem, że wszyscy  
co do jednego udali się do Spękanej Skały. Politycy, generałowie, naukowcy, na-

uczyciele, budowniczy — wszyscy ci mężczyźni i te kobiety, na których mógł się oprzeć król podczas swych rządów, odeszli. Na kim się można oprzeć, kiedy Mądrzy odejdą?

— Na nikim — szepnęła Patience. Teraz naprawdę się bała, ponieważ opowiadała tak uczciwie o upadku starożytnej dynastii, z której się wywodziła, że bez wątpienia planował zamordowanie jej tuż po zakończeniu rozmowy.

— Na nikim. Zew Spękanej Skąty przywołał ich i heptarcha stracił swą siłę. Twój prapradziadek nie był już mocarnym heptarchą.

— Nie znałam go — powiedziała Patience.

— Dzikus. Naprawdę okropny, nawet jeśli odrzuci się wszystko, co na jego temat napisał mój ojciec, walcząc o własną popularność. Miał zwyczaj zachowywać głowy swoich wcześniejszych kochanek i ustawiać słoje z nimi wokół łóżka, by mogły przyglądać się jego karesom z nową pięknnością.

— Wydaje mi się — powiedziała Patience — że była to znacznie cięższa tortura dla najnowszej kochanki.

— Tak. — Oruc roześmiał się. — Chociaż nie powinnaś jeszcze tego rozumieć. Jest tyle rzeczy, których nie powinnaś wiedzieć. Mój osobisty lekarz — który, jak sądzę, nie należy do klanu Mądrych — dokładnie przebadał cię, zanim przyłożono ci skorki. Powiedział mi, że nie mogłaś wykonać lepszej roboty. Wypłynęło z ciebie dokładnie tyle krwi, by wrażenie było odpowiednio mocne, a przy tym nie zrobiłaś sobie prawdziwej krzywdy.

— Miałam szczęście — stwierdziła Patience.

— Twój ojciec nie mówił mi, że szkolił cię w sztuce mordowania.

— Sposobił mnie do zawodu dyplomaty. Często powtarzał waszą, panie, maksymę, że jeden dobrze wytrenowany zamachowiec może uratować niezliczoną ilość istnień ludzkich. Oruc uśmiechnął się i zwrócił w stronę głów:

— Przypochlebia mi się, cytując moje własne słowa, i do tego twierdzi, że wielki lord Peace często je powtarza.

— Tak naprawdę — odezwała się ponura głowa — to były moje słowa.

— Nie żyjesz, Konstans. Nie muszę oddawać ci sprawiedliwości.

Konstans. Osiemset lat temu żył Konstans, który przywrócił Korfu hegemonię na całej długości rzeki Radosnej zaledwie w dziesięć lat po inwazji geblingów, i to bez przelania jednej kropli krwi. Jeśli był to ten sam mężczyzna, nic dziwnego, że jego głowa znajdowała się w tak zaawansowanym stadium rozkładu. Niewiele ich mogło przetrwać więcej niż tysiąc lat — dla tej więc czas dobiegał już swego kresu.

— Nadal jestem próżny — odezwała się głowa Konstansa.

— Nie podoba mi się, że nauczył ją zabijać. I to tak znakomicie. Potrafiła nawet upozorować własną śmierć.

— Nieodrodna córka swego ojca — powiedziała jedna z głów.

— Tego się właśnie obawiam — oświadczył Oruc. — Ile masz lat? Trzynastcie? Czy znasz inne sposoby zabijania?

— Wiele — odparła Patience. — Ojciec twierdzi, że nie mam wystarczająco dużo siły, by porządnie napiąć łuk, miotanie oszczepem też nie wychodzi mi najlepiej. Ale trucizny, rzutki, sztylety nie mają dla mnie tajemnic.

— A bomby? Materiały palne?

— Zadaniem dyplomaty jest zabić tak cicho i dyskretnie, jak to tylko możliwe.

— Tak twierdzi twój ojciec.

— Tak.

— Czy potrafiłabyś zabić mnie teraz? Czy tutaj, w tym pokoju, możesz to zrobić?

Patience milczała.

— Rozkazuję ci odpowiedzieć.

Zbyt dobrze znała protokół, by dać się wciągnąć w zasadzkę.

— Panie, proszę, nie igraj ze mną w ten sposób. Król rozkazuje mi powiedzieć, czy jestem w stanie zabić króla. Popelnię zdradę zarówno wtedy, gdy odmówię wykonania polecenia, jak i w wypadku nieposłuszeństwa.

— Chcę usłyszeć uczciwą odpowiedź. Jak myślisz, po co trzymam tutaj te wszystkie głowy? Nie potrafią kłamać, to zasługa robaków głównych, już one pilnują, by odpowiedź była uczciwa i pełna.

— Głowy, panie, już nie żyją. Jeśli twoją wolą jest, bym i ja znalazła się w podobnej sytuacji, uczynić to jest w twojej mocy.

— Chcę usłyszeć od ciebie prawdę, niech diabli porwą protokół.

— Dopóki żyję, moich ust nie splamią słowa zdrady.

Oruc nachylił się nad nią z twarzą poczerwieniałą od gniewu.

— Nie interesują mnie twoje sztuczki, dziewczyno, dzięki którym chcesz uratować życie. Chcę, byś porozmawiała ze mną uczciwie.

— Dziecko, on cię nie może zabić. — Konstans parsknął śmiechem. — Możesz śmiało powiedzieć mu to, co on chce usłyszeć, przynajmniej jeszcze teraz.

Oruc obejrzał się na Konstansa, ale ten nie spuścił wzroku.

— Widzisz — ciągnęła dalej głowa — jest uzależniony od twego ojca, który będzie mu wiernie służył tak długo, jak ty pozostaniesz zakładniczką. Żyją. A więc teraz król Oruc stara się ustalić, czy uda mu się skorzystać z twoich talentów, czy też pozostaniesz jedynie wiecznym przedmiotem pożądania jego wrogów.

Analiza Konstansa brzmiała rozsądnie i Oruc się jej nie przeciwstawił. Patience wydawało się absurdalne, że najpotężniejszy człowiek na całym świecie traktuje ją jak potencjalnie niebezpieczną dorosłą osobę. Ale jednocześnie rósł jej szacunek do króla Oruca. Wielu słabszych władców już dawno zabiłoby ją i jej ojca. Przeważyłby w nich strach nad świadomością, że lord Peace i jego córka mogą przysporzyć mu korzyści.

Tak więc podjęła decyzję. Postanowiła mu zaufać, co ją przerażało, ponieważ jednej jedynej rzeczy ani ojciec, ani Angel jej nie nauczyli: kiedy może zaufać.

— Lordzie heptarcho — powiedziała — gdyby myśl o zabiciu ciebie powstała choć na moment w moim sercu, to tak, mogłabym to zrobić.

Zrobiła ten krok. Teraz nie było już odwrotu.

— Nawet jeszcze teraz, mimo że już cię uprzedziłam, mogłabym cię zabić, zanim zdołałbyś podnieść rękę w swej obronie. Mój ojciec zna się na swym fachu, uczył mnie mistrz.

Oruc zwrócił się do jednego z karłów.

— Zawołaj straż. Rozkazuję zaaresztować tę dziewczynę pod zarzutem zdrady. — Odwrócił się do Patience i spokojnie powiedział: — Dziękuję ci. Potrzebna mi była podstawa prawna do wykonania na tobie egzekucji. W mojej obecności oświadczyłaś, że możesz mnie zabić. Głowy to zaświadczą.

Wstrząśnięta słuchała, jak spokojnie przyznawał, że ją oszukał. I nie potrafiła w to uwierzyć. Nie, to musiała być kolejna próba, kolejny ruch w grze. Lord Peace był królowi niezbędnie potrzebny. Oruc nie podejmował żadnej ważnej decyzji bez wysłuchania jej ojca. Musiał więc obawiać się konsekwencji zamordowania Patience. Podstawa prawna do jej zgładzenia niczego tu nie zmieniała.

A jeśli miał to być test, ona go zda. Pochyliła głowę ze smutkiem.

— Jeśli moja śmierć ma przysłużyć się interesom heptarchii, przyznam się do popełnienia tej czy jakiegokolwiek innej zbrodni.

Oruc zbliżył się do niej i dotknął jej policzka dłonią.

— Piękna. Matka Boga.

Przyjęła jego słowa ze spokojem. Nie zamierzał jej zabić. Świadomość tego była wystarczającym zwycięstwem.

— Zastanawiam się, czy rzeczywiście ktoś hoduje ludzi, tak jak to twierdzą Tassalianie. Nie Bóg, bo wątpię, by zwracał sobie głowę parzeniem się ludzi na Imaculacie, ale ktoś na tyle silny, że umiał wezwać Mądrych. — Ujął ją mocno pod brodę i podciągnął twarz dziewczyny w górę. — Jeśli ktoś chciał wyhodować istotę nadzwyczajną, potrafię uwierzyć, że ty jesteś szczytowym osiągnięciem jego pracy. Jeszcze nie teraz, musisz do tego dorosnąć. Ale jest w tobie światło, coś takiego w oczach. . .

Aż do tej chwili Patience nigdy nie myślała o sobie jako o piękności. W lustrze nie dostrzegała miękkich, łagodnych rysów, powszechnie uważanych za kanon urody. Ale w głosie Oruca nie słyszała fałszywej nuty. Nie próbował jej pochlebiać.

— Tak długo, jak żyjesz — wyszeptał — każdy, kto cię zobaczy, będzie pragnął mojej śmierci, byś mogła zająć miejsce na tronie. Rozumiesz? A także śmierci mojej rodziny. Niezależnie od tego, czy ktoś doprowadził do wyhodowania ciebie, czy nie, istniejesz. A ja nie zgodzę się na śmierć swoich dzieci dla twoich korzyści. Rozumiesz mnie?

— Twoje dzieci były przyjaciółmi mojego dzieciństwa — odparła Patience.  
— Powinienem cię zabić. Nawet twój ojciec mi to doradzał. Ale nie zrobię tego.

Patience wiedziała, że nie dodał: na razie.

— Nie żałuję podjęcia takiej decyzji, gdyż prawdę mówiąc tak samo cieszę się twoim istnieniem, jak Czuwający. Ale nie pamiętam, bym taką decyzję kiedykolwiek podejmował. Nie mogę przypomnieć sobie momentu wyboru. Decyzja po prostu została podjęta. Czy ty to spowodowałaś? Czy to jakaś sztuczka, której nauczył cię ojciec?

Patience nie odpowiedziała. A on wyraźnie nie czekał na odpowiedź.

— Czy błędę tak samo, jak pobłądzili Mądrzy? Decyzja została podjęta, ponieważ ktoś, nieważne kto, chciał, byś żyła. — Odwrócił się w stronę głów. — Wy... wy już nie macie własnej woli, tylko pamięć i namiętności. Czy wiecie, co to jest wybór?

— Mętne wspomnienie — odparł Konstans. — Wydaje mi się, że dokonałem wyboru może raz, a może dwa.

Oruc odwrócił się do nich tyłem.

— A ja robię to przez całe życie. Wybieram. Świadomie, celowo wybieram i działam zgodnie z tym wyborem, niezależnie od moich późniejszych pragnień. Wola zawsze kontrolowała moją duszę — wiedzą o tym księża i dlatego drżą przede mną. Dlatego nigdy nie wywołano powstania, aby osadzić ciebie na tronie. Wierzą, że jeśli podejmę taką decyzję, zabiję cię. Tylko że ja sam nie wiem, czy tego chcę. Kiedy chodzi o ciebie, moja wola nie działa.

Patience zdawała sobie sprawę, że on wierzy w swe słowa. Ale mimo to nie mówił prawdy. Może przyjsć taki moment, że złęknie się jej naprawdę i wtedy ją zabije. Czuła to. Na tym oparta jest jego władza — na pewności, że kiedy zechce, będzie mógł ją zgładzić.

— Ojciec powiedział mi kiedyś — odezwała się — że ludźmi można rządzić w dwojaki sposób. Pierwszy polega na przekonaniu ich, że w razie nieposłuszeństwa oni sami i ich najbliżsi zginą. Drugi zaś — na zdobyciu ich miłości. Powiedział mi również, gdzie te dwie drogi wiodą. Terror zawsze prowadzi do rewolucji i anarchii. A zdobywanie miłości poddanych do lekceważenia władzy i także do anarchii.

— A więc jego zdaniem żadna władza nie może trwać?

— Może, ponieważ istnieje trzecia droga. Czasami wygląda, jak zdobywanie miłości, czasami, jak trzymanie pod butem.

— Przechodzenie od jednej skrajności do drugiej? Ludzie nie poszliby za władcą, który nie ma określonego oblicza.

— Nie. Ta metoda nie polega na miotaniu się między dwoma drogami. Jest bardzo prosta. Jest to droga wielkoduszności. Wielkości serca.



— To dla mnie puste słowa. Jedna z cnót głównych, ale nawet księża nie wiedzą, co naprawdę oznacza.

— Oznacza taką miłość do poddanych, że w imię ich dobra władca gotów jest poświęcić wszystko — własne życie, rodzinę, szczęście. I wtedy od nich można oczekiwać tego samego.

Oruc przyjrzał się jej chłodno.

— Powtarzasz słowa, których nauczyłaś się na pamięć.

— Tak — przyznała. — Ale będę cię obserwować, mój heptarcho, i zobaczę, czy tak właśnie rządysz.

— Wielkoduszność. Poświęcenie. Co ty myślisz, że ja jestem Kristosem?

— Myślę, że jesteś moim heptarchą i zawsze będę wobec ciebie lojalna.

— A wobec moich dzieci? — zapytał Oruc. — Czy to również przyrzekniesz? Pochyliła głowę.

— Mój panie, dla ciebie jestem gotowa umrzeć za twoje dzieci.

— Wiem. Dowiodłaś tego w bardzo teatralny sposób. Ale ja jestem mądrzejszy od ciebie. Jesteś lojalna wobec mnie, gdyż tego nauczył cię twój ojciec, a on jest lojalny, ponieważ kocha Korfu równie mocno, jak ja. Twój ojciec jest bardzo mądrym człowiekiem. Ostatnim z Mądrych, jak sądzę. Nie został wezwany do Spękanej Skały prawdopodobnie dlatego, że ma w sobie krew Kapitana Statku. Lecz kiedy umrze, a jest przecież bardzo starym człowiekiem — już teraz widzę na jego twarzy cień śmierci — kiedy umrze, jak wtedy będę mógł ci zaufać?

Strażnicy, po których posłał, czekali przy drzwiach. Skinął na nich dłonią. — Zabierzcie ją do lekarza, niech zdejmie te robaki. A potem oddajcie ją pod opiekę niewolnika jej ojca, Angela. Czeka w ogrodzie. — Oruc odwrócił się do Patience. — Czeka tak od kilku dni, nawet nie drgnie. Bardzo oddany służący. I jeszcze jedno. Kazałem wybić medal na twoją cześć. Każdy członek Czternastu Rodzin będzie go nosił w tym tygodniu, a także burmistrz i członkowie rady Heptam. Doskonale poradziłaś sobie z księciem Tassalian. Bezbłędnie. Będę korzystał z twoich talentów. — Uśmiechnął się niewesoło. — Wszystkich twoich talentów.

Taki był jej końcowy egzamin i zdała go. Powierzy jej zadania dyplomatyczne, mimo że była bardzo młoda. Miała mu również służyć jako morderczyni. Od tego dnia będzie wyczekiwać na nocne pukanie do drzwi posłańca od króla Oruca. Potem, tak jak to robił jej ojciec, przeczyta wiadomość, z której dowie się, kto ma zginąć. Następnie spali kartkę i rozetrze popiół na najdrobniejszy proszek. A wreszcie zabije.

Kiedy szła korytarzem pałacu heptarchy, chciało jej się tańczyć. Teraz już nie potrzebowała noszy. Stała twarzą w twarz z królem, a on ją wybrał, tak jak wcześniej wybrał jej ojca!

Angel powrócił do lekcji, jakby nauka nigdy nie została przerwana. Patience była rozsądna i wiedziała, że nie może rozmawiać na temat minionych wypadków, szczególnie w pałacu, gdzie ściany miały uszy.

W dwa dni po tych wydarzeniach, późnym popołudniem, Angel otrzymał jakąś wiadomość. Niezwłocznie zamknął książkę.

— Patience — powiedział — dziś po południu pójdziemy do miasta.

— Tato wrócił do domu! — wykrzyknęła uszczęśliwiona. Angel uśmiechnął się i podał dziewczynce płaszcz.

— Pójdziemy do Szkoły. Może dowiemy się czegoś.

Było to raczej mało prawdopodobne. Szkołą nazywano duży, otwarty plac pośrodku Heptam. Dawnymi czasy zbierali się tu Mądrzy i nauczali. Przez wzgląd na Bród Na Rzece i Wyspę Straconych Dusz, Heptam uznawano za religijną stolicę świata, a dzięki Szkole również za centrum intelektualne. Ale obecnie, kiedy od odejścia Mądrych minęło wiele lat, Szkoła stała się miejscem, gdzie uczeni tylko powtarzali w nieskończoność głoszone dawniej przez mistrzów słowa, których musieli się nauczyć na pamięć, ponieważ ich nie rozumieli. Angel z entuzjazmem uczył Patience wdzierać się w jądro jakiegoś wywodu i znajdować jego słabe punkty. Nie robiła tego często, ale cieszyła ją świadomość, że potrafi wykazać chwiejność czyjś rozumowania. A teraz Angel mówi, że miałyby się czegoś nauczyć w Szkole. Niemożliwe.

Zresztą nie wiedza była jej potrzebna, lecz wolność. Pod nieobecność ojca musiała pozostawać za wysokimi murami pałacu, w kwaterach zajmowanych przez szlachtę, dworaków i służących. Zdążyła już poznać tam każdy kąt i żadne pomieszczenie nie miało przed nią tajemnic. Ale kiedy ojciec wracał do domu, zwracano jej wolność. Dopóki jego więziły ściany pałacu, Angel mógł z nią chodzić po mieście, gdzie tylko chciała.

Swobodę wykorzystywali ćwicząc techniki, których nie dało się zastosować w pałacu. Na przykład — wcielania się w różne postacie. Często przebierali się, a potem zachowywali i rozmawiali jak służący, kryminaliści lub kupcy, udając, że są ojcem i córką. Lub czasami matką i synem, ponieważ zgodnie ze słowami Angela, najlepszym przebraniem było wcielenie się w odmienną płęć. Gdy ktoś szuka dziewczyny — mawiał — chłopcy stają się dla niego niewidzialni.

Jeszcze większą przyjemność niż przebieranie dawała jej jednak rozmowa. Przeskakując z języka na język mogli rozmawiać na każdy temat, spacerując kipiącymi życiem ulicami. Nikt nie pozostawał w ich pobliżu na tyle długo, by podsłuchać całą wymianę myśli. Tylko w takich chwilach mogła zadawać niebezpieczne pytania i dzielić się swymi wywrotowymi opiniami.

Wycieczki do miasta byłyby niezmaconym pasmem radości, gdyby nie jedna sprawa: nigdy nie mógł towarzyszyć jej ojciec. Oruc nie pozwalał im dwojgu równocześnie opuszczać pałacu, tak więc Patience w czasie rozmów z ojcem musiała się nieustannie pilnować. Przez całe życie domniemywała jedynie, co myśli jej ojciec, niepewna jego prawdziwych celów, ponieważ prawie nigdy nie mógł jej powiedzieć tego, co by chciał.

Jedyną osobą, która mogła przekazywać ich sekrety, był Angel. Zabierał Pa-

tience do miasta i tam swobodnie rozmawiali. Potem zostawiał ją w pałacu i wybierał się do miasta z lordem Peace. Angel był dobrym przyjacielem i oboje całkowicie mu ufali. Ale mimo jego starań rozmowy były jakby prowadzone przez tłumacza. Przez całe życie nie dana była Patience nawet jedna chwila prawdziwej bliskości z ojcem.

Kiedy szła teraz przez Królewski Dar i Górne Miasto, schodząc wąskimi ulicami w stronę Szkoły, Patience zapytała Angela, dlaczego król tak usilnie dążył do rozdzielenia jej z ojcem.

— Czy jeszcze nie pojął, że jesteśmy jego najbardziej oddanymi sługami?

— Wie, że jesteś mu wierna, lady Patience, ale źle ocenia twoje motywy. Traktując ciebie i twojego ojca w ten sposób, sam się zdradza. Wierzy, że trzymając przez cały czas jedno z was w roli zakładnika, zapewnia sobie lojalność drugiego. Zasada taka sprawdza się w stosunku do wielu ludzi. Są tacy, którzy nade wszystko kochają swoją rodzinę. Nazywają to cnotą, ale chodzi im tylko i wyłącznie o ochronę własnych genów i ich reprodukcję. Oruc tak właśnie rozumuje. Jest wielkim królem, ale na pierwszym miejscu zawsze postawi rodzinę. Jego więc można by szantażować. — Takie słowa były oczywiście zdradą, ale Angel przekakiwał z gauntish na geblic, a następnie na dialekt wyspiarzy, więc szansa, że ktoś go zrozumie, była niewielka.

— Czy to znaczy, że jestem zakładniczką za mojego ojca? — zapytała Patience.

Angel spojrział na nią ponuro.

— Oruc tak sądzi, lady Patience, i każdy dowód ze strony lorda Peace, że pozostanie lojalny nawet w wypadku, gdybyś ty uzyskała wolność, wydaje mu się rozpaczliwą walką twojego ojca o wolność dla ciebie. Zrozum mnie dobrze, mała dziewczynko. Oruc sądzi, że ty jesteś mu posłuszna tylko dlatego, by chronić życie ojca.

— Każdego, kto deklaruje miłość i wierną służbę, traktuje jako kłamcę. Jakie to smutne.

— Królowie nauczyli się, że żyją znacznie dłużej, jeśli od swych poddanych spodziewają się wszystkiego najgorszego. Nie są dzięki temu bardziej szczęśliwi, ale umierają ze starości, a nie na jakąś nagłą chorobę od wirusa zwanego zdradą.

— Ale, Angelu, ojciec nie będzie żył wiecznie. Kto wtedy stanie się rękojmnią mojej wierności?

Angel milczał.

Po raz pierwszy w życiu Patience uświadomiła sobie, że — wbrew naturze — może bardzo niewiele przeżyć własnego ojca. Była jego córką z drugiego małżeństwa, które zawarł w podeszłym już wieku. Teraz dobiegał siedemdziesiątki, a jego zdrowie nie było najmocniejsze.

— Posłuchaj uważnie Angela, jeżeli heptarcha nie powinien mnie zgładzić teraz, to z tych samych względów nie powinien tego zrobić w przyszłości. Fanatycy

religijni myślą, że ja mam być matką Kristosa...

— Nie tylko fanatycy, lady Patience.

— Jeśli mnie zabije, jak to wpłynie na uprawomocnienie jego rządów?

— A co z prawem jego dzieci do sukcesji, jeśli cię nie zabije? On sam potrafi utrzymać kontrolę nad tobą, ale kiedy umrze, ty będziesz nadal młoda, u szczytu swych możliwości. A teraz na dodatek wie, że zostałam wyszkolona na skrytobójczynię i sprytną dyplomatkę. Zamordowanie ciebie jest niebezpieczne dla Korfu, może nawet dla całego świata. Natomiast pozostawienie przy życiu zagraża jego rodzinie. Kiedy umrze twój ojciec, w każdej chwili oczekuj zabójcy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, lord Peace czując zbliżający się koniec odeśle mnie. Ty powinnaś poradzić sobie z każdym nasłanym mordercą. Potem musisz uciekać z pałacu. O zachodzie słońca w dzień śmierci twego ojca spotkamy się tutaj, w Szkole. Będę wiedział jak wyprowadzić cię z miasta.

Szli pomiędzy grupami studentów. Dla Patience, rozmyślającej o swej sytuacji po śmierci ojca, bezsens tekstów recytowanych przez młodych retorów miał wyjątkowo gorzką wymowę.

— I gdzie wtedy pójde? — zapytała. — Jedyne, co umiem, to służyć królowi.

— Nie bądź takim głuptasem, lady Patience. Ani przez moment nie byłaś przygotowywana do służby królowi.

W tym momencie Patience ujrzała całe swe życie w kompletnie innym świetle. Wszystkie jej wspomnienia, a także przekonanie, kim jest i kim ma być, nabrały nowego znaczenia. Nie została przeznaczona na doradczynię i służbę króla. To ona sama miała rządzić. Nie kształcono jej na lady Patience. Miała zostać Agaranthemem Heptek.

Zamarła w bezruchu, nie zważając na popychających ją ludzi.

— Zawsze uczono mnie — powiedziała — że mam być lojalna względem króla.

— Powinnaś być i będziesz — odparł Angel. — Idź, bo inaczej szpiedzy, których jest tu całe mrowie, podsłuchają nas, a to, co mówimy, jest zdradą. Jesteś lojalna względem króla Oruca z bardzo ważnego powodu — ponieważ na razie, dla dobra Korfu i wszystkich krain zamieszkałych przez ludzi, on ma pozostać heptarchą. Ale nadejdzie czas, gdy jego słabość okaże się fatalna i wtedy dla dobra Korfu oraz wszystkich krain zamieszkałych przez ludzi ty będziesz musiała zasiąść na tronie i ująć berło heptarchy. I tego dnia ty, lady Patience, będziesz gotowa.

— A więc po śmierci ojca mam udać się do Tassali i wzniecić powstanie? Zaatakować mój kraj i moich ludzi?

— Zrobisz to, co będzie wtedy konieczne dla dobra wszystkich ludzi. A do tego czasu będziesz też wiedzieć, co jest dobre. Nie ma to nic wspólnego z tym, co dobre dla ciebie samej i dla twoich bliskich. Wiesz, że obowiązek stoi ponad wszelkimi uczuciami i lojalnością. I dlatego ani ty, ani twój ojciec nigdy nie

staniecie się prawdziwymi zakładnikami króla Oruca. Jeśli dobro królestwa wymagać będzie od jednego z was popełnienia czynu, w wyniku którego drugiemu przyjdzie zginąć, nie zawahacie się. Na tym polega prawdziwa wielkość, miłość do wszystkich. Jeśli w grę wchodzi dobro królestwa, nawet córka ojcu może stać się obca.

To była prawda. Gdyby dobro państwa tego wymagało, ojciec pozwoliłby jej umrzeć. Po raz pierwszy Angel powiedział jej o tym, kiedy miała zaledwie osiem lat. W dniu jej uroczystych chrzcin zaprowadził ją z Królewskiej Zatoki do Domu Związków na Wyspie Straconych Dusz — prywatnego i oddanego królowi klasztoru, nie do gniazda buntu w Domu Głów przy Brodzie Na Rzece, gdzie księża otwarcie modlili się o śmierć Oruca. Angel wioślował i mówił jej, że ojciec bez wątplenia pozwoliłby jej umrzeć i nie zrobiłby nic, by ją uratować, jeśliby ta śmierć miała się przysłużyć państwu. To były okrutne słowa, cięły jej serce jak nóż. Ale zanim dokonała się ceremonia chrztu, podjęła decyzję. Ona też okaże wielkość serca i nauczy się kochać kraj mocniej niż własnego ojca. Bo taka była jej powinność. Jeśli miała się stać podobna do niego, musi zdusić w sobie miłość do mężczyzny, który ją spółdził. A raczej trzymać to uczucie w stanie zawieszania, by gdy zajdzie taka potrzeba, otrząsnąć się z niego bezboleśnie.

Mimo tej decyzji nadal pragnęła choć raz porozmawiać swobodnie z lordem Peace. Nawet teraz, kiedy spacerowała po terenie Szkoły i dyskutowała z Angelem o groźbach czyhających na nią w przyszłości, boleśnie odczuwała nieobecność ojca.

Nie chciała już dłużej zastanawiać się nad zadaniami, czekającymi na nią po jego śmierci. Szczegółowo zrelacjonowała Angelowi wydarzenia w ogrodzie, a potem w królewskiej sypialni. Wy tłumaczyła, jak rozwikłała zagadkę. I nawet powtórzyła co do słowa dziwne przepowiednie Prekeptora, dotyczące jej przeznaczenia.

— No cóż, z tego, co mówisz — stwierdził Angel — widzę, że przekazał ci prawdziwą historię. Mądrzy igrali z genetyką w sposób, jaki wcześniej był nie do pomyślenia. Udało im się wytworzyć żywy żel, który odczytywał kod genetyczny obcych tkanek i odzwierciedlał genetyczną strukturę w postaci kryształów, powoli przesuwających się po jego powierzchni. W ten sposób naukowcy mogli szczegółowo przebadać kod genetyczny bez dokonywania powiększenia. A przez zmianę kryształów w żelu pobrana tkanka też mogła być zmieniona, a następnie zaimplantowana do komórek rozrodczych dawcy. To dlatego twój ojciec przez wiele lat nie mógł doczekać się córki. Ale potem — dzięki tej samej technice — ty mogłaś się urodzić.

— Więc Bogu nie podobała się zabawa ze zwierciadłem woli i odesłał Mądrych? — zapytała ironicznie Patience.

— Zwierciadło woli, Duch w Trójcy Jedyny — nie powinnaś szydzić z tego, nawet jeśli postanowiłaś zostać Wątpiącą. Ta religia przetrwała prawie bez zmian

przez tysiące lat częściowo dlatego, że pewne jej koncepcje działają. Dusza jest modelem umysłu. Wola zapisana w cząsteczce genetycznej — czemu nie? To najbardziej prymitywna część naszej osobowości, coś, czego nie potrafimy pojąć. Dokonujemy takich, a nie innych wyborów — dlaczego nie mamy zrzucić winy na geny? A nasze namiętności — z jednej strony pożądanie wielkości, z drugiej wszystkie złe instynkty. Czemu nie obarczyć nimi układu limfatycznego, zwierzęcej części umysłu? A samoświadomość, na którą składają się myślenie i wszystko, co zapamiętaliśmy z naszych działań i świata nas otaczającego i co stało się naszą wiedzą? W tym jest twoja siła, Patience. Rozum pozwala oddzielić wspomnienia od namiętności, zastosować w życiu dyscyplinę. Nie postępujemy tak, jakby naszymi zachowaniami kierowały tylko warunki zewnętrzne lub wewnętrzne emocje.

— Do czego zmierzasz, Angelu? Co stało się z Prekeptorem, niezależnie od religii, jaką on wyznaje?

— Został odesłany do domu. Choć muszę powiedzieć, że zasiałaś w nim strach przed Bogiem.

— Od początku drżał przed nim.

— Nie, wtedy był przepelniony jedynie miłością. Ty nauczyłaś go bojaźni bożej. Kiedy zobaczył, jak przecinasz własne gardło, nie mógł zapanować nad swoją fizjologią. Musiał potem uprać szaty.

Pozwoliła sobie parsknąć śmiechem, choć wiedziała, że to niegrzecznie. Ale księżę był tak zagorzały w swej wierze. Nie mogła powstrzymać rozbawienia na myśl, co musiał przeżyć na widok umierającej przyszłej Matki Boga, która jeszcze nie urodziła Kristosa.

Pozostała z Angelem w mieście wiele godzin. Chodzili i rozmawiali, aż słońce skapało się w wodach Zatoki Słodkich Słówek. O zmroku Angel zabrał ją do domu na spotkanie z ojcem.

Pierwszy raz dostrzegła, jak bardzo jest stary i kruchy. Podbite oczy, pomarszczona skóra. Był wycieńczony. Patience miała dopiero trzynaście lat, a jej ojciec stał nad grobem, zanim zdołała go dobrze poznać.

Zachowywał się jak zwykle sztywno i formalnie. Grał w tak oczywisty sposób, by nie miała wątpliwości, że jest to przedstawienie dla innej publiczności, nie dla niej. Najpierw ją chwalił, potem jednak zaczął krytykować, i to za zachowania, które jak wiedziała, pochwalał całym sercem.

Kiedy spotkanie dobiegało końca, wsunął jej w rękę skrawek papieru. Było na nim napisane nazwisko głowy rodu jednego z Czternastu Rodzin, lorda Jeeke z pogranicza. Miała pojechać do niego ze swym nauczycielem w ramach wycieczki po kraju, stanowiącej część nauki. Król liczył, że lord Jeeke umrze nie wcześniej niż w tydzień po jej wyjeździe, tak by nikt nie skojarzył jej pobytu i jego śmierci.

Zadanie okazało się zadziwiająco łatwe. Wizyta potrwała trzy dni. Pierwszego wieczoru wypila wraz z lordem Jeeke wino, do którego dodała sztucznego

hormonu, który sam w sobie był nieszkodliwy. Potem zainfekowała kochankę Jeeke zarodkami pasożyta. Zarodki przeszły na Jeeke w czasie kontaktu fizycznego. Pod wpływem hormonu pasożyty zaczęły rosnąć i gwałtownie się rozmnażać. Zagnieździły się w mózgu lorda Jeeke i w trzy tygodnie później spowodowały jego zgon.

Wiadomość o śmierci lorda dotarła na dwór już po powrocie Patience. Dziewczyna napisała list kondolencyjny do pogrążonej w żalu rodziny. Ojciec przeczytał go i poklepał ją po ramieniu.

— Dobrze się spisałaś.

Była dumna, ale jednocześnie nurtowała ją ciekawość.

— Dlaczego król Oruc chciał śmierci Jeeke?

— Dla dobra królewskiego dworu.

— Miał do niego jakiś osobisty żal?

— Królewski dwór jest heptarszym dworem, Patience. — Cały świat jest heptarszym dworem.

— Więc król tak postanowił dla dobra świata? Jeeke był łagodnym człowiekiem i nikomu nie zagrażał.

— Był człowiekiem słabym. Mieszkał na pograniczu i zaniedbał ochronę granic. Świat z nim był miłszy, ponieważ on był dobrym człowiekiem. Ale jego słabość mogła doprowadzić do rebelii i granicznych wojen, a wtedy wielu ludzi zginęłoby lub stałoby się kalekami. Decyzja została podjęta w interesie królewskiego dworu.

— Jego życie za hipotetyczną wojnę.

— Pewne wojny trzeba rozegrać dla dobra królestwa. Innych zaś należy umknąć. Ty i ja jesteśmy instrumentami w rękach króla.

Potem ją pocałował, a kiedy jego wargi znalazły się tuż przy jej uchu, wyszeptał:

— Dobiegam już swoich dni, Patience. Nie przeżyję trzech lat. Kiedy umrę, przetnij moje lewe ramię ponad obojczykiem. Znajdziesz tam mały kryształ. Jeśli uda ci się, wyjmij go i zachowaj za każdą cenę. — Potem odsunął się z uśmiechem, jakby nic między nimi nie zaszło.

Nie możesz umrzeć, ojczy, krzyknęła bezgłośnie. Nigdy jeszcze nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie możesz umrzeć!

Podczas następnych miesięcy popełniła na rozkaz króla Oruca jeszcze cztery skrytobójcze morderstwa i kilkanaście innych zadań. Skończyła czternaście, potem piętnaście lat. I za każdym razem, kiedy wracała do pałacu, ojciec wydawał jej się słabszy i starszy. W piętnaste urodziny oznajmił, że już nie jest jej potrzebny nauczyciel i wysłał Angela na kontrolę jakichś włości poza miastem. Patience wiedziała, co to znaczy.

Wkrótce potem ojciec zbudził się pewnego dnia zbyt słaby, by wstać z łóżka. Wysłał pierwszego z brzegu sługę po lekarza i na krótką chwilę pozostali sami.

Natychmiast podał jej nóż.

— Teraz — wyszeptał. Przecięła ramię. Twarz mu nawet nie drgnęła. Z rany wyjęła mały, okrągły kryształ, doskonale piękny.

— To jest berło heptarchów Imaculaty — wyszeptał. — Uzurpator i jego syn nie dowiedzieli się, czym jest ten kryształ i gdzie został schowany. — Zdołał się uśmiechnąć, ale nie potrafił ukryć bólu. — Nigdy nie pozwól geblingom odkryć, że go masz — dodał.

Służący wrócił pośpiesznie, wiedząc, że zbyt długo pozostawił ich samych. Ale już było po wszystkim i nic nie zauważył. Krwawiącą ranę starannie przykrywał ręcznik, a mała kulka w kolorze bursztynu spoczywała w kieszeni sukni Patience.

Dziewczynka odnalazła ją palcami i ścisnęła, jakby chcąc wycisnąć nektar z owocu. Mój ojciec umiera i jedyne, co od niego dostałam, to ten twardy, mały, pokryty krwią kryształ, który wyrwałam z jego ciała.



## Rozdział 4

### GŁOWA OJCA

Patience czekała na śmierć ojca, a głowiarz stał już pod drzwiami. Lord Peace leżał na wysokim łożu z poszarzałą twarzą, ręce mu już nie drżały. Poprzedniego dnia i jeszcze dzień wcześniej, gdy wieść o śmiertelnej chorobie rozniosła się najpierw po dworze, a potem po Królewskim Trakcie i Wysokim Mieście, do jego komnaty zaczął napływać nieprzerwany strumień gości, pragnących pożegnać się z nim i otrzymać błogosławieństwo. Kiedy opuszczali pomieszczenie, rzucali szeptem usprawiedliwienia w stronę Patience: byliśmy przyjaciółmi w Balakaim, nauczył mnie dwelf... Ale ona wiedziała, czemu przychodzili. Dotknąć, zobaczyć, odezwać się do człowieka, który powinien być heptarchą. Umierający król błogosławił ich swym oddechem.

I teraz Patience, która przez całe życie słyszała od tego człowieka same mądre słowa, przyglądała się ruchom jego warg, szepczących w kilkunastu językach nic nie znaczące frazesy. To było tak, jakby Peace oczyszczał się przed śmiercią ze wszystkich pustobrzmiących słówek.

— Ojcie — wyszeptała.

Nagle otworzyły się drzwi. Do środka wdarł się głowiarz.

— Jeszcze nie — zatrzymała go. — Odejdź.

Ale głowiarz poczekał na znak od lorda Peace. Dopiero wtedy zamknął drzwi.

Ojciec uniósł dłoń i dotknął obojczyka, gdzie widniała jeszcze nie zagojona ranka.

— Już wyjęłam — uspokoiła go.

Wspomnienia mu umykały. Mruknął coś.

— Nie słyszę cię — powiedziała.

— Patience — wyszeptał.

Nie była pewna, czy wymawia po prostu jej imię, czy chce wydać jakieś polecenie.

— Ojcie, co powinnam teraz uczynić? Co zrobić z moim życiem, jeśli uda mi się je uratować?

Odpowiedział coś niewyraźnie.

— Nie słyszę cię, ojcze.

— Służyć i bronić — odparł w dwelf. A zaraz potem w gauntish. — Królewski dwór.

— Oruc nie pozwoli mi przejąć twojej służby — przeszła na geblic. Odpowiedział w agarant, języku używanym przez prostych ludzi, który na pewno potrafił zrozumieć głowiarz.

— Cały świat jest królewskim dworem. — Nawet w chwili śmierci pragnął utwierdzić wiarę Oruca w swą lojalność. Patience wiedziała dlaczego: Oruc powinien odrzucić wszelkie podejrzenia, że Peace kiedykolwiek był nielojalny w stosunku do niego. I zastanawić się, czy przez cały czas ich obojga źle nie oceniał.

Ale wiedziała również, że dla niej te słowa mają jeszcze inne znaczenie. Choć może nigdy w życiu nie odzyska tytułu, spoczywa na niej taka sama odpowiedzialność, jak na władczyni. Ona ma służyć swemu krajowi. Była jemu ofiarowana.

— Uczyłeś mnie, jak przeżyć — szepnęła — a nie jak zbawić świat.

— Lecz również poświęcenia dla świata — zdołały wyszeptać jego wargi.

Potem usta zastygły, a ciałem wstrząsnął dreszcz. Głowiarz usłyszał skrzypnięcie łożka i już wiedział. Otworzył drzwi i wkroczył do środka. W lewej ręce trzymał słoje na głowę, w prawej długi przewód i skalpel.

— Lady Patience — powiedział, nie podnosząc na nią oczu — lepiej niech pani na to nie patrzy.

Ale ona nie odwróciła wzroku, nie mógł jej powstrzymać, ponieważ nie miał już ani sekundy do stracenia, jeśli chciał, by głowa przeżyła. Skalpel był tylko większą, mniej delikatną i mocniejszą odmianą jej pętli. Głowiarz przeciągnął nim po karku ojca i wetknął przewód do wnętrza głowy. Potem jednym ruchem zerwał ciało i mięśnie. Trochę więcej czasu zajęło umieszczenie przewodu pomiędzy chrząstkami i nerwami kręgosłupa. Peace nie żył zaledwie od dziesięciu sekund, kiedy głowiarz podniósł jego głowę za dolną szczękę i delikatnie umieścił ją w słoju.

Pojemnik chybotął się przez kilka chwil, zanim żyjące w nim szyjki zagnieżdżyły się w miejscu przecięcia żył i arterii. One utrzymywały głowę przy życiu do czasu zainstalowania jej na dworze niewolników.

Oczywiście ciało zabiorą jej również. Lord Peace mógł być za życia ambasadorem króla, ale po śmierci jego zwłoki stały się szczątkami ostatniego pretendenta i jeśli kapłani z Brodu Na Rzece lub Wyspy Straconych Dusz dostaliby je w swoje ręce, kłopotom nie byłoby końca. A więc grabarze zabrali ciało na królewski cmentarz, a ona pozostała sama w komnacie.

Nie traciła czasu. Ojciec już dawno uprzedził ją, w jakim niebezpieczeństwie znajdzie się po jego śmierci. Przede wszystkim musiała ukryć to, co nie mogło być ujawnione. Ojciec nigdy nie trzymał wielu pisanych dokumentów. Zgarnęła je wszystkie i bez wahania wrzuciła do ognia. Poczekała, aż zamieniły się w popiół.

Potem wyjęła maleńki kryształ wydobyty z ciała ojca i połknęła go. Nie była pewna, czy materiał, z którego został wykonany, będzie odporny na procesy trawienne, ale nie знаła innego sposobu ukrycia skarbu w swym ciele. Nikt nie powinien go przy niej znaleźć w razie rewizji osobistej.

Torbę podróżną naszykowała już wcześniej. Spakowała do niej rzeczy, które mogły dopomóc w ucieczce i przetrwaniu. Maski i wszystko potrzebne do charakteryzacji, peruki, pieniądze, klejnoty, małą butelkę z wodą i pastylki cukru. Tylko to, co niezbędne. Broń miała zawsze pod ręką, by łatwo było po nią sięgnąć. Pętlę. Środek wybuchowy ukryty wewnątrz krzyża zawieszzonego, zgodnie z nakazami mody, pomiędzy piersiami. Trucizna w plastikowych kapsułkach pomiędzy palcami nóg. Była zdecydowana przetrwać, przygotowywała się do tego, czuwając przy umierającym. Wiedziała, że Oruc ma zamiar zaaranżować jej śmierć i pochować córkę wraz z ojcem, choć przyczyny zgonów byłyby zgoła różne.

Czekała. Wokół nie było nikogo, wszyscy służący odeszli. Otaczali ją przez całe życie, przyglądając się, nasłuchując, szpiegując. Gdyby miała choć cień nadziei, że Oruc pozwoli jej żyć, nieobecność służby, rozwiałaby ją. Nie chciał świadków, szczególnie takich, których zawodem było sprzedawanie informacji.

Rozległo się pukanie do drzwi. Na pewno przyszli ją zabić.

Był to jeden z morderców króla. Przeprosił ją i pokazał papiery eksmisji.

— Ten dom należał do królewskiego niewolnika, lady Patience — powiedział — a teraz niewolnik ten nie żyje. — Stanął za nią, odgradzając ją od pozostałych pomieszczeń. Nie wolno jej nic stąd zabrać, wyjaśnił. Oczywiście wiedzieli, że właśnie tak to się odbędzie. Angel już jakiś czas temu zabrał ze sobą wszystko, co było dla nich ważne. Patience otrzyma swe rzeczy z powrotem, kiedy opuści pałac i dołączy do niego.

Uśmiechnęła się wdzięcznie i ruszyła powoli w stronę drzwi. Mordercy nie zdradził żaden dźwięk. Ani nawet cień. Może usłyszała krok na kamiennej posadzce albo poczuła ruch powietrza we włosach. Wiedziała, choć nie umiałaby powiedzieć skąd, że w tej właśnie chwili będzie próbował ją zabić. Przeniosła ciężar ciała na prawo, obróciła się i uderzyła. Morderca właśnie wznosił sztylet do pchnięcia. Jego twarz zdążyła się wykrzywić w grymasie zaskoczenia, kiedy stopą strzasknęła mu kolana.

Jęknął z bólu i wypuścił z rąk sztylet. To ma być zabójca, pomyślała lekceważąco. Czy naprawdę król Oruc myśli, że ktoś taki zdoła zabić córkę lorda Peace? Nie musiała nawet walczyć. Zostawiła sztylet w jego lewym oku.

Dopiero gdy zobaczyła zabójcę leżącego na podłodze ze sztyletem sterczącym niby śmieszna ozdoba, uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu postąpiła niezgodnie z wolą króla. Okazało się to zadziwiająco łatwe. Pokrzyżowanie planów Oruca sprawiło jej więcej radości niż służenie mu. Królu, popełniłeś głupi błąd nie przekazując mi stanowiska ojca. Niewątpliwie mam smykałkę do tej pracy. Teraz będę działała przeciwko tobie.

Ale przywołała się do porządku, mówiąc sobie, że nie jest jeszcze wrogiem króla, choć on zdecydował się być jej nieprzyjacielem. Służyła królewskiemu dworowi, więc nie uczyni nic, by osłabić królewską władzę, chyba że przyniosłoby to krajowi pożytek.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Spodziewała się, że na zewnątrz zobaczy wielu żołnierzy. Ale nie, było ich tylko kilku. Król nie spodziewał się przecież, że ona żyje, a może bał się sprzymierzeńców starej dynastii. Jeśli zachowa spokój, uda jej się przemknąć. Nie, nie spokój. Musi wyglądać na nieutuloną w żalu.

Opuszczała swe komnaty zalana łzami. Był to płacz, którego ojciec kazał jej się nauczyć, cichy kobiecy szloch, wywołujący u mężczyzn współczucie. Czuli się wtedy silniejsi i bardziej opiekuńczy.

— Cholerny wstyd — usłyszała szept jednego z żołnierzy.

Wiedziała, co oni wszyscy myślą: to Patience powinna być heptarchinią. Powinna mieszkać na heptarszym dworze, a teraz Oruc nie pozwala jej zostać nawet na Królewskim Wzgórzu. Sama Patience uważała, że będzie miała szczęście, jeśli zdoła przeżyć do rana.

Angel kazał jej udać się natychmiast po zamachu w Aleję Admiralicji. Opracowali trzy różne plany ucieczki. Nie zamierzała zastosować się do żadnego z nich. Znała przynajmniej tyle samo sposobów wydostania się z Królewskiego Wzgórza, co on. Jako dziecko, wiecznie zamknięta za murami królewskich kwater, poznała je jak własną kieszeń. Nie miały przed nią tajemnic podziemne przejścia ani miejsca, gdzie można się było wdrapać na mury i przejść po dachach budynków. Wprawdzie była teraz za duża, by korzystać ze wszystkich, wiele jednak pozostało nadal użytecznych. Poza tym nie zamierzała opuścić Królewskiego Wzgórza przed przeprowadzeniem rozmowy z głową ojca. Zawsze był taki niedostępny i niedosiężny. Teraz dopiero miała nadzieję poznać kilka jego sekretów. Wreszcie lord Peace porozmawia z nią, jak nie rozmawiał nigdy za życia.

Patience musiała tylko przejść przez tereny Królewskiego Lasu. Ziemia była miękka, więc ślady stóp mogłyby się wyraźnie odcisnąć. Poradziła sobie z tym, przechodząc z gałęzi na gałąź. Rosły tu olbrzymie stare drzewa pamiętające jeszcze czasy, kiedy jej prapradziadek zasiadał na heptarszym dworze, a Czternaście Rodzin obiecywało mu służyć po wsze czasy. Teraz liście tych samych drzew dawały jej ochronę, a gałęzie prowadziły do muru ograniczającego las od południa. Nikt nie podąży za jej krokami stawianymi w powietrzu.

Zatrzymała się na chwilę przy rozwidleniu i ściągnęła kobiece ubranie. Pod suknią miała przykrótkie spodnie i długą koszulę, ubranie chłopców z ludu. Była już właściwie zbyt duża do odgrywania tej roli, bo młodzicy jej wzrostu chętniej wkładali długie spodnie lub suknie. Ale przynajmniej piersi nie zdradzały jej jeszcze, no i ojciec zachował się na tyle łaskawie, że nie umarł, kiedy miała swój czas w miesiącu. Ubrudziła sobie twarz i ściągnęła perukę, mierzwiąc krótkie włosy. Zdecydowała się zatrzymać perukę — znakomicie imitowała jej prawdziwe wło-

sy. Drugiej takiej łatwo nie znajdzie. Wsunęła ją więc do torby. Suknię wcisnęła w rozwidlenie gałęzi. Oczywiście ze względu na żałobę strój był czarny, nie tak łatwo będzie go dostrzec z ziemi.

Kiedy dotarła do muru i zeskoczyła z niego po stronie Alei Spichlerzowej, zapadał już zmierzch. Nikt jej nie spostrzegł. Przywłaszczyła sobie jeden z wózków na towary i ciągnęła go za linę w stronę Spiżarni. Po latach ćwiczeń z Angelem naprawdę ruszała się jak chłopak. Nikt nie zatrzymał na niej dłużej wzroku. Nie miała żadnych kłopotów z zostawieniem wózka, kiedy skręciła ku dworowi niewolników złożyć swe uszanowanie zmarłym. Wielu służących tak właśnie postępowało. Gdyby ktoś przyjrzał się jej z bliska, na pewno by ją rozpoznał. Twarz córki lorda Peace była znana na Królewskim Wzgórzu. Ale, jak zawsze powtarzał jej Angel, prawdziwe przebranie polegało na wcieleniu się w postać nie przyciągającą ciekawskich spojrzeń, której ubiór, sposób poruszania się, flejtuchowatość i pospolitość nie budziły zainteresowania.

Przy drzwiach nie widać było strażnika. Rzadko tutaj stał, a i wtedy nie sprawiłby prawdopodobnie kłopotu. Niedowidział.

Spacerowała pomiędzy półkami, na których stały słoje z głowami. Spędziła w tym miejscu sporo czasu, poznawała większość zmarłych po twarzach, z wieloma z nich rozmawiała. Od dawna nieżywi ministrowie od dawna nieżywych królów, którzy kiedyś dzierżyli ogromną władzę lub wpływali na ważne decyzje albo reprezentowali swych władców na zagranicznych dworach. Oczy większości z nich zazwyczaj były zamknięte, ponieważ niewielu zmarłych czerpie przyjemność z towarzystwa żywych. Zamiast tego woleli śnić i wspominać, wspominać i śnić, rozpamiętywać wszystko, co przeżywali i widzieli za życia. Tylko kilku zauważyło, jak przechodziła, i jeśli nawet któryś wykrzesał w sobie dość zaciekawienia, to i tak nie mógł odwrócić głowy, by zobaczyć, gdzie zmierza.

Nie spodziewała się, oczywiście, zobaczyć ojca ani tutaj, ani na górze, pośród faworytów. Na to było jeszcze zbyt wcześnie — najpierw głowa musiała przejść trening. Poza tym należało złamać jej wolę, aby wypełniała tylko i wyłącznie polecenia króla. Patience skierowała swe kroki do miejsca pod schodami, gdzie brakowało jednej drewnianej łopatki przy wentylatorze, napędzającym do środka gorące powietrze. Na dworze było bardzo ciepło i w żadnym piecu nie napalono. W kamiennym przejściu powietrze było chłodne. Przesunęła się w dół. Kiedy nie mogła już zejść niżej, musiała skręcić — w lewo? — tak, w lewo, i czołgać się, aż dotarła do podłogi z drewnianej kraty. Pod nią panowała ciemność. To znaczyło, że nie zabrali się za ojca.

Ułożyła się w pobliżu kraty, zupełnie nieruchomo, nasłuchując odgłosów, jakie docierały do niej przez system kanałów ogrzewczych. Istniały miejsca na dworze niewolników, gdzie dało się usłyszeć każdą rozmowę. Swoje wykształcenie polityczne Patience w głównej mierze odebrała właśnie tutaj, przysłuchując się najmądrzejszym ministrom i ambasadorom, wyciągającym informacje od zmar-

łych lub spiskującym z żywymi.

Ku jej zdziwieniu poszukująca jej straż dotarła aż tutaj — słyszała, jak pytają o nią i sprawdzają poziomy przeznaczone dla publiczności. Robili to jednak po-  
bieżnie. Widocznie kazano im szukać wszędzie, ale nie spodziewali się znaleźć jej  
w tym miejscu. Dobrze. To oznaczało, że stracili ślad w Królewskim Lesie i nie  
mieli pojęcia, gdzie się podziała.

Potem do pomieszczenia przyszedł głowiarz wraz z pomocnikami, zapalił  
oliwne lampy i rozpoczął pracę nad jej ojcem.

Oglądała wykonywanie tych czynności wiele razy wcześniej. W ciągu niespeł-  
na godziny podłączono czerwie główne do nerwów kręgosłupa. Przyglądała się  
chłodnym okiem, jak twarz ojca wykrzywia się w okropnym cierpieniu. Przycze-  
pianie robaków zazwyczaj było bolesne. Wreszcie głowiarz zwolnił pomocników.  
Proces fizyczny był zakończony.

Kości karku przyczepiono do wieszadła, tchawicę do pęcherza oddechowego,  
a kark dotykał żelu, pełnego czerwii głównych, oraz szyjek, które przez naczynia  
krwionośne wypuszczają wici. To dzięki nim głowa będzie nadal żyła zachowując  
wspomnienia przez kolejnych tysiąc lat — albo do czasu, kiedy król znudzi się  
i wyrzuci ją.

Teraz strażnik zadawał głowie pytania. Uczył czerwie reakcji, wpuszczając  
do pojemnika różne rodzaje chemikaliów w zależności od tego, czy lord Peace  
odpowiadał chętnie, wahał się lub był wyraźnie niechętny. Czerwie bardzo szybko  
pojęły, które nerwy wywołują uczucia przyjemne, a które sprowadzają ból.

Wkrótce strażnik nie musiał już stosować stymulatorów. Teraz czerwie same  
odczują niepokój związany ze zwiększeniem napięcia w chwili, gdy głowa będzie  
miała zamiar skłamać. I one z kolei zaczną pobudzać inne nerwy, wywołujące  
u głowy różne nieodparte potrzeby — wrażenie pełnego pęcherza, pustego żo-  
łądka, ogromnego pragnienia lub seksualnej przyjemności, wciąż na granicy nie-  
spełnienia. Jeśli głowa odpowiedziała zgodnie z prawdą, odczuwała pewną ulgę.  
Kiedy skłamała, pragnienie zwiększało się aż do cierpienia. Odcięte od ciała głowy  
nie miały zbyt wiele sił witalnych i zazwyczaj ich woła ulegała złamaniu w czasie  
jednej nocy, niezależnie od natężenia stawianego oporu.

Patience uzbroiła się w cierpliwość przekonana, że jej ojciec przetrzyma bar-  
dzo wiele, zanim czerwie go pokonają. Na początku wydawało się, że rzeczy-  
wiście będzie stawiał silny opór. Jednak dość szybko, ku jej zdziwieniu, głowa  
zaczęła pojękiwać. Takiego dźwięku z ust ojca nie słyszała nigdy.

— Bez względu na to, co zrobię — powiedział — ty zawsze możesz uczynić  
mą mękę cięższą.

— To prawda — odrzekł strażnik. — Czerwie znajdą twoje najbardziej ukryte  
pragnienia i nigdy ich nie zaspokoisz, dopóki nie zaczniesz mówić prawdy.

— Zadaj mi pytanie. Jakiegokolwiek.

Strażnik spełnił prośbę, a głowa zaczęła odpowiadać. Nie stawiała już żadne-

go oporu. Wyjawiała najbardziej intymne szczegóły, straszliwe tajemnice, sekrety państwa i swego własnego ciała. Patience słuchała z niesmakiem. Była przygotowana na długie cierpienia ojca. Nie spodziewała się tak szybkiej kapitulacji.

Gdy odpowiedział, że nie wie, gdzie jest Patience, strażnik uznał, że znowu stawia opór. Ale ona wiedziała, że ojciec nic nie ukrywa. Może podejrzewał, że łatwo go złamią — może właśnie dlatego bardzo starannie przygotował jej ucieczkę. Musiał znać dobrze własne słabości, chociaż potrafił ukryć je przed wszystkimi. Aż do tej chwili.

— Spodziewałem się tego pytania, dlatego postanowiłem nic nie wiedzieć. Kazałem Angelowi rok temu rozpocząć przygotowania, ale zabroniłem informowania mnie o czymkolwiek. A kiedy poczułem, że śmierć nadchodzi, odesłałem Angela. Byłem pewny, że pierwszą osobą, która starczyłaby życie, byłby mój służyący. Do chwili spotkania z nim Patience jest zdana sama na siebie. Ale Angel i ja kształciliśmy moją córkę bardzo starannie. Zna wszystkie języki, które ja znam, jest bardziej wprawna w sztuce zabijania niż sam Angel i jest sprytniejsza niż jakiegokolwiek doradca króla. Nigdy jej nie złapiecie. Już teraz prawdopodobnie wy dostała się z Królewskiego Wzgórza.

Wreszcie strażnik uwierzył mu.

— Powiem królowi, że jesteś już gotowy.

— Czy przyjdzie ze mną porozmawiać? — zapytała głowa.

— Jeśli zechce. Ale jeśli on nie przyjdzie, to na pewno również nikt inny. Zbyt dużo wiesz, aby można cię było wystawić w sali publicznej. Może heptarcha postawi cię w swych prywatnych komnatach? — Strażnik roześmiał się. — Poznasz najintymniejsze szczegóły królewskiego życia, a on będzie mógł zasięgać twojej rady w każdym momencie. Był już taki precedens, twój dziad. . .

— Król Oruc nie jest ani szaleńcem, ani zbrodźcą jak mój dziad.

— Przynajmniej możesz żywić taką nadzieję — powiedział.

— Król Oruc jest wielkim heptarchą.

Strażnik spojrział podejrzliwie. Potem się uśmiechnął.

— Ty naprawdę tak uważasz. A przez cały ten czas wszyscy myśleli, że służyysz Orucowi, ponieważ on trzyma twoją córkę jako zakładniczkę. Okazuje się, że naprawdę byłeś lojalny. Słabeusz. — Strażnik klepnął go lekko w policzek. — Byłeś niczym, a teraz stałeś się jeszcze mniej niż niczym.

Zgasił światła i wyszedł.

Kiedy tylko zniknął i mosiężne klucze obróciły się w zamku, Patience przesunęła kratę i zsunęła się do pokoju.

— Witaj, ojczy — powiedziała. Szukała w ciemnościach, aż natrafiła na pęcherz powietrzny. Zaczęła pompować powietrze, by mógł mówić.

— Odejdź — powiedział. — Nauczyłem cię już wszystkiego, co sam umiem.

— Wiem — odparła. — Teraz chcę, byś powiedział mi, czego się boisz.

— Już niczego się nie boję — stwierdził. — Właśnie w tej chwili opróżniam mój pęcherz, czego nie mogłem zrobić bez bólu przez ostatnie trzy lata. Odejdź.

— Nie masz ani pęcherza, ani moczu, ojcze. Ulegasz tylko zwodniczemu złudzeniu.

— Jedyną rzeczywistością, jaką zna człowiek, jest ta, droga moja dziewczyno, którą przekazują mu nerwy. A moje mówią mi właśnie... och, ty niedobra, niewdzięczna... czerwce torturują mnie znowu, ponieważ staram się stawić ci opór.

— W takim razie nie rób tego, ojcze.

— Nie jestem twoim ojcem, tylko kawałkiem martwej tkanki mózgowej, żywionej przez wici szyjek i stymulowanej przez wytrenowane czerwce.

— Nigdy nie byłeś moim ojcem. — Czyżby usłyszała jakiś dźwięk wydobywający się z jego gardła? Ciche westchnienie zdziwienia? — Ty tylko przemawiałeś do mnie słowami skierowanymi do służby. Jedynym ojcem, jakiego miałam, był Angel.

— Próbujesz mnie zranić, ale nie trać na to czasu. Nic już nie może mnie dotknąć.

— Czy kiedykolwiek mnie kochałeś?

— Nie pamiętam. Jeśli nawet tak, na pewno już teraz cię nie Kocham. Jedyne, czego pragnę, to po wsze czasy wypróżnić mój pęcherz. Chętnie wymieniłbym własną córkę na porządną prostatę.

Znalazła zapałki w miejscu, gdzie je odłożył strażnik, i zapaliła jedną lampę. Oczy ojca zamrugwały, oślepienie światłem. Uśmiechnęła się do niego.

— Opowiesz wszystko Orucowi, ale najpierw opowiesz mnie. Przez całe moje życie coś przede mną ukrywałeś. Ale już nigdy więcej tego nie zrobisz.

— Nie musisz poznawać żadnych sekretów. Dowiedziałaś się już wszystkiego. Zadbalem o to. Myślałem, że jesteś wystarczająco inteligentna i domyślisz się, iż każde słowo, które słyszysz od Angela, padło najpierw z moich ust.

— Powiedział mi, że bez wahania zgodziłbyś się na moją śmierć, jeśli to miało służyć interesom królewskiego dworu.

— Wolałabyś, żebym uważał inaczej? Powinienem przedkładać twoje życie nad cały świat? Czyżbyś była egomaniakalnym potworem?

— Jestem człowiekiem — odparła.

— To najgorsza odmiana potworów — rzekł. — Wszyscy jesteśmy potworami, żyjemy w całkowitym odosobnieniu i wysyłamy słowa jak ambasadorów błagając o daninę, o uwielbienie. Kochaj mnie, Kochaj mnie. A wtedy słowa wracają. „Kocham cię, uwielbiam cię. Jesteś potężny i dobry”. Potwory zaczynają wątpić, ponieważ dobrze wiedzą, że to kłamstwa. „Udowodnij to — mówią. — Bądź posłuszny, oddaj mi władzę”. A im bardziej jest się posłusznym, tym ich głód władzy rośnie. „Skąd mam wiedzieć, że nie manipulujesz mną? — krzyczy potwór. — Jeśli mnie Kochasz, umrzyj za mnie, zabij za mnie, oddaj mi wszystko, a sobie nie zostaw nic!”



— Jeśli ludzie są takimi potworami, po co poświęcać się dla nich?

— Ponieważ są pięknymi potworami — wyszeptał. — I kiedy żyją w pajęczynie uplecionej z pokoju i nadziei, kiedy ufają światu i spełniają się ich najgłębsze pragnienia, wtedy rodzi się radość. I po to żyjemy, by spleść ludzkie życia, zniszczyć lęki i stworzyć piękno.

— To równie mistyczne, jak wszystkie ple-ple księży.

— Bo to jest ple-ple księży.

— Poświęciłeś władzę, uczyniłeś z nas obcych sobie ludzi i wszystko to dla jakiegoś niewidzialnego, nie istniejącego związku między ludźmi, których nigdy nie spotkałeś. — Starła się, by usłyszał w jej głosie pogardę.

— Masz piętnaście lat. Nic jeszcze nie wiesz. Odejdź.

— Wiem, że twoje życie było oszustwem.

— A gdy zrzuciłem przebranie i powiedziałem ci, po co żyłem, ty szydzisz ze mnie. Paplanina księży? Czy myślisz, że jeśli coś jest niewidoczne, to tego nie ma? Pomiędzy najmniejszymi cząsteczkami materii jest tylko pusta przestrzeń. Jedynym, co je łączy, jest ich zachowanie, oddziaływanie na siebie, a przecież z tych pustych, niewidzialnych połączeń zbudowany jest wszechświat. W większości pusty, połączony niedostrzegalną pajęczyną. Ale jeśli nawet na mgnienie chwili pajęczyna zerwie się, wszystko przestanie istnieć. Czy myślisz, że z nami jest inaczej? Czy uważasz, że twoje istnienie nie zależy od powiązań z innymi ludźmi? Czy myślisz, że możesz służyć swoim własnym interesom, nie służąc jednocześnie innym? Jeśli tak, to powinienem był cię zabić, kiedy leżałaś w kołysce. Bo nie możesz być heptarchinią.

Dostrzegła na jego twarzy ten sam ogień, który rozpałał Prekeptora. Ojciec także był wyznawcą. Ale nie mogła uwierzyć, że ktokolwiek mógł złożyć siebie w ofierze w imię tej wiary.

— Czy to właśnie skrywałeś przede mną przez te wszystkie lata? To właśnie usłyszałabym, gdybyś mógł spędzić ze mną choć jeden moment sam na sam? Czy na to czekałam całe życie? — Nauczył jej, czego może dokonać wzgarda. Użyła jej teraz. — Tyle mogłam się dowiedzieć od byle nauczyciela ze Szkoły.

Na jego twarzy pojawił się znowu wyraz leniwej pogody, który przybierał zawsze, kiedy chciał ukryć uczucia.

— Jeśli się stąd natychmiast nie wyniesiesz, pojawi się Oruc ze swymi ludźmi i najprawdopodobniej spędzisz wraz ze swym ukochanym ojcem następne tysiąc lat, wysysana przez szyjki w tej wazie na zupę — Nie lubię cię na tyle, by pożądać twego towarzystwa. Kiedyś myślałem, że jesteś dobrze wychowanym dzieckiem, ale teraz widzę tylko myślącego o sobie bachora.

— Nie odejdę — powiedziała. — Pewne sprawy muszą być wyjaśnione. Od tego zależy moje przetrwanie.

— Od dziecka uczyłem cię sposobów przeżycia. Dasz sobie radę. Odejdź.

— Czego najbardziej się lękasz?

Jego twarz wyrażała kpiące oddanie.

— Że umrzesz. Robiłem wszystko, by zachować cię przy życiu. Jak myślisz, czemu tak wiernie służyłem synowi uzurpatora? Bo trzymał cię jako zakładniczkę.

Chciał, by uznała te słowa za kłamliwe. Ale przecież widziała, że czerwie nie dręczą go. Więc mówił prawdę. Ale nie chciał, by o tym wiedziała. Zadała kolejne pytanie, na które odpowiedź wiele by wyjaśniła.

— Dlaczego obawiałeś się mojej śmierci?

— Z miłości do ciebie. Kiedy żyłem, kochałem cię. Pamiętam to jeszcze, jak przez mgłę.

Teraz kłamał. Dostrzegła drżenie jego ust. Czerwie torturowały go, a on nie potrafił ukryć udręki. Więc bał się o nią nie dlatego, że ją kochał. Dlaczego zatem? Zastanawiając się nad tym, wróciła myślą do wczesnego dzieciństwa, do nocy, która potem wielokrotnie nawiedzała ją w sennych koszmarach. Dziwny wyraz jego twarzy przypomniał jej tę chwilę.

— Tamtej nocy okłamałeś mnie — powiedziała. — Teraz to widzę, okłamałeś mnie.

— Której nocy?

— Co ukryłeś przede mną, ojczu, kiedy przynieśli ciało mamy w siedmiu sakwach?

— Pamiętasz to?

— Z jakiegoś powodu wydarzenie to utkwilo w mojej pamięci.

— Ja nic nie pamiętam — odparł zdziwiony.

— Teraz pamiętasz wyraźniej niż kiedykolwiek.

— Boże, dopomóż mi przypomnieć sobie jakąś noc, a potem okaż łaskę, odsuń ode mnie to koło tortur i pozwól mi umrzeć.

— Tej nocy otworzyłeś pierwszą sakwę i kiedy ujrzałeś, co w niej jest, krzyknąłeś: „Nie pójdę. Nigdy jej nie dostaniesz, moja córka nie znajdzie się w twojej władzy!” Do kogo krzyczałeś? Co tak bardzo cię przeraziło? Drżałeś, mój ojczu. Nigdy nie widziałam cię w takim stanie ani przedtem, ani potem.

— Bałem się króla Oruca, to oczywiste.

— Nigdy się go nie bałeś. A kłamstwa na nic ci się zdadzą. Czerwie nie próżnują, prawda?

Nagle zmienił taktykę. Uśmiechnął się kwaśno.

— Nawet strażnik głów okazał mi odrobinę litości — powiedział. — Teraz czuję się tak, jakbym cierpiał na obstrukcję od dobrego miesiąca i był tuż przed atakiem biegunki. Trudno sobie wyobrazić, jak złym smakiem odznaczają się czerwie.

— Odpowiedz mi, to odczujesz ulgę.

— Bałem się wezwania do Spękanej Skały — powiedział lekkim tonem, jakby jego słowa nie miały znaczenia. — Krzychałem do tego, kto mnie wzywał,

ktokolwiek to był.

— A któż to mógł być, jak nie król geblingów? — spytała Patience.

— Och, a więc myślisz, że rozwiązałaś zagadkę?

— Angel powiedział mi, że królowie geblingów potrafili kierować swymi ludźmi bez słów. Telepatycznie.

— A czy Angel powiedział ci także, że nie potrafili nigdy wejść w umysł ludzki? Jesteśmy głusi na ich krzyk.

— Zew Spękanej Skały. Jeśli nie pochodził od geblingów, to od kogo i dlaczego przejmował cię takim lękiem?

— Nie wiem, od kogo, ale boję się go. Boję się tego, co może przynieść ludziom. Mądrzy, którzy żyli w czasach mojego dziada, mieli sprawne i potężne umysły, najwspanialsze w historii tego świata. Pracowali razem, budowali wspólną wiedzę i dokonali rzeczy, których nikt wcześniej nie dokonał na żadnym ze światów. Tutaj, gdzie tak trudno było znaleźć żelazo, co uniemożliwiło oparcie naszej cywilizacji na maszynach, zawsze stanowiących o poziomie rozwoju cywilizacji ludzkiej, odkryli inne siły życia. Nie byli zwykłymi hodowcami nowych gatunków jak Tassalianie czy jak ci starożytni naukowcy, którzy cztery tysiące lat temu wyhodowali czerwie główne i szyjki. Tamtych w porównaniu z Mądrymi można nazwać zwykłymi szarlatanami. W czasach mojego dziada Mądrzy nauczyli chromosomy pokazywać swą budowę w kryształach atom za atomem tak, by strukturę dało się oglądać gołym okiem. Odkryli, jak skrzyżować rybę z mięczakiem, by otrzymać roślinę. A kiedy się urodziłem, zmienili mnie tak, bym mógł płodzić jedynie synów.

Patience zastanawiała się przez chwilę nad tym, co usłyszała.

— Zrobili to, by prorocтво nie mogło się spełnić. Aby nie narodziła się siódma siódma córka?

— Taki był ich zamiar.

— Dlaczego postanowiłeś im się sprzeciwić? Dlaczego kazałeś Angelowi dokonać kolejnej zmiany? Przecież nie stałeś się Patrzącym.

— Nie. Nie zostałem Patrzącym. Mądrzy zmienili mnie, kiedy jeszcze byłem dzieckiem. W chwili gdy przestałem być zdolny do spłodzenia dziewczynki, Spękana Skała zaczęła ich wzywać. Jeden po drugim, począwszy od najtęższych umysłów, odeszli wszyscy. Mówili, że idą nauczać gdzie indziej. Że wracają do rodzinnych stron, by odpocząć. Opuszczali Korfu jako ambasadorowie lub nauczyciele. Ale nigdy nie zjawiali się w miejscu przeznaczenia. A potem wszystkich widziano idących wzdłuż rzek i na drogach wiodących do Spękanej Skały.

— Czy twój ojciec był wtedy heptarchą?

— Jeszcze nie. Mój ojciec widział, co się dzieje w imperium. Wszyscy Mądrzy znikali. Chodził do nich i błagał, aby nie odchodzili. Przysięgali na wszystko, że zostaną. Ale ten, kto poczuł zew, łamał każdą obietnicę. A mój dziad nie zrobił nic, by ich powstrzymać. To był przerażający czas. Na prowincji zaczęły się

rozruchy, w armii panował zamęt. Wreszcie ojciec kazał dziadka zaaresztować i przejął rządy.

— Więc uzurpator nie był pierwszym, który obalił heptarchę?

— Dla dobra królewskiego dworu można popełnić nawet zdradę. Tak. Ale było już za późno. Choć kilku z nich poddał torturom, a nawet niektórych zabił dla przykładu, odchodzili. Nawet gdy ścinał ich głowy i umieszczał je tu, na dworze niewolników, zew Spękanej Skały tak mocno rozbrzmiewał w ich umysłach, że czerwie główne nie miały nad nimi władzy. Wezwanie dręczyło ich bardziej niż inne pragnienia.

— Dlaczego Spękana Skała wzywała ich?

— Myślisz, że ojciec nie próbował się tego dowiedzieć? Ale oni sami nie wiedzieli. I nikt nigdy nie dowiedział się, co się stało z tymi, którzy tam dotarli. Nie powrócił żaden ze szpiegów ojca. A po kilku latach nie było już imperium. Dwanaście z Czternastu Rodów podniosło rewoltę. Dowodził nią ojciec Oruca. Wtedy nie nazywano go uzurpatorem, a wyzwolicielem. Głosił, że przywróci dziadka na słusznie należny mu tron heptarchy.

— Och! Twój ojciec powinien był zabić swego ojca.

— Tak jak Oruc powinien był zamordować nas?

— Dziadek nie był siódmą siódmą siódmą córką. — Głowa lorda Peace przymknęła oczy. Patience pomyślała, że gdyby wciąż jeszcze posiadał ciało, złożyłby teraz razem palce i przytknął je do ust. Prawie to widziała. Po raz pierwszy ogarnął ją przejmujący smutek z powodu śmierci ojca, bo przypomniała sobie, jak wyglądał za życia, i kontrast z widokiem na wpół żywej głowy był zbyt bolesny.

Otrząsnęła się.

— Jak to się stało, że ja się urodziłam, ojcze?

— Zanim osiągnąłem dojrzałość, mój ojciec stracił miasto Heptam. Ja dowodziłem jedną armią, on drugą. Przegrał bitwę, został pojmany do niewoli i zabity. Włączyłem się po dzikich terenach z grupą partyzantów. Jeden po drugim moi synowie stawali się dorosłymi mężczyznami. I jeden po drugim ginęli. Wydawało się, że nieprzyjaciel tak łatwo znajduje moich chłopców, jakby prowadzony był przez jakiegoś zdrajcę. Jakby jakaś niewidzialna siła niszczyła wszystkich moich bliskich. Moja pierwsza żona, mój ojciec, moje dzieci — wszyscy odchodzili z tego świata, tylko ja jeden zostałem przy życiu.

— Abyś mógł zgodnie z proroctwem spłodzić córkę.

— Zacząłem studiować kroniki. Zrozumiałem, że upadek mojej rodziny zaczął się w momencie, gdy Mądrzy uczynili mnie niezdolnym do poczęcia córki. To była zbrodnia, za którą odebrano nam ich i tron. Widzisz, Patience, ci wszyscy ludzie nauki uznali przepowiednię za przesadę. Ale jakaś wielka moc sprawiła, że proroctwo się spełniło. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy uda nam się odrobić popełnione zło. Może gdybym miał córkę, Mądrzy wróciliby do domu i wszystko byłoby znowu tak jak dawniej. Na świecie znowu zapanowałby pokój. Ale jak

mogliśmy zmienić to, co zrobili Mądrzy, skoro oni odeszli?

— I wtedy zjawił się Angel — powiedziała Patience. — Znam tę część historii.

— Nosilem już wtedy na grzbiecie czwarty krzyżyk. Przyszedł do mnie, był bardzo młody i powiedział, że studiował dzienniki wielkiego człowieka. Dowiedział się z nich, jak obudzić tę część spermy, która pozwoli mi splodzić córkę. Niewiele rozumiałem z tego, co tłumaczył — wiem tyle na temat genetyki, co każdy wykształcony człowiek. Ale on znał chemię i matematykę związaną z procesami komórkowymi, wiedział wszystko o katalizatorach, inhibitorach, induktorach i blokerach. Powiedziałem do niego: „Wiesz zbyt wiele. Stałeś się jednym z Mądrych. Spękana Skąła wezwie cię.” A on się tylko uśmiechnął i odparł: „Lordzie Peace, mój heptarcho, jeśli ten, który wzywa, chce, byś miał córkę, to zostawi mnie tutaj.”

— Więc moje przyjscie na świat... służyło temu, który wzywał ze Spękanej Skąły.

— Dyskutowaliśmy z Angelem wiele razy na ten temat. Ja twierdziłem, że lepiej zostać kastratem, niż dać to, czego pragnie nieprzyjaciel. Ale doszliśmy tylko do jednego wniosku: nie wiemy, co dla mojej córki może oznaczać zew Spękanej Skąły, ale dopóki ciebie nie ma na świecie, panuje chaos i zamieszanie. Mieszkaliśmy wtedy w Męścicach, pod opieką lady Hekat. Ona powiedziała nam: „Przepowiednia może być rozumiana dwojako. Siódma córka siódmej córki siódmej córki zniszczy świat lub go uratuje. Pozwólmy jej się urodzić, a potem nauczmy ją, jak być zbawczynią”. Więc wziąłem lady Hekat za żonę, a Angel spowodował takie zmiany we mnie, że ty przyszedłeś na świat.

— Lady Hekat... — Patience ujrzała oczami wyobraźni twarz swej matki, kiedy ją widziała po raz ostatni. Płaczącą, gdy żołnierze zabierali od niej Patience. Krzyczącą przez łzy: „moja córko, moja córko, moje dziecko, niech Bóg będzie z tobą, zawsze z tobą”. Jakiś czas potem rozległo się stukanie do drzwi pokoju ojca i zaraz potem usłyszała nagły krzyk, który wyrwał się z jego ust, gdy zajrzał do jednej z przyniesionych sakw. Widziała jego twarz. Wyrażała taką samą mękę, jak wcześniej twarz matki. — I nauczyłeś mnie, jak zabijać.

— Uczyłem cię, jak służyć królewskiemu dworowi. Choć teraz myślisz, że mnie nienawidzisz, znam cię. Zawsze będziesz działać dla dobra królewskiego dworu. Jesteś nadzieją ludzkości. Nie w takim sensie, jaki nadają twojemu istnieniu Patrzący i Czuwający, którzy widzą w tobie matkę jakiegoś wymyślonego boga. Ty sama jesteś nadzieją. Ja to wiem.

— Jestem dzieckiem, mam piętnaście lat. Nie możesz pokładać we mnie takiego zaufania. Żadnego wielkiego celu nie postawiono przede mną.

— Jeśli go sama nie postawisz, wtedy wypełnisz zadanie, które narzuci ci Spękana Skąła. Ono czeka na ciebie, córko. Angel i ja zrobiliśmy wszystko, by nauczyć cię, na czym polega posłannictwo heptarchy. Skoro tego nie pojęłaś, nie możemy już nic więcej zrobić.

— Przecież ty nic nie wiesz, ojcze. Nie wiesz, kto wzywa ze Spękanej Skały, nie wiesz, czego ode mnie chce, nawet mnie nie znasz.

— A jak mogłem cię poznać, Patience? Ja też czułem zew Spękanej Skały. Dziwi cię to? Poczułem go w chwili twoich narodzin. Straszliwe pragnienie, by zabrać cię i zanieść do Stopy Niebios, by oddać temu, który na ciebie tam czeka. Zawsze, kiedy byłem przy tobie, czułem udrękę znacznie gorszą od tortur, jakie mogą mi zadać czerwie. Dlatego starałem się ciebie unikać, jak tylko mogłem, bałem się, że nie wytrzymam tej męki i zabiorę cię stąd, zanim będziesz gotowa.

— Gotowa na co?

— Zmierzyć się z tym, co cię tam czeka.

— A teraz jestem gotowa?

— Skąd mam to wiedzieć? Ale przygotować cię lepiej już nie potrafiłem. Teraz zaufaj Angelowi. On jest ostatnim z Mądrych. Jedyne on może cię chronić przed tym, który wzywa. Przed Nieglizdawcem.

— Znasz jego imię?

— Jedna z przepowiedni głosi, że zaprowadzisz świat do legowiska Nieglizdawca i że cała ludzkość umrze, by odrodzić się na nowo. Tylko w tej przepowiedni pada jego imię.

— Od kogo ona pochodzi?

— Przypuszczam, że od jakiegoś proroka. Ale zew Spękanej Skały dowodzi, że przepowiednia jest prawdziwa lub że jakaś siła nie do pokonania dąży do jej spełnienia, co sprowadza się do tego samego.

— Nie ma siły nie do pokonania — stwierdziła Patience. — Zawsze mnie tego uczyłeś.

— Idź już, córko. Powiedziałem ci wszystko. Nie pozwól, by cię teraz znaleźli, bo wtedy całe moje życie straci sens. Pamiętaj, że gdy zapytają mnie o ciebie, będę musiał powiedzieć im prawdę i naprowadzę ich na świeży trop.

Już miała go posłuchać, gdy nagle zdała sobie sprawę, że odpowiedź ojca była niepełna. Mięśnie jego twarzy nadal drżały, co oznaczało, że wciąż stawia opór, nie chcąc powiedzieć całej prawdy.

— Powiedz mi wszystko — zażądała.

— Nie ma nic więcej.

— Powiedz to, co wciąż przede mną ukrywasz.

Jego twarz wykrzywiła się, ostatkiem sił wytrzymał ból, jaki mu zadawały czerwie.

— Zostaw mnie w spokoju, dziecko!

— To, co ty najbardziej chcesz ukryć, ja równie mocno pragnę wiedzieć.

— Mylisz się! Gdyby ci ta wiedza była potrzebna, sam bym ją wyjawiał. Pozwól mi zabrać do grobu ten jeden sekret.

— Zmuszę cię do wyjawienia tajemnicy, ojcze! Będę czekać tak długo, aż przyjdzie po mnie Oruc.

Wreszcie, walcząc ze łzami, głowa zaczęła mówić. Patience pompowała powietrze rytmicznie, ale głos brzmiał piskliwie i dziwnie.

— Kapłani mówią, że duch Kapitana Statku został wzięty przez Boga. Wygłosił kilka proroctw, a potem zniknął w niebie.

— Znam te opowieści.

— Ja znam prawdę. Kapitan Statku „Kontepoine” oszalał, gdy nasi przodkowie orbitowali wokół tego świata. Prawdą jest, że prawą ręką napisał przepowiednie w dzienniku pokładowym. Narysował też mapę Imaculaty, zaznaczając na niej pokłady żelaza i węgla, czyli materiałów potrzebnych do wytworzenia stali. Potem przy użyciu silników statku zniszczył te złoża. Tym samym zdeterminował przyszłość planety. Na Imaculacie nie brakowało żelaza. Przez jego szalony akt zniszczenia my, dzieci budowniczych wielkich machin, zostaliśmy pozbawieni stali. Nie mogliśmy stworzyć cywilizacji technicznej. Nigdy wcześniej ludzka rasa nie była tak słaba, jak my teraz.

— Jeśli był rzeczywiście szalony, to dlaczego ludzie widzieli w nim proroka?

— Ponieważ mapy, które sporządził, okazały się dokładniejsze niż te, które wyrysował komputer pokładowy. Dysponował wiedzą o tym świecie przekraczającą ludzkie możliwości. Mówiono, że zachowywał się jak człowiek opętany. Ja, który poznałem zew Spękanej Skały, wiem, że tak było naprawdę. Siła, która przejęła nad nim kontrolę, żyje nadal. Kapitan opuścił statek w kapsule i nikt nigdy go już nie ujrzał. Ani jego pojazdu.

— Dlaczego nie wspomina o tym żaden z podręczników historycznych?

— Są historie przekazywane jedynie z ust do ust przez kolejnych heptarchów. Do historyków nigdy one nie dotarły. Ja natomiast zadbałem, byś ty je poznała. Kazałem Angelowi ci je powtórzyć. Kapłani znają jedynie mapę, którą Kapitan narysował prawą ręką i wypowiedziane przez niego słowa. Ci, którzy zawładnęli jego umysłem, chcieli, byśmy w nie uwierzyli. O Kristosie, który zejdzie na Imaculatę, by odnowić ludzką rasę i doprowadzić ją do doskonałości. Ale córka Kapitana, Irena, pierwsza zasiadająca na tronie heptarchy, zobaczyła coś, co przekazane zostało jedynie następnym heptarchom: gdy Kapitan wymawiał słowa proroctwa i prawą ręką rysował mapę, lewą z mozołem wystukiwał na klawiaturze komputera pokładowego zdania: „Chrońcie moją córkę przed matką glizdawców, bo inaczej pożą oni całą ludzką rasę”.

— Jego córkę...

— Nie chodziło mu o Irenę, dziecko. Lecz o jego przyszłą córkę. Na początku nie wiedziano, z jak odległej przyszłości. Istniała przepowiednia, zgodnie z którą miała to być siódma córka siódmej córki siódmej córki. Magiczne cyfry. Dopiero w czasie ostatniego tysiąclecia pojawili się prorocy głoszący, że Matka Boga będzie siódmą siódmą siódmą córką Kapitana Statku.

— W takim razie to ostatnie proroctwo nie jest niczym więcej, jak majaczeniem Oczekujących.

— Oczywiście. Poza tym, że zew Spękanej Skały najwyraźniej pragnął jego spełnienia. Nie mam żadnych wątpliwości, że ty jesteś córką, którą należy uratować i że to ciebie dotyczy ostrzeżenie Kapitana.

— Ale kim jest ta matka glizdawców? Królową rasy?

— Kapitan użył tego słowa w języku gwiazdnym, najstarszej mowie, według której oznacza ono potwora, i to potwora najbardziej niebezpiecznego, przebiegłego, nieprzyjaciela dysponującego wielką mocą. Tak silnego, że mógł kontrolować umysł Kapitana Statku, nawet wtedy, kiedy jeszcze „Konceptoine” pozostawała wciąż na orbicie Imaculaty. Nieprzyjaciela wyposażonego w taką moc, że potrafił przyciągnąć wszystkich Mądrych do Spękanej Skały. Czy rozumiesz, Patience, co zagraża światu? Stoimy w obliczu wroga, który ułożył swój plan siedem tysięcy lat temu, gdy pojawili się na tej planecie pierwsi ludzie. Rządzącego Imaculatą, zanim zjawił się człowiek, i pragnącego znowu odzyskać władzę.

— W takim razie to muszą być geblingi. To najbardziej rozwinięta forma miejscowego życia, są równie inteligentni jak ludzie. . .

— Naprawdę? W takim razie dlaczego geblic to tylko zmieniona forma języka gwiazdowego? A czemu dwelfy i gaunty zapożyczyły swój język od ludzi? Stały się inteligentnymi rasami dopiero po naszym pojawieniu się. Tu musiała istnieć jakaś starsza inteligencja. Angel miał cię przestrzec przed tym wrogiem. Ale teraz już wiesz. To wszystko, możesz odejść.

Ale zachowanie robaków wskazywało, że ojciec wciąż jeszcze krył przed nią jakiś sekret. Strażnik głowy wcale nie złamał jego woli. Ojciec nadal potrafił stawiać opór. Lecz ona wierzyła, że go złamie i zmusi do wyznania wszystkiego tego, czego tak bardzo nie chciał Jej powiedzieć.

— Ojcie, znam cię lepiej, niż myślisz — oświadczyła. — Gdybym naprawdę stanowiła zagrożenie dla świata, zabiłbyś mnie, gdy byłam jeszcze dzieckiem.

— Kapitan Statku nie kazał zabić swojej córki. Poleciał ją chronić. Ale nawet gdyby nie powiedział tego, ja nie mógłbym cię zabić. Każdy inny może umrzeć, dziecko, każdy, tylko nie ty. Musisz żyć. Albo doprowadzisz do zagłady ludzkości, albo uratujesz świat. Nie wiem, które z tych prorocत्व się spełni, ale ty przeżyjesz, choćby trzeba było za twoje życie zapłacić straszną cenę.

— Dlaczego? Przecież nie chodzi ci o to, że jestem twoją córką. Więc dlaczego?

Jego twarz wykrzywiła się w męce. Zadała mu pytanie, na które nie chciał odpowiedzieć i czerwie główne poddawały go torturom nie do zniesienia. Ale chociaż zdawała sobie z tego sprawę, nie chciała ustąpić. Pamiętała wyraz jego twarzy tej nocy, kiedy umierała matka. Wtedy, gdy przywdział maskę żalu.

— Nigdy nie usłyszałam od ciebie, ojcie, dlaczego tak rozpaczaleś, kiedy przyniesiono ci ciało mojej matki?

Jego usta otworzyły się do krzyku, który się jednak nie wydobył.



— Zew Spękanej Skały. To nie ja miałem tam pójść. Miałem przyprowadzić tam ciebie. Całą i zdrową. Czułem zew tylko w twojej obecności.

— Ale to nie jest odpowiedź na moje... .

— Przy tobie zawsze była matka. Ją też przyzywała Spękana Skała. A ona była słabsza ode mnie. Próbowła z tobą uciec. Dlatego musiałem ją odsunąć. Poprzysięgła, że nie ustąpi, aż dostanie cię z powrotem i zrobi wszystko, by mi ciebie odebrać.

Patience nawet teraz, choć czuła już straszliwy lęk, nie rozumiała, co się wtedy musiało wydarzyć.

— Posłuchaj, głupia dziewczyno! Czy nie nauczyliśmy cię z Angelem słuchać? Mój ojciec był na tyle słaby, że pozwolił dziadowi żyć, chociaż powinien był go zabić. Hekat chciała cię zabrać do Spękanej Skały. Ja nie miałem tyle siły, by zabić ciebie, a tym samym przeciwstawić się nieznannej mocy, ale nie byłem całkowicie bezwolny.

Patience przestała pompować powietrze.

— Ty to zrobiłeś — wyszeptała. — Powiedziałeś mi, że to żołnierze chcieli się przypocholebić Orucowi. Mówiłeś nawet, że zostali za to ukarani śmiercią. A to byłeś ty!

Jego wargi układały się w słowa, które nie mogły zabrzmieć.

— Nie chciałem ci tego powiedzieć. Nigdy. — Jego oczy oskarżały ją. — Zmusiłaś mnie do tego, choć ta wiedza nie była ci potrzebna.

Tego już nie potrafiła znieść.

— Dlaczego nie pozwoliłeś, by zabrała mnie do Spękanej Skały? Mogłabym cierpieć, byle tylko ona pozostała przy życiu.

Z jego ust wyczytała:

— Królewski dwór to cały świat.

— Nie byłeś heptarchą! Nie na tobie spoczywała odpowiedzialność za cały świat! Nie musiałeś zabijać mojej matki!

Zepchnęła słoje ze stołu na podłogę. Ale zaraz podbiegła, podniosła naczynie i zebrała galaretę, która utrzymywała szyjki przy życiu.

Kiedy uklękła koło niego, patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, a jego usta poruszały się.

— Pozwól mi umrzeć — prosił bezgłośnie.

Więc zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła zrobić. Ujęła głowę lorda Peace za szczękę i oderwała ją od wieszadła, do którego była przyczepiona. Czerwie główne wiły się pozbawione odpowiedniego środowiska, a szyjki opadły na podłogę. Przez cały czas ojciec patrzył na nią z miłością i wdzięcznością.

A potem, pełna żalu i wściekłości, cisnęła głowę przez otwór w kracie sufitu i wdrapała się za nią. Trzymała ją przez następne dziesięć minut, kiedy gramoliła się systemem kanałów powietrznych aż do wentylatora za barakami garnizonu. Zanim Patience tam dotarła, głowa już nie żyła i w żaden sposób nie dałoby się

przywrócić jej do życia. Przez chwilę rozważała, czy nie zostawić głowy przy drzwiach. Niech żołnierze tłumaczą królowi, skąd się tam znalazła.

Nie. Nie mogła porzucić głowy ojca jak kociego truchła na ulicy. Jego to już nie obchodziło, nie potrzebował teraz żadnych oznak czci i poważania. Ale Patience nie było to obojętne, nie potrafiła znieść myśli, że ojciec, choćby uosobiony w jednej tylko części ciała, mógłby zostać potraktowany bez należytego szacunku.

Jednego tylko nie potrafiła zrozumieć — dlaczego go nie znienawidziła?

Zabił matkę. Łkał, kiedy pokazano mu jej podzielone na części ciało, okazywał żal, całował córkę, starając się jej dodać otuchy — a przecież to on ją zabił. Z powodu jakiejś starej przepowiedni. Siedem tysięcy lat temu ich przodek oszalał, a potem kilkuset myślicieli wbrew zakazom wybrało się w podróż do miasta geblingów — i z tego powodu jej matka została zamordowana przez własnego męża.

Ale to przecież ten sam potwór uczynił ją tym, kim była. Nie kierowała się miłością. Z pewnością go nie kochała. I nawet nie poważała. Lecz z szacunku dla siebie samej nie mogła postąpić inaczej.

Idąc wzdłuż urwiska za murami królewskiego pałacu, zbierała kamienie i wkładała je do ust ojca, a potem cisnęła to zimne, bezkształtne truchło w morze.

## Rozdział 5

### HEPTAM

Oczekiwała, że Angel w przebraniu będzie nauczał astrofizyki na terenie Szkoły. Ale tam go nie znalazła. Nie zdziwiła się zbytnio. Miała się przecież zjawić w umówionym miejscu, jak tylko dotrze do miasta wieść o śmierci lorda Peace. Każda chwila zwłoki stanowiła zagrożenie dla Angela, który był znaną postacią i mógł zostać rozpoznany mimo przebrania.

Może czekał na nią do zmroku. Ale na pewno nie ośmieliłby się pozostać w obrębie murów miasta w nocy. Kręciło się zbyt wiele sówic opłacanych języków, zbyt wiele oczu, które mogły dostrzec i zapamiętać nowego nauczyciela, o którym nikt wcześniej nie słyszał. Ale może rankiem powróci znowu. Wciąż przebrana za chłopca szwendała się, jak i inni młodzi ludzie poszukujący nauczyciela, który by szczególnie ich zainteresował. Po bezsennej nocy była porządnie zmęczona. Ale do jej przygotowania należało też hartowanie mdłego ciała w bezsenności. Angel z ojcem przedłużali Patience czas czuwania i teraz nie wiedziała nawet, jakie są granice jej wytrzymałości.

Szybko zorientowała się, którzy z kręcących się w tłumie ludzi są szpiegami. Ich nie szkolił Angel ani lord Peace. Nie znali się więc na subtelnościach swojej profesji. Patience wiedziała, że nie ona jedna rozpoznaje tych fałszywych poszukiwaczy wiedzy. Wielu z nauczycieli zaczynało rozważniej dobierać słowa, by nikt nie mógł ich oskarżyć o zdradę. Patience wiedziała również, że szpiegdy, których tutaj widzi, nie są dla niej groźni. Obawiała się tylko takich, których nie potrafiła rozszyfrować.

Ruszyła w stronę królewskiego portu, dzielnicy magazynów i doków, która kiedyś stanowiła oddzielne miasto, a i teraz posiadała odrębną władzę i nawet osobne prawa. Na Wielkim Rynku śmierdziało rybami i kiełbasą, alkoholem i przyprawami. Tutaj nie mogła wałęsać się zbyt długo, nic nie kupując. Handlarze zatrudniali własnych szpiegów, którzy chronili ich przed złodziejami. Skierowała się więc w stronę budek tłumaczy. Przystanęła koło człowieka, który, tak przynajmniej głosił jego szyld, potrafił przekładać z aragant na dwelf, z dwelf na gauntish

z gauntish na geblic, a potem jeszcze na potoczną mowę. I obiecywał nie zmienić przy tym jednego słowa. Ta ewidentnie kłamliwa reklama od razu jej się spodobała. Pochyliła się nad stołem przekładacza. Spojrzał na nią spod ciężkich brwi.

— Zabierz ręce z mojego stołu — powiedział w agarant — bo ci je odetnę.

Patience odpowiedziała w panx, którym posługiwała się tak, jakby wyssała go z mlekiem matki:

— Moje ręce za twoją torbę z prowiantem. Uważam, że to uczciwa transakcja. Spojrzał na nią z ukosa.

— Nikt już nie używa panx — powiedział. — Sam go nie znam.

— Więc może przydałaby ci się moja pomoc? — zapytała w geblic.

— Nie rozumiesz, co mówię? Nie potrzebuję tłumacza panx.

— Przed chwilą użyłam geblic. — Teraz przerzuciła się na mowę gminną. —

Tyle powinienes zrozumieć.

— Nie spotkałem nigdy kupca geblinga, który by nie mówił w agarant, więc geblic też nikt nie potrzebuje. Skąd znasz panx i geblic?

— Jestem geblingiem.

— Masz świetnego fryzjera. — Uśmiechnął się. — Posłuchaj, chłopcze, mógłbym cię zatrudnić jako skrybę. Jak z twoim pisaniem?

— Jeśli będę mógł siedzieć tu w cieniu, schowany przed słońcem, to całkiem nieźle dam sobie radę.

— Ukryty przed słońcem i spojrzeniami gapiów, co?

— To nie spojrzenia gapiów niepokoją mnie, panie.

— Aha. Czyli obawiasz się innych spojrzeń. Siadaj, niewiele mnie obchodzi, przed kim się kryjesz. Chyba że chciałbyś mnie oszwabić. Choć — na babkę Kristosa — niewiele da się tu ukraść. Nazywam się Flanner. A przynajmniej tak jest napisane na mojej licencji.

Siedziała przez cały dzień i przepisywała swą wyszkoloną ręką wszystko, co Flanner naprędce nabazgrał. Często poprawiała, gdy tłumaczył jakieś wyrażenie zbyt dosłownie, gubiąc sens zdania. Jeśli nawet to dostrzegał, nie dał jej tego poznać. W południe posłał ulicznika po obiad i podzielił się z nią jedzeniem. Pod koniec dnia, kiedy wszyscy klienci już odeszli i nie było nic do roboty, Flanner wstał i zatarł dłonie.

— Jeszcze godzina, zanim zapadnie zmierzch. Co zamierzasz teraz zrobić? — zapytał.

— Pomóc ci złożyć kram.

— A potem?

— Poprosić cię o sześć miedziaków za dzień mojej pracy.

— Zacznijmy zatem od kramu. — Złożyli cztery kije i markizę, dwa kije stały się osiami koła, a stół wozem.

— Posłuchaj teraz, chłopcze, wydaje mi się, że trzy razy dzisiaj stawałem przy pisuarze, a ty ani razu.

— Jedni mają większe pęcherze od drugich — powiedziała. Ale wiedziała już, że on nie ma zamiaru jej płacić, a w dodatku bliski był odgadnięcia, z kim ma do czynienia, jeśli już tego nie odgadł. Sięgnęła we włosy i wyciągnęła pętlę. Owinęła ją wokół jego nadgarstka i uśmiechnęła się.

— Dwadzieścia pięć miedziaków — powiedziała — albo twoje życie. Bardziej zobaczył pętlę, niż ją poczuł. Wystarczył lekki nacisk, a już na skórze pojawiły się krople krwi. Sięgnął drugą ręką po sakiewkę, wiszącą przy pasku.

— Więc jednak jesteś złodziejem — zawyrokował.

— Mam za sobą dzień uczciwej pracy — powiedziała. — Ale kiedy ktoś próbuje mnie oszukać, podnoszę stawkę. Opróżnij sakiewkę.

Wysypał monety na stół.

— Odlicz dukata i pięć miedziaków, i schowaj je z powrotem.

Zrobił to, uważając, by przy niezręcznym ruchu nie przeciąć sobie głębiej nadgarstka. Kiedy zaciągnął rzemyk sakiewki, Patience złapała ją jedną ręką, jednocześnie pętla zsunęła się z jego dłoni. Nie próbował nic jej zrobić, ścisnął tylko krwawiący nadgarstek z wyrazem ulgi na twarzy.

— I pamiętaj, że *pleiok* może być użyty zarówno, by wyrazić czas przyszły, jak i przeszły. Masz z tym kłopoty. — Zniknęła w mroku.

Mijał kolejny dzień pobytu Patience w publicznym miejscu, a Angel wciąż jeszcze jej nie odnalazł. Bez wątplenia opowieść o chłopcu, który zna cztery języki i zranił tłumacza, dotrze do jego uszu z samego rana. Takie wiadomości roznosiły się szybko po tawernach. Niestety, szpiedzy króla usłyszą to również. Nie mogła już dłużej czekać, aż Angel natrafi na jej ślad.

Pieniądze w sakiewce wystarczą jej, by kupić bilet na prom płynący w górę rzeki. Wszystkie, które opuszczały miasto, były pilnie obserwowane, ale prom wiozący hazardzistów i graczy do Zmyków najwyraźniej nie został zaszczycony strażnikami. Stróż, który przyjął od niej trzy miedziaki, spojrzał krzywo.

Patience wpatrywała się w pokład, unikając jego spojrzenia. W tym towarzystwie wyglądała widocznie na złodziejaszka. Nic dziwnego. Tylko zamożni grali w Zmykach, a ona niewątpliwie nie śmierdziała groszem. Ale Angel tuż przed wyjazdem rzucił żartobliwą uwagę, że zamierza zbić majątek w Zmykach, wykorzystując swe talenty matematyczne. Był to jedyny ślad, jakim mogła podążać.

Dopłaciła jeszcze miedziaka, żeby dostać na promie pojedynczą kabinę. W porcie stała długa kolejka oczekujących. Za Patience ustawiła się bardzo gruba kobieta o nieprzyjemnym oddechu. Bez przerwy potrącała dziewczynę to brzuchem, to biustem, jakby pośpieszając ją. Patience znosiła to cierpliwie, nie chcąc robić sceny. Ale kiedy stojący przed nią mężczyzna wkroczył na pokład, Patience z przerażeniem zobaczyła, że kobieta wpycha się do kabiny razem z nią.

Nigdy nie wyobrażała sobie, że będzie musiała zabić kogoś równie grubego. Jak głęboko trzeba zagłębić broń, by osiągnąć jakiegoś ważnego organu? Nieważne, gardło zawsze jest gardłem. Zanim kobieta zamknęła za sobą drzwi,

Patience trzymała już swoją pętlę przy jej szyi.

— Jeden krzyk i nie żyjesz — powiedziała.

Kobieta nie wydała żadnego dźwięku.

— Nie chcę cię zabijać — ciągnęła Patience. — Nie mam pojęcia, czy chciałaś mnie okraść, czy miałaś jakieś inne zamiary, ale jeśli będziesz siedzieć cicho, dopłyniesz żywa do miejsca przeznaczenia.

— Proszę — wyszeptała gruba kobieta.

Patience zacisnęła pętlę. Nagłe osłabienie oporu powiedziało jej, że przecięła ciało.

— Mówiłam, bądź cicho! — rozkazała Patience.

— Angel — kwiknęła kobieta.

Tego Patience zupełnie się nie spodziewała. Zewsząd wypatrując nieprzyjaciół nie pomyślała ani przez chwilę, że kobieta może być sprzymierzeńcem.

— Co z Angelem?

— Płynie następnym promem. Na wszystkie świętości i najśłodsze zapachy, weź tę rzecz z mojej szyi. Mówił, jaka jesteś niebezpieczna, ale nie, że szalona.

— A kim ty jesteś?

— Sken. Właścicielka łodzi. Chyba się zmoczyłam.

— Nie szkodzi. W odróżnieniu ode mnie nie potrzebujesz prywatnej kabiny. Wyjdź stąd.

— Aleś ty paradna! I jak myślisz, co powiedzą ludzie, kiedy wyjdę stąd z zakrwawioną szyją?

— Że złożyłaś niecną propozycję młodemu chłopcu, a on cię dość energicznie odprawił. Spotkamy się przy relingu. Teraz idź już.

— Jesteś małym gównem — mruknęła Sken. I wyszła trzymając się dłonią za kark.

Patience zabarykadowała drzwi. Wreszcie mogła ulżyć sobie. To był naprawdę ciężki dzień. Zrozumiała, dlaczego głowy poddawały się tak łatwo, gdy czerwie grały na ich potrzebach fizjologicznych.

Więc Angel w końcu ją odnalazł. Musiał już od jakiegoś czasu czekać na chwilę, kiedy trafia się okazja przesłania informacji. Kimkolwiek była ta kobieta, Angel jej zawierzył. Prawdopodobnie pewną rolę w jego planach odgrywało to, że posiadała łódź i umiała żeglować.

Ale czy dla Patience też miało się to okazać ważne? Zastanawiała się, jak teraz powinna traktować Angela. Był niewolnikiem ojca, a więc powinien stać się jej własnością. Jednak wiedziała, że tak naprawdę wcale do niej nie należy. Nie tylko dlatego, że nie może zabrać go na dwór i dochodzić tam swoich praw. Angel nie służył jej ojcu ze strachu, ale powodowany miłością i lojalnością. Lord Peace często powtarzał jej podczas lekcji rządzenia, że lojalności nie da się przekazać lub odziedziczyć. Każdy nowy pan musi na nią od początku zapracować.

Było całkiem prawdopodobne, że Angel zupełnie nie czuł się zobowiązany do lojalności wobec swej uczennicy. Mógł też uważać, że powinien nadal wykonywać polecenia lorda Peace.

Natomiast Patience wcale nie czuła się zobowiązana do spełniania woli ojca. Posłuchała go po raz ostatni, wyrzucając jego głowę z urwiska do morza. Teraz już nie musi liczyć się z jego pragnieniami. Nie jest już dzieckiem. Sama może decydować, jak postąpić z ciężarem proroctwa, towarzyszącym jej od dnia narodzin. Z przeznaczeniem, przez które jej dziad został zrzucony z tronu, a przyrodni bracia wymordowani.

Los, który spotkał także jej matkę. Droga mama, tak okrutnie zgładzona rękami ojca. Dla mnie, wszystko dla mnie. Mamo, gdybym tylko mogła, umarłabym za ciebie. Ale ty swoją śmiercią okupiłaś wszystko, co otrzymałam przez te lata. Nauczyłam się być groźnym przeciwnikiem i przeprowadzać własną wolę. Czyż nie zabijałam w imieniu króla? Czy nie zostawiłam skrytobójcy, czyhającego na moje życie, ze sztyletem wbitym w oko? Czyż nie wykradłam głowy ojca z dworu niewolników, kiedy żołnierze szukali mnie po całym pałacu? Nie jestem małym dzieckiem ani bezbronną heptarchinią, którą życie w zbytkach uczyniło słabą. Nie odwracam się z niewiarą od drogi, jaką mi wyznaczyło proroctwo, ale nie będę nawet w połowie tak miękka, jak spodziewał się prorok. Okażę się więcej niż równą partnerką dla Nieglizdawca, kimkolwiek on jest.

Wychyliła się przez bulaj w kabinie. Wioślarze ciąli rzekę, odpychając fale ku zachodowi — w stronę morza. Wysokie mury więzienia zwanego Wesołym Piekiełkiem wyłaniały się pośród ciemnej nocy. Kiedy minęli wyspę, ukazały się światła Heptam, położonego za bagnami. Teraz znalazłam się poza murami więzienia, pomyślała. Wyrwałam się z pałacu królewskiego i mogę tam powrócić tylko jako królowa. Wiedziała, że ze wszystkich zadań, jakie czekały ją w życiu, odebranie heptarchii będzie najtrudniejsze. Patience postanowiła na razie postawić przed sobą inne cele. Heptarchia przyjdzie sama w odpowiedniej chwili.

Królewski pałac nie był jedynym więzieniem, z którego się uwolniła. Murzy zawsze najmniej ją ograniczały. Pozostawiała za sobą bezustanną dyscyplinę. Wieczne testy i zadania. Już nigdy nikt, kierując się własnymi pragnieniami, nie będzie za nią decydował. Teraz wypełni misję, do której została zrodzona. Pójdzie do Spękanej Skały, wielkiego miasta na Stopie Niebios, wznoszącej się w centrum świata. Jak mogła, choćby przez moment, pomyśleć, że jej droga wiodła w innym kierunku?

Na samą myśl o Spękanej Skale poczuła mrowienie na skórze i pragnienie silniejsze niż wszystko, co czuła w swoim życiu. Spękana Skała. Tam prowadzą wszystkie drogi, tam spływają wszystkie rzeki, tam wiąże się czas i kończy wszelkie życie.

Te słowa rozbrzmiewały jak werbel w jej głowie.

*Tam prowadzą wszystkie drogi.*

*(Ale ojciec zabił matkę...)*

*Tam spływają wszystkie rzeki.*

*(... żeby uratować mnie przed kimś...)*

*Tam wiąże się czas.*

*(... kto czeka i wzywa, wzywa...)*

*Tam kończy się wszelkie życie.*

Z każdym słowem, z każdym uderzeniem serca wypełniała ją coraz większa namiętność. Wiedziała, co to jest. Nikt nie musiał jej tego tłumaczyć. Zew Spęka-nej Skały.



## Rozdział 6

### RZEKA RADOSNA

W Zmykach nie zatrzymali się nawet na chwilę. Choć Patience zafascynowana przyglądała się lśniącym strojom ludzi ogarniętych pasją wydania w ciągu jednej nocy oszczędności całego życia, Sken poprowadziła ją od razu w stronę małej łódki z żaglem, którą przy dobrym wietrze można było popłynąć w górę rzeki, a nawet podjąć niewielką wyprawę w morze, gdyby zaszła taka potrzeba. Widok ciężkich wiosł tłumaczył, dlaczego ramiona kobiety były grube i muskularne. Patience zaczęła podejrzewać, że znalazłaby na nich o wiele mniej tłuszczu, niż pierwotnie sądziła. Sken wystarczyło parę ruchów, by wyspa zniknęła im z oczu.

— Tu poczekamy aż do zmierzchu — szepnęła Sken — kiedy to przyplynie następny prom. Wtedy wrócimy i zabierzemy Angela.

Nie potrwało to długo. Ruch łodzi z królewskiego portu w górę Rzeką Radosną do Zmyków był dość duży. Przebranie Angela okazało się tak dobre, że Sken rozpoznała go wcześniej niż Patience, która oczekiwała podstarzałego nauczyciela lub starej kobiety, takie bowiem postacie najczęściej przybierał w przeszłości. Tym razem przemienił się w męską dziwkę, z lekka pijaną i ostro wymalowaną.

— Myślałam, że najważniejsza zasada przy ukrywaniu się to stać się niewidocznym — powiedziała Patience. Wiosła zanurzały się w wodzie bez jednego dźwięku. Sken знаła rzekę i wydawało się, że uderza wiosłami zupełnie bez wysiłku.

— Istotą przebrania jest pozostać nie rozpoznany — odrzekł Angel. Zaczepnął dłonią wody i umył twarz. — Można tego dokonać wcielając się w postać, której nikt nie zauważa lub wywołującą takie zakłopotanie, że ludzie wolą odwracać od niej wzrok. W jednym i drugim przypadku nikt jej się nie przygląda i wobec tego pozostaje nie rozpoznana.

— Dlaczego dopuściłeś, bym spędziła cały dzień w kramie? — zapytała Patience. Nie podobało jej się, że Angel jeszcze ciągle wie więcej niż ona.

— A gdzie ty byłaś wczoraj, głuptasie, kiedy czekałem na ciebie w Szkole, wystawiając twarz na widok wszystkich szpiegów króla?

— Rozmawiajcie ciszej — szepnęła Sken. — Królewskie patrole mają w zwyczaju cumować łodzie na rzece i nasłuchiwać w ciemnościach, o czym rozmawiają tacy głupcy jak wy.

Zapadło milczenie. Minęli wschodni brzeg wyspy i płynęli pomiędzy palami, na których wznosiły się ponad wodą domy. Ten okręg nazywano Szczudłaczym. Było to miasto rzecznych ludzi, o których powiadano, że od narodzin aż do śmierci nigdy nie postawili nogi na suchym lądzie. To oczywiście była przesada, ale rzeczywiście większość swego życia spędzali na wodzie. Mówiono, że na stałym lądzie dostają choroby morskiej. A kiedy pili alkohol, w ogóle nie mogli się poruszać, gdy nie mieli pod nogami kołyszących się desek. Patience zawsze podejrzewała, że rzeczni ludzie sami wymyślali te legendy na swój temat.

— Podczas przyływu — powiedziała Sken — woda dochodzi aż dotąd. — Wskazała jakiś metr ponad wodą na najbliższym palu. — Ale w czasie wiosennych powodzi miejscowi nieraz całymi tygodniami muszą mieszkać na strychach, bo w pokojach stoi woda po kolana.

To wydało się Patience wprost niezwykle — domy wznosiły się przecież dobre cztery metry ponad poziomem wody. Brzeg po lewej stronie, gdzie powstawało właśnie nowe miasto, był na tyle wysoki, że wiosenna powódź mu nie zagrażała. Ale bagna po prawej stronie musiały znajdować się pod wodą przez dość długi czas. Patience zaczęła rozumieć, w jaki sposób rzeka kontrolowała życie ludzi. Korfu podnosił się i upadał wiele razy podczas siedmiu tysięcy lat swego istnienia. Heptam bywało prowincjonalnym miastem i centrum świata, ale przez cały czas rzeka narzucała mu swoją wolę.

Angel, jakby czytając w jej myślach, powiedział:

— Przez tysiące lat prawy brzeg chroniła grobla i wtedy obszar moczarów był gęsto zaludniony. Ale mniej więcej pięć tysięcy lat temu powstała w niej wyrwa, której już nikt nie naprawił. Nie minęło pięćdziesiąt lat i po grobli nie pozostało ani śladu. Czas działa przeciwko nam.

Łódź uderzyła z całym rozpędem o masywny pal. Dom zbudowany był na pojedynczym, potężnym szczudle, podtrzymywanym ustawionymi pod kątem deskami, tworzącymi triangul z solidnymi belkami.

— To tutaj — powiedziała Sken. Przycumowała łódź do pala i z zadziwiającą łatwością wdrapała się po deskach, tworzących coś w rodzaju trójkątnej drabiny, prowadzącej do wnętrza domu. Zanim Patience zdążyła podejść do dziobu łodzi i wejść na drabinę, z góry spadła sieć niby wielki pająk.

— Czy ona ma zamiar nas wciągnąć? — zapytała Patience.

— Wziąłem ze sobą nieco bagażu — wyjaśnił Angel. Patience rozpoznała niewielki kufer. Oczywiście. Jej rzeczy mógł gdzieś schować, ale nigdy na długo nie tracił z pola widzenia swej skrzynki. Wiedziała, że trzyma w niej warsztat charakteryzatora, ale także inne przedmioty, których nikomu nigdy nie pokazywał.

Skrzynia uniosła się szybko do domu i Angel popchnął Patience w kierunku

drabiny.

Konstrukcja lekko kołysała się, kiedy ktoś przechodził z jednego końca na drugi. Dla ludzi żyjących na wodzie to bujanie mogło być nawet przyjemne, ale Patience raczej przeszkadzało. Przypominało jej nieustanne trzęsienie ziemi. Zwłaszcza gdy poruszała się Sken, której potężna masa wprawiała budynek w silne chybotanie. Kobieta w ogóle na to nie zwracała uwagi, więc Patience udawała, że również jej to nie wadzi.

— Przykro mi, że nie spotkałam się z tobą o umówionym czasie — zwróciła się do Angela. — Musiałam zadać kilka pytań ojcu. Pytań, na które mógł odpowiedzieć dopiero po śmierci.

— Tego się domyśliłem — odparł. — Powiedz mi, gdzie zostawiłaś głowę po skończonej rozmowie?

— Oruc wystarczająco wykorzystał go za życia — odpowiedziała. — Teraz już nie będzie miał z niego pożytku.

— Zabiłaś głowę swego ojca? — Sken była przerażona.

— Zamknij się i przygotuj nam posiłek — powiedział cicho Angel.

Sken poczerwieniała, ale poszła wykonać polecenie.

— Poprosił mnie o to — wyjaśniła Patience.

— Każdy przy zdrowych zmysłach by tak zrobił — stwierdził Angel. — Samo to, że potrafimy utrzymywać głowy przy życiu, nie oznacza, iż powinniśmy to robić. Jeszcze jedna obrzydliwość, za którą będziemy musieli któregoś dnia zapłacić.

— Bogu?

Nie sądzę, by obchodziło go to, co robimy z naszymi głowami.

Sken nie potrafiła utrzymać języka za zębami.

— Gdybym wiedziała, że jesteście bluźniercami, leżelibyście teraz na dnie rzeki.

Tym razem odpowiedziała jej Patience.

— A gdybym ja wiedziała, że nie potrafisz milczeć, zostawiłabym twoją głowę w kajucie.

— Wzięłaś ze sobą pętlę? — Angel uśmiechnął się.

— Użyłam jej dwa razy. Nie byłam zbyt delikatna.

— To pewne — mruknęła Sken.

— No dobrze, więc co powiedział ci ojciec?

Patience spojrzała chłodno na nauczyciela.

— To, co podobno miałam usłyszeć od ciebie.

— To znaczy?

— Ty mi powiedz, a ja porównam obie wersje.

— Patience, znam więcej sztuczek, niż zdołałem ciebie nauczyć. Jeśli wyjawisz mi sekrety, które ojciec ci przekazał, nie będę cię musiał oszukiwać przez następne trzydzieści lat.

— Czy wiedziałaś, jak umarła moja matka? — zapytała Patience.  
Angel skrzywił się.  
— Widzę, że nie zadawałaś mu łatwych pytań.  
— Załamał się już po dwóch godzinach. Myślałam, że jest silniejszy.  
— Był silniejszy niż ktokolwiek inny.  
— Jęczał i zawodził, a kiedy czerwie dręczyły go dalej, zaczął nawet płakać.  
— Oczywiście. — Angel skinął posępnie głową.  
— Co ma znaczyć to oczywiście? On nauczył mnie wytrzymałości i ukrywania emocji, a sam...  
Zamilkła, czując się jakoś głupio.  
— Tak? — zapytał Angel.  
— A on okazywał emocje i ja mu wierzyłam.  
— Aha. Więc może były to emocje, których wcale nie czułam.  
— Nie udało mu się okłamać mnie. Widziałam, kiedy próbuje mnie oszukać, a kiedy mówi prawdę. Nie mógł wszystkiego ukryć. A może?  
— Nie. Przypuszczam, że wyznał ci prawdę. Co opowiedział ci poza tym, że przyznał się do zadania śmierci twojej matce?  
— Czy to mało?  
— A prorocstwo?  
— Już wcześniej usłyszałam o nim co nieco. Powiedział, co Kapitan Statku wystukał lewą ręką.  
— Aha.  
— Angelu, wiem gdzie chcę teraz pójść.  
— Twój ojciec pozostawił mi dokładne instrukcje.  
— Mój ojciec nie żyje i teraz należysz do mnie.  
— To znaczy, że on jest twoim niewolnikiem? — wtrąciła Sken zdziwiona. — Słuchałam poleceń niewolnika?  
— Jestem niewolnikiem królewskiego niewolnika. To stawia mnie tak wysoko ponad tobą, że niegodna jesteś wdychać moich pierdnieć. Czy wreszcie zamkniesz się, kobieto?  
Właściwie, pomyślała Patience, teraz ja jestem heptarchinią. Więc ty, Angelu, jesteś królewskim niewolnikiem. Jedynym niewolnikiem heptarchini. To zapewnia ci zupełnie wyjątkową pozycję.  
— Gdzie więc chcesz pójść? — zapytał Angel.  
— Do Spękanej Skąty — odparła Patience.  
Angel był wyraźnie wstrząśnięty, ale odpowiedział z humorem:  
— Pewne jak dwa razy dwa jest cztery, że dziewczyna zwariowała.  
Sken aż podskoczyła z wrażenia.  
— Dziewczyna! Dziewczyna? To kanciaste chłopaczysko miałoby być istotą rodzaju żeńskiego? Noszenie męskich strojów jest obrażą dla kobiety, podobnie jak dla mężczyzny kobiece szaty...

— Czy mam ją zabić, byśmy mogli mieć wreszcie kilka chwil spokoju? — zapytał Angel.

Sken zamilkła w jednej chwili i zaczęła wyciągać chleb z sakw i wrzucać do wody pachnące ziołami kiełbaski.

— Dziecko — powiedział Angel — to jedyne miejsce, do którego nie wolno ci nigdy pójść.

— Na pewno — odparła. — Ale jest też jedynym miejscem, gdzie muszę iść. Po to się właśnie urodziłam, nie rozumiesz?

— Przyszłaś na świat, bo masz przed sobą ważniejsze zadanie niż wypełnianie jakiegoś idiotycznego proroctwa.

— W jaki sposób mnie powstrzymasz? Zabijesz mnie? To jedyny sposób.

— Dotknął cię zew Spękanej Skały. Dlatego tak bardzo chcesz tam pójść. W ten sposób się zawsze objawiał, szaloną irracjonalną determinacją, której nic nie mogło zachwiać.

— Myślisz, że tego nie wiem?

Angel zastanawiał się przez moment.

— A więc uważasz, że okażesz się silniejsza niż to, co tam znajdziesz.

— Myślę, że jeśli zew potrafił wezwać najmądrzejszych z mądrych i skłonić moją matkę, by chciała złożyć w ofierze córkę, to ktoś musi wreszcie temu położyć kres. Dlaczego nie ja? Czy proroctwo nie głosi, że ludzkość zostanie odnowiona?

— Kiedy przyjdzie Kristus — szepnęła Sken.

— Prorocy opowiadali o swoich wizjach, które coś podsuwało ich umysłom — powiedział Angel. — To mogą być kłamstwa, mające cię tam zwabić.

— W takim razie zostałam omamiona. Jeśli jesteś taki mądry, Angelu, dlaczego nigdy nie słyszałeś wezwania ze Spękanej Skały?

Wydało się, że twarz Angela zastygła nagle w lodową maskę. Zawsze potrafiła mu dopiec do żywego.

— Nikt nigdy nie dowiódł, że wszyscy Mądrzy usłyszeli zew.

Nie było potrzeby mocniej go ranić. Użyła dyplomatycznej sztuczki wobec człowieka, którego uczciwej rady będzie potrzebować jeszcze wiele razy. Więc uśmiechnęła się i dotknęła jego dłoni.

— Angelu, poświęciłeś życie, by uczynić mnie tak mądrą i niebezpieczną, jak jest to w ogóle możliwe. Kiedy nadejdzie taki moment, że będę lepiej przygotowana niż teraz? Gdy ty zestarzejesz się i nie dasz rady mi towarzyszyć? Albo kiedy zakocham się w jakimś nicponiu i zajmę trójką dzieci, które on mi zrobi?

— Może na to, co cię tam czeka, nigdy nie będziesz gotowa?

— A może jestem gotowa już teraz, kiedy potrafię zaryzykować swoje życie? Gdy straciłam po raz pierwszy ojca, a kolejny matkę? Gdy jestem gotowa zabijać, bo płonie we mnie ogień zemsty za to, co skradziono mnie, memu ojcu i mojej

matce? Teraz właśnie jest czas, by zmierzyć się z tym, co mnie czeka. Cokolwiek to jest. Z tobą lub bez ciebie, Angelu. Ale lepiej z tobą.

— Dobrze — Angel uśmiechnął się.

Patience obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

— To było zbyt łatwe. Od początku chodziło ci o to, żebyś mnie przekonała.

— Daj spokój, Patience. Twój ojciec oboje nas przestrzegł, że nie ma nic gorszego nad to, co cię czeka w Spękanej Skale. Znaliśmy lorda Peace bardzo dobrze, równie dobrze, jak on nas, czy więc nie myślisz, że od początku wiedział, iż dojdzie do tej rozmowy?

Patience przypomniała sobie głowę ojca. Czy naprawdę był tak przewidujący, że pozwolił córce wydrzeć z siebie siłą informacje, które pragnął jej przekazać?

— Nieważne, czy to zaplanował — powiedziała. — Pójdę tam nawet, jeśli on tego chciał.

— Dobrze. Wyruszymy dzisiaj. Nie musimy tu spędzać kolejnego dnia. — Sięgnął po sakiewkę zawieszoną przy pasie i wyciągnął dwie duże, stalowe monety. — Sken, czy wiesz, ile to jest warte?

— Jeśli są prawdziwe, to jesteś cholernym głupcem, nosząc je przy sobie i chodząc bez straży.

— Czy kupię za nie twoją łódź?

Sken spojrzała na niego krzywo.

— Wiesz doskonale, że kupisz za nie dziesięć moich łodzi. Jeśli to stal.

Wręczył jej obie monety. Ugryzła jedną i sprawdziła jej ciężar na dłoni.

— Nie jestem głupia — powiedziała.

— Jeśli sądzisz, że nie są prawdziwe, to jesteś — stwierdził Angel.

— Nie sprzedam ci łodzi, jeśli nie kupisz także i mnie.

— Kupić ciebie!? Te pieniądze są wystarczającą zapłatą za twoje milczenie, a tylko tego mi potrzeba.

— Nie jestem głupia — powtórzyła. — To nie jest cena, którą się daje za łódź. Wiem, że będziesz chciał mnie zabić, zanim odejdiesz.

— Jeśli mówię, że kupuję, to kupuję.

— Pozwoliliście mi usłyszeć zbyt dużo i nie ośmielicie się zostawić mnie żywej. Dziewczyna w przebraniu podróżująca z mężczyzną, który rozdaje stal, jakby to było zwykłe srebro? Jej ojciec właśnie zmarł, a oboje ukrywają się przed królem? Czy myślisz, że my tu na rzece nie słyszeliśmy o śmierci lorda Peace? I o królu poszukującym jego córki Patience, prawowitej heptarchini, córki z proctwa? Wszystko zrozumiałam, ale wy nie dbacie o to, bo dla was jestem już trupem.

Patience zbyt dobrze знаła swojego nauczyciela, by wiedzieć, że Sken nie myli się.

— Myślałam, że rozmawiamy tak otwarcie, bo kobieta jest zaufana, nie dlatego, że ma umrzeć.

— A co jeśli masz rację? — Angel zwrócił się do Sken. — Co, jeśli rzeczywiście chcę cię zabić? Dlaczegoż miałbym teraz zmienić zdanie?

— Znam rzekę, jestem bardzo silna i potrafię wiosłować.

— Jeśli zajdzie taka potrzeba, wynajmiemy wiosłarza.

— Ale oboje jesteście obyczajnymi ludźmi, którzy nie zabijają nie zasługujących na śmierć.

— Uczciwość nie jest naszą główną cnotą — odparł Angel. — Praworządność zostawiamy księżom.

— Weźmiecie mnie ze sobą, bo ta dziewczyna jest moją prawdziwą heptarchinią i będę jej służyć do końca moich dni. I prędzej umrę, niż pozwolę, by stała się jej jakaś krzywda.

W głosie Sken brzmiała uczciwość. Szkoleni w sztuce przebiegłości, potrafili poznać naiwność. Sken nie umiałaby dobrze kłamać, nawet gdyby chciała.

— A więc? — zapytał Angel.

Patience postanowiła wyrazić zgodę. Lojalność Sken potrafiła jakąś czułą strunę w jej sercu. Nigdy wcześniej nie przyszło jej na myśl, że odkrywając prawdę o sobie, może pozyskać więcej przyjaciół niż używając przebrania.

— Już wcześniej o mało nie odcięłam jej głowy. Możemy ją wziąć ze sobą.

— Zostaniesz z nami, dopóki będziesz nam potrzebna — dodał Angel. — A po tym odprawa będzie na pewno lepsza niż wyrok śmierci.

— Co mam zrobić z tymi monetami?

— Zatrzymaj je — powiedział Angel. — To pierwsza z nagród.

Łódź została zapakowana w kilka minut. Kiedy mijali posterunki straży, śpiewali sprośne piosenki, a Sken rzucała bezwstydną uwagę, kierując je imiennie do poszczególnych żołnierzy. Znali ją doskonale i pozwolili im przepłynąć. Zrobiło się chłodniej, ponieważ tutaj oba brzegi rzeki zacieśniał las. Heptam pozostało za nimi. Ruszyli w długą drogę do Spękanej Skąły.

## Rozdział 7

# LAS DRUCIARZA

Podróż rzeką nie sprawiała Patience przyjemności, chociaż nie chorowała na wodzie. Wcześniej wiele razy przepływała morze pomiędzy Królewskim Wzgórzem a Wyspą Zagubionych Dusz i rzeka wydawała jej się łagodna. Ale miała powody, by nie czuć się dobrze. Śmierć ojca, strata wszystkiego, co było jej bliskie, a przede wszystkim nieustannie dręczący ją zew Spękanej Skały. Czuła, że traci nad sobą kontrolę i to wywoływało jej niepokój.

Co gorsza, dręczyły ją również fizyczne niewygody. Sken i Angel bez zbytecznego wstydu radzili sobie z fizjologią ciała. Siadali na burcie, a pozostali dyskretnie odwracali oczy. Ale Patience połknęła kryształ heptarchów i nie miała zamiaru stracić go w odmętach Radosnej. Wobec tego mogła sobie ulżyć dopiero na ładzie, a nie zatrzymali się ani pierwszego dnia, ani następnego. A gdy wreszcie dobili do brzegu, szukanie kryształu również nie należało do przyjemności. Wiele razy żałowała, że go w ogóle połknęła. Nikt jej nie przeszukiwał, nadmierna ostrożność wydawała się zbędna i musiała się teraz męczyć.

Wreszcie znalazła go i starannie ukryła, mając nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie zmuszona używać przewodu pokarmowego jako skrytki.

Przy Czarnym Lesie zeszli na ląd. Rzeka skręcała tutaj najpierw na północ, a potem na zachód. Kupili na pół otwarty powóz zaprzężony w cztery konie. Bunda nie chroniła ich przed chłodem, ale osłaniała od deszczu. W zależności od pogody drogi zmieniały się z porytych głębokimi jak wąwozy koleinami w pokryte błotem. Na najgorszych odcinkach Sken wysiadała i szła obok.

— Myślałem, że tłuszcz pomaga ci wytrzymać lekkie kołysanie — powiedział Angel.

— Tłuszcz! To same mięśnie, a po tym lekkim kołysaniu są zbite jak dobry befszytk.

Jeśli napotkani podróżni brali ich za matkę, ojca i syna, to musieli uważać ich za dziwną rodzinę. Patience wciąż była przebrana za chłopca i publicznie nazywała Angela wujem, a Sken ciotką, czego żadne z nich nie lubiło. Ale na



gościńcach ludzie niczemu się nie dziwili, a przynajmniej nic nie mówili w oczy. Za to ich pieniądze wszędzie były mile widziane.

Drogi nie były tak bezpieczne, jak rzeka, przynajmniej dla podróżnych bez zbrojnej eskorty. Stawali na noclegi na długo przed zmierzchem i w każdej gospodzie, w której się zatrzymywali, spali zawsze w jednym pokoju. Angel nie jeden raz zmuszony był namawiać złodziei do porzucenia ich procederu. Obcięcie kilku palców okazywało się zwykle przekonującym argumentem.

Wreszcie dotarli do Żurawiej Wody, ogromnej rzeki, która prowadziła od Stopy Niebios prosto do morza. Było to miejsce zwane Strażnicą Wodną, od starożytnego zamku, który dawno temu znaczył północno-wschodnią granicę Korfu. Teraz zamek był w ruinach, a otaczający go gród zmniejszył się do średniej wielkości kupieckiego miasta z kilkunastoma gospodami i tawernami, jakich wiele na skrzyżowaniach dróg z rzekami.

Wybrali gospodę i odstawili konie do stajni. Podczas kolacji, na którą składał się chleb, ser i zupa groszkowa, a dla Sken kufel grzanego piwa, Angel i Patience omawiali plany na rano.

— Już czas porzucić gościniec — zawyrokował Angel. — Na północ zaprowadzi nas woda.

— Tutaj rzeka staje się węższa — wtrąciła Sken. — I nurt jest rwący. Będę potrzebowała dwóch silnych mężczyzn do pomocy.

Angel właśnie się nad tym zastanawiał.

— Na tych szerokościach geograficznych wiatry o tej porze roku wieją przeważnie z zachodu, a właściwie z południowego zachodu.

— Czy masz zamiar kupić łódź żaglową? — zapytała Sken.

— Znasz się na żeglowaniu?

— Kiedy się urodziłam, zawiñeli mnie w żagiel — odpowiedziała Sken. — Zanim osiadłam wraz z drugim mężem na rzece, moja rodzina długo żyła z morza. Zostawialiśmy nasze domy każdej wiosny, gdy nadchodził przypływ, i odpływaliśmy z towarami produkowanymi w Heptam, a potem wracaliśmy do domu przed latem z najwcześniejszymi owocami z wysp. Nigdy nie zbiliśmy na tym fortuny, ale żyło się wesoło.

— A więc potrafiłabyś sobie poradzić z małą żaglówką.

— Nigdy nie pływałam po takiej wąskiej rzece. Ale dlaczego miałyby się nam nie udać? Tyle tylko, że trzeba wszystkie manewry wykonywać szybciej. Nie kupuj jednak za dużej łodzi. Może lepiej, żebym to ja ją wybrała.

— To wszystko?

— Tak. Czy wy dwoje macie manufakturkę pieniędzy?

Koło ich stołu wyrósł jak spod ziemi dwelf z dzbanem piwa.

— Dolać? — zapytał.

— Nie — odparł Angel.

— Tak — powiedziała Sken, wytrzymując jego spojrzenie.

— Czy wy dwoje macie manufakturę pieniędzy? — zapytał dwelf. Bardzo wiernie naśladował intonację Sken.

— No i widzisz, co narobiłaś? — zapytał Angel. — Teraz on rozgłosi to po całej gospodzie.

— Rozgłosi, rozgłosi — powtórzył dwelf. I roześmiał się. Angel wepchnął mu kilka miedziaków w garść, obrócił i popchnął w stronę kuchni.

— Przepraszam — wymamrotała Sken.

— Jeśli nawet dwelfy nie mają rozumu, ciągle jeszcze posiadają uszy i mogą wszystko powtórzyć. — Angel pozwolił sobie na okazanie niezadowolenia.

Sken milczała zawstydzona.

— Dwelfy są zagadkowe — zauważyła Patience. — Posługują się własnym językiem. Muszą mieć odrobinę rozumu, jeśli wykształciły mowę.

Angel wzruszył ramionami.

— Nigdy nie zastanawiałem się nad możliwościami umysłowymi dwelfów. Traktuję je po prostu jak wyjątkowo głupie geblingi.

— Ale przecież to nie są geblingi, prawda?

— Kolejna miejscowa rasa. Imaculata potrzebowała ludzi, choć geblingi, dwelfy i gaunty mają na ten temat inne zdanie.

Z kuchni wyszedł właściciel karczmy, zaniósł chleb do sąsiedniego stolika, a potem podszedł do nich, przysunął sobie krzesło i usiadł koło Angela.

— Wszystko jest w jak najlepszym porządku — oznajmiła Sken. Widać już było po niej, że sporo wypila. — W jak najlepszym porządku. Więcej piwa, proszę.

Gospodarz nie wyglądał na zadowolonego.

— Nie wiem, skąd wy, ludzie, jesteście — odezwał się. — Prawdopodobnie z Heptam, skoro uważacie, że nikt nie może was tutaj skrzywdzić.

— Wiele osób może nas skrzywdzić w Heptam — odparł Angel.

— Nie istnieje taka tawerna w Wodnej Strażnicy, gdzie można bezpiecznie pokazywać duże pieniądze i jeszcze o nich rozmawiać. Mam nadzieję, że nie zamierzacie dalej podróżować drogą.

— A nie powinniśmy? — zapytał Angel.

— Lepiej wynająć zaufanego strażnika. A najlepiej umówić się z burmistrzem i wypożyczyć kogoś z miejscowej policji. W przeciwnym razie nie przejedziecie żywi nawet dwudziestu kilometrów.

— Cóż takiego strasznego nam grozi na drodze?

— Rabusie.

— I to wszystko?

— Wszystko? Przyjeżdża tutaj mnóstwo kupców, a straż jest nieliczna. Oficjalnie należymy do Pankos, ale nie widzieliśmy tu królewskiego żołnierza od trzydziestu lat. Więc burmistrz stosuje się do praw Wodnej Strażnicy, a Druciarz ustanawia prawa w lesie.

— Druciarz?

— Kiedyś był królewskim rządcą, a może tylko synem królewskiego rządcy. Jego oficjalne rządy skończyły się, gdy przyłapano go w nieodpowiednim łóżku. To stało się piętnaście lat temu. Teraz mieszka w lesie, na północ stąd. Powiadają, że skupił wokół siebie całą armię rabusiów. Nazywamy tamto miejsce Lasem Druciarza.

— Brzmi to jak bajka — stwierdził Angel.

— Jeśli udacie się na południe, wschód lub zachód zatrzymają was, ale gdy oddacie bez walki wszystko, co posiadacie, pozwolą wam przynajmniej zachować życie i to, co macie na grzbiecie. A jeśli sowiecie się obłowią, to nawet konie i powóz.

— Co będzie, gdy wybierzemy się na północ?

— Wtedy lepiej weźcie ze sobą całą armię. I to potężną. Druciarz uważa, że gdy ktoś kieruje się drogami na północ, to znaczy, że postanowił umrzeć. Wierzy też, że śmierć może być długim i interesującym dla widzów przedstawieniem.

— Przekonałeś nas — powiedział Angel. — I dziękuję, że podjąłeś ryzyko narażenia się ostrzegając nas.

— Och, jemu wcale nie przeszkadza, że ostrzegam ludzi. I tak znajdzie się mnóstwo takich, którzy uznają, że jeśli kupią kilka dodatkowych strzał, to mogą iść, gdzie im się żywnie podoba.

— Ja mogę pójść wszędzie — wymamrotała Sken. — Pokroję na plasterki każdego z tych skurczybyków.

— Popłyńcie łodzią — poradził gospodarz. — I nie zbliżajcie się nawet do brzegu przez co najmniej pięćdziesiąt kilometrów. To dobra rada. Ludzie, którzy jej posłuchali, żyją i mogą mi dziękować.

Gospodarz wrócił do kuchni.

— Na wodę! — wykrzyknęła Sken. — Już najwyższy czas. — Podniosła kufel jak do toastu, opryskując przy tym piwem Angela. Musieli w końcu poprosić o pomoc czterech dwelfów, by zanieśli ją do pokoju.

Następnego ranka znaleźli w porcie wiele dobrych łodzi do wynajęcia, ale znacznie mniej na sprzedaż.

— To nie ma znaczenia — mruknął Angel. — Każdą łódź da się kupić, jeśli zaproponuje się wystarczająco wysoką cenę.

— Nasze pieniądze kiedyś się skończą — powiedziała Patience. — Dobrze, żeby starczyły do przyszłego roku.

— Chcesz się dostać do Spękanej Skały czy nie?

Tak, chciała się tam dostać. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. Zew Spękanej Skały dokuczał jej jak nieustanny głód. Gdy kierowała się w stronę celu, zmniejszał się odrobinę i odczuwała ulgę. Ale kiedy tylko się opóźniali z jakiegoś powodu, tak jak teraz, gdy spacerowali po deskach nabrzeża, pragnienie stawało się znacznie mocniejsze.

Chociaż tego właśnie dnia odczuła pewną nieznaczną zmianę: już nie tylko pragnęła dostać się jak najprędzej do Spękanej Skały, ale chciała popłynąć tam rzeką. Poranne słońce tańczące na falach czarowało ją.

Uzmysłowiła sobie, że nigdy dotąd czegoś takiego nie czuła. Podróż Radosną nie sprawiała jej specjalnej przyjemności. Skąd więc teraz tak silne pragnienie, by zamienić bity gościniec na rzekę?

Przypomniał jej się ostatni wieczór i rozmowa z gospodarzem. Może rzeczywiście każdemu doradzał unikanie Lasu Druciarza, ale szczerze w to wątpiła. Ludzie z Wodnej Strażnicy musieli mieć rodzaj umowy z lokalnymi rabusiami, szczególnie, że nie mogli liczyć na żadną opiekę ze strony rządu. Jeśli gospodarz mógł ostrzegać każdego podróżnego, to oznaczało, że rabusie wcale nie są groźni. Jeśli jednak byli tak niebezpieczni, jak mówił, to dlaczego odważył się narazić własne życie, ostrzegając trójkę bogatych i obcych podróżnych?

Czy jego postępowaniem kierował zew Spękanej Skały, który teraz z kolei ją popychał w kierunku wody? Z jakiegoś powodu Nieglizdawiec — cokolwiek to było — chciał ją odwieść od podróżowania Lasem Druciarza. Czy tylko dlatego, by uchronić ją przed niebezpieczeństwem? A może na leśnej drodze znajdowało się coś, czego nie powinna odkryć?

Ale czyż ona nie jest wyszkoloną morderczynią? A Angel? Sądząc po wyglądzie, Sken też potrafiła sobie dać radę w niebezpieczeństwie. Nawet jeśli rabusie są tak groźni, jak to sugerował gospodarz, prawdopodobnie potrafilibyśmy się z nimi uporać. A jeśli to Nieglizdawiec nie chce, byśmy tam poszli, trzeba właśnie wybrać drogę, od której nas odciąga.

W chwili kiedy podjęła decyzję, poczuła ogromny żal. Jak w ogóle mogła wymyślić coś tak idiotycznego? Ryzykować życie całej ich trójki dla jakiegoś głupiego kaprysu? Kiedy woda wygląda tak kusząco i wystarczy tylko pożegłować w górę rzeki. . .

I teraz była już pewna, że to Nieglizdawiec rozpaczliwie stara się odciągnąć ją od lasu. Wiedziała także, że jakąkolwiek cenę przyjdzie zapłacić, ona wybierze drogę łądem. Pragnienie podążenia do Spękanej Skały rzeką pogłębiało się, ale przecież przez całe lata uczono ją, jak walczyć z pragnieniami. Musiała obywać się bez snu, bez jedzenia, bez wody, by stawać się coraz silniejsza. Potrafiła nie zwracać uwagi na potrzeby ciała, szczególnie kiedy wiedziała, że pragnienie, które czuje, jest iluzją stworzoną w jej umyśle przez wroga.

Tylko czy naprawdę był to wróg? Nieważne. Nie wolno jej ulegać we wszystkim mocy, która wzywała ją do Spękanej Skały. Pojedzie tam, ale wybierze własną drogę. Nie pozwoli sobą manipulować.

— Ta — wskazała Sken. Łódź była niewielka, w porównaniu z innymi żaglówkami, ale wyglądała na czystą i porządną.

— Dobrze — zgodził się Angel.

— Nie — powiedziała Patience.

Sken spojrzała niezadowolona.

— Co jest nie tak z łodzią?

— Nic. Tyle tylko, że nie chcę podróżować łodzią.

Angel odciągnął ją na bok.

— Czy ty zupełnie postradałaś rozum? — zapytał.

— Możliwe. Ale nie wsiądę do łodzi. Pojadę dalej naszym powozem leśną drogą.

— To samobójstwo. Nie słyszałaś, co mówił karczmarz?

— Słyszałam go bardzo dobrze. Słyszę także zew Spękanej Skały. To on skłania nas do podjęcia dalszej drogi wodą. Bardzo tego pragnie. A ja zamierzam dowiedzieć się, co takiego znajduje się w lesie, co on chce przede mną ukryć.

— Śmierć. Chroni cię przed spotkaniem ze śmiercią.

— Jesteś pewien? Wydaje mi się, że trochę za bardzo odciąga nas od leśnej drogi. To miejsce nie jest najlepsze, żeby zaczynać podróż rzeką. Sken powiedziała nam, że prąd jest tu zbyt wartki.

— Prądy są lepsze niż śmierć.

— Od kiedy to, Angelu, boisz się przydrożnych bandytów?

— Od chwili, gdy wyobraziłem sobie, jak kilkunastu z nich spada nam z drzew na głowy. Umiem zabijać nie spodziewających się niczego ludzi tak, by nikt nie podejrzewał nienaturalności zgonu. Walka z bandą źle wychowanych rzeźmieszaków to nie moja specjalność.

— Jeszcze ich nie spotkałeś i nie wiesz, jakie mają maniery.

— A nie przyszło ci do głowy, że Nieglizdawiec tego właśnie od ciebie oczekuje? Może to stworzenie wie, jak jesteś uparta i że lubisz się sprzeciwiać. Może chce, byś poszła lasem i dlatego w ten właśnie sposób wpływa na ciebie?

— To trochę zbyt pokrętne, Angelu.

— Może chce rękami bandytów pozbyć się twoich towarzyszy podróży?

Więc Angel przyznał się, że drży o własne życie. W jego słowach również brzmiał zew Spękanej Skały. To prawie ją przekonało. Jak mogła wystawiać ich na niebezpieczeństwo? Co się z nią działo? Czyżby stała się arogancką egoistką? Płyn rzeką, dla ich dobra.

Ale im silniej rozbrzmiewał głos ze Spękanej Skały, tym mocniejszy stawiała opór.

— W takim razie wy popłyniecie łodzią. Spotkamy się w pierwszej osadzie w górze rzeki. Dam sobie sama radę z powozem. Ty możesz wziąć wszystkie pieniądze — ufam ci.

— Nie — odparł Angel. Ręce mu się trzęsły. — Nie opuszczę cię.

On naprawdę się boi, pomyślała Patience. I w tym momencie prawie ustąpiła ze względu na Angela. Ale w tej samej chwili, gdy ta myśl powstała jej w głowie, poczuła zwielokrotniony zew. Jej dotychczasowy opór był jak zaporę przed falami płynącej wody, a uległość zniszczyła tę tamę. Skręciła się z bólu. Potem napięcie

opadło, jakby Nieglizdawiec musiał odpocząć po ogromnym wysiłku. Dobrze, pomyślała Patience. Próbuj i męcz się. Nie po to przez całe dzieciństwo hartowałam swój charakter, żeby teraz tak łatwo ci ulec.

— Dobrze. Zatem pojedziemy łądem.

Sken była równie niezadowolona jak Angel.

— Nie musisz ze mną jechać — powiedziała Patience. — Dobrze mi służyłaś, zarobiłaś na podróż powrotną do domu.

— Potrzebujesz wszelkiej pomocy, jaką możemy ci ofiarować — wtrącił się Angel i zwrócił się do Sken: — Podwoję ci zapłatę, jeśli pojedziesz z nami.

Sken spojrzała na niego z pogardą.

— Pojadę, bo chcę ją chronić, twoja oferta nie ma tu nic do rzeczy.

Angel uśmiechnął się. Patience wiedziała doskonale, że oczekiwał takiej właśnie reakcji. Sztuka dyplomacji, jak zawsze powtarzał jej ojciec, polega na sprowokowaniu przeciwnika, by zapragnął działać zgodnie z twoim planem. Angel był dyplomata. O Nieglizdawcu nie można było tego powiedzieć. Nieglizdawiec bardzo szczerze ukazywał swe pragnienia, a Patience równie otwarcie je odrzucała. W tej rozgrywce nie było subtelności.

Opuścili port i ruszyli ku stajniom. Ich konie były dobrze oporządzone, Angel opłacał stajennych, ponieważ miał zamiar sprzedać zaprzęg z zyskiem.

Patience naszykowała dmuchawkę i kilkadziesiąt drewnianych rzutek. Były bardziej widoczne niż szklane, ale leciały dalej, a każda niosła śmiertelną dawkę trucizny. Angel mruzczał coś na temat starości, kiedy wyjmował z kufra łuk i strzały.

— Nie jestem w tym najlepszy — powiedział. — Wolę spotkać się z przeciwnikami na odległość ręki, w której trzymam nóż.

— I to najlepiej od tyłu — wtrąciła Sken.

— Mogę ich także otruć — dodał Angel. — Jeśli zaproszą nas na kolację.

— Trucizna i nóż w plecy. Co za człowiek!

— Dość tego — przerwała im Patience. — Nasza sytuacja jest wystarczająco niebezpieczna bez głupich kłótni o nic. — Mówiła ostro, pozwalając, by w jej głosie wyczuł, jaką karę wymierza jej teraz Spękana Skała. Już w chwili wsiadania do powozu zrobiło jej się niedobrze i zaczęła dygotać. A kiedy Angel zaciał konie lejcami, kierując je na brukowany trakt, miała ochotę od razu zwymiotować. Kamienie, którymi wybito dukt, były bardzo stare. Lata ścierania wygładziły je, ale Patience czuła każdą nierówność, jakby to była głęboka koleina. Wkrótce rozbołała ją głowa.

Ale była na takie przykrości dobrze przygotowana. Zachowywała się zupełnie spokojnie, od czasu do czasu zdobywała się nawet na nikły uśmiech, chociaż daleko jej było do radości. Nie może pozwolić Nieglizdawcowi złamać swojej woli. A Angelowi pokazać, że cierpi.

Jeśli uda się jej oszukać swego nauczyciela, to oznacza, że ciągle w pełni nad sobą panuje.

Miasto nie było duże i wkrótce droga biegła już pomiędzy polami warzyw i sadami, gdzie farmerzy gracowali ziemię lub zbierali plony, pomiędzy ruinami starych budynków, które niegdyś stanowiły dumę Strażnicy Wodnej. Budowanie i niszczenie należało do cyklu życia ludzi na Imaculacie. Dawno temu Strażnica była wielką twierdzą. Kiedyś znowu będzie wielka lub zniknie zupełnie z powierzchni planety. Ale nic nie trwało niezmiennie. Nawet religie zmieniały się. Najpierw żyli Strażnicy i Budowniczości, potem Pamiętający i Patrzący, a wreszcie w ostatnim stuleciu Czuwający w swych pustelniach. Oni kiedyś również staną się przeszłością. Nic nie trwa wiecznie.

Poza linią krwi heptarchy, która trwała nieprzerwanie. Jedyna stała wartość od chwili przybycia ludzi na Imaculatę. W całej człowieczej historii nie było takiego wypadku. Starła sobie przypomnieć, czy ludzkości zdarzyło się kiedyś cokolwiek podobnego. Imperium Rzymskie trwało nie dłużej niż tysiąc lat. Instytucja papieży dwa tysiące pięćset. Nawet patriarchat konstantynopolski już nie istniał, choć utrzymał się dość długo, by stworzyć kolonię na Imaculacie. Koloniści mieli być wierni religii greckokatolickiej, choć nie znali greki ani nie dbali o zachowanie jakichkolwiek obrzędów starogreckiego kościoła. Nic nie przetrwało prócz rodu heptarchów.

Do tego momentu, pomyślała Patience, kiedy wróg, Nieglizdawiec, dostanie mnie w swoje ręce. Jeśli mnie pokona, heptarchia przestanie istnieć. A jeśli będę stawiać mu opór, wydam na siebie wyrok śmierci.

Sady pojawiały się coraz rzadziej, za nimi widać już było ścianę lasu. Tu i ówdzie wyłaniało się jeszcze jakieś zbiorowisko domów z pasącymi się obok krowami, na polach widać było gdzieś pracujących farmerów, a na drodze bawiły się dzieci, które biegły za powozem, dopóki im sił starczyło. Sken klęta na nie głośno, co wprawiało je w znakomity humor, a Patience udawała, że świetnie się tym wszystkim bawi. Tylko Angel pozostawał ponury i ostro poganiał batem konie do szybszego biegu.

Wreszcie, wczesnym popołudniem, las wyparł zabudowania. Droga biegła teraz w tunelu gęstych krzaków i wielkich drzew. Wprost znakomite miejsce na napad. Patience znowu ogarnęło zawstydzenie, że naraziła swoich towarzyszy na takie niebezpieczeństwo.

Wjechali na prosty odcinek drogi, prowadzący przez najgęstszy busz. W pewnej odległości zobaczyli przed sobą grubą linię przeciągniętą nad drogą na wysokości końskiej szyi.

— Bezczelni, czyż nie? — odezwała się Sken. — Zostawili nam mnóstwo czasu, żebyśmy się zorientowali, co nas czeka.

— Zawracam — oznajmił Angel.

Patience poczuła, że gotowa jest wyrazić przyzwolenie. Ale nie na próżno wy-

rabiano w niej latami dyscyplinę. Opór stał się jej siłą napędową, choćby kosztem cierpienia.

— Jeśli chcesz, możesz wracać — oświadczyła. — Ja jadę dalej. Naszykowała dmuchawkę z rzutkami. A gdyby została złapana, pozostawała jej jeszcze druga broń — pętla. Miała ponadto przerzucony przez ramię drewniany łuk. Strzały, wszystkie zatrute, czekały w kołczanie. Umiała się tak z nimi obchodzić, by nie stanowiły dla niej zagrożenia. Ojciec już dopilnował, by uodpornić ją na większość stosowanych trucizn, zanim jeszcze skończyła dziesięć lat. Zsunęła się z powozu i ruszyła długimi krokami w kierunku liny.

Sken zakłęta, ale podążyła za nią, dzierżąc w każdej ręce topór. Angel z ponurą miną prowadził powóz tuż za nimi.

— Zabiją nas, kiedy im się będzie podobało — krakał posepnie.

— Uważaj na drzewa! — krzyknęła Patience. — Karczmarz twierdził, że lubią torturować ludzi. Będą próbowali wziąć nas żywcem.

— No to poprawiaś mi samopoczucie — wtrąciła Sken.

— Lina jest twoja — powiedziała Patience.

— To jasne jak słońce.

Patience przebiegła wzrokiem po krzakach i koronach drzew nad ich głowami. Liście przepuszczały za mało światła, by coś widzieć. Poza tym wiał lekki wietrzyk, maskujący ruchy rabusiów. Patience dostrzegła tylko dwóch mężczyzn, czających się w koronach drzew. Bez wątpienia łucznicy. Ale niełatwo było wycełować i strzelić z łuku w dół, szczególnie w ruchomy cel. Gdyby strzelcom udało się trafić, to w znacznym stopniu byłyby to przypadek.

Naprawdę obawiała się tylko napastników na ziemi. Bez wątpienia co najmniej kilkunastu kryło się za drzewami. Mogli pojawić się z każdej strony. Wsunęła strzałkę w dmuchawkę, a trzy następne naszykowała w prawej ręce.

Od liny dzieliło ich jeszcze jakieś kilka metrów, kiedy zza drzew wyłoniło się czterech mężczyzn. Ustawili się pośrodku drogi, za liną. Stali pewnie, z uśmiechem na ustach, przekonani, że ich ofiary nie mają szans. Jeden postąpił krok do przodu, jakby chciał przemówić. Patience wiedziała, że w tym czasie inni mają ich otoczyć. A więc nie pozwoli mu nic powiedzieć. Dmuchnęła w rurkę. Celowała w szyję, ale rzutka poszybowała wyżej i trafiła napastnika prosto w usta. Mężczyzna stał jak zamieniony w słup soli. Jego kompani nie zauważyli strzałki. Dzięki temu miała czas na załadowanie następnej i na kolejny strzał, zanim pojęli, co się dzieje. Druga strzałka trafiła kolejną ofiarę w czoło. Pierwszy mężczyzna zacharczał i upadł, powalony trucizną, która właśnie dotarła do jego mózgu. Drugi cofnął się o krok, jakby zdziwiony, że niespodziewanie odebrano mu inicjatywę.

Sken poruszała się powoli, zbierając się do skoku, i nagle jednym ruchem topora przecięła linę. W tym samym momencie Angel pogonił konia, a Sken jednym susem dopadła powozu. Patience biegła przez chwilę obok, a potem również wskoczyła. Powóz przetoczył się po leżących ciałach. Ktoś ukryty w krzakach



powiedział:

— Chłopak dostał Druciarza. Strzelił mu prosto w usta.

Przez moment wydawało się, że uda im się przedrzeć przez zasadzkę, ale zaraz rozległy się krzyki. Za powozem posypał się grad strzał. Angel zaciął konie, wrzaskiem zmuszając je do biegu, lecz nagle sam zacharczał i zadławił się. Strzała utkwiała mu w karku. W tej samej chwili liczne ręce chwyciły konie i zatrzymały powóz.

Patience nie miała czasu martwić się Angelem. Szczęśliwie rabusie tracili cenne minuty, odcinając uprząż koni. Patience krzyknęła do Sken, by nie zwracała uwagi na zwierzęta. Kobieta zajęła lewą stronę powozu, wywijając toporem. Dookoła tryskała krew. Napastnicy odstąpili od Sken, wyraźnie z nadzieją, że zajmie się nią łucznik. Patience wydmuchiwała jedną po drugiej śmiertelne strzałki — na taką odległość trudno było nie trafić — i ci z mężczyzn, którzy nie zostali uderzeni toporem, skręcali się teraz w agonii. Reszta napastników wyraźnie okazywała mniejszy zapał do walki. Ich dowódca został przecież zabity i do tej pory stracili już kilkunastu mężczyzn, a jeszcze paru odniosło poważne rany od topora, zaś każda strzałka niosła śmierć kolejnemu z nich. Wykrzykiwali straszliwe groźby i przekleństwa, ale widząc, że zapas strzałek jest niewyczerpany, zaczęli wreszcie uciekać.

Sken została poważnie zraniona w ramię.

— Nic mi nie będzie — powiedziała. — Tylko musimy się stąd wydostać. Nie możemy się zatrzymywać.

— Trzeba pociągnąć wóz. Czy dasz radę?

— Zostawmy powóz i uciekajmy. Na cóż zdadzą się nam pieniądze, kiedy będziemy martwi?

— Angel żyje. Jak inaczej zdołamy go stąd wydostać?

Sken spojrzała na strzałę tkwiącą w szyi Angela, odchrząknęła i przejęła rolę koni.

— A ty dobrze rozglądaj się na boki — poleciła.

Rana nauczyciela nie krwawiła zbyt mocno. Patience wiedziała, że lepiej zostawić grot w ciele, dopóki nie można będzie założyć porządnego opatrunku. Najlepiej byłoby dotrzeć do jakiegoś miasta i powierzyć Angela opiece doświadczonemu lekarzowi, ale na to nie miała nadziei. Powinna jak najspieszniej zawrócić do Strażnicy Wodnej, gdzie na pewno znalazłby się medyk. A kiedy Angel poczułby się lepiej, kontynuowałiby podróż wodą.

W tej samej chwili poznała, że jest to myśl przesyłana jej przez Nieglizdawca. A może nie? A jeśli był to po prostu głos rozsądku? Swoim uporem mogła doprowadzić do śmierci Angela. Przecież nawet nie wie, czy przed nimi jest jakaś wioska, a jej oddany przyjaciel, jej wychowawca, właściwie jedyny ojciec, jakiego kiedykolwiek miała, umiera w powozie.

Naprzód. Odrzuciła wszystkie inne myśli. Naprzód. Rozejrzała się wzdłuż

drogi i po bokach, wypatrując bandytów lub koni. W pewnej chwili na drodze za nimi pojawił się mężczyzna z łukiem w ręku. Zginął, zanim naciągnął cięciwę. Innych nie było widać. Może zrezygnowali. To nieważne. Teraz one nie mogły już zwolnić biegu ze względu na Angela.

Chciała dołączyć do Sken i pomóc jej ciągnąć powóz.

— Odejdź — krzyknęła kobieta. — Mylisz mi rytm. Pilnuj nas. Wreszcie drzewa rozrzedziły się i pojawiły się sady oraz pola. Na widok powozu wieśniacy zaczęli krzyczeć i zbierać się w gromadę.

— Druciarz pozwolił wam tędy przejechać? — zdziwiło się jakieś dziecko.

— Czy macie tu medyka? — spytała Sken.

— Ale nie chodzi nam o wioskowego znachora — dodała Patience.

— Ci czasami wiedzą więcej niż miejscowi lekarze — odparła Sken. — Jeśli ktoś taki tu mieszka, tym lepiej dla starego człowieka.

— Mamy medyka — powiedział jakiś mężczyzna. — Geblinga. Jest bardzo dobry w swoim fachu.

— Czy możecie pociągnąć powóz? — zapytała Sken. — Zaciągniecie go do lekarza? Zapłacimy.

— Druciarz zostawił wam pieniądze?

Patience miała już dość ciągłego wypytywania o rabusia.

— Druciarz nie żyje — wyjaśniła. — Zabierzcie nas do medyka.

— Ładny chłopak — zauważyła jedna z dziewcząt, niezwykle szpetna i o nierównych zębach. Patience westchnęła i wdrapała się do powozu. Angel miał otwarte oczy. Ujęła go za rękę, by złagodzić lęk, który niewątpliwie go męczył.

— Jesteśmy u przyjaciół — powiedziała.

Kilku wieśniaków ujęło dyszle wozu, inni pchali go z tyłu. Sken z uczuciem ulgi wdrapała się do środka. Kiedy powóz zaczął się toczyć, Patience ogarnęło jakieś dziwne uczucie. Słodczy i spokoju. Ból, który zadawał jej Nieglizdawiec, gdzieś zniknął. Za to pojawił się znowu zew Spękanej Skały. Przynaglał ją do podróży na północ. Tam oczekiwał ją kochanek, marząc o czułych pocałunkach, gotów wypełnić jej łono nowym życiem. Patience pokonała tę nową kuszącą wizję, podobnie jak wcześniej poradziła sobie z cierpieniami. Nieglizdawiec chce, by teraz śpieszyła dalej. Z czego wniosek, że znalazła się we właściwym miejscu. W drodze do medyka-geblinga, w wiosce odciętej od świata przez bandę rabusiów. Nieglizdawiec nie mógł kierować nią lepiej niż dokładna mapa. Czyżbym — pomyślała — pomimo wszystko zrobiła dokładnie to, czego życzy sobie mój wróg? Czy też go pokonałam?

— Tutaj! — krzyknął jeden z wieśniaków. Stanęli przed dość dużym domem na skraju wioski.

— Mieszka z siostrą — dodał inny. — I z człowiekiem-olbrzymem.

— Mówią, że brat i siostra sypiają ze sobą — dodał ktoś z tyłu.

— Plugawe bestie.

— Ale ten jest naprawdę dobrym medykiem.

— Jak się nazywa?

— Ruin — odparł mężczyzna.

— Zachęcające imię.

Z komina płynął dym. Nie zatrzymuj się tu, wołał głos ze Spękanej Skąty. Śpiesz się. Angelowi nic nie będzie. Dalej, idź dalej, dalej.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich kobieta gebling. Choć porośnięta futrem, wyglądała na schludną, wcale nie plugawą. A według kanonów urody swojej rasy była wyjątkowo piękna. Patience dostrzegła błysk inteligencji w jej oczach i uznała, że może jej zaufać. Postanowiła jednak nie przyznawać się, że zna geblic. Ten dom był bardzo ważny, skoro Nieglizdawiec nie chciał, by przeszła przez jego próg. Wobec tego wejdzie tam jako ambasador i uzyska wszystkie możliwe informacje, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję.

Miała też nadzieję, że uda się uratować Angela. Kiedy wieśniacy wnosili go do środka, w ranie pojawiła się krew z pęcherzykami powietrza. Patience zastanawiała się, czy nie rozrzucić w tłumie miedzianych monet, ale zamiast tego wyjęła stalowy pieniądz i wręczyła go starszemu mężczyźnie, który wyglądał na przedstawiciela miejscowej władzy.

— To dla całej wioski za waszą dobroć. — Starzec uśmiechnął się i pokłonił, a ludzie wymamrotali podziękowania. Wszyscy razem nie mogliby tyle zarobić przez cały rok.

## Rozdział 8

# DOM GEBLINGÓW

Reck wiedziała, że wieśniacy nadchodzą, zanim zbliżyli się do jej domku. Wiatr przynosił pełne podniecenia głosy. Przekrzywiła głowę na bok, by lepiej słyszeć. Nie, nie było w nich gniewu. Ta wioska nie pozwoliła kapłanom poprowadzić się przeciwko geblingom. Co nie oznaczało, że w przyszłości coś takiego nie mogło się wydarzyć. Trudno przewidzieć, kiedy ludzi porwie pasja religijna i zaczną zabijać.

Ale skąd to podniecenie, jeśli idą do medyka? Ktoś ważny musi potrzebować pomocy. Oczywiście obcy, ponieważ w Nabrzeźnej Wiosce, jednej z tysięcy o takiej samej nazwie wzdłuż Żurawiej Wody, nie mieszkał nikt na tyle nadzwyczajny lub możny. Obcy musiał być ranny, a nie chory, ponieważ choroba nigdy nie ekscytuje tłumu tak długo. Lęk przed zarażeniem rozprasza zbiorowisko.

Reck podeszła do drzwi i zawołała Willa. Okopywał ziemniaki na polu. Usłyszał ją, zamachał w odpowiedzi ręką i pociągnął wózek do stodoły. Był wysokim mężczyzną, wielkim nawet jak na ludzkie standardy. A od geblingów był dobre dwa razy większy. Służył kiedyś jako najemny żołnierz, niewolnik walczący to w jednej armii, to w drugiej. Doświadczony zabójca, a w dodatku silniejszy niż ktokolwiek, kogo Reck знаła.

Ale ona nie bała się go. Znalazła go wiele lat temu, kiedy uciekł z wojska. Zaoferowała mu opiekę i miejsce na farmie. To mu wystarczyło. Żyli sobie z Reck całkiem przyjemnie. Niewiele rozmawiali, bo też mało mieli sobie do powiedzenia. Każde porządnie wykonywało swoją część pracy i to dawało im zadowolenie.

Byli też na tyle mądrzy, by nie afiszować się zbyt. Przez te wszystkie lata trudno było geblingom ukryć przed wieśniakami, że mieszka z nimi olbrzym. Nie chcieli kłamstwami obrażać ludzi, więc po prostu kiedy przynoszono chorego lub rannego, Will schodził wieśniakom z oczu. Nie było żadnych problemów. Will chował się zawsze do stodoły, wdrapywał na poddasze i spał, dopóki ludzie sobie nie poszli. Will miał niezwykłą zdolność zasypiania, kiedy tylko chciał i na tak długo, jak chciał. Reck nieraz zastanawiała się, czy Willa nawiedza sen, który ją

dreńczy tak często. Myślała o tym, ale nigdy go nie zapytała. Porządny gebling nigdy nie pyta o cudze sny.

Zobaczyła, że ludzie ciągną w stronę jej domu powóz. Bez koni. Co oznaczało, że właściciela wozu zaatakowali rabusie — bez wątpienia banda Druciarza. Żadna niespodzianka. Dziwne raczej, że ktoś uszedł z życiem. Zazwyczaj Druciarz starannie wykonywał swoją robotę.

Wciągnęła powietrze. Czuła zapach krwi, ale nie wnętrzości ludzkich. Może to tylko powierzchowna rana, którą zdoła sama oczyścić i opatrzeć, nie czekając, aż jej brat wróci do domu.

Na wozie siedział młody chłopak. Rozmawiał z wieśniakami. Wyraźnie on tu wydawał polecenia. Na kolanach chłopca spoczywała głowa starego człowieka. Gruba, prostacka kobieta zajmowała miejsce na koźle, pokrzykując do wieśniaków, którzy ciągnęli wóz. Poganiała ich przekleństwami, obietnicami i urąganiem. W takim razie to stary człowiek był ranny. Tylko jeden? I puścili takiego młodego chłopaka? Druciarz miał oko na młodziaków, z którymi lubił się zabawić. Coś dziwnego musiało się wydarzyć w lesie. Jeśli oni żyją, to Druciarz prawdopodobnie musiał zginąć. Nie wiadomo, kim są ci podróżni, ich skromny wygląd musi być mylący. To Reck rozumiała doskonale. Ona też była kimś więcej, niż to ujawniała.

Powitała ich przy bramie.

— Wnieście go do środka, jeśli nie może sam chodźć — powiedziała. — Zostawcie wóz tutaj i idźcie do domu.

— Zabili Druciarza — powiedział jeden z wieśniaków.

— I połowę jego ludzi.

Gruba kobieta poczuła się bardzo dotknięta.

— Sama zabiłam połowę, a możecie mi wierzyć, że resztę też dobrze pozna-  
czyłam.

Mogły to być przechwałki, ale niekoniecznie. Reck zauważyła, że ręce kobiety uwalane są po łokcie we krwi. Po części jej własnej.

— Możesz się umyć tu w miednicy. Oczyść dobrze ranę.

Gruba kobieta myła się, a wieśniacy wnieśli starego człowieka i położyli go na stole operacyjnym. Chłopiec i kobieta podeszli bliżej, by widzieć, co się dzieje. Nie zwracała na nich uwagi. W szyi mężczyzny tkwiła strzała, i to porządnie zagłębiona. Przebiła tchawicę, dlatego męczył go ból, ale w oddechu rannego nie czuła krwi.

Krew wypływała wolno z rany. Reck pochyliła się i powąchała ją, a potem wysunęła długi język i polizała. Usłyszała, że kobiecie robi się niedobrze, ale chłopak nie wydał z siebie ani dźwięku. Coś jest dziwnego w tym chłopcu, pomyślała Reck. Nie umiała jednak określić, co. W tej chwili ważniejszy był smak krwi starego człowieka.

— Trucizna — powiedziała Reck. — Potężna. Ta rana się nie zagoi. Krew nie przestanie płynąć.

— Nie wyjmiesz mu strzały? — zapytała kobieta

— Dobrze, żeście ją zostawili.

— Co zrobisz? — zapytał chłopiec.

— Nic — powiedziała Reck, po czym zwróciła się do wieśniaków. — Idźcie sobie, już wam mówiłam. Nic tu po was.

— Nic nie zrobisz! — powtórzył chłopiec. — W takim razie pójdziemy do następnej wioski. — Mówił głosem osoby nawykłej do wydawania poleceń innym.

— To jest tylko dziewczyna gebling — odezwał się syn kowala, stojący koło drzwi. — Medykiem jest jej brat.

— Dziewczyna! — wykrzyknęła gruba kobieta. — A w jaki sposób potrafisz rozróżnić płęć u geblingów?

— Kiedy zobaczysz brata, sama zrozumiesz. Ma bardzo długie zęby i niczym nie okrywa swego futra.

Reck nie po raz pierwszy słyszała, jak ludzie kpią sobie z geblingów w ich obecności. Uważali, że mogą obrażać bezkarnie stworzenia nie sięgające im nawet do ramion. Gdyby geblingi były większe, mogłyby nie godzić się na wysłuchiwanie takich zniewag. Ale ponieważ chciały żyć daleko od Spękanej Skąły, w świecie zamieszkanym przez człowieka, musiały znosić okrucieństwo pustogłowych ludzi. Jej brat, Ruin, znosił to gorzej niż ona. Większość swego życia, spędzał w lasach, żeby nie spotykać prześladowców. Odmawiał noszenia ubrania twierdząc, że woli raczej być zwierzęciem, za które go uważają, niż udawać człowieka.

— Kiedy wróci twój brat? — zapytał chłopiec,

Reck nie odpowiedziała. Przyglądała się uważnie twarzy chłopca i węszyła. Już wiedziała, co się nie zgadza. Chłopiec nie miał wystającej kości ponad oczami, jak większość samców rodzaju ludzkiego. A w powietrzu unosił się zapach krwi. Woń posoki starego człowieka tłumiała ją nieco. Ale nosa Reck nie dało się oszukać.

Drzwia zamknęły się za ostatnim wieśniakiem.

— Zapytałem, kiedy wraca twój brat?

— Po pierwsze — powiedziała Reck — powiedz mi, kim jesteś i czemu udajesz Chłopca?

Nagle jej nadgarstek znalazł się w stalowym uścisku. Stary człowiek wykręcił jej rękę. Myślała, że jest nieprzytomny a on ją trzymał jak imadło. Mogła uderzyć go w łędźwie i zmusić, by puścił, ale nie chciała dodawać mu bólu.

— Oszukać możesz ludzi — powiedziała — ale nie geblingów. Czego oko nie zobaczy, to nos wyczuje.

— Puść ją — rozkazała dziewczyna. — To mój czas w miesiącu. Zapomniałam, że geblingi potrafią to wyczuć. Chciałabym posiadać podobny dar.

Stary człowiek rozluźnił uścisk, ale Reck nie poruszyła się do chwili, kiedy cofnął rękę.

— Stary człowiek nazywa się Angel. Jest moim nauczycielem i przyjacielem. Ta niezwykła kobieta to Sken. Wliczyła siebie w cenę łodzi kiedy opuszczaliśmy Heptam. — Dziewczyna uśmiechnęła się. Miałam zamiar powiedzieć ci, że mam na imię Adam, ale skoro wiesz, że nie jestem chłopcem, wolę pozostać bezimien-  
na.

— Czym chcesz nam zapłacić, skoro Druciarz cię obrabował?

— Druciarz nie obrabował nas. Miał tylko taki zamiar. Jego ludzie zabrali nasze konie, ale potem dostali więcej, niż się spodziewali. Chcemy tutaj kupić nowe wierzchowce. Ale nie widzę, by były jakieś na sprzedaż.

— Wszystkie zabrało wojsko — odparła Reck. — Zostawili tylko po jednym na gospodarstwo, żeby wieśniacy mogli uprawiać pola. My, geblingi, w ogóle nie używamy koni.

— Nie chcę twoich koni. U ciebie szukamy pomocy dla Angela.

— Mój brat nadchodzi.

— Nie widziałam, żebyś kogoś po niego wysyłała.

— Nie muszę posyłać po niego. On zna zwierzęta w lesie. Widziały, co się tu dzieje, i powiedziały mu.

Dziewczyna spojrzała na Sken, jakby pytając, co to za zabobony. W tej chwili rozległ się szept starego człowieka:

— Nie jesteśmy ciemnymi chłopami. Wiemy, że geblingi potrafią się kontaktować ze sobą na odległość. Nie musisz nam opowiadać żadnych bajd o zwierzętach.

— Powiedziały mu zwierzęta w lesie — powtórzyła Reck. — Ale już dawno nauczyłam się nie dyskutować z człowiekiem, który myśli, że zjadł wszystkie rozumy.

— Jestem filozofem. Ale strzała w szyi piecze mnie potwornie.

— Przykro mi. Mój brat mógł być bardzo daleko stąd. Droga chwilę mu zajmie. Nic na to nie poradzę.

— Chce mi się pić.

— Strzała przebiła przeżytek.

— Wiem.

— Więc nie możesz dostać nic do picia.

Dziewczyna i Sken usiadły. Dziewczyna na stołku, a Sken na podłodze, opierając się o ścianę. Reck wróciła do swojej roboty. Przyczepiała pióra do strzał. Była to żmudna robota, wymagająca skupienia. Jęczący z bólu człowiek nie ułatwiał tego zajęcia.

Niedługo potem przyszedł Will. Przyniósł wodę. Nie patrzył na gości, rzucił tylko okiem na mężczyznę leżącego na stole. Jedno wiadro postawił tuż przy pale-

nisku, a z drugiego nalał wody do dzbanka przy umywalni. Dopiero wtedy stanął przed przybyszami.

— Will — przedstawił się.

— Sken — powiedziała gruba kobieta.

Dziewczyna milczała.

— Mieszkasz tutaj? — zapytała Sken.

Will kiwnął głową.

Sken przeniosła wzrok z niego na Reck i z powrotem.

— Obrzydliwość — oznajmiła.

Will uśmiechnął się.

— Jestem jej niewolnikiem — wyjaśnił.

Sken rozluźniła się trochę.

— To głupota. Jak gebling może być właścicielem człowieka? Ale skoro nie ma kuca, z którym mogłaby...

— To nie twój interes — przerwała jej Reck. — Jeśli chcesz, żeby ten starzec przeżył, powinnaś być trochę grzeczniejsza.

— Mówię tylko to, co myślę — odparła Sken.

— Wobec tego twój mózg to gnój — stwierdziła Reck.

Sken zrobiła jeden krok w jej stronę. Angel i dziewczyna jednocześnie krzyknęli, by się powstrzymała. Will krzyknął także, ale do Reck. Jednak to nie okrzyki powstrzymały Sken, lecz przygotowany do strzału łuk w rękach geblinga.

— Nie, Reck — powiedział Will.

— Przyszli do moich drzwi jak żebracy, a teraz obrażają mnie twierdząc, że pozwalam człowiekowi się dosiadać. Gdyby ktokolwiek tego spróbował, tylko jedno z nas wyszłoby z tego cało.

Angel odezwał się słabym głosem.

— Wybacz tej kobiecie. Wychowała się na rzece i nikt nigdy nie nauczył jej dobrych manier.

Reck opuściła łuk. Sken poprawiła suknię i usiadła, wpatrując się w ogień. Drażnienie geblingów nigdy nie doprowadziło ją tak blisko śmierci, jak tym razem. Ich kupcy, którzy płacili za pozwolenie zawinięcia do portu w Heptam, byli łagodni i nigdy nie reagowali na zaczepki. Już nie pierwszy raz Sken musiała zrewidować swoje rozumienie świata. Ale nigdy nie sprawiało to jej przyjemności.

Will zajął się kolacją, a Reck wróciła do przerwanej zajęcia. Angel oddychał z coraz większym trudem. Dziewczyna siedziała milcząco. Czekali tak bez słowa, aż zapadł zmierzch i Ruin wrócił do domu.



## Rozdział 9

### MEDYK

Ruinowi wydawało się, że wicher powstrzymuje go w drodze do Spękanej Skały. Tak przejawiała się zła wola Nieglizdawca. Mimo to parł do przodu, wykrzywiony z wysiłku. Dla kogoś, kto by go teraz oglądał, przedstawiałby naprawdę śmieszny widok: nagi, brudny gebling zмага się z niewidzialną siłą, przeszkadzającą mu wędrować w jasnym słońcu przez równą łąkę, a potem przedziera się pomiędzy drzewami, których gałęzie zagradzają mu drogę. I zawsze, kiedy Ruin odwracał się w stronę Spękanej Skały, odczuwał silny opór, jakby wicher zaczynał dąć mu w twarz. On i jego siostra byli jedynymi geblingami, którym odmówiono powrotu do domu.

Przeżył właśnie dwa dni zmagañ — krok do przodu, odpoczynek i znowu walka o następny krok — kiedy usłyszał wołanie Reck. Pieszczotliwy dotyk jak nacisk łagodnych palców na kark. Ruin nigdy nie przyznał się siostrze, jak odczuwał te wezwania; żaden inny gebling nie miał nad nim podobnej władzy. Szczególnie w takiej chwili, jak ta, po dwudniowym zmaganiu z atakami wściekłości Nieglizdawca, nie potrafił oprzeć się jej wezwaniu. Opadł na kolana i załkał. Płakał z gniewu — zły na Reck, że go przywoływała, wściekły na siebie, że nie potrafił nie posłuchać jej głosu.

Nie mógł z nim walczyć. Przeleżał przy strumieniu może parę minut, a może godzinę, po czym doczołgał się do wody i napił się, aż wreszcie wstał. Przez chwilę stał zwrócony twarzą w stronę Spękanej Skały. Ale teraz już sama myśl, że mógłby zrobić choć jeden krok w tamtą stronę, stała się nie do zniesienia i ruszył w powrotną drogę. Biegł jak na skrzydłach. Przeskakiwał łąki i lasy, w minutę pokonywał przestrzenie, przez które wcześniej przedzierał się z mozołem godzinami. A głos siostry rozbrzmiewał jak śpiew w jego głowie, przynosząc mu ukojenie i wzywając go z powrotem do niej.

Do niej, co nie znaczy do prawdziwego domu. Żaden żywy gebling nie nazwałby budynków ludzi swoim domem. Dla geblingów istniał tylko jeden dom. Wielkie miasto zbudowane w skale, płatanina tuneli i nor, sięgających milę w głąb

pod powierzchnię Stopy Niebios. Spękana Skała miasto zamieszkane przez, większą liczbę stworzeń, niż mają całe narody. Miasto ludzi, dwelfów i gauntów, ale rządzone przez, geblingi, ponieważ tylko geblingi na zawsze zachowały w pamięci układ wszystkich korytarzy. Dla nich każdy kamień w każdej grocie był znajomy, nawet dla takich geblingów jak Ruin, które nigdy nie postawiły stopy na tych kamieniach, nigdy nie próbowały chłodnej wody, spływającej tunelami z lodowca powyżej, nigdy nie spały w ciemności, dającej nieskończenie większe poczucie bezpieczeństwa niż światło słońca. Przy Reck Ruin mógł odnaleźć spokój, lecz poza Spękaną Skałą nigdy nie znajdzie domu.

Ale póki żył Nieglizdawiec, Ruin nie mógł tam wrócić. To był jego największy problem. Wiedział o tym od dziecka, kiedy to matka wyjaśniła mu, kim jest i jakie zadanie przed nim stoi.

— Pochodzisz z najlepszego z najprzedniejszych rodów, ty i twoja siostra. W waszych duszach tkwi ziarno doskonałości. Jesteście w stanie wszystkiego się nauczyć, nie istnieje myśl niedostępna waszym umysłom. Urodziliście się jako odpowiedź geblingów na nienawiść Nieglizdawca. W was pokładamy nadzieję, że on kiedyś stanie się naszym niewolnikiem. Tylko wy możecie tego dokonać.

— Gdzie go odnajdę? — zapytał mały Ruin.

— On mieszka w sercu Spękanej Skały, tam, gdzie płynie krew naszego życia. Jest jak żmija na naszym łonie: planuje zniszczenie naszych dzieci w chwili ich narodzin.

— W takim razie powiedz mi, matko, jak trafić do Spękanej Skały. Pójdę tam i zabiję go.

Wtedy matka zapłakała, długi język zwisał z jej ust w wyrazie przygnębienia.

— Czy to możliwe, że właśnie wy, jedyni wśród wszystkich geblingów, nie znacie drogi? Och, Ruin i Reck, moje dzieci, mieliście powalić naszego nieprzyjaciela, a on już wie o waszym istnieniu i ukrywa przed wami Spękaną Skałą.

Kiedy matka umarła, Ruin i Reck przez jakiś czas bez celu wędrowali po świecie. Oboje przygotowywali się do zadania, które dla nich zaplanowano, choć żadne nie przyznawało się do tego. Reck uczyła się łucznictwa, potrafiła zabić każdego w zasięgu wzroku, ale odmawiała udziału w poszukiwaniach Spękanej Skały. Naśmiewała się z Ruina i jego nieustannych wysiłków, by tam dotrzeć.

— Wszystko to sny i majaki — mówiła — głupie przepowiednie.

A mimo to w każdej wolnej chwili szkoliła się we władaniu łukiem. Od geblingów, u których zatrzymywali się w czasie wędrówki, starała się jak najwięcej dowiedzieć o Nieglizdawcu.

Za to Ruin nie potrafił zabijać. Uczył się sztuki leczenia. Szwenął się po lasach, wypróbowywał różne rosnące tam zioła. Leczył nimi chore i ranne zwierzęta. Kiedy roślina wykazywała dobroczynne działanie, hodował ją i ulepszał jej właściwości. Wkrótce znał już zioła leczące infekcje, korzenie pomocne przy różnych chorobach, owoce uśmierzające ból. Miał też dar widzenia wnętrza.

Znał wszystkie zwierzęta, ich anatomię i potrafił uleczyć chory organ. Swej wiedzy nie czerpał z książek, tak jak ludzie. Biedni ludzie. Brakowało im innego umysłu — sekretnej pamięci, w której geblingi ukrywały swą wiedzę nawet przed sobą. Gdyby ktoś zapytał Ruina, co dolega jednemu z jego licznych pacjentów, nie umiałby odpowiedzieć, ponieważ jego umysł, który operował słowami, umysł podobny do ludzkiego — nie wiedział nic na temat leczenia. Jego myślący słowami umysł potrafił jedynie zapamiętać widoki i dźwięki. Mały z tego był pożytek. Ruin naprawdę ufał tylko swemu drugiemu umysłowi, ponieważ w nim kryły się wszystkie ważne umiejętności.

Problem jedynie w tym, że właśnie na ten drugi umysł działał Nieglizdawiec, by utrzymać geblinga z daleka od Spękanej Skały. Tylko słaby i znienawidzony ludzki umysł Ruina mógł prowadzić go w stronę domu, walcząc o kontrolę nad ciałem, zmagającym się bez chwili wytchnienia z przeszkodami, którymi nieprzyjaciel usiłował go zatrzymać. Ale co się stanie, gdy go wreszcie spotka? Czy potrafi mu się przeciwstawić? Czy też zostanie jego ofiarą?

Kiedy Ruin, głęboko nieszczęśliwy z powodu kolejnej porażki, dotarł wreszcie do domu, zapadał zmierzch. Po zapachu poznał, że wewnątrz są ludzie. Wiedział od razu, że ranny jest stary człowiek, o którego najbardziej martwi się dziewczyna, darząca go głębokim uczuciem. Gruba kobieta była tylko beczką potu, Ruin odrzucił jej zapach. Czuł także Willa, ale na niego również nie zwrócił uwagi. Jeśli jego siostra miała taki kaprys i chciała trzymać człowieka zamiast wołu, to jej prawo. Ruin nigdy nie odzywał się do Willa, a ten rewanożował mu się tym samym.

Rodzeństwo przy powitaniu nie wymieniło ani uśmiechu, ani uścisku. W powietrzu czuło się gniew. Ruin zapytał siostrę w geblie:

— Dlaczego pozwoliłaś im zostać, skoro cię obrazili?

— Dziewczyna — odparła Reck. — Nie powiesz mi, że nie czujesz, jak ona działa na Nieglizdawca.

Ruin podszedł do ubranej w chłopięcy strój dziewczyny, siedzącej w rogu pokoju. O tak, on też to czuł, jak dreszcz przebiegający po kręgosłupie. Kiedy stał koło niej, Nieglizdawiec nie odpychał go. Wręcz przeciwnie, przyzywał. Czegoś takiego Ruin nie czuł nigdy przedtem, chociaż o tym słyszał: zew Spękanej Skały. Było to niezwykle silne uczucie, jak obietnica fizycznej rozkoszy, jak miłość matki do dziecka. Ruin klęknął i przysunął twarz do twarzy dziewczyny. Nie zwrócił uwagi, że odwróciła głowę, i zignorował ruch jej ręki w kierunku włosów.

Siedząca tuż przy ogniu gruba kobieta krzyknęła:

— Trzymajcie to plugawe zwierzę z daleka od niej albo sama je zaraz zabiję.

— Spokojnie — szepnęła dziewczyna. — On powinien bardziej się obawiać mnie niż ja jego. — Ruin poczuł jej oddech na swym policzku, wydało mu się, że jest to ciepła bryza, wiejąca od Spękanej Skały, która po raz pierwszy w życiu przywoływała go.

Usłyszał mamrotanie grubej kobiety:

— Nagi gebling, zbliżający się do dziewczyny! Były czasy, kiedy geblingi znały swoje miejsce.

— Co mruczy ta śmierdząca kupa gnoju?

Reck przywołała go do porządku.

— Tłusta kobieta, która tak kocha geblingi, to Sken — powiedziała — A umierający mężczyzna nazywa się Angel.

Ruin odsunął się od dziewczyny. Sprawilo mu to prawie fizyczny ból, ponieważ poczuł, jak słabnie zew Spękanej Skały. Choć, nawet gdy znalazł się kawałek dalej, zew nie stracił całej swej siły, a przynajmniej równoważył stałą obecność nienawiści Nieglizdawca. Ruin do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak wielką część jego drugiego umysłu wykorzystuje nieprzyjaciel. Kiedy teraz badał ranę, zrozumienie przyszło tak szybko, że prawie mógł — niezupełnie, ale prawie — wyrazić je w słowach i wyjaśnić samemu sobie. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, kim mógłby się stać, gdyby Nieglizdawiec przestał istnieć.

Angel był nieprzytomny. Ruin nie musiał tracić czasu na usypianie go. Spróbował krwi, która przez cały czas sączyła się z rany. Znał tę truciznę, pochodziła z ziół rosnących w lesie. Rabusiowie byli z siebie ogromnie dumni, że potrafili ją wytwarzać. Znacznie bardziej martwiła go sama strzała. Spowodowała rozległe uszkodzenia, które powiększą się w czasie wyciągania. Przetyku nie da się tak łatwo wyleczyć i człowiek może umrzeć z głodu, zanim zdoła cokolwiek przełknąć.

— Muszę go ciąć powiedział Ruin w geblis. — Żeby go uleczyć od wewnątrz. Powiedz to ludziom. Znał wystarczające agarant i sam potrafiłby wyjaśnić, co zamierzał zrobić, ale tego typu kontakty pozostawiał Reck. On wolał porozumiewać się ze zwierzętami, które nie uważały się za istoty inteligentne.

W czasie gdy Reck tłumaczył słowa Ruina, on znalazł już zarodki grzyba, stanowiącego antidotum na truciznę. Wybrał cienki, mosiężny nóż ze swego pudła z narzędziami i delikatnie wyrwał długie, ładne pasmo drutowca z uprawy na oknie. Ziemię tak przygotował, by nie było w niej ani odrobiny metali, więc roślina po jakimś czasie rozpuści się wewnątrz ciała nie pozostawiając żadnych śladów. Położył ostrze i źdźbło drutowca na języku wraz ze specjalnym korzeniem, służącym do sterylizacji. Następnie zdecydowanym, szybkim ruchem naciął głęboko szyję mężczyzny, wokół strzały. Potem zagłębił język w zarodkach grzyba i wsunął go w nacięcie. Zarodki w kilka minut wykonają swoją robotę, pożywią się trucizną i wytworzą związek, który przyspieszy krzepnięcie.

Podczas oczekiwania na rezultat zabiegu Ruin rozmawiał z Reck, oczywiście w geblis, by ludzie ich nie rozumieli.

— Kim jest ta dziewczyna i dlaczego Nieglizdawiec ją wzywa?

— Skąd mogę wiedzieć? — odparła Reck.

Przecież wiesz wszystko na temat glizdawców. Ona jest za młoda, nie może być jedną z Mądrych.

— Chyba że jest mądra ponad swój wiek. Wydaje się bardziej niebezpieczna, niż na to wygląda. Nie boi się niczego. Nic nie mówi, ale przypuszczam, że to ona zabiła większość ludzi Druciarza.

— Gołymi rękami?

— Wiesz, że Nieglizdawiec pragnie pewnej ludzkiej kobiety. Czuwający powtarzają przepowiednię, w której siódma siódma siódma córka. . .

— Nie obchodzą mnie ludzie ani tym bardziej ich religie.

— Siódma siódma siódma córka urodziła się piętnaście lat temu ze zdezonizowanego heptarchy Korfu, który powinien rządzić całym światem, Ta dziewczyna jest w jej wieku.

— Trudno uwierzyć, że idąc do Spękanej Skały, wybrała właśnie drogę, wiodącą obok naszego domu.

Zarodki wykonały swe zadanie. Ruin złapał za brzeszczot i wyszarpnął strzałę. Mężczyzna krzyknął przez sen. Popłynęło więcej krwi, ale zarodki dzielnie wykonywały dalej swoją pracę. Ruin zgiął palec w kształt haka i złapał nim postrzępiony przetyk i wyciągnął go na wierzch. Potem zręcznie dokonał cięć usuwając postrzępione brzegi

Kiedy zszywał ranę zerwanym wcześniej źdźbłem drutowca, powiedział do Reck, ciągle używając geblic:

— Nieważne, czy jest właśnie tą, o którą chodzi w przepowiedni, czy nie. Nie dotrze do Spękanej Skały bez nas.

— Ja nie mam tam żadnej sprawy do załatwienia — oświadczyła stanowczo Reck.

— Masz, podobnie jak ja — stwierdził Ruin. — On powstrzymuje nas przed powrotem.

— Tyle tylko, że ja nie usiłuję tam iść, więc nie wyrządza mi żadnej krzywdy. Ty też powinieneś zaniechać prób, Ruin. Jak myślisz, dlaczego nasza rodzina pozostała na wygnaniu przez tyle pokoleń, jeśli nie po to, żeby trzymać się z daleka od Spękanej Skały?

— Ależ to on chce trzymać nas jak najdalej od tego miejsca! To zmienia postać rzeczy. Dawniej zawsze wymagał, by król geblingów mieszkał wraz z nim.

— Więc dlatego mamy tam pójść, że nas nie chce? I tak będzie sprawował nad nami władzę, jak przez całe nasze życie.

— Dotąd zawsze, siostró, używał geblingów do niszczenia wszystkiego, co zbudowali ludzie. Nie miał tyle sił, by rządzić całym naszym narodem, ale potrafił kontrolować króla, a ten rozkazywał innym. Ale tym razem sprawa ma się inaczej. On stara się rozbić jedność geblingów. I dlatego musimy tam iść.

— Mamy przeciwstawić się naszym przodkom dla jakiejś wydumanej mrzonki?

— Przodek, który ułożył ten plan, ulegał wpływowi Nieglizdawca. Dlatego

zdecydował się odejść ze Spękanej Skały. Nie możemy być pewni, czy tego pomysłu nie podsunął mu Nieglizdawiec.

— To jest błędne koło, bracie. Może wszystko, co robimy, jest zgodne z jego wolą?

— Widzisz? Musimy kierować się innymi pobudkami. I ja mam taki bodziec, kiedy nie czuję dyszenia Nieglizdawca na mojej twarzy i mogę wreszcie oddychać spokojnie. Czy Nieglizdawiec chce tego, czy nie, ona może nas do niego poprowadzić.

— Dopóki nie przestanie jej wzywać.

— Wszystko zależy od tego, czy jego pożądanie jest silniejsze niż strach przed nami.

— Jednak uwierzyłeś, że to ona.

— Może szczęście się do nas uśmiechnęło. — Ruin skończył pracę nad przełykiem. — Powiedz jej, że gardło wyleczy się w kilka dni. Będzie węższe niż przedtem. Stary człowiek musi dokładnie przeżuwać wszystko, co będzie jadł.

Reck odwróciła się i powtórzyła w agarant jego słowa podróznym. Ruin zszywał teraz ranę zewnętrzną, tym razem używając zwykłej nici. Reck po chwili dotknęła jego ramienia.

— Czy zmieniłbyś swoje plany, gdyby dziewczyna je poznała?

— A jak mogłaby je poznać? — zapytał Ruin, urywając nić.

— Właśnie odkryłam, że ona rozumie nasz język.

Ruin odwrócił się i spojrzał na dziewczynę. Jej twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Ponieważ wiedziała, że Angel przeżyje, zanim jej to zdążyłam powiedzieć. A potem udawała tylko, że czuje ulgę. Ale zapach jej potu mówił mi co innego niż wyraz twarzy.

Ruin uśmiechnął się do dziewczyny, pozwalając językowi wysunąć się trochę. Widok wąskiego języka geblingów zwykle denerwował ludzi, ale najwyraźniej na dziewczynie nie robił wrażenia. Odezwał się do niej w geblic.

— Nigdy nie próbuj oszukać geblinga, człowieku. Ty jesteś prawdziwą córką heptarchy, prawda?

Dziewczyna odpowiedziała tak płynnie i swobodnie, jakby spędzili na pogawędce cały dzień. Ruin zauważył, że mówi w geblic bez cienia zakłopotania, z jakim zazwyczaj ludzie wydawali dźwięki w jego mowie, używając do tego celu swych niezgrabnych języków.

— Nie, panie. To ja jestem heptarchinią.

A więc jej ojciec nie żył. Ruin nie poczuł współczucia na wieść o śmierci człowieka. Ludzie odgrywali widowiskowe przedstawienia żałobne, ale nie posiadali prawdziwego zrozumienia więzi rodzinnych. Nie mieli drugiego umysłu i potrafili

mówić tylko słowami. Żyli ze sobą, ale pozostawali sobie obcy. Jakie jest życie takich stworzeń? Nie złożył jej kondolencji.

— Wiesz, jakiej zapłaty oczekuję za uratowanie życia twego przyjaciela?

— On jest moim niewolnikiem, nie przyjacielem — odparła.

— Zabierzesz mnie ze sobą. Nie próbuj nawet ruszyć się dalej beze mnie.

— Być może nie idę wcale tam, gdzie myślisz.

— Idziesz do Spękanej Skały, by zniszczyć mój lud, a ja udam się z tobą i go uratuję.

— Dlaczego więc mnie nie zabijesz i nie zaoszczędzisz nam obojgu fatygi?

— On pragnie ciebie, ale jeśli cię zabiję, może się posłużyć kimś innym. A tak przynajmniej wiemy, kim jesteś i gdzie zmierzasz. Więc kiedy Nieglizdawiec zaprowadzi cię do swego gniazda, my będziemy tam z tobą. To chyba oznacza, że jesteśmy przyjaciółmi. — Uśmiechami się i mlasnął językiem.

Reck stała koło kociołka z zupą, trzymając w ręce łyżkę.

— Dlaczego ciągle mówisz my, skoro ja się z tobą nie wybieram?

Ruin nawet nie spojrział na nią.

— Ponieważ nie pozwolisz mi samemu zmierzyć się z Nieglizdawcem.

Reck wzruszyła ramionami.

— Zupa Willa jest już gotowa.

Ruin pochylił się nad heptarchinią. Chociaż ona siedziała, a on stał, nie musiał się zbytnio nachylać, by ich oczy się spotkały.

— Czy przyrzekniesz mi, że zabierzesz mnie ze sobą? Jako zapłatę za życie twego niewolnika?

— Masz moje słowo, ale nie jako zapłatę. Angel sam ci zapłaci za uratowanie życia, a moje słowo jest moim słowem.

Ruin skinął w skupieniu głową.

— W takim razie siądź z nami przy stole.

Reck roześmiała się głośno.

— Warto było znieść te wszystkie kłopoty tylko po to, żeby zobaczyć ciebie, Ruinie, jak zapraszasz człowieka do wspólnego posiłku.

— Ależ ona nie jest człowiekiem, nie widzisz tego, Reck? Ona jest kobietą Nieglizdawca i matką śmierci.

— Nie jestem niczyją kobietą — odparła dziewczyna. — Nazywam się Patience.

Tym razem roześmiał się Ruin.

— Patience — powtórzył. — Chodź i zjedz z nami, Patience.

Stół był przygotowany dla wygody geblingów. Dla Patience okazał się zbyt niski, by mogła siedzieć na krześle, więc umościła się na podłodze. Kiedy Sken zrobiła krok w stronę stołu, Ruin jednym spojrzeniem odesłał ją na miejsce koło paleniska. Will nawet nie próbował z nimi siadać. Obsłużył ich, a na końcu zaniósł miskę Sken.

Ruin zauważył, że Patience naśladowała wszystkie rytualne gesty grzecznościowe geblingów. Musiała znać je już wcześniej, ponieważ zupełnie naturalnie, tak jak one, proponowała najpierw każdy kęs jemu albo Reck i próbowała jej podsuwanych. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy ludzie byli zapraszani na wspólny posiłek do geblingów, zazwyczaj nie potrafili ukryć, jak wielkiego wysiłku i poświęcenia wymaga od nich jedzenie wspólną łyżką. Ale Patience zachowywała się cały czas z szacunkiem i wdziękiem. Kobieta Nieglizdawca powinna wzbudzać raczej wstręt, pomyślał Ruin. Ale nie miało to znaczenia. Zanim cała ta historia dobiegnie końca i tak, najprawdopodobniej, będzie musiał ją zabić. Czym jest śmierć człowieka, jeśli może dzięki niej uratuje swój naród?

Po skończonym posiłku napili się gorącej wody z garnka stojącego na ogniu. Ruin zaproponował, że poprowadzi ich przez las, ale Patience odrzuciła ten pomysł.

— Muszę zabrać ze sobą moich ludzi — powiedziała. — Kiedy Angel nabierze sił, pojedziemy powozem. Jeśli, oczywiście, uda się nam kupić konie.

Reck wzruszyła ramionami.

— Konie? Ruin jutro odnajdzie wasze konie. Dla niego las nie ma tajemnic.

— Mogę to zrobić, ale zaprzęganie ich do powozu nie miałoby sensu — oświadczył Ruin. — Musielibyśmy je bez przerwy wyciągać z bagien. Pójdziemy do następnego osiedla ludzkiego, sprzedamy konie i kupimy łódź. Wiatry tu wieją od zachodu, a Żurawia Woda jest szeroka i nurt ma spokojny. Bita droga to najgorszy szlak do Spękanej Skały.

Wszyscy się na to zgodzili. Jedyna sprzeczką wynikła później, kiedy w ciemności nocy Reck, leżąc koło Ruina, powiedziała mu, że zamierza zabrać ze sobą Willa.

— Kim on jest dla ciebie? — pytał po raz tysięczny Ruin. — Czy to twój kochanek? Chcesz urodzić małe potworki?

Nigdy nie odpowiadała na takie oskarżenia. Mruknęła tylko:

— Jest moim przyjacielem i jeśli ja mam iść, on pójdzie także.

— A więc olbrzym idzie z nami. Wobec tego lepiej kupmy dużą łódź. I tak jest już nas za wiele. — Potem jednak znowu zaczął mamrotać obraźliwe sugestie na temat obrzydliwości, jakie wyrabiają ze sobą Reck i Will, kiedy tylko Ruin zniknie im z oczu. Nie odpowiadała, ale on umilkł dopiero, kiedy poznał po równym oddechu siostry, że zasnęła. Dalsze próby rozniewania jej nie miały już sensu.



## Rozdział 10

# ŻURAWIA WODA

Nie stanowili najweselszej kompanii. Angel, słaby z powodu utraty krwi i z głodu, ledwo znosił trudy podróży. Choć mógł już pić mleko, które kupowali w mijanych gospodarstwach, wiele jeszcze czasu miało upłynąć, nim odzyska siły. Nawet kiedy był przytomny, przysłuchiwał się tylko rozmowom, ale prawie nigdy się nie odzywał. Podczas postojów w przydrożnych gospodach Patience karmiła go w jego pokoju kleikiem, pozostali jedli posiłki przy wspólnym stole. Geblingi spędzały z nim noce, pilnując go na zmianę, by podczas snu nie rozdrapał sobie rany.

W odróżnieniu od milczącego Angela Sken prawie nie zamykały się usta. Komentowała po cichu wszystko, co jej się nie podobało, i chociaż zazwyczaj nie zwracała się wprost do geblingów ani o nich nie mówiła, jasne było, że nie czuje do nich sympatii. W obraźliwy sposób pociągała nosem, kiedy tylko Ruin stanął obok. A kiedy Patience „trajkotała” z geblingami, Sken zapadała w ponure milczenie i złośliwie ciskała w grzbiety koni łupinami od orzechów.

Jednakże ani zgryźliwość Sken, ani cierpienie Angela nie zaprzętały zbytnio uwagi Patience. Zajmowało ją coś innego. Zew Spękanej Skały wzmagął się z każdym dniem, często nie pozwalając jej skupić się nad tym, co właśnie robiła lub o czym myślała. Wołanie zmieniło również formę. Nie działało już tylko na jej umysł. Teraz całe ciało dziewczyny wyrывało się do Spękanej Skały.

Pewnej nocy, którą spędzili w gospodzie niedaleko Żurawiej Wody, przyśnił jej się piękny, wspinający i przerażający sen.

— Patience — obudził ją szept Sken.

Kobieta potrząsała nią. Wokół panowały ciemności. Czy coś im zagrażało? Patience sięgnęła po pętlę.

— Nie! — Sken pchnęła ją z powrotem na materac

Patience poczuła lęk, że groźna może okazać się, sama Sken. Dziewczyna była wyszkolona do obrony przeciwko próbom zamachu na jej życie. W pierwszej chwili zawiódł ją zwykły refleks i upadła, ale zaraz doszła do siebie i już przygo-

towywała truciznę, by wcisnąć ją do ucha rzecznej kobiety.

— Słodka dziewczynka — powiedziała Sken. — Założę się, że taką właśnie chciała cię widzieć matka.

W głosie Sken brzmiał nie tylko sarkazm, ale i przerażenie połączone ze wstrętem. Kiedy promień światła rozproszył ciemności Patience dostrzegła te same uczucia na twarzy kobiety. Tak właśnie widzą mnie inni, pomyślała. Zwykli ludzie, którzy bawią się ze swymi dziećmi, tańczą na zabawach i obrzucają wyzwiskami na bazarach. Dla nich dziecko w moim wieku powinno mieć nieskalane serce. Gdybym wcześniej dojrzała poprzez miłość, to by ich smuciło, ale tak jak smuć dorosłych pierwsze oznaki fizycznego dojrzewania dziecka. To co innego niż widzieć, że tak młoda istota poznała gwałt i śmierć... Dla Sken jestem po prostu potworem, zdegenerowanym dzieckiem, które należało zabić i pogrzebać chwilę po urodzeniu.

Prawie wyrwały jej się słowa tego mnie nauczono i jestem w tym bardzo dobra.

Wtedy Sken zarzuciłaby jej, już drugi raz usiłowałaś mnie pozbawić życia. A może zadałaby tylko gorzkie pytanie: czy zabijasz nawet we śnie?

Na to Patience odpowiedziałyby: A czy król potrafiłby utrzymać pokój, gdyby nie używał takich narzędzi jak ja?

Ale nie miała zamiaru się bronić. Czasami mogła żałować, że była córką własnego ojca, ale i tak nic tego nie odmieni. Nie musiała się usprawiedliwiać, podobnie jak góra nie tłumaczy się, że jest potężna, urwista lub kamienista. Jestem taka, jaką mnie ukształtowano, sama nie wybierałam tej drogi.

Zamiast więc odpowiedzieć na sarkastyczną uwagę Sken, Patience zachowała się tak, jak przystało osobie noszącej jej imię, i spokojnie zapytała:

— Dlaczego mnie obudziłaś?

— Płakałaś przez sen.

— To niemożliwe — powiedziała Patience. Czyż Angel nie nauczył jej spać bez wydawania jakiegokolwiek dźwięku? Doskonale pamiętała zimną wodę, którą wylewał na nią, gdy wydała z siebie najcichszy jęk, aż osiągnął swój cel.

— W takim razie byłam świadkiem cudu. Głos dobiegał od strony twojego łóżka i brzmiał jak twój.

— Co mówiłam?

— Z twoich krzyków, dziewczyno, mogłam zrozumieć tylko jedno. Że kochanek zdobywał cię z taką gwałtownością jak farmer, który musi wzruszyć skalistą ziemię.

W tym momencie wróciło do niej mętne wspomnienie snu, a razem z nim wołanie Spękanej Skały.

— To przez niego — wyszeptała. — On wysyła mi te sny.

Sken kiwnęła głową ze zrozumieniem.

— Sny przygotowują dla niego twoje ciało, ale to nie on przyjdzie do ciebie.

— Ja muszę iść do niego.

— Przekleństwo kobiet — powiedziała Sken. — Wiemy, jak zechcą wykorzystać naszą miłość do nich, wiemy, że za to przyjdzie nam zapłacić wysoką cenę, ale idziemy do nich i zostajemy z nimi.

— To nie jest zwyczajny kochanek — odrzekła Patience.

Sken kiwnęła głową.

— O, to prawda. Ten, którego się kocha, nigdy nie jest zwyczajny. Czyżby naprawdę myślała, że Patience jest chora z miłości, jak jakaś wiejska dziewczyna, którą ciągnie do przystojnego parobczaka? Patience nigdy nie знаła uczuć wypełniających normalne, dziewczęce serca, więc przez chwilę rozważała, czy Sken nie ma racji. Ale to było absurdalne. Patience widywała młode szlachcianki, słuchała ich plotek na temat prawdziwych i wymagowanych kochanków. Niecierpliwe wezwanie Neglizdawca było czymś znacznie silniejszym.

Nawet w tej chwili je czuła. Ze wszystkich sił musiała się powstrzymać, by nie zerwać się z siennika w tej nędznej gospodzie i nie ruszyć, nie pobiec, nie popłynąć do Spękanej Skąły.

Głupie przypuszczenia Sken brzmiały całkiem niegroźnie. W innej sytuacji Patience przyjęłaby jej słowa jako pocieszenie, a nie lesbijskie zalecanki. Ale w tej chwili była zbyt znużona, zbyt napięta i nie zamierzała bawić się w dyplomację. Więc odpowiedziała z jadem, jaki czuła:

— I myślisz, że jeśli poczekaś wystarczająco długo, moja skłonność minie, co?

Sken nie miała oczywiście żadnych talentów dyplomatycznych.

— Ty mała jędo. Człowiek stara się być miły...

— W tym miesiącu stawiałam czoło śmierci częściej niż przez całe swoje życie — odpowiedziała Patience, jakby to tłumaczyło wszystko.

Sken znieruchomiła na moment, a potem się uśmiechnęła.

— Ale nie znasz się na łodziach tak dobrze jak ja.

— Nie jesteśmy teraz na wodzie — stwierdziła Patience.

— I również nie chcemy nikogo zamordować — dodała Sken.

Patience ułożyła się z powrotem na sienniku i uśmiechnęła lodowato. Punkt dla Sken.

— Śmierć i rzeka, każda z nas zna się na swoim fachu.

— Ten kochanek, przez którego krzyczysz przez sen...

— To nie jest mój kochanek — odparła Patience.

— On ciebie pragnie, tak? A czy ty pragniesz jego?

— Jak ryba wody.

Patience wstrząsnęła się. Tak to czuję, nawet w tej chwili, jakbym chciała zaczerpnąć świeżego powietrza. Potężny haust powietrza, który może okazać się jej ostatnim.

— Słuchaj — zwróciła się do Sken. — Jestem zrobiona z papieru. Sken dotknęła jej delikatnie, pogładziła chłodne i wilgotne ramię.

— Ciało i kości.

— Papier. Złożony tak, abym przyjmowała kształt, jaki chcą mi nadać. Dziedziczka Heptagonalnego Domu, córka lorda Peace, zabójczyni, dyplomatką, to wszystko są moje kształty. Wchodzę w nie, odgrywam swą rolę, znowu mnie składają inaczej i jeszcze inaczej. A ten, który mnie wzywa, jeśli mnie dostanie, będzie składał papier na dwoje, na troje, i jeszcze bardziej, aż w końcu zniknę.

Sken skinęła ze zrozumieniem głową, jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

— Co się stanie, jeśli mnie ktoś rozwinie? Kim się stanę?

— Obcą — powiedziała Sken.

— Tak, nawet dla samej siebie — szepnęła Patience. — Tak jak wszyscy.

— Naprawdę tak myślisz? Czy w tym ciele morderczynie może kryć się zwykła kobieta?

— Nie rób fochów — powiedziała Sken. — Każdy z nas jest poskładany i nikt naprawdę nie wie, kim jest. Ale ja wiem. Jesteśmy kawałkami czystego papieru. Identycznymi, nie zapisanymi skrawkami. To sposób składania powoduje, że różnimy się między sobą. Jesteśmy tymi zagięciami.

Patience potrząsnęła głową.

— Nie ja. Zapewne żadne życie nie zaczyna się bez jednego przynajmniej zagięcia, a moje już na pewno nie. Jestem czymś więcej niż to, co ze mną zrobili. Jestem czymś więcej niż tylko rolą, którą mam odegrać.

— W takim razie czym jesteś?

— Nie wiem. — Odwróciła się do ściany, pokazując w ten sposób, że uważa rozmowę za zakończoną. — Może dowiem się tego dopiero w chwili śmierci.

— A może dopiero wtedy, kiedy będziesz głową.

Patience odwróciła się z powrotem, łapiąc fałdy sukni Sken.

— Nie — szepnęła ochryple. — Gdyby coś takiego zrobili, przyrzeknij, że rozplatasz moją głowę na dwoje, wylejesz szyjki. . .

— Nie mogę ci tego przyrzec — odrzekła Sken.

— Dlaczego?

— Ponieważ jeśli ty, moja heptarchini, będziesz w takim stanie, że zdołają ci odjąć głowę, ja już nie będę żyła.

Patience rozluźniła uścisk i położyła się znowu. Wyznanie lojalności Sken ukoilo ją. Lecz równocześnie było ciężarem. Patience poczuła znużenie.

— Idź spać — powiedziała Sken — i nie śnij o miłości.

— Gdybyś była panią moich snów, o czym byś kazała mi śnić? — spytała.

— O morderstwie. Sądzę, że taki sen ześle ci spokój.

— Nie kocham śmierci — szepnęła Patience.

Sken poklepała ją po ręce.

— Wcale tak nie myślę.

— Nie chciałam śmierci mego ojca. Ani rany Angela. Nie chciałam tego.  
Sken przez chwilę spoglądała na nią zdziwiona i zaskoczona. Potem zrozumiała.

— Wiem, że nie chciałaś tego, dziewczynko — wyszeptała. — Ale to oznacza, że teraz sama musisz za siebie zdecydować, prawda? Przynajmniej przez jakiś czas. I dlatego dobrze się czujesz.

— Czasami to jest ekscytujące. Niekiedy — przerażające.

— Wiesz, że sama musisz zmierzyć się z najsilniejszym przeciwnikiem, jaki istnieje na tym świecie. . .

— Wcale to nie poprawia mi samopoczucia.

— Nie kłam — powiedziała Sken. — Czasami jesteś po prostu zachwycona.

— Nienawidzę go za to, czego on każe mi pragnąć. . .

— Ale chcesz samotnie stanąć do walki z nim. Stawić mu czoło i wygrać.

— Może.

— To zupełnie naturalne, że tego chcesz. Równie naturalne jak być idiotką.

— Potrafię zabić każdego.

— Każdego, kogo pragniesz zabić.

Słowa zawisły w powietrzu.

— Masz rację — powiedziała Patience. — Jak mogłabym go zabić, jeśli on sprawia, że go kocham?

— Widzisz? Nie możesz tego zrobić sama — powiedziała Sken. — Potrzebujesz Angela. Potrzebujesz geblingów, chociaż przyznaję, że są obrzydliwe. I ich pieszczoszka olbrzyma także. Być może nawet potrzebujesz mnie.

— Nawet ciebie — wyszeptała Patience.

— Teraz śpij. Jesteśmy wszyscy z tobą, znajdujesz się w centrum wydarzeń i my również. Będziesz miała mnóstwo czasu, żeby się rozwijać, kiedy to wszystko się skończy, a skalp twojego kochanka zawiśnie na kołku.

Patience spała. Nigdy potem nie wróciła do tej nocnej rozmowy, ale jej stosunki ze Sken zmieniły się od tego czasu. Kłóciły się jak zawsze, bo kobieta po prostu nie umiała inaczej obcować z ludźmi, coś się jednak zmieniło. Powstały między nimi jakby siostrzane więzi. Choć wydawało się, że byłyby bardzo dziwnymi siostrami, ale mimo wszystkich różnic, przyjaznymi sobie.

Rano cudaczna karawana wyruszyła znowu. Ale dzięki nocnej rozmowie Patience inaczej patrzyła teraz na swych towarzyszy. Zastanawiała się teraz: w jaki sposób mogą ich użyć, do czego ona mi się przyda, czy jego siła zrównoważy jej słabość? Wszyscy oni stanowili zagrożenie dla Patience, ale dla Nieglizdawca również. Szczególnie geblingi były dla niej tajemniczymi istotami. Im dłużej Patience się im przyglądała, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że stworzenia te komunikowały się głównie bez użycia mowy, jakby jedno wyczuwało potrzeby drugiego. Zazdrościła im bliskości. Starła się nawet ich naśladować i podchodziła od czasu do czasu do Angela, gdy wydawało jej się, że czuje jego wezwanie.

Czasami udawało jej się trafić. Częściej jednak intuicja zawodziła ją. Ona po prostu nie miała tego daru, który posiadały geblingi. Ich siła wywodziła się z tego świata. One były jak Nieglizdawiec. Należały do tej planety, ona była tu obca.

Wreszcie podróż łądem skończyła się. Znowu przed ich oczami pojawiła się rzeka, tym razem z pełnym zgiełku miastem na brzegu. Bez problemu znaleźli kupca na konie i powóz. Oczywiście tak blisko Spękanej Skały wszyscy kupujący byli geblingami. Patience, przebrana za zamożnego młodzieńca, zabrała ze sobą Willa na wypadek, gdyby ktoś chciał ją obrabować, sama zajęła się targowaniem ceny. Wprawdzie Ruin czy Reck mogliby dopomóc w transakcji, ale nie sądziła, by udało jej się wtedy uzyskać dobrą cenę. Geblingi miały zwyczaj dawania sobie wzajemnie prezentów, nie umiały zarabiać. Patience wiedziała, że skarbczyk Angela wystarczyłby, by kupić wiele łodzi, nie chciała jednak marnotrawić posiadanego majątku. Gdyby wydali wszystko, nie mieliby możliwości zdobycia pieniędzy.

Kiedy sprzedali powóz, Patience z uzyskaną kwotą w rękę — wciąż w przebraniu — zabrała Sken, żeby kupić łódź. To ona przecież wychowała się na wodzie. Kto lepiej niż Sken mógł ocenić, jaką żaglówką powinni płynąć w górę rzeki.

— Ta nie — powtarzała Sken raz za razem. Za mała, za głęboka, w kiepskim stanie, nie nadaje się do podróży w górę rzeki, ma za twarde ster — w każdej znajdowała jakiś feler.

— Jesteś zbyt wybredna — oświadczyła wreszcie Patience. — Przecież nie mamy zamiaru spędzić na niej reszty życia.

— Jeśli wybierzemy złą łódź — stwierdziła Sken — właśnie to nas czeka.

Kiedy szły tłoczonym nabrzeżem, Patience zauważyła, że łodzie są kupowane lub wynajmowane tylko przez ludzi.

— Nasz powóz wziął gebling — powiedziała. — Czy one nie podróżują wodą?

— Nie mnie pytaj o geblingi — odparła Sken. — Mogę mieć tylko nadzieję, że tych dwoje nie popłynie z nami.

— Uratowały życie bardzo drogiego mi człowieka — sprzeciwiła się Patience.

— A jeśli już popłyną, to chciałabym wierzyć, że nie zapomną, kto jest kapitanem.

— Ja jestem kapitanem — oświadczyła Patience.

— Nie popłynę byle jaką łodzią, nikt przy zdrowych zmysłach by się tego nie podjął — odparła Sken. — Ty masz pieniądze, więc jesteś właścicielką. Ja wiem, jak żeglować, a to znaczy, że ja jestem kapitanem.

— Nadrzędną władzą?

— Niezupełnie.

— Tak? Więc kto stoi ponad kapitanem?

Sken nie zdążyła udzielić odpowiedzi na to pytanie. Jakiś męski głos wtrącił z boku:

— Pilot.

Patience odwróciła się, ale nie zobaczyła nikogo, poza podskakującą małpą. W ten sposób zwierzę dęło w miech. Pęcherz powietrzny połączony był z rurą, która biegła do szklanego słoja, a tam łączyła się z tchawicą głowy. Jej oczy spoglądały przez górną pokrywę.

— Pilot? — zapytała Patience.

Sken nie zauważyła jeszcze, skąd pochodzi głos i potwierdziła:

— Tak, pilot. Ktoś, kto zna rzekę. Każda rzeka jest inna i zmienia się co roku. — Kiedy odwróciła się i zobaczyła, że rozmawia z głową w szklanym słoju, skrzywiła się.

— Nieżywy — prychnęła. — Ten nam wiele nie pomoże.

— Pływałem w górę i w dół Żurawią Wodą każdego dnia przez ostatnie dwieście lat — powiedziała głowa.

— Głowy nie potrafią nauczyć się niczego nowego — oświadczyła Patience.

— Nie zwracają uwagi, co się wokół nich dzieje i zapominają zbyt szybko.

Małpa wciąż podskakiwała. To było irytujące.

— Ja zwracam uwagę na wszystko — powiedziała głowa pilota. — I znam rzekę. Niektórzy piloci traktują rzekę jak nieprzyjaciela, mocują się z nią przez cały czas. Inni uważają ją za boga, czczą ją, modlą się do niej lub ją przeklinają. Jeszcze inni używają jej jak dziwki, ale to ona bawi się z nimi. Są też i tacy, którym służy za kochankę, żonę, rodzinę; żyją i umierają dla niej. Ale dla mnie...

— Chodźmy stąd, paniczu — powiedziała Sken.

Ale Patience słuchała.

— Mnie Żurawia Woda niczego nie przypomina. Ta rzeka jest po prostu mną. Mam na imię River i ona jest moim ciałem, moimi ramionami, moimi nogami.

Małpa przestała pompować i zaczęła się iskać. Głowa uśmiechnęła się, ale szkło słoja zamieniło uśmiech w chytry grymas. Małpa złapała wesz, połknęła ją i wróciła do pracy. Powietrze znowu napełniło tchawicę pilota.

— Moja łódź jest porządna — powiedział River.

— Twoja łódź to przegniłe, stare czółno — stwierdziła Sken.

— Jeśli tak mówisz. Ty jesteś kapitanem, a jak będziesz miała dobrą łódź, wrócisz i wynajmiesz mnie jako pilota.

— Znajdziemy sobie żywego pilota — powiedziała Sken — ale dzięki za propozycję.

— W porządku, idźcie sobie, macie przecież nogi, możecie odejść, cóż to dla was.

Nad ich głowami zatoczył krąg sokół i wreszcie wylądował na małej platformie na topie masztu, gdzie był przyczepiony River. Ptak trzymał w szponach piszczącego szczura. Rozerwał mu brzuch, pożywił się wnętrznościami, których część wrzucił do słoja. W pojemniku zakotłowało się, kiedy szyjki i czerwie główne rzuciły się na jedzenie.

— Wybaczcie, ale nadeszła moja pora lunchu — powiedział River. — Jak widzicie, jestem całkiem samowystarczalny. Nie musicie mnie żywić, chociaż byłbym wdzięczny, gdybyście pilnowali, by mój słój zawsze był pełny Żurawiej Wody. A już byłoby bardzo miło z waszej strony, gdybyście od czasu do czasu go umyli. Małpa brudzi słój swymi odchodami.

— Gdzie jest twój właściciel? — zapytała Patience.

— Nie myślisz chyba o... — Sken była wyraźnie poirytowana.

— Idź kupić łódź, Sken. Masz na to piętnaście minut. Wybierz najlepszą, a ja dołączę do ciebie, gdy dojdzie do ustalania ceny.

— Nie zgodzę się, by to coś zostało naszym pilotem.

— Jeśli Ruin i Reck godzą się wytrzymać z tobą jako z kapitanem, ty musisz znieść Rivera jako pilota. Czy nie ty powiedziałaś mi, że pilot jest najważniejszy?

— Ciebie to bawi — stwierdziła Sken. — Robisz mi na złość, a myślałam, że jesteśmy w dobrej komitywie.

— Nie robi pan błędu, paniczu — powiedział River. — Pilot musi wiedzieć, gdzie na wodzie są ławice piasku, gdzie płyną prądy, gdzie rzeka jest szybsza, a gdzie wolniejsza, gdzie płytsza, a gdzie głębsza. Ja to wszystko wiem i przeprowadzę pana, zakładając, że wszyscy będziecie mnie słuchać, nie wyłączając tej Królowej Łoju, która jest z panem. Czy zbiera pan jej pot i sprzedaje jako olej do lamp?

Patience roześmiała się. Sken nie.

— Kup łódź — poleciła Patience. — Chcę tego pilota, z wielu powodów.

— Powodem jest rozważa, powodem... — radośnie zaczął River.

— Zamknij się — uciszyła go Sken. A potem zwróciła się do Patience. — Paniczu, nie znasz przecież tego człowieka...

— Poznaję po jego pomarszczonej twarzy, że przeżył przynajmniej dwieście lat i to w ciężkich warunkach.

— O, to czysta prawda. Cała męka mojego życia wypisana jest na tej twarzy — powiedział River.

— A więc jest stary — oznajmiła Sken.

— Jest głową przynajmniej od lat stu — powiedziała Patience. — I przez ten cały czas pracuje jako pilot na rzece. Przez te wszystkie lata nigdy nie zawiódł żadnego ze swoich klientów. Nigdy nie ugrzązł na mieliźnie ani nie rozbił się na skale.

— Skąd możemy to wiedzieć? — dopytywała się Sken.

— Młody pan ma dar odkrywania prawdy — stwierdził River.

— Ponieważ jest tutaj — odparła Patience. — Gdyby choć raz zawiódł swego klienta, słój zostałby rozbity, a głowa wrzucona do rzeki.

Sken przyglądała się Patience pałającym wzrokiem, ale nic nie powiedziała. A potem ruszyła wzdłuż nabrzeża, przyglądając się uważnie kolejnym łodziom jeszcze sceptyczniej niż poprzednio.



— Jesteś mądry — powiedział River. — Mam nadzieję, że wśród stu synów, jakich spłodziłem, kiedy jeszcze mogłem to robić, znalazł się przynajmniej jeden tak hojnie obdarowany przez naturę, tak inteligentny i tak...

— Bogaty.

— ...jak wasza miłość. Chociaż życzyłbym sobie syna z mocniejszym zarostem.

— Tak jak syn wolałby, by jego ojciec miał więcej członków.

River zachichotał. Śmiech brzmiał nienaturalnie, ponieważ pochodził wyłącznie z ust.

— Obojgu nam czegoś brakuje. Trudno temu zaprzeczyć.

— Kiedy przyjdzie twój właściciel? — zapytała Patience.

— Gdy wyślę po niego małpę.

— Więc ją wyślij.

— I stracę możliwość rozmowy z takim sympatycznym młodym kawalerem? Miałem w swoim łóżu kilku takich chłopczków i zaręczam, że każdy z nich mi potem dziękował.

— W takim razie ja dziękuję, że zanim mnie spotkałeś, straciłeś to, czego mógłbyś użyć w łóżu.

River mrugnął okiem.

— Nic cię nie szokuje, co?

— W każdym razie nic, co mieszka w słoju — powiedziała Patience. — Poślij małpę. Jeśli chcesz rozmawiać, mogę czytać z twoich warg.

River wydał trzy ostre dźwięki. Patience zdała sobie sprawę, że do tego nie potrzebował powietrza. Małpa w jednej chwili puściła miech i wspięła się na wysokość ust głowy. Przycisnęła czoło do szklanej powierzchni słoja tuż przy twarzy Rivera. Nastąpiły kolejne jazgotliwe dźwięki, klaskanie językiem, ruchy warg, po czym małpa zeskoczyła na nabrzeże i wmieszała się w tłum.

River jeszcze raz klasknął i tym razem odleciał sokół.

Patience stała, odczytując z ust Rivera dowcipy i historie, które jej opowiadał. Przyglądała mu się przy tym uważnie. Przez cały czas czuła również wołanie Spękanej Skąły. Chodź szybciej, potrzebuję ciebie, kochasz mnie, będę cię miał. Wołanie nie układało się w słowa, bo to nigdy nie były słowa, tylko pragnienia. Biegnij do mnie, już, natychmiast.

Głowa o imieniu River paplała i paplała. Im dłużej Patience jej się przyglądała, tym mniejsze widziała podobieństwo do ojca. To dobrze. Nie chciała myśleć o ojcu.

\* \* \*

Kiedy znaleźli się już na wodzie, Sken poczuła się wreszcie w swoim żywiole, co dała wszystkim odczuć. Nie przeszkadzały jej nawet polecenia, które wymrukiwał River wiszący w słoju na maszcie przy kole sterowym. Kiedy udowodnił, że zna rzekę, z chęcią stosowała się do jego poleceń. Sterowanie należało do pilota — o wszystkim innym na łodzi decydowała Sken. Pozostawiła w spokoju tylko Angela, który nie dręczony wybojami drogi, leżał wreszcie wygodnie. Pozostałych zaganiała bez przerwy do żagli i wiosła.

Szczególną przyjemność sprawiało jej rozkazywanie Reck i Ruinowi, a najbardziej wysyłanie ich na maszt, by poprawiali dwa żagle. Przyglądała się z nie ukrywanym zadowoleniem ich twarzom, kiedy wisieli nad wodą, wykonując zlecenie. Nie mieli lęku wysokości, nie unikali też pracy. Tylko sama woda sprawiała, że czuli się nieswojo. Trzeba jednak przyznać Sken, że nie nadużywała swojej władzy. Jak każdy dobry kapitan wiedziała, że geblingi będą jej słuchać tylko dopóty, dopóki jej polecenia miały sens.

Patience również wykonywała swoją część pracy. Na początku Sken nie potrafiła wydawać jej poleceń, ale gdy Patience nie miała nic do roboty, sama przychodziła i prosiła o przydzielenie jakiegoś zajęcia, aż wreszcie Sken nauczyła się wyszczekiwać do niej rozkazy z równą łatwością jak do innych. Patience przyjmowała z wdzięcznością każde zadanie, które wymagało od niej skupienia umysłu. Zew Spękanej Skąty nie milkł ani na chwilę, ale łatwiej go znosiła, gdy była czymś zajęta. Spędzała więc czas na porządkowaniu lin, wciąganiu lub spuszczeniu żagla. Kiedy River nakazywał im płynąć w górę rzeki, sterowała, lawirując pomiędzy wirami, by utrzymać wiatr w żaglach, a w razie potrzeby siadała też przy wiosłach lub łapała się za pagaj, przepychając łódź przez kanał. To było ciężkie, ale aktywne życie i Patience pokochała rzekę, ponieważ przynosiła jej ukojenie, a poza tym podobał jej się taki styl życia. Kiedy przyglądała się teraz Sken, rozumiała, skąd brała się szorstkość kobiety. Rzeka nie obchodziła się z nią delikatnie.

Choć Sken była rzeczywiście dobrym kapitanem, zdarzało jej się również popełniać błędy. Po kilku dniach Patience zauważyła, jak bezlitośnie tyranizuje ona Willa, głównie dlatego, że jej na to pozwalał. Musieli bez wątpienia ważyć tyle samo, a on znacznie przewyższał ją wzrostem. Wręcz komicznie wyglądało, kiedy widziało się go ciągnącego linę albo wlokącego coś z górnego pokładu na dolny lub odwrotnie, kiedy jego potężne mięśnie napinały się jak postronki, a gruba kobieta obrzucała go przekleństwami. Biedny Will, myślała Patience. Poznaje wszystkie złe strony małżeństwa, a żadnej dobrej. Ale znosił wymyślenia dobrze, jakby mu wcale nie wadziły. Stało się to częścią życia na łodzi. Patience nie wtrą-

cała się.

Był wczesny ranek. Will wyciągał kotwicę, a Reck wciągała żagiel. Ruin siedział w łodzi, spoglądając ponuro przed siebie. Sken wysłała Patience, by zakna-gowała linę, którą Reck ciągnęła w dół. W ten sposób znalazła się koło Ruina, który nie pracował na tej wachcie. Zobaczyła, jak się wzdrygnął, kiedy podeszła bliżej.

— Czy aż tak silnie odczuwasz głos, który mnie woła? — zapytała. Przytak-  
nął, ale nie patrzył na nią.

— Kto to jest ten Nieglizdawiec?

— Nieglizdawiec. On.

— Ale jak wygląda?

— Nikt nigdy go nie widział.

— Skąd pochodzi?

— Wyszedł z tego samego łona, co geblingi.

To był oczywiście język religii i Patience momentalnie zrozumiała znaczenie tych słów.

— W takim razie on jest geblingiem?

— Może nim być. — Ruin wzruszył ramionami. — Ale posiada większą moc niż jakikolwiek gebling. I nienawidzi nas. Tyle tylko o nim wiemy. — Podniósł powoli rękę i wskazał na rzekę. — Ta woda — on zatruwa ją swoją nienawiścią, by skuwała strachem nasze serca.

— Zew — czy to działa tak samo, jak wtedy, gdy ty i Reck się przyzywacie?

— My nie potrafimy kontrolować się wzajemnie, jeśli o to ci chodzi — po-  
wiedział Ruin. — Czujemy, i to wszystko. Im jesteśmy bliżej związani rodzinnie,  
tym mocniej. Ja i Reck jesteśmy bliźniakami.

— Ale Nieglizdawiec potrafi panować nad każdym z was.

— Nawet nad ludźmi. My tego nie potrafimy.

— On jest jak gebling, tylko silniejszy.

Ruin wydał jej się rozgniewany.

— On nie jest jak gebling.

— Więc dlaczego mówisz o nim on? Skąd możesz wiedzieć, że jest rodzaju  
męskiego?

— Ty też to wiesz. Ponieważ on szuka siódmej siódmej siódmej córki, a nie  
siódmego siódmego siódmego syna. — Ruin obrócił się powoli i spojrzął jej  
w twarz. Uśmiechnął się, ale niezbyt przyjemnie.

— Cóż dobrego może mu dać parzenie się z istotą ludzką? Potomstwo nie  
byłoby zdolne do życia. Życie pochodzące z innej planety i miejscowe nie może  
się łączyć.

— Ludzie wręcz wzruszają mnie swą wiarą w mity. Wyraźnie chciał ją zbić  
z pantałyku. Patience widziała, jak to samo robi z Reck, i nie dała się wciągnąć  
w grę.

— Czy w takim razie on także jest obcą rasą?  
— Niewykluczone. A może jest jedynym przedstawicielem swego gatunku, jaki kiedykolwiek żył.  
— To niemożliwe. Gatunki nie biorą się, ot tak, z niczego. Muszą istnieć rodzice. Całe generacje. Tyle przynajmniej mnie nauczono.  
— Największą zaletą nauki jest — powiedziała Reck, która właśnie przechodziła za plecami Patience — utrzymywanie głupców na zawsze z daleka od prawdy, nawet tej, że nic nie wiedzą.  
Ruin spochmurniał.  
— Może taka jest nauka ludzi — powiedział.  
Reck złapała go za futro na wierzchu dłoni, a potem trzepnęła w nią.  
— Oj! — jęknął. Przykrył uderzoną dłoń drugą i przytulił do siebie, jakby go bardzo bolało.  
Reck uśmiechnęła się słodko.  
— Nie jesteś lepszym naukowcem niż ludzie.  
— Widzę to, co widzę, a nie to, co chcę zobaczyć. A tego nie da się powiedzieć o nich. — Wskazał na Patience ze wzgardą.  
Reck podrzuciła głowę.  
— Gdybyś zapytał Mądrych spośród ludzi, powiedzieliby to samo o tobie. Nigdy nie widzisz nic, poza tym, czego się spodziewasz zobaczyć. A kiedy to widzisz, nadajesz temu starą nazwę i udajesz, że zjadłeś wszystkie rozумы. W taki sposób każdy mówi to samo, co wszyscy już zgodzili się na ten temat powiedzieć, i wtedy czuje się bezpieczny, jakby zrozumiał świat.  
— Ależ ty jesteś mądra! — powiedział Ruin nieprzyjemnym tonem. Patience widziała, że jego gniew nie jest udawany.  
— Taką kazała mi być matka, kiedy nadawała mi imię. „Reck”, dziecko, znaczy myśleć, a to z kolei oznacza zastanawiać się nad przyczyną wszystkiego.  
— Wasze imiona determinują wam życie? — spytała Patience. — W takim razie rodzice mieli wobec ciebie słodkie plany, Ruin.  
Ruin i Reck spojrzeli na nią, jakby dopiero w tej chwili przypomnieli sobie o jej obecności. Odślonili się przy niej bardziej, niż powinni wobec jakiegokolwiek człowieka. Patience czuła zakłopotanie, że postawiła ich w niezręcznej sytuacji. Ona również zapomniała zachować się dyplomatycznie. Dyplomata jest zawsze czujny w stosunku do obcych, nigdy nie staje się ich przyjacielem. Na moment zapomnieli, że nigdy nie mogą stać się sobie bliscy. To przejęło ich zdumieniem i zirykowało.  
Patience uśmiechnęła się i odeszła, czując na plecach ich spojrzenia niby ostrza noży. Ale nie tak dojmująco ostre jak tęsknota, która nią nagle zawładnęła. To przypomniła o sobie Spękana Skała.  
Czy tak wielkie pragnienie torturowało ojca, kiedy zabrały się za niego czerwone główne? Czy ugiął się pod taką właśnie mocą, czy jeszcze silniejszą? Czy

stanę przed Neglizdawcem, który chce kobiety, a nie mężczyzny, tylko po to, by ulec jego woli jak głowa bez ciała, która traci siłę oporu? Czy będę tak spragniona, że zrobię wszystko, czego ode mnie zażąda, nie myśląc nawet o oporze?

Te myśli zaprzętały ją przez resztę poranka, kiedy przeglądała rzeczy, które znalazła w kuferku Angela. Gdyby sprawy nie potoczyły się po jej myśli, komplet trucizn na pewno mógł się przydać.

— Cóż za nieostrożność — doszedł ją głos Angela. W jednej chwili zamknęła kufer jak mała dziewczynka, przyłapana na łasowaniu w spiżarni.

— To należy do ciebie — powiedział Angel — ponieważ ja jestem twoim niewolnikiem.

— Nie uważam tego za moją własność — odparła. — Ciebie również nie. Tak naprawdę to nigdy w życiu niczego nie miałam na własność.

— Posiadanie to bardzo subtelna sprawa. Większość ludzi uważa, że posiada mnóstwo rzeczy, które wcale do nich nie należą. Ty myślisz, że nigdy nic nie miałaś, a masz bardzo wiele.

— Cóż takiego?

— Mnie. Ten kufer. I całą ludzkość.

Potrząsnęła głową.

— Być może jestem odpowiedzialna za wszystkich ludzi, ale nigdy o to nie prosiłam i na pewno oni do mnie nie należą.

— Aha. A więc myślisz, że odpowiedzialność i posiadanie to dwie różne sprawy. Matka i ojciec dbają o dziecko i utrzymują je przy życiu — czy więc posiadają je? A jeśli o nie nie dbają, czy nadal dziecko jest naprawdę ich? Dziecko słucha swoich rodziców, służy im, a ponieważ oni postępują z myślą o korzyści dziecka, ono coraz bardziej staje się ich. To ono decyduje, czyje jest.

— Twoje słowa są bardzo subtelne, ale jeśli starasz się mi powiedzieć, że ja miałam ojca, możesz już w tej chwili zrezygnować z aspiracji do zostania Mądrym.

— Zgodnie z moim rozumowaniem to, co powiedziałem, jest prawdziwe. Ale przyznaję, że większość ludzi traktuje posiadanie w inny sposób. Myślą, że są właścicielami tego, co stanowi część ich życia. Spójrz na Sken i tę łódź. Traktuje jej części jak fragmenty własnego ciała, czuje wiatr w żaglach, jakby to jej własne ciało wyginało się w podmuchu i ciągnęło nas do przodu. Kołysanie łodzi to dla niej rytmiczne uderzenia własnego serca. Posiada tę łódź, ponieważ ona stała się jej częścią.

— W ten sam sposób River jest właścicielem Żurawiej Wody — stwierdziła Patience.

— Tak — powiedział Angel. — Nie odczuwa utraty ciała, ponieważ prądy i wiry, brzegi i kanały stanowią jego ręce i nogi, jego wnętrzości i męskość.

Patience szukała w myślach czegoś, co posiadałaby w ten sposób, w jaki Sken posiada łódź. Nie istniało nic, co mogłaby traktować jako część samej siebie. Nic

na całym świecie. Nawet ubranie i broń, którą cały czas nosiła przy sobie, nie należały do niej, w każdym razie nie w takim sensie. Dla siebie samej zawsze była naga i bezbronna, mocna tylko siłą własnego rozumu, i nie potrafiła sięgnąć dalej niż tam, gdzie docierały jej ręce i nogi.

— Jeśli na tym polega posiadanie, to nie posiadam nic — powiedziała Patience.

— Niezupełnie. Nie masz nic na własność, ponieważ nie pozwalasz niczemu, poza kilkoma sposobami obrony, paroma językami i niewielką garścią wspomnień, stać się częścią ciebie. Ale masz również na własność wszystko, ponieważ cały świat jest częścią ciebie. Ta planeta jest jakby częścią twego ciała, a wszystko, co boli ludzi, boli również i ciebie.

Jeśli chce, niech sobie tak myśli, ale ja wiem, że się myli. Wcale nie czuję, by ludzkość należała do mnie, chociaż ojciec często uczył mnie, że tak właśnie powinien czuć heptarcha. Jestem samotna, odcięta od wszystkich i wszystkiego. Ale ty, Angelu, wierz w to, w co chcesz wierzyć. Zmieniła temat.

— Na pewno czujesz się wystarczająco dobrze, by wstawać i chodzić?

— Przecież teraz nie chodzę, prawda? Siedzę. Prawdę mówiąc ostatnimi czasy czułem się już znakomicie. Po prostu lubię trochę poleniuchować.

— Przez te ostatnie tygodnie tak bardzo cię potrzebowałam. . .

— Wcale mnie nie potrzebowałaś i dużą przyjemność sprawiało ci podejmowanie samodzielnych decyzji. Ale cieszę się, że nie chcesz mnie odrzucić. Mogę ci jeszcze pomóc. Na przykład: nie potrzebujesz tej trucizny.

— Może mi się przydać.

— Masz coś lepszego.

— Co?

— Kryształ z ramienia twego ojca.

Ojciec powiedział jej, że nikt o nim nie wie.

— O jakim kryształe mówisz?

— Przez tydzień naszej podróży po Radosnej męczyłaś się, a nocami podczas postoju rozgrzebywałaś to, co z ciebie wyszło. Tylko dla jednej rzeczy warto znosić takie przykrości.

— Myślałam, że śpisz.

— Dziecko, kto by mógł spać w takim smrodzie.

— Nie żartuj sobie z tego, Angelu.

— Przypuszczam, że go znalazłaś.

— Ojciec kazał mi go wziąć, ale nie powiedział, do czego kryształ służy ani jak go można wykorzystać.

— Twój ojciec nigdy go nie użył. A przynajmniej nie korzystał z pełnych możliwości kryształu. Żeby był w pełni wykorzystywany, musi zostać umieszczony gdzie indziej w twoim ciele. Głęboko w mózgu. — Angel uśmiechnął się do niej. — A płyniesz teraz w towarzystwie znakomitego chirurga.

— Ojciec zapowiedział mi, że faktu posiadania kryształu nie mogę ujawnić geblingom.

— Czasami trzeba podjąć ryzyko.

— Czym on właściwie jest?

Przerzucił się na gauntish.

— Władzą, moja umiłowana heptarchini. Ale tylko niewielu z twoich przodków odważyło się umieścić kryształ w mózgu.

Zapytała w tym samym języku:

— Chcesz powiedzieć, że ojciec nie odważył się na taką operację?

— Sama operacja jest całkowicie bezpieczna. Ale jej skutek był kompletnie różny dla kolejnych heptarchów. Niektórzy tracili zmysły. Jeden nawet wymordował swoje dzieci, wszystkie poza jednym. Inny rozpoczął kilka równoczesnych wojen ze swymi sąsiadami, w wyniku których jego królestwo skurczyło się do samej heptarchii i kilku wysp na zachodzie. Byli też tacy, którzy twierdzili, że patrzą teraz na świat zupełnie inaczej i rządzą znakomicie. Ale prawdopodobieństwo działa na twoją niekorzyść. Kryształ zaimplantowany w mózgu odpowiada na twoje pragnienia. Gdybyś szczerze życzyła sobie śmierci, to mając w głowie kryształ, umrzesz. Musisz zaryzykować.

— A jeśli oszaleję?

— Wtedy prawdopodobnie będziesz maniakalnie dążyć do konfrontacji z wrogiem ludzkości w Spękanej Skale. Będziesz gotowa zmierzyć się z nim bez przygotowania, bez wystarczających informacji na jego temat. I w związku z tym przegrasz w pojedynku.

— Innymi słowy to, co robię w tej chwili.

— Trudno wyobrazić sobie, byś mogła zachowywać się jeszcze głupiej. Chyba że na dodatek zdecydowałabyś się zabrać ze sobą dwa geblingi, które najprawdopodobniej zamordują cię w chwili, gdy doprowadzisz ich bezpiecznie do Nieglizdawca.

Przypomniała sobie, co powiedział chwilę wcześniej o geblingach.

— Dlaczego nie wolno mi zdradzić się przed geblingami, że jestem w posiadaniu klejnotu?

— Ponieważ to nie jest klejnot.

— Nie?

— Jest to organiczny kryształ wyjęty z mózgu króla Spękanej Skały w czasach, kiedy na tej planecie żyła piąta generacja ludzi.

— Króla geblingów. Do czego on go używał?

— Geblingi niechętnie rozmawiają z nami na ten temat. Wiemy tylko, jak działa on na ludzi, ale nie mamy pojęcia, w jaki sposób posługiwał się nim król geblingów.

Patience skinęła głową.

— Jeśli został mu ukradziony, to — jak sądzę — powinien należeć do Reck i Ruina.

Jakiś cień przemknął po twarzy Angela, ale natychmiast znikł. Nie był to grymas, który wszyscy zdołaliby dostrzec, ponieważ trening pozwalał mu zachować twarz właściwie bez wyrazu. Ale Patience potrafiła zauważyć ulotną zmianę i zrozumiała, że Angel był zdziwiony, a może nawet przestraszony. Cóż go tak zaskoczyło? Czyżby nie wiedział, że brat i siostra są dziećmi króla geblingów? Ale rzeczywiście nie wiedział.

Kiedy Patience podsłuchiwała rozmowę geblingów, z której dowiedziała się, kim są naprawdę, Ruin zszywał ranę Angela. Nauczyciel był wtedy nieprzytomny, a od tego czasu nikt o tym nawet nie wspomniął.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie wiedziałeś, że płynie w nich krew królów? Usłyszałam o tym, kiedy chorowałeś.

— Nie, nie miałem pojęcia. Muszę się nad tym zastanowić — powiedział Angel. — To może wiele zmienić. Na pewno. — Uśmiechnął się wyraźnie zakłopotany i poklepał ją po dłoni.

Ale Patience czuła się jeszcze bardziej zmieszana niż uprzednio. Ponieważ Angel ją okłamywał. Wiedziała, kiedy mówił prawdę. Ale teraz coś przed nią krył i przywdziewał maskę. Wcale nie był zdziwiony i wcale się nie musiał zastanawiać ani zmieniać planów. Przez cały czas wiedział, kim są geblingi. Nie zdawał sobie natomiast sprawy, że ona o tym wie.

Z kłamstwem można postąpić dwojako: udawać, że się w nie wierzy, albo otwarcie powiedzieć kłamcy, że się odkryło oszustwo.

Pierwszą metodę stosuje się z wrogami. Angela nie potrafiła traktować inaczej niż jak przyjaciela.

— Od kiedy o tym wiesz? — zapytała.

Już miał zamiar znowu ją okłamać, ale zrezygnował.

— Nie — powiedział — teraz jesteś heptarchinią i nie mogę nic przed tobą ukrywać. Twój ojciec wiele lat temu powiedział mi, jak się nazywają i gdzie żyją. Każdy kolejny heptarcha starał się poznać miejsce zamieszkania króla geblingów.

— Wiedziałaś więc od początku, że mieszkają w tej wiosce?

— Twój ojciec ostrzegł mnie. Są niewiadomą, dzięki której wynik równania jest jeszcze trudniejszy do odgadnięcia. Lepiej byłoby ich ominąć. I na dodatek wtedy strzała nie przedziurawiłaby mi gardła. — Parsknął śmiechem. — Ale o to nie dbam.

Uśmiechała się do niego, ale wiedziała, że nadal nie mówi jej prawdy. Coś nie zgadzało się. Może jednak nie wiedział, kim byli Reck i Ruin. Może ojciec wcale go nie ostrzegł. Nie potrafiła odgadnąć, a dalsze wypytywanie na nic by się teraz nie zdało. Kiedy okłamał ją po raz pierwszy, nadal traktowała go jak przyjaciela. Ale po drugim kłamstwie stał się wrogiem i zagrożeniem. Niech sobie myśli,



że mu uwierzyła. Ojciec uczył ją, że nie należy zmuszać wroga do desperackich czynów.

Nigdy wcześniej nawet nie przemknęło jej przez myśl, że Angel mógłby być nieprzyjacielem i to najbardziej ją niepokoiło.

— Czego obawiał się ojciec, przestrzegając cię przed nimi?

— Nie wiem. Myślę, że był czas, kiedy lękał się kolejnej inwazji geblingów. Ale nie sądzę, by tych dwoje pożało ludzkiej krwi. Wcześniejsi władcy wzywali geblingów do wojny ze Stopy Niebios. Tych dwoje kryło się. Poza tym żaden król geblingów nie podróżował nigdy w towarzystwie ludzi. W każdym razie — żywych ludzi.

Im dłużej go słuchała, tym bardziej stawało się dla niej oczywiste, że wszystko, co mówi Angel, to kłamstwo, a on z kolei upewniał się, że mu uwierzyła. Angel miał jakiś plan, coś, co on z ojcem ułożyli dawno, dawno temu, a do tego planu należało ukrycie pewnych spraw przed Patience. W oczach Angela wciąż jeszcze była dzieckiem, nie potrafił jej zaufać na tyle, by dać wolną rękę w podejmowaniu decyzji. Angel był zdecydowany wymuszać na niej, by podążała drogą wytyczoną jej przez ojca. No cóż, Angelu, może okazać się, że wcale nie jestem tak bezbronna, jak myślisz. Nie zmuszę cię do wiary we mnie, ale przyjdzie taka chwila, że pożałujesz dzisiejszego kłamstwa, ponieważ ja będę podejmowała własne decyzje, czy ci się to podoba, czy nie. A jeśli spróbujesz powstrzymać mnie, Angelu, mogę okazać się zbyt silna nawet dla ciebie.

Chociaż w to nie bardzo potrafiła uwierzyć. Udawała tylko pewność siebie. Nigdy wcześniej nie czuła się tak mała i słaba, jak w tej właśnie chwili. Nie jestem jeszcze heptarchinią, uświadomiła sobie. Nie mam ani królestwa, ani władzy, tylko przeznaczenie, które ty i ojciec, i Nieglizdawiec, i geblingi, i księża mnie przypisaliście. Snujecie tyle planów, że nieważne, co zrobię, zawsze będę tylko spełniała cudze życzenia. Jak lalka, którą poruszają tysiące sznurków i która nie wie w dodatku, kto za nie pociąga.

Jej twarz nie zdradziła żadnej z tych myśli. Uśmiechnęła się tylko złośliwie, tak jak wtedy, gdy chciała się z nim podrażnić.

— Sądzisz, że rozsądnie byłoby pokazać Ruinowi kryształ, który powinien należeć do niego, i kazać mu wsadzić go sobie do mózgu?

Angel rozłożył bezradnie ręce.

— Trudno żyć, nie podejmując ryzyka.

Pogroziła mu palcem.

— Lepiej już znowu zaśnij. Jesteś wtedy bardziej pomocny. Widziała wyraźnie czujność w jego wzroku i udawała taką samą, jak zwykle, beztroską, ufną dziewczynę.

— Ruin chyba powinien się zgodzić — próbował uzasadnić swoje stanowisko — że kryształ bardziej należy do ludzi niż geblingów. Był w posiadaniu heptarchów od ponad trzystu pokoleń. Ale wcale nie twierdzę, że powinnaś już z Ruinem

rozmawiać na ten temat.

— Nie da się przewidzieć wszystkiego, co może wyniknąć z naszych działań — powiedziała Patience. — We wszystkich przepowiedniach napomyka się o nieszczęściu, ale nigdzie nie jest powiedziane, jakie następstwa to nieszczęście spowoduje. Każda moja decyzja może spowodować zagładę lub zbawienie świata. A ty nawet nie zamierzasz pomagać mi w podejmowaniu decyzji.

Uśmiechnął się.

— Wiedziałaś, że możesz doprowadzić świat do zagłady, kiedy decydowałaś się iść do Spękanej Skały. Ja tylko podążyłem za tobą. Ale jak na razie sporo straciłem. — Podniósł się i pociągając nogami wrócił na swoje posłanie pod zadaszeniem.

Patience siedziała i przez jakiś czas przyglądała się wodzie. Właśnie w chwili, kiedy zaczęła być trochę bardziej pewna własnych poczynań, okazało się, że Angel rozgrywa swoją grę. Nikomu nie mogła zaufać całkowicie.

Ale nie zastanawiała się nad tym zbyt długo. Kiedy nie była pochłonięta pracą lub rozmową, czuła w swym umyśle wszechogarniające pragnienie, by płynąć na północ, w górę rzeki, i ukoić żar swojego ciała.

Nad jej głową sokół Rivera zatoczył krąg i opadł na łódź. Odwróciła głowę i zobaczyła, jak rozdziera pazurem gołębia, zjada jego wnętrzności, a potem wrzuca resztę, wraz z piórami, do słoja. Małpa sama sprawiała sobie przyjemność. Ten odcinek rzeki był

spokojny i pilot, przynajmniej na razie, nie potrzebował głosu.

Równowaga ekologii w słoju Rivera wydawała się jej cudowna i tajemnicza. Samego Rivera nietrudno było zrozumieć. Jak wszystkie głowy był w jakiś sposób szalony. Sensem jego istnienia stało się podróżowanie w górę i dół rzeki. Póki łódź płynęła, czuł się szczęśliwy i sownie wynagrodzony. Ale sokół i małpa — cóż oni dostawali? Małpa spożywała posiłki razem z ludźmi i wydawała się całkowicie zadowolona z życia. Poza tym nie bardzo miała gdzie pójść. To ludzie przywieźli małpy do tego świata i zwierzęta dotychczas nie znalazły właściwej sobie niszy ekologicznej. Mogły przetrwać jedynie jako domowe zwierzęta. Może więc, na jakimś prymitywnym poziomie swej świadomości, małpa wiedziała, że gwarancje przeżycia daje jej tylko niewolnictwo.

Ale sokół — ptaka nie potrafiła pojąć. Umiał sam o siebie zadbać. Nie potrzebował nikogo. Cóż dawała mu służba u Rivera? Dlaczego nie odfruwiał? River nie miał rąk, więc nie mógł go spętać, nie miał mocy karania ani nagradzania. Wydawało się, że ptak jest po prostu wspaniałomyślny.

Być może sokół traktował człowieka jako część samego siebie, karmił głowę powodowany tym samym instynktem, który każe dbać o młode. Albo był przyuczony i teraz tylko powtarzał czynności, które zapewniały Riverowi przetrwanie. Sokół mógł nawet nie tęsknić za swobodą. Albo też, będąc wolnym, z własnej woli wybrał takie właśnie życie.

Will zawołał ich w południe na obiad, lecz Patience nie miała ochoty na jedzenie. W pewnej chwili poczuła dłoń Reck na swym ramieniu.

— Cokolwiek powiedział ci Angel — szepnęła kobieta geblingów — ty jesteś sercem tego, co w przyszłości nam wszystkim ma się wydarzyć. Chodź, posil się.

Tak, pomyślała Patience i wstała. Chodź, lalczko. Chodź, złożony papierku. Odtńcz swój taniec, trzymaj się kształtu, który ci nadano, tak długo, jak jesteś potrzebna. A potem ktoś — geblingi, Nieglizdawiec, może nawet jakiś oszalały Czuwający — nadejdzie i zetrze cię na proch.

## Rozdział 11

### DOM HEFFIJI

Pewnego popołudnia taklowali właśnie żagiel przed wpływieniem w wąski kanał pomiędzy piaszczystymi brzegami, kiedy nagle River dwa razy zaklął, a małpa zaczęła wrzeszczeć. Do tego czasu wszyscy zdążyli się już nauczyć, że w ten sposób River żąda nagłej zmiany kursu. Przerwali rozmowy i nasłuchiwali — głos Rivera nigdy nie był donośny.

— Mocno na lewą burtę! — zawołał pilot. Will, który stał właśnie przy sterze, przerzucił rumpel na sterburtę i w tym samym momencie Sken pochwyciła Patience i geblingi, a potem pociągnęła wszystkich na drugą stronę łodzi. Patience ledwie zdążyła uświadomić sobie, czego udało im się uniknąć — zderzenia z wielką boją, na tyle potężną, że łódź mogła uderzyć o nią dziobem i rozbić się, zwłaszcza że dał silny wiatr i płynęli bardzo szybko. Po nagłej zmianie kursu i tak w nią trafili, ale bokiem i ze znacznie mniejszą siłą.

— Powinna znajdować się o dwie mile stąd w górę rzeki — powiedział pilot. — Podczas ostatniej powodzi musiała się zerwać kotwica i dlatego boja spłynęła tak nisko. Rzucić linę.

Sken bez wahania zawiązała pętlę, zakreśliła nią nad głową i zarzuciła na boję, która kiwała się kilkanaście metrów od nich. Trafiła za pierwszym razem. Patience zastanawiała się, czy był to przypadek, czy też zwykła umiejętność kogoś wychowanego na rzece.

— Co zamierzasz zrobić z tą boją? — dopytywał się Ruin.

— Zaciągnąć ją na odpowiednie miejsce — odparła Sken, tonem, jakim przemawia się do niemądrego dziecka.

— Zajmij się lepiej własnymi sprawami.

— Zbyt wielu żeglujących po rzece ludzi postępuje tak jak ty — stwierdziła Sken. — Ale River i ja mamy inne podejście. Jeśli coś się popsuje, a ty możesz to naprawić, robisz to, by kolejnemu pilotowi nie zagroziło to samo niebezpieczeństwo.

Wrócili na kurs i przez chwilę podróż odbywała się spokojnie. W tym czasie

przyglądali się uważnie boi. Widniał na niej napis, który dało się odczytać, gdy wychyliło się mocno za sterburkę. We wszystkich językach, jakich mogli używać podróżujący rzeką — geblic, gauntish, dwelf i agarant — napis oferował pewien produkt na sprzedaż:

## ODPOWIEDZI

Patience powiedziała to Angelowi, a on roześmiał się:

— Słyszałaś kiedyś o takiej arogancji?

— Może nie sprzedają — powiedziała Reck — tylko kupują.

Patience nie widziała powodu do śmiechu. Miała wrażenie, że ktoś z niej kpi. Bo jeśli czegoś potrzebowała, to właśnie odpowiedzi. I oto były — jako towar!

Dwie mile dalej rzucili kotwicę i przyciągnęli boję do łodzi. Sken i Will przywiązali ją, po czym wciągnęli kotwicę boi i dodali do niej balast. Robota zajęła im prawie godzinę, dzięki czemu Patience miała trochę wolnego czasu. Rozglądała się po brzegu i zastanawiała, gdzie odbywał się handel odpowiedziami. Teren nie był gęsto zabudowany, więc tym miejscem mógł być jedynie dom na wzgórzu, spory kawałek od brzegu. Gdyby była to gospoda, jakich wiele, oferująca szachrajstwa, jedzenie, które z trudem zasługiwało na to miano, i zarobaczywione posłania, Patience nie wyciągnęłaby całej swej kompanii na brzeg. Ten budynek był jednak inny — stary, skromny i na tyle oddalony od wody, że ci, co w nim mieszkali, nie mogli żerować na podróżnych. Gdyby nie zatrzymali się, by naprawić boję, dom mignąłby im tylko między drzewami. Ta okoliczność dowodziła, że napis na boi nie jest dowcipem. Budowla przyciągała ludzi, którzy tak gorąco pragnęli prawdy, że byli gotowi pokonywać wszelkie trudy, by ją zdobyć. Podążali za jednym tylko drogowskazem, idąc dalej, niż zamierzali, i zbacząc z obranej wcześniej drogi.

Oczywiście w tym samym momencie, kiedy zdecydowała się zatrzymać, poczuła wzmożone wołanie ze Spękanej Skały, ponagłające ją do dalszej drogi: szybciej i szybciej. Nie było jednak silniejsze niż poprzednio, co znaczyło, że Neglizdawiec nie stara się odciągnąć jej od tego szczególnego miejsca. Ponieważ potrzeba prześpieszenia w miarę upływu czasu wzmagala się, oparła się jej dla samego oporu, w ten sam sposób, w jaki specjalnie przedłużała sobie cierpienia w czasach dzieciństwa, by wyrobić hart ducha.

Kiedy Will i Sken wdrapali się z powrotem do łodzi i zaczęli odwiązywać boję, poinformowała ich o swej decyzji.

— Płyniemy do brzegu.

— W takim miejscu?! — wykrzyknęła Sken. — Nie zgadzam się. Zanim zapadnie noc, miniemy wiele znacznie lepszych gospód.

Patience uśmiechnęła się do Rivera i powiedziała:

— Pilot ustala kurs, kapitan rządzi życiem na łodzi, zaś właściciel decyduje, w jakim porcie jest postój. Nie myślę się chyba?

River puścił do niej oko.

Sken zakłęła, ale skierowała łódź w stronę brzegu.

Przycumowali przy wyglądającej na dość zniszczoną ostrodze. Patience poleciła Sken, by opiekowała się Angelem, a sama poprowadziła Willa i geblingi na brzeg. Angel domagał się, żeby zabrali go ze sobą, lecz Patience zignorowała go. Skoro ją okłamywał, nie musiała spełniać wszystkich jego pragnień.

Na wzgórzu prowadziła niewyraźna ścieżka. Patience oddała prowadzenie Ruinowi — potrafiłby znaleźć szlak na gołej skale podczas szalejącego sztormu, wszystko przynajmniej na to wskazywało. Reck i Will podążali tuż za nią. Wyglądała jak heptarchini w asyście eskorty albo więzień otoczony przez strażę.

Dom na wzgórzu z bliska robił gorsze wrażenie niż z dołu. W oknach brakowało szyb, nie chroniły ich również okiennice, a dochodzące zapachy nie pozostawiały wątpliwości, że na podwórku mieszkają świnie, które same muszą dbać o codzienną higienę.

— Czyżby poza nimi nikt więcej tutaj nie mieszkał? — zapytała Patience.

— Pali się ogień — mruknął Ruin.

— A w kuchni stoi świeża woda — dodała Reck.

Patience odwróciła się w stronę Willa.

— Czy jest coś takiego, czego geblingi nie mogą wyczuć?

Will wzruszył ramionami. Niezbyt błyskotliwy, pomyślała Patience. Ale czego można się spodziewać po mężczyźnie, który mieszka z geblingami.

Na pukanie do drzwi odpowiedział z wnętrza donośny głos. Kobięcy i niezbyt młody.

— Idę! — Używała mowy gminnej, ale Patience poznała po akcencie, że nie był to dla niej język naturalny. I rzeczywiście, okazało się, że mają do czynienia z dwelfem. Były to stworzenia mniejsze od geblingów, a w dodatku z malutką głową, co nadawało im dość odstręczający wygląd.

— Spodziewasz się od dwelfa jakiejś odpowiedzi? — zapytał Ruin z charakterystycznym dla niego brakiem taktu.

Kobieta dwelf zmarszczyła brwi.

— Miałabym ich udzielać geblingom?

— Przynajmniej mówi pełnymi zdaniami — stwierdziła Reck.

Patience wyciągnęła rękę, pozwalając polizać swe palce. Kiedy zwyczaj został dopełniony, kobieta dwelf zaprosiła ich do środka i od razu poprowadziła Patience do honorowego miejsca przy ogniu. Will, jak zwykle, skulił się przy drzwiach. Nigdy nie brał udziału w tym, co się działo. Tylko przyglądał się i słuchał. A może po prostu trzymał się na uboczu.

Kobieta dwelf przyniosła wrzącą wodę i do wyboru liście herbaty o różnych smakach. Patience zapytała, czy dostaną na noc pokoje z zamykającymi się oknami.

— To zależy — odparła gospodyni.

— Od czego? Podaj cenę.

— Och, od razu cenę! Ceną są dobre odpowiedzi na moje pytania i dobre pytania do moich odpowiedzi.

— Nigdy nie można dogadać się z dwelfem — stwierdził Ruin niecierpliwie.

— Nawet drzewa są inteligentniejsze.

Powiedział to w geblic, ale dla wszystkich oczywiste było, że właścicielka domu zrozumiała przynajmniej sens jego słów. Patience podejrzewała, że po prostu rozumiała geblic, co oznaczało, iż musiała być bystrzejsza niż większość przedstawicieli jej gatunku.

— Powiedz nam — poprosiła ją Patience — jakie pytania masz na myśli?

— W tym domu zatrzymują się tylko Mądrzy — odpowiedziała kobieta-dwelf.

— Mądrzy ze wszystkich stron świata zostawili tu swe najmądrzejsze myśli.

— W takim razie to nie jest miejsce dla nas — oświadczyła Patience. — Wszyscy Mądrzy opuścili moją ziemię, zanim się urodziłam.

— Wiem — powiedziała gospodyni ze smutkiem. — Ale muszę się zadowolić tym, co mogę zdobyć i dziś. Czy nikt z was nie jest przypadkiem astronomem?

Patience potrząsnęła głową.

— Pilnie ci on potrzebny? — zapytała Reck.

— Nie aż tak bardzo. Astronomia wydaje się całkiem zapomnianą sztuką, co powinno was zdziwić, jako że my wszyscy pochodzimy z gwiazd.

— Ona tak, i ten wielki, który stoi przy drzwiach — wtrącił Ruin. — Reszta pochodzi z tej planety.

Kobieta-dwelf uśmiechnęła się lekko.

— Och — szepnęła — naprawdę myślisz, że geblingi są miejscowym gatunkiem?

Dopiero w tej chwili Patience zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna zacząć traktować dwelfa poważnie, nie tylko jako ciekawostkę, ale ponieważ mogła stanowić jakąś wartość. Z pewnością jej uwaga, że geblingi również pochodzą z gwiazd, sugerowała, że to, co ma jeszcze do powiedzenia, może okazać się przynajmniej interesujące. Na tyle, że powinien jej posłuchać Angel. Patience mogła czuć do niego niechęć, mogła mu nie ufać, ale nie była na tyle głupia, by odrzucać korzyści płynące z prawdy, którą mógł jej wyjaśnić. Odwróciła się do Reck.

— Jak myślisz, czy Will mógłby zejść na brzeg i przynieść tu Angela?

Reck wyglądała na niezadowoloną.

— Will nie jest moją własnością — powiedziała.

Ponieważ Will zachowywał się, jakby był jej niewolnikiem, postawa Reck wydała się Patience po prostu śmieszna. Will nie zrobi nic bez zgody Reck. Jednak nie zamierzała o tym dyskutować, więc zapytała wprost mężczyznę, czy mógłby przynieść do nich Angela. Will bez słowa podniósł się i wyszedł.

— Dlaczego posyłasz po resztę waszego towarzystwa — zapytała kobieta-dwelf — przecież jeszcze nie powiedziałam, że możecie zostać?

— Angel jest najmądrzejszy z nas. To matematyk.

— Dla mnie jest nikim. Liczby i znowu liczby. Jeśli nawet na tyle się je zrozumie, by zadać pytanie, odpowiedzi nie mają znaczenia.

Patience była wprost zachwycona, ponieważ powtarzała to samo Angelowi, i to nie jeden raz. Potrafiłaby także wyrecytować odpowiedź Angela, gdyż słyszała ją tak wiele razy, że nauczyła się jej na pamięć. Wolą jednak nie odchodzić od zasadniczego tematu. Jeśli kobieta-dwelf zaproponowała odpowiedzi, to czemu nie zadać pytań, które liczyłyby się najbardziej.

— Pozwól, że ja zadam ci pytanie. Kim i czym jest Nieglizdawiec oraz jakie są jego zamiary?

Kobieta-dwelf uśmiechnęła się uszczęśliwiona, skoczyła na równe nogi i wybiegła z pokoju.

— Jeśli umie odpowiedzieć na to pytanie — powiedziała Reck — to znaczy, że wie więcej niż jakakolwiek inna żyjąca istota.

Wkrótce ich gospodyni wróciła podskakując z ukontentowania.

— „Nieglizdawiec jest bratem geblingów, gauntów i dwelfów, i synem Kapitana Statku — wyrecytowała wprost pękając z dumy. — Jego matka władała niegdyś całym tym światem i on...”

— Każdy może połączyć skrawki prawdy i domysłów i... — wtrącił zniecierpliwiony Ruin.

— Ciii — nakazała Patience. A potem znowu zwróciła się do kobiety-dwelfa. — Przepraszam, nie usłyszałam tego, co powiedziałaś.

Zanim zdążyła skończyć, stworzenie deklamowało znowu:

— „Nieglizdawiec jest bratem geblingów, gauntów i dwelfów, i synem Kapitana Statku. Jego matka władała niegdyś całym tym światem i on chce go odzyskać z powrotem.” — I znowu identycznie jak poprzednio kobieta-dwelf rozpromieniła się w uśmiechu. Było to tak, jakby dwa razy oglądali to samo. Stworzenie powtarzało coś, czego nauczyło się na pamięć. Ruin spojrzął na Reck.

— No dobrze — powiedział — pozwól, że teraz ja ci zadam pytanie. Gdzie znajduje się kamień z mózgu, należący do królów geblingów?

Patience знаła doskonale odpowiedź, której poszukiwał gebling, ale udała zdziwienie.

— Co to jest kamień z mózgu? — zapytała.

Tymczasem dwelf wybiegła już z pokoju. Podczas jej nieobecności Reck i Ruin dotykali nawzajem swoich twarzy jakby sprawdzając swoje podobieństwo. Patience zrozumiała, że pytanie nie miało na celu jedynie wypróbowanie kobiety-dwelfa. Kiedy wróciła do pokoju, na twarzach geblingów malowała się wyraźna ciekawość. Patience nigdy by nie podejrzewała, że zdolne są do takiej ekspresji.

— „Kamień z mózgu władców geblingów, który stał się symbolem władzy heptarchów, został wszyty w ramię lorda Peace, prawowitego heptarchy, tuż ponad



obojczykiem, blisko karku. Przed śmiercią Peace odda go swojej córce.” — Dwelf kiwnęła głową. Na jej twarzy malował się wyraz powagi.

Reck i Ruin spojrzeli na Patience, która nie odezwała się, usiłując nadać swej twarzy wyraz uprzejmego zdziwienia. To było przecież niemożliwe, by dwelf poznała sekret jej ojca.

Przyglądając się zamartwionemu w bezruchu jak w żywym obrazie geblingom, wpatrzonym w dziewczynę, kobieta-dwelf zaczęła się niepohamowanie śmiać.

— A jakie jest twoje pytanie? — zapytała grzecznie Patience.

— Moje pytanie do ciebie brzmi, kim jesteś i dlaczego geblingi podróżują razem z ludźmi?

— Czy znasz także odpowiedź na nasze pytanie? — zdziwiona zapytała Reck.

— Odpowiedź na wasze pytanie brzmi następująco: wy dwoje jesteście parą królewską geblingów, a ty, istota ludzka, córką lorda Peace, heptarchy, a ponieważ on nie żyje, w twoim posiadaniu jest kamień i władza. I ty i one zmierzacie ku bitwie, ale nie jesteście pewni, czy stoicie po tej samej stronie.

Na pewno nie była zwyczajnym dwelfem.

Patience niepostrzeżenie przygotowała cienką szklaną rurkę, z której mogła strzelać śmiertelnymi rzutkami. Sięgnęła również do włosów po pętlę. Odezwała się spokojnie do Ruina i Reck, a w jej głosie brzmiało zdecydowanie:

— Jeśli tylko ruszycie się ze swoich miejsc, zginiecie, nim zdążycie zrobić jeden krok.

— Ojoj! — powiedziała dwelf. — Nie powinniście pytać o odpowiedzi, których nie chcecie usłyszeć. Nie życzę tu sobie żadnego zabijania. W tym miejscu frymarczy się prawdą. Dajcie mi słowo, każde z was, że poczekać z zabijaniem do czasu, aż znajdziecie się z powrotem na rzece.

Nikt nie spieszył się z przysięgą.

— Co ja narobiłam? Kłopoty, kłopoty, tylko to daje prawda. Ależ z was głupcy! Myśleliście, że dwelf nic nie wie, i dlatego zadaliście mi pytania, na które nikt nie powinien znać odpowiedzi. Ale ja znam odpowiedź na każde pytanie.

— Naprawdę? — zapytała Reck. — W takim razie powiedz nam, jak rozwiązać nasz problem? Wiesz, że Patience posiada przedmiot, który dla królów geblingów ma ogromne znaczenie. Właśnie teraz jest nam potrzebny bardziej niż kiedykolwiek w naszej historii, ponieważ musimy poznać naszą przeszłość. Z rozkoszą zamordujemy ją, żeby zdobyć kryształ, a ona równie chętnie pozbawi nas życia, ponieważ chce zatrzymać go dla siebie. Kiedy wróci Will, zabije ją bez trudu, a więc ona musi wykonać pierwszy ruch.

— Mówiłam już, złożcie przysięgę — powiedziała dwelf.

— W sprawie kryształu nigdy nie dotrzemy przysięgi — powiedział Ruin — ani też nie uwierzemy, że ona dotrzyma swojej.

— Nawet nie jestem pewna, czy to jest ten kamień — odezwała się Patience.

— Wiem tylko, że ojciec kazał mi go strzec jak oka w głowie i że, zgodnie z radą

Angela, miałam cię poprosić o zaimplantowanie go do mego mózgu.

Ruin roześmiał się.

— I on myślał, że gdy wreszcie dostanę go w swoje ręce, to zwrócę go tobie?

Reck, nieporuszona, uciszyła go syknięciem, po czym zwróciła się do Patience.

— Mój głupi brat nic nie rozumie. Chociaż kamień należał kiedyś do nas, teraz nie możemy już mieć z niego pożytku.

— Nie możemy mieć pożytku?! — wykrzyknął Ruin.

— Kiedy pierwsze ludzkie istoty umieszczały go w swoich mózgach, traciły zmysły. W kryształach było zbyt wiele z geblinga. Ale teraz to my już nie możemy go użyć — kamień przesiąkł człowiekiem.

Ruin zmarszczył czoło.

— Jest zawsze jakaś szansa, że możemy go wykorzystać.

— Znacznie większa, że próbując zniszczymy samych siebie.

Ruina ogarnęła wściekłość.

— Odnajdujemy go, i to po tylu latach, a na dodatek w chwili największej potrzeby, a ty mówisz, że nie możemy go użyć! — wybuchnął. Lecz chwilę potem jego gniew przeszedł w rozpacz. — Masz rację.

Patience słuchała ich nieufnie. To mógł być trik, by uśpić jej czujność. Zwróciła się więc do kobiety-dwelfa, gdyż od niej tylko mogła spodziewać się pomocy:

— Chciałabym zadać ci pytanie. Powiedz mi, jak działa kryształ zaimplantowany do mózgu?

— Kiedy wyjdę po odpowiedź — powiedziała gospodyni — wy się pozabijacie, a wtedy nie będę już mogła zadać wam żadnego pytania.

— Jeśli nie ruszą się ze swych miejsc, nie zabiję ich — powiedziała Patience.

— Nie ruszymy się z miejsca — obiecała Reck.

— Wcale nie byłbym taki pewien, czy ona może nas zabić — dodał Ruin.

Patience uśmiechnęła się. Gospodyni wzruszyła ramionami i wyszła. Wydawało się, że straciła całą swą żywotność i radość. Wróciła, mrużąc coś do siebie.

— To jest długie — wyjaśniła.

— Słucham — powiedziała Patience. Kobieta-dwelf wyrecytowała:

— „Jeśli zostanie umieszczony powyżej ośrodka ruchu w mózgu ludzkim, organiczny kryształ, zwany kamieniem umysłu lub kamieniem władzy, urodzi mniejsze kryształy, które spenetrują każdą część mózgu. Większość z nich będzie się zachowywać biernie, zbierając wspomnienia i ważne myśli. Jednakże kilka z kryształów pozwoli istocie ludzkiej odzyskać wspomnienia wcześniejszych posiadaczy kamienia. Ponieważ wiele z nich należało do pierwszych siedmiu królów geblingów, w mózgach których ten kamień powstawał, dla ludzi mogą się one okazać dezorientujące. A skoro człowiek nie zdoła zyskać kontroli nad kryształem, obce wspomnienia zderzą się ze sobą w sposób nie kontrolowany, prowadząc do utraty samoświadomości, to znaczy do szaleństwa. Najbezpieczniejszym

sposobem użycia kryształu jest zaimplantowanie go w chronione miejsce koło niezbyt ważnego nerwu. Jeden lub dwa łańcuchy kryształów znajdą swą drogę przez umysł, zbierając to, co nagromadziła pamięć, ale prawie nigdy nie wedrą się starymi wspomnieniami w nosiciela. Niezwykle niska jest szansa, Heffiji, że kiedykolwiek przyda ci się ta informacja.”

To ostatnie stwierdzenie wszystkich rozśmieszyło.

— Ktokolwiek dawał ci tę odpowiedź, nie był tak mądry jak sądził.

— Wiem — odparła Heffiji. — Ale się jej nie pozbyłam, i możecie teraz stwierdzić, że zadałam mu dobre pytanie, choć on myślał inaczej.

— A co by się stało, gdyby kamień został umieszczony w mózgu geblinga? — zapytała Patience.

— Ale po co ktoś miałby robić coś takiego? — odpowiedziała pytaniem Heffiji. — Przecież wystarczy, aby gebling...

— Cisza! — przerwał jej Ruin.

— Nie — wtrąciła się Reck. — Niech mówi.

— Wystarczy, by gebling — dokończyła Heffiji — go połknął. Kryształ w ciele geblinga pokruszyłby się na maleńkie kawałeczki, które powędrowałyby w odpowiednie miejsca.

— Dlaczego tak miałyby się stać? — dociekała Patience. — Dlaczego geblingom tak łatwo byłoby użyć kamienia, a ludziom tak trudno...

— Ponieważ my rodzimy się z kamieniem w mózgu — odpowiedział Ruin pogardliwie. — Każdy z nas go ma. A kiedy umierają nasi rodzice, zjadamy ich kamienie, gdyż w ten sposób zachowujemy wspomnienia wydarzeń, które były dla nich najważniejsze za życia. — Spojrzał na Reck z gorzkim triumfem, jakby chciał powiedzieć: widzisz, sama chciałaś, żeby jej powiedzieć, to teraz masz.

Patience spoglądała na geblingi z rosnącym zrozumieniem.

— A więc te wszystkie historie, że geblingi zjadają swoich zmarłych...

Reck skinęła głową.

— Jeśli ktoś z ludzi widział nasze obrządki, chociaż trudno mi sobie wyobrazić, by geblingi kiedykolwiek im na to zezwoliły...

— To są także obrządki dwelfów — wtrąciła Heffiji. — I gauntów.

— Takie kamienie, choć znacznie mniejsze, mają wszystkie zwierzęta tego świata — powiedział Ruin. — Wszyscy poza ludźmi. Kalecy ludzie, których dusze umierają wraz z ciałami.

Umierają dusze wszystkich ludzi, pomyślała Patience, poza tymi, którym odjęto głowy na przechowanie. Ta sprawa zawsze bardzo ją zastanawiała. Jak doszło do tego, że odcinano głowy? Dlaczego w ogóle nasi naukowcy starali się utrzymać głowy ludzi przy życiu? Ponieważ już setki pokoleń temu dowiedzieli się, że pochodzące z tej planety gatunki mają coś w rodzaju życia wiecznego, gdyż część ich umysłu żyje nadal po śmierci. Ludzie im zazdrościli. Przedłużanie egzystencji głów było ludzkim substytutem kamieni mózgowych geblingów, dwelfów

i gauntów. Zamiast kryształu nam dostawały się szyjki, czerwie główne i strzępy szczurów wrzucane przez sokoła do słoja.

— Spośród wszystkich ludzi tylko heptarchowie potrafili wzbogacić się o doznania swoich przodków — powiedziała Reck. — I to dlatego, że ukradli nasze dziedzictwo. Zabiliście siódmego króla geblingów i ukradliście jego kamień. Nasi władcy stracili wtedy wiedzę o początkach swego królestwa. Ruin w swej naiwności wierzy, że teraz moglibyśmy wykorzystać choć trochę tej wiedzy. Jednak kamień mógłby być dla nas przydatny tylko wtedy, gdybyśmy posiadali go nieprzerwanie przez cały czas.

— Muszę koniecznie go zdobyć — powiedział Ruin. — Jeśli mam się dowiedzieć, co...

— To Nieglizdawiec chce, żebyś go pożył, Ruinie. — Reck z wyraźnym zadowoleniem zmuszała brata, by ugiął się przed jej mądrością. — Ucieszyłby się, gdyby udało mu się pozbawić zmysłów parę królów. Głupcze. Jeśli ludzie wariowali pod wpływem chybionego związku z kamieniem, jak może on podzielać na ciebie, skoro żył w ponad trzech setkach umysłów ludzkich. Żaden gebling nie ma dość siły, by wytrzymać wpływ kamienia.

Patience patrzyła na Ruina i wiedziała, że teraz nie udaje. Najwyraźniej siostra go przekonała. Dyskusja mogłaby się na tym zakończyć, a kamień pozostałby w posiadaniu Patience, a może nawet zostałby zaimplantowany do jej mózgu. Wystarczyło tylko nie odzywać się. Ale jeśli był tak groźny, że Ruin nie mógł go użyć, musiała dowiedzieć się, jaki wpływ wywarłby na nią.

— Czy umysł człowieka różni się tak bardzo od umysłu geblinga? — zapytała. — Potrafimy nauczyć się swoich języków, umiemy...

— Nie rozumiesz istoty umysłu geblinga — zaczął Ruin.

— On jest naszą siłą — dodała Reck — i jednocześnie naszą słabością. Od chwili narodzin nigdy nie jesteśmy sami. Osamotnienie to dla nas puste słowo. Na jawie i we śnie, zawsze na skraju świadomości czujemy inne geblingi. Kiedy połknimy mózgowy kamień innego geblinga, stajemy się nim na całe dni, niekiedy tygodnie i miesiące. Do czasu, aż poukładamy jego wspomnienia. Gdyby Ruin stał się w taki sposób człowiekiem, i to po trzystakroć, nie potrafiłby znieść ogromu samotności, byłaby ona czymś na kształt śmierci. Jednak ty jesteś do samotności przyzwyczajona, ponieważ niczego innego nie zaznałaś w całym swym życiu. Poza tym kamień nie złączy się z tobą tak całkowicie. Silna istota ludzka, taka jak ty...

— Chcesz, żebym jej wszczepił kryształ, prawda? — zapytał Ruin.

— Chyba tak — odparła Reck.

— Po tym może stać się bardziej uległa woli Nieglizdawca — powiedział.

— A jakie to ma znaczenie? W najgorszym razie okaże się bezradna wobec jego pragnień. A i tak najprawdopodobniej taki koniec ją czeka, więc co za różnica?

Patience zdrząła wewnątrz, słysząc słowa tak całkowicie pozbawione współczucia. Nawet ona, która czasami musiała zabijać, czuła pewne zrozumienie dla swych ofiar, jakiś związek z nimi. Dopiero teraz po raz pierwszy uświadomiła sobie, że geblingi traktują ją jak zwierzę. Podobnie jak człowiek mógł oceniać dobrego konia, wychwalając jego siłę, a ubolewając nad słabością, nie skępowany obecnością stworzenia. Jedyna różnica polegała na tym, że Patience rozumiała, o czym mówili.

Wprawdzie Ruin musiał przyznać rację siostrze, ale to go wcale nie uspokoiło. Teraz odwrócił się do Patience.

— Umieszczę ci kamień w mózgu, ale pod dwoma warunkami. Po pierwsze, po twojej śmierci będzie należał znowu do mnie, Reck albo naszych dzieci.

— Co ci z niego przyjdzie, skoro nigdy nie będziesz mógł z niego skorzystać? — zapytała Patience.

— Po zakończeniu naszej misji — odparł Ruin — będę już mógł go wykorzystać. Jeśli mi się nie uda, trudno. Szaleństwo nie wydaje mi się gorsze niż śmierć, a ja nie boję się śmierci. Jeśli zaś mi się powiedzie, wtedy odzyskamy wszystko, co straciliśmy, i przekazemy to następnym pokoleniom.

— Złożę ci nieco inną przysięgę — zaproponowała Patience. — Zaimplantuj go, a jeśli będę umierać w obecności króla geblingów, nie zrobię nic, by powstrzymać go przed zabraniem kamienia, kimkolwiek byłby ten król.

— To oznacza to samo. — Ruin uśmiechnął się. — Musisz tylko równocześnie obiecać, że postarasz się umrzeć w obecności króla geblingów.

— Jeśli z kolei ty przyrzekniesz, że nie przyspieszysz tego dnia.

— Nienawidzę polityki — wtrąciła Heffiji. — Niepotrzebne są wam żadne przysięgi. Ty zaimplantujesz jej kamień, ponieważ nic ci po nim, a potem odbierzesz go, jeśli zdołasz. — Chrząknęła. — Nawet dwelf z małym rozumkiem może wam to powiedzieć.

— Jaki jest twój drugi warunek? — zapytała Patience.

— Pierwszy król geblingów — powiedziała Reck — był bratem Nieglizdawca. W kamieniu są jego wspomnienia. Musisz nam opowiedzieć wszystko, czego się dowiesz na jego temat od kamienia.

— A więc heptarchowie pamiętali Nieglizdawca — szepnęła Patience. — Przez wszystkie te lata wiedzieli, kim jest ich nieprzyjaciół.

— Tylko ci, którzy mieli odwagę włożyć kamień w swoje mózgi — powiedział Ruin.

— Powiesz nam? — zapytała Reck.

Patience skinęła głową.

— Tak. — A potem podjęła decyzję. Przystanie zachowywać się jak ostrożny dyplomata, pozwoli Ruinowi i Reck zobaczyć swój lęk. — Czy naprawdę wierzycie, że mam dość siły, by wytrzymać wpływ kamienia?

Ruin wzruszył ramionami.

— Jeśli nie jesteś wystarczająco silna, nam nie będzie gorzej, niż było dotąd.  
— Nadal traktował ją na równi ze zwierzęciem.

Ale Reck zrozumiała gest przyjaźni i odpowiedziała z sympatią:

— Ile razy takie wydarzenie miało miejsce w historii świata? Skąd możemy wiedzieć, czy człowiek jest na tyle silny, by mieć geblinga w swym umyśle, a nadal pozostać człowiekiem? Ale powiem, co o tobie myślę. Wielu ludzi, a nawet większość, to słabe, przerażone istoty, które próbują zagarnąć, co tylko się da. Chcą mieć w swojej władzy rzeczy i innych ludzi, bo dopiero wtedy czują się potężni i wydaje im się, że nie są samotni. Ale ty taka nie jesteś. Ty nie boisz się samotności.

Patience wypuściła z rąk pętlę i odłożyła szklaną rurkę. Geblingi wyraźnie się odprężyły.

— Powiedziałaś, że twoje imię brzmi Heffiji? — Patience zwróciła się do gospodyni.

— Tak dawno, dawno temu nazwała mnie pewna nauczycielka. Zapomniałam, jak nazywałam się wcześniej. Ale jeśli mnie zapytacie, odpowiem.

— Ona był gauntem, prawda? Nauczycielka, która cię tak nazwała? Heffiji to słowo w gauntish.

— Tak. Czy wiesz, co ono oznacza?

— To bardzo zwyczajne słowo. I znaczy „nigdy”. Co — nigdy?

— Mikias Mikuan Heffiji Ismar.

— Nigdy Nie Traci Znalezionego Miejsca.

— To właśnie ja — oznajmiła Heffiji. — Nie wiem nic, ale potrafię znaleźć wszystko. Chcecie zobaczyć?

— Tak — potwierdziła Patience.

— Tak — powiedziała Reck.

Ruin wzruszył ramionami.

Heffiji poprowadziła ich w głąb domu. Wszystkie pomieszczenia były obudowane półkami. Leżały na nich nie uporządkowane stosy papierów. Kawałki drewna lub kamienie zabezpieczały je przed wiatrem wpadającym pozbawionymi szyb oknami. Cały dom był archiwum papierów zebranych bez ładu i składu.

— I wiesz, gdzie znajduje się każda odpowiedź? — zapytała Reck.

— O nie, wcale nie wiem, dopóki ktoś nie zada mi pytania. Wtedy przypominam sobie, gdzie ją położyłam.

— Więc nie możesz nas zaprowadzić do jakiejś informacji, dopóki cię o nią nie poprosimy?

— Ale kiedy mnie zapytacie, poprowadzę was do każdej odpowiedzi. — Uśmiechnęła się z dumą. — Może rzeczywiście mam tylko pół rozumu, ale pamiętam wszystko, co kiedykolwiek zrobiłam. Każdy z Mądrych przechodził koło mego domu. Wszyscy zaglądali tutaj, dawali mi odpowiedzi i zadawali pytania.

A jeśli nie znałam odpowiedzi, to tak długo pytałam następnych, aż znalazł się ktoś, kto mi odpowiedział.

Patience uniosła kamień z jakiegoś stosu papieru.

— Nie! — zaprotestowała rozpaczliwie Heffiji.

Patience pośpiesznie odłożyła kamień z powrotem.

— Jak znajdę papier, jeśli przełożysz go w inne miejsce? — krzyknęła kobieta-dwelf. — Gdy coś przełożysz w inne miejsce, będzie stracone na zawsze! W tym domu znajdują się tysiące tysięcy papierów. Czy masz czas wszystkie je przeczytać i zapamiętać?

— Nie — odparła Patience. — Przepraszam.

— To cały mój mózg! — krzyczała Heffiji. — Dzięki nim moja głowa nie jest gorsza od wielkich głów, jakie mają ludzie, geblingi i gaunty. Pozwalam wam w nim grzebać, bo możecie dołożyć coś do moich wspomnień. Ale jeśli cokolwiek ruszycie, równie dobrze możecie spalić ten dom razem ze mną, ponieważ wtedy zostałyby tylko dwelf ze swym małym półrozumkiem, nie będący w stanie odszukać żadnej odpowiedzi.

Heffiji rozplakała się. Reck pogładziła ją uspokajająco po włosach swymi długimi palcami o wielu stawach, przypominających ptasie skrzydło.

— To prawda — powiedziała Reck — tacy są właśnie ludzie. Wchodzą do cudzych domów, a potem się ją spustoszenie, nie zastanawiając się nawet nad tym, co zniszczyli.

Patience zniosła ze spokojem zarzut, założyła na naganę. Ale Ruin inaczej zrozumiał jej milczenie. Uznał, że nie rozumiała znaczenia słów Reck.

— Mojej siostrze chodziło o to, że wy, ludzie, przybyliście na tę planetę, i zniszczyliście ją nam wszystkim, geblingom, dwelfom i gauntom, którzy byliśmy tu przed wami.

Heffiji przestała nagle płakać. Odsunęła się od Reck znowu szeroko uśmiechnięta.

— To moja najlepsza odpowiedź — powiedziała. — Zadajcie mi pytanie.

— Jakie pytanie? — spytał Ruin.

— „Nam wszystkim, którzy byliśmy tu przed wami” — powiedziała. — Pytajcie mnie.

Ruin zastanawiał się, jakie pytanie mogła mieć na myśli.

— No dobrze, kto tu był przed ludźmi?

Heffiji podskoczyła w zachwycie.

— Glizdawce! — krzyknęła. — Glizdawce, glizdawce, glizdawce!

— A co w takim razie z geblingami, jeśli nie było ich tu, gdy przybyli ludzie? — zapytała Reck.

— Co z nimi? To zbyt ogólne. Musicie lepiej sformułować pytanie.

— Skąd pochodzą geblingi? — uściśliła Reck.

Heffiji znowu podskoczyła.

— Moje ulubione, oto i moje ulubione! Chodźcie, to wam pokażę. Chodźcie i zobaczycie.

Poprowadziła ich stromymi schodami na nisko sklepiony, duszny strych. Nawet geblingi musiały się tu pochylać. Patience przykucnęła i w ten sposób przesuwiała się wzdłuż ściany. Heffiji oddała swoją latarnię Ruinowi i sięgnęła po plik papierów wsuniętych za belkę wspornikową. Rozłożyła je na podłodze. Odebrała latarnię i biorąc w ręce papiery jeden po drugim zaczęła czytać wyjaśnienia pod rysunkami.

— „Na tej planecie nie pozostała żadna forma miejscowego życia, podobnie jak nie zachowała się żadna forma życia ziemskiego poza samymi ludźmi” — czytała.

— To szaleństwo — powiedział Ruin. — Każdy wie, że udomowione rośliny i zwierzęta pochodzą z Ziemi. . .

Heffiji podniosła wyżej latarnię.

— Jeśli znasz wszystkie odpowiedzi, to po co się zatrzymałeś w moim domu?

Zawstydzony umilkł. Heffiji recytowała dalej:

— „Porównując materiał genetyczny jakiegokolwiek zwierzęcia czy rośliny z zapisami dotyczącymi podobnych roślin i zwierząt, przywiezionymi przez ludzkość z Ziemi, dowiadujemy się, że oryginalny kod jest nadal zachowany w sposób prawie doskonały — ale tylko jako bardzo niewielka część pojedynczej, ale za to znacznie większej molekuly genetycznej.”

Heffiji wyciągnęła diagram pokazujący miejsce białka w pojedynczych chromosomach obecnej wersji imaculatańskich okazów.

— „Najwyraźniej ziemskie gatunki zostały zmienione lub, co bardziej prawdopodobne, stworzono ich doskonałe imitacje wykorzystując miejscowe gatunki, które zasymilowały materiał genetyczny w swoim własnym kodzie. Chociaż otrzymana molekula może teoretycznie zawierać setki razy więcej informacji genetycznych, niż potrzeba było gatunkowi żyjącemu na Ziemi, reszta genetycznego materiału wykorzystana jest do innych celów. Całkiem możliwe, że miejscowe formy życia z Imaculaty wykorzystały umiejętność pozostawiania w uśpieniu do kolejnego przystosowywania, przejmując stopniowo cechy konkurujących z nimi gatunków, co doprowadziło najpierw do imitowania ich i wreszcie do zastępowania. Istnieje też możliwość, iż naturalna dla Imaculaty molekula genetyczna jest na tyle złożona, że może kontrolować zmiany w genetycznym materiale własnych komórek rozrodczych. Ale niezależnie od tego, czy jakaś forma inteligencji istnieje w molekułach genetycznych czy nie, nasze eksperymenty dowiodły, że w ciągu dwóch generacji każdy gatunek na Imaculacie jest w stanie upodobnić się do gatunku ziemskiego. Właściwie można powiedzieć, że imaculatańskie imitacje znacznie przyspieszyły sprawność rozrodczą przez wcześniejsze osiągnięcie dojrzałości płciowej lub zwiększanie ilości potomstwa w danym pokoleniu.” Heffiji popatrzyła wyczekująco kolejno na każdego z nich.



— Czy to rozumiecie?

Patience przypomniała sobie słowa księcia Prekeptora i wypowiedziała je na głos:

— Cząsteczka genetyczna jest zwierciadłem woli.

— To religia — zachnęła się Heffiji. — Trzymam ją gdzie indziej.

— Rozumiemy — powiedział Ruin.

— Musicie zrozumieć do końca. Jeśli macie pytania, powtórzę wszystko jeszcze raz.

Nie mieli pytań. Heffiji przeszła do serii rysunków przedstawiających zboża i dziwne, latające owady.

— „Podczas naszych doświadczeń wydzieliliśmy oryginalny, ziemski materiał genetyczny ze zboża imaculatańskiego, aby sprawdzić, co pozostanie, kiedy zabraknie dominujących genów ziemskich. Eksperymenty wymagały ogromnej cierpliwości i próbę powtarzaliśmy po wielokroć, zanim doświadczenie się powiodło. Wreszcie oddzieliliśmy materiał genetyczny zarówno zboża, jak i gatunku, który zaabsorbował cechy zboża i zastąpił je. Struktura genetyczna zboża była identyczna z tym, co mieliśmy w materiałach pozostałych po pierwszych kolonistach, a jednak kiedy zboże — posiadające już inny zapis genetyczny — wzrastało na tej planecie, w jego wyglądzie nie było różnicy. Pozostała część materiału genetycznego, pochodząca z Imaculaty, nie była wcale zapisem innej rośliny. Otrzymano z niego niewielkiego latającego insekta z ciałem jakby glisty, tyle tylko, że posiadał dodatkowo trzy pary skrzydeł. Niczego takiego nie znaleźliśmy w katalogach gatunków przywiezionych z Ziemi. Najbardziej przypominało to owada, nazywanego przez pierwszych kolonistów „komarem”, który zniknął po kilku latach istnienia kolonii na Imaculacie.”

— Co to ma wspólnego z geblingami? — zapytał Ruin. — Na roślinach znam się lepiej niż jakikolwiek człowiek-naukowiec.

— Jeśli nie chcesz moich odpowiedzi — powiedziała Heffiji — to idź sobie.

Reck dotknęła policzka brata.

— Nie myśl, że on nie rozumie — powiedziała. — Problem w tym, że pojął zbyt dobrze.

Heffiji ciągnęła dalej:

— „Pojedynczego imaculatańskiego komara wsadziliśmy do szklanego pudełka z próbką czystego ziemskiego zboża, gotowego do zapylenia. Choć imaculatański komar nie miał partnera, wkrótce złożył tysiące jajeczek. Także pszenica dojrzała. Ale jajeczka komara dojrzały wcześniej. Z niektórych wylęgły się komary, które atakowały się wzajemnie z wielką brutalnością, aż został tylko jeden. Z pozostałych jajek wydobyły się jednak całe szeregi dziwnych roślin, niektóre podobne do kłosów pszenicznych, inne do komarów, w większości nie potrafiących utrzymać się przy życiu. Tylko kilka osiągnęło parę centymetrów, zanim umarło. Natomiast te, które rozwijały się dobrze, chociaż bardziej przypominały pszeni-

cę, jednak wyraźnie różniły się od ziemskiego gatunku. Zanim zboże kolejny raz obrodziło i wzrosło, wszystko wskazywało na to, że otrzymaliśmy nowy i bardzo silny gatunek. Natychmiast rozpoczęliśmy kolejne eksperymenty, by sprawdzić, czy wyniki się potwierdzą.”

Sięgnęła po kolejny rysunek.

— „Tymczasem jedyny komar drugiej generacji, któremu udało się przetrwać, skrzyżował się, ale nie z nowym gatunkiem owadów tylko z pszenicą. Tym razem większość potomstwa wyglądała dokładnie jak pszenica, z tym że otrzymany gatunek posiadał jedną wielką molekułę genetyczną, w której zapisana była cała informacja genetyczna na temat zboża z Ziemi. Za każdym razem otrzymywaliśmy te same rezultaty. Kiedy pozwalano komarowi drugiej generacji reprodukcować się przy udziale drugiej — czy nawet dziesiątej lub dwudziestej — generacji ziemskiej pszenicy, w rezultacie dostawaliśmy zawsze identyczną pszenicę imaculatańską, która reprodukowała się szybciej i była silniejsza od jakiegokolwiek gatunku pszenicy ziemskiej czy też od nowych gatunków imaculatańskich. Prawdę mówiąc, pszenica imaculatańska wydawała się szczególnie wroga w stosunku do nowych gatunków niepszenicznych. Zostały one zniszczone jakby zaatakowała je jakaś trucizna. Zginęły w ciągu dwóch generacji. Ziemska pszenica niekiedy potrafiła przetrwać dłużej niż sześć generacji, zanim została całkowicie zastąpiona przez nowy gatunek. Jednakże kiedy komar drugiej generacji nie miał możliwości reprodukcji przy pomocy ziemskiej pszenicy, imaculatańska pszenica nie pojawiała się wcale. Zamiast tego i owad, i pszenica ziemska utrzymywały swoją postać nie krzyżując się. Taki proces kompletnej mimikry zachodzący podczas dwóch generacji mógł wystąpić wielokrotnie od czasu, gdy Ziemianie przywieźli swoje gatunki roślin i zwierząt. Zmiany nie zaistniały jedynie we wzorach chromosomowych samych ludzi, gdzie nie zaobserwowano żadnych zmian.”

I to było wszystko.

— Nic nie powiedziałaś o geblingach — oznajmił triumfalnie Ruin. — Pytałeś cię o geblingi, ale nawet o nich nie wspomniałaś.

Heffiji odeszła trochę dalej. Oczywiście ruszyli za nią. Ale nie poprowadziła ich w kierunku schodów, lecz wyciągnęła kolejne papierzyska i znowu je rozłożyła. Były to cztery rysunki, wszystkie wykonane i podpisane jedną ręką. Na pierwszym widniał nagłówek: ludzkie molekuły genetyczne. Na trzech innych kolejno: molekuła ludzka w zapisie genetycznym geblingów, dwelfów i gauntów.

W każdym przypadku ludzki wzór genetyczny mieścił się w pojedynczej, długiej molekułce, podobnie jak wzory pszenicy ziemskiej w genetycznej molekułce roślin imaculatańskich.

Heffiji z trudem ukrywała rozradowanie.

— Nie wiedzieli! To ja poskładałam wszystko w całość, to ja wiedziałam, że obie odpowiedzi składają się na jedną. A kiedy zobaczyłam ludzi i geblingów razem, wiedziałam, że będą potrzebowali właśnie tej odpowiedzi. — Uśmiechnęła

się szeroko. — Nakierowałam was. Podprowadziłam, byście zadali odpowiednie pytanie.

— To nieprawda! — krzyknął Ruin. — Nie jesteśmy nieudolnymi kopiami ludzi.

Machnął ręką, jakby chciał wytrącić latarnię z rąk Heffiji. Reck i Patience jednocześnie schwyły go za ramię.

— Chcesz spalić dom? — zapytała Reck.

— My od początku mieszkaliśmy na tej planecie, a oni są intruzami. Nie pochodzimy od ludzi! Oni są uzurpatorami i chcą nam odebrać nasz świat!

— Masz rację, Ruin — odezwała się Patience spokojnie. — Nawet jeśli w części wywodzicie się od ludzi, to druga połowa jest stąd. Tutejsza przyroda wiedziała, że musi nas imitować, by przetrwać. Kimkolwiek byli wasi przodkowie, zanim ludzie zjawili się na Imaculacie, ich naturalną cechą było absorbowanie informacji i przystosowywanie się. To, kim staliście się dzisiaj, jest wypełnieniem wszystkiego, do czego dążyli wasi przodkowie, jeśli mieli pozostać sobą.

— A czym byliście wcześniej? — zapytała Reck. Nie spodziewała się odpowiedzi na to pytanie.

Ale znowu Heffiji ruszyła ze swą latarnią, tym razem w dół po schodach. Pozostało im tylko podążyć za nią. Biegła przez dom wołając:

— Ja wiem, ja wiem! Ja wiem, ja wiem!

Odnaleźli ją w pierwszym pokoju, gdzie znowu Will stał przy drzwiach, a Angel siedział na krześle przy ogniu. Heffiji trzymała wielką płachtę papieru, na której widniały cztery wersje tego samego rysunku. Powtarzała słowa wypisane na szczycie kartki: „Najbardziej prawdopodobna rekonstrukcja wielkich stworzeń znalezionych w osadach Żantyca i Chorzyca”.

Był to wizerunek wielkiego robaka, niby glisty, z pozostałościami skrzydeł, rozdzielających się jak palce geblinga, z głową proporcjonalnie małą jak u dwelfa i z ciałem tak długim i giętkim jak ciało gaunta. Brzuch zwierzęcia wyglądał na otwarty, jakby mu wyjęto część jelit.

Kiedy Heffiji wreszcie zamilkła, z miejsca przy ogniu odezwał się Angel:

— Glizdawce. Pierwsi koloniści tak je nazwali, a potem je wybili, chociaż wszystko wskazywało, że stworzenia te żyją w stadach i grzebią swoich zmarłych. Były zbyt przerażające, budziły w ludziach strach. A teraz znikły.

— Poza jednym — wtrąciła Patience. — To jest właśnie Nieglizdawiec, prawda? Ostatni z glizdawców.

— Niezupełnie — powiedział Ruin, który wyglądał na wykończonego i pokonanego. — Przecież to my, geblingi, tak go nazwaliśmy. Nie-glizdawiec. To nie jest glizdawiec. Nie był naszym ojcem, ale bratem. Nie pamiętaliśmy, że tak wygląda, nie pamiętaliśmy, kim były glizdawce. Ale teraz wszystko jest jasne. Tak jak z drugą generacją komara — komarzątko wybijały się wzajemnie, czekając

na oblubienicę w postaci ziemskiego zboża. Do tego właśnie dąży Nieglizdawiec. Czeka na swoją oblubienicę.

— Siódma siódma siódma córka — mruknął Angel. — Mówiłem ci, byś tu nie przychodziła.

— Nowa ludzka rasa, która zastąpi starą — powiedziała Reck. — I zniszczy pozostałe — gaunty, dwelfy i geblingi.

— Dlaczego czekał tak długo? — zapytała Patience. — Komary załatwiły sprawę w dwa pokolenia. Dlaczego Nieglizdawiec czekał na mnie aż 343?

Heffiji spojrzała zakłopotana.

— Nie wiem, nie oczekuj ode mnie odpowiedzi na wszystko.

## Rozdział 12

# KAMIEŃ WŁADZY

Ruin starannie wygolił włosy Patience. Zaczął za uchem i doszedł prawie do środka głowy.

— Teraz będziesz musiała nosić swoją perukę — powiedział Angel. — Twoje nowe uczesanie może wzbudzać zbyt wiele zainteresowania.

Ruin przeżuł liść, a potem oblizał wygoloną powierzchnię szorstkim językiem. Ponakłuwał skórę igłą. Patience nie czuła bólu, tylko lekkie napięcie skóry. Nerwy zostały znieczulone.

— Mniejsza o fryzurę — odparła — bylebym tylko po tym pamiętała, że jestem dziewczyną — Nadrabiała miną, ale ku własnemu zdziwieniu usłyszała w swoim głosie lęk. — Czy w ogóle człowiekiem — dodała.

Reck dotknęła jej dłoni. Patience jak przez mgłę pamiętała, że jeszcze miesiąc temu musiałaby całą siłą woli powstrzymać się, aby nie okazać wstrętu, jaki wzbudzało w niej dotknięcie geblinga. Teraz podziała na nią kojąco. Uważaj, żebyś jej za bardzo nie polubiła, przestrzegła się w duchu. Strzeż się uczuć, one zawsze mogą cię zawieść.

— Patience — odezwała się Reck cichym głosem — to niedobrze, jeśli nie jesteś pewna, kim jesteś. Po włożeniu kryształu będziesz miała w swoim umyśle wspomnienia setek przedstawicieli dwóch ras. Niektóre okażą się bardzo natarczywe — szczególnie te, należące niegdyś do geblingów. Królowie geblingów zawsze byli bardzo silni.

— Wiem, kim jestem — wyszeptała Patience. Ale kłamała. Jeśli wiedziała, ukrywała to nawet przed sobą. Tę tajemnicę miała nadzieje kiedyś odkryć. Posiadanie kamienia ukaże ją taką, jaka była, zanim nauczyła się wszystkich ról. Gdyby wtedy okazało się, że nie pozostało w niej nic poza odgrywanymi rolami, kamień zwinie ją z powrotem i zabije wspomnieniami istnień, które dawno odeszły. Ale może gdzieś głęboko pod twarzami namalowanymi przez innych istnieje jej prawdziwe ja. Jeżeli wreszcie odnajdzie je, uratuje się.

Albo jestem kimś i będę żyła, albo jestem nikim i umrę.

Wiedziała, że teraz Ruin odcina kawałek skóry. Słyszając zgrzyt domyśliła się, że tnie kość jej czaszki, ale nic nie czuła, jakby głowa była z kamienia. Rzeźbił w kamieniu, jej głowa stawała się taka sama, jak te w słojach, które zebrane w wielkiej komnacie wpatrywały się w nią, pływając wśród szyjek i czerwi głównych. Zadrzała.

— Nie ruszaj się — szepnął Ruin.

Angel rozpoczął monotony monolog, który miał ją uspokoić.

— Widzisz, Patience, informacje o Nieglizdawcu i pochodzeniu geblingów, dwelfów oraz gauntów najwyraźniej wcale nie zostały odkryte przez tego, który zostawił u Heffiji swoje odpowiedzi. Same przepowiednie, imię Nieglizdawca, tradycje wszystkich nieludzkich gatunków, świadczące, że pochodzą one od kogoś żyjącego na tej planecie przed człowiekiem, i wiara, że Nieglizdawiec jest ich bratem — wszystko to wskazuje, że informacje te odkryto już wcześniej, być może nawet wielokrotnie.

Ruin podważył kawałek kości czaszki. Usłyszała, jak odkładają na stole.

— Ale wiedza przychodzi i odchodzi. Na przykład jak przebiegło pierwsze spotkanie ludzi i geblingów? Czy geblingi od razu rozwinęły język? Społeczeństwo? Czy uczyli się tego wszystkiego od ludzi?

Ruin trzymał w dłoni kryształ.

— To jest moje dziedzictwo — wyszeptał. — Żaden człowiek nie potrafiłby tego zrobić. Należy wyłącznie do mnie i do Reck, a ty nie masz do tego prawa.

Przez moment Patience myślała, że gebling ma zamiar zerwać umowę, że włoży kamień do ust, połknie go i ruszy samotnie skrajem szaleństwa. Przez tę chwilę poczuła ulgę, ale wtedy właśnie umieścił kamień w jej mózgu i zrozumiała, że mimo wszystko to jednak ona będzie musiała przejść przez tę ciężką próbę. Językiem wepchnął kamień w maleńkie nacięcie, które zrobił wcześniej, w wybranym miejscu, dokładnie w samym centrum ośrodka ruchu. Potem zgarnął językiem delikatny proszek naszykowany w małym pojemniczku i polizał kamień oraz całe pole operacyjne.

— I jeszcze jedno mnie intryguje — mówił dalej Angel, nie zwracając w ogóle uwagi na słowa Ruina ani na fakt, że Patience ruszyła już drogą, przy końcu której mogła ją czekać zagłada. — Jaki wpływ ma kryształ na inteligencję nieludzi? Geblingi oczywiście posiadają takie same mózgi jak my, natomiast mózgi dwelfów są inne. Wszyscy macie kamienie, lecz gaunty nie posiadają woli ani samoświadomości — w takim razie kamień nie jest źródłem kształtowania się osobowości. A wy, geblingi, wy i Nieglizdawiec potraficie porozumiewać się pomiędzy sobą w sposób niepojęty dla stworzeń ludzkich. Na dodatek Nieglizdawiec może w ten sposób przyzywać także ludzi — musi to być również dostępne dla nas, tyle tylko, że nie umiemy się tym świadomie posługiwać.

— Kiedy grasz rolę uczonego, stajesz się takim skurwielem — zdołała wymamrotać Patience.

Angel zignorował jej uwagę.

— A glizdawiec, który przemawiał do Kapitana Statku, miał te same możliwości, a może i większe.

Do rozmowy, nie przerywając pracy, wtrącił się Ruin:

— Bez wątplenia glizdawce używały tych zdolności w celu zwabienia ofiar i niszczenia wrogów. Jeden z nich w ten sposób przywołał do siebie Kapitana Statku. Nie przypuszczał, że ofiara jest inteligentna.

— Kiedy się o tym przekonał, zamiast zjeść Kapitana, użył go jako partnera — dodała Reck.

— Ciekawe, co by wybrał Kapitan, gdyby mógł: parzenie się czy śmierć — roztrząsał Angel. — Zastanawiam się, jak wiele upokorzeń potrafi znieść człowiek, zanim mu się odechce żyć. — Westchnął ze smutkiem.

— Prawą ręką pisał to, do czego zmuszał go glizdawiec — wyszeptwała Patience. — A lewą w tym samym czasie nas ostrzegał. Chociaż glizdawiec kontrolował wszystkie jego poczynania, Kapitan zachował resztki woli.

— O tak, fragment, część woli, która rodzi się w mózgu. Stworzona i ukształtowana przez wspomnienia i doświadczenia. Świadomość, umysł kontrolowany, ta jego część, dzięki której posługujemy się słowami. A co z pozostałą częścią woli, która zapisana jest — gdzie? W genach? Tylko one mają szansę przetrwać po naszej śmierci. Czy istnieje bardziej odpowiednie miejsce dla podświadomości. . .

Patience poczuła, jak nagle wyostrza się jej wzrok. Przedtem nie zwróciła uwagi, że widziany obraz jest taki zamazany. Poza tym to wcale nie mówił Angel, tylko stary Mikail Nakos. Dlaczego wcześniej nie poznała jego głosu? Mikail, który poświęcił się badaniom nad geblingami. Uważał, że nikomu nie może to przynieść szkody. Ale teraz, gdy zdobył kryształ, chciał go zaimplantować w czyjś mózg. Nie zdawał sobie sprawy z przyszłych konsekwencji tego czynu.

— A jeśli kryształ naprawdę zwiększy ludzkie możliwości i człowiek uzyska zdolność telepatycznego porozumiewania się z geblingami?

— To może się zdarzyć — odparł inny głos. Jej własny, tego była pewna, ale nie spodziewała się, że będzie miał takie brzmienie. Z jakiegoś powodu spodziewała się głosu dziewczynki nauczonej wypowiadać słowa słodkie i łagodne. Tymczasem brzmiał szorstko, był niski i autorytatywny. A dlaczego nie? Czyż nie jestem mężczyzną? Heptarchini wsłuchiwała się w samą siebie, próbując zrozumieć, dlaczego jej własny głos brzmi dla niej tak obco.

— Przypuszczam jednak, że komunikowanie się telepatyczne ma raczej związek z zapisem genetycznym niż z kryształami. Kryształ bardziej przypomina pamięć. Znakomicie zorganizowaną, jasną i dobrą pamięć. — Patience (ona lub on) nie miała wątpliwości, że może inteligentnie rozmawiać ze znakomitym naukowcem. Bo stary heptarcha był przede wszystkim uczonym. Ale dlaczego nazywam go starym heptarchą? W takim razie to nie jestem ja. To nie ja rozmawiałam, chociaż pamiętam taką rozmowę.

— Zgaduję, ale te małe stworzenia, które nazywamy dwelfami, potrafią zapamiętać w najdrobniejszych szczegółach wszystkie swoje czyny, choć nie radzą sobie z myśleniem. Magazynują miliony danych, ale nie umieją ich uporządkować.

— Nieprawdopodobne, panie. Kryształ byłby magazynem danych, mózg systematyzatorem. Ale telepatia? Jej ośrodek może się znaleźć w kryształach.

— Nawet nie jestem pewien, czy to jest telepatia. Geblingi tego nie powiedzą, niech Bóg błogosławi ich zbójceckim, podłym душom.

— A jednak kryształ połączony z ludzkim umysłem może wielokrotnie zwiększyć psychiczne możliwości człowieka.

— Jeśli zdoła się z nim połączyć. Jeśli naprawdę ma coś wspólnego z psychiką.

— Trudno powiedzieć. Geblingi nie odpowiedzą nam na to pytanie, zresztą same prawdopodobnie nic na ten temat nie wiedzą. Głupie małe diabły.

Z jakiegoś powodu heptarcha chciał poprawić uczonego. Powiedzieć mu prawdę o geblingach. Ale nie mógł przypomnieć sobie, dlaczego uważa, że zna tak dobrze geblingi, więc nic nie powiedział.

— Posłuchaj, panie. Gdyby geblingi nie były tak niebezpieczne, moglibyśmy je zostawić w spokoju. Ale to są kanibale. Widzieliśmy, jak jedni drugim wyjadają mózgi, poza tym zamordowali już kilkanaścioro ludzi. Musimy zdobyć tyle wiadomości o nich, ile się tylko da. Czego chcą, skąd pochodzą. . .

— A więc dla przeprowadzenia eksperymentu z kryształem potrzebna ci jest mała myszka?

— Niestety tak, naprawdę potrzebuję niezwykle inteligentnej białej myszy. Mam zamiar zaimplantować go do swego własnego mózgu.

— Bzdura. Jeśli masz to komuś zrobić, zaimplantuj go mnie.

— Jesteś heptarchą. Nie mogę tego zrobić.

— Jestem heptarchą, a więc musisz to zrobić. Nie ma obowiązku tak trudnego, tak niebezpiecznego, tak przykrego, którego nie wzięłbym na siebie dla moich poddanych.

Patience nagle zdała sobie sprawę, że nie jest człowiekiem, który zdecydował się umieścić kamień w swojej czaszce. On żył dawno temu. Ale jak kryształ mógł zachować wspomnienie zdarzenia, które miało miejsce, zanim został zaimplantowany?

Kiedy pojawiło się pytanie, znalazła się również odpowiedź. Matka mówiła do córki. A ona była jednocześnie matką i córką. To było niepokojące, choć jednocześnie ożywcze.

— Kiedy kamień władzy znajdzie się w twoim mózgu, pierwsze, co zrobi, to wyszuka najważniejsze wspomnienia i zapisze je.

— Będziesz znała moje wspomnienia?



— Nie, kochanie, ale ty poznasz moje. Będziesz wiedziała, o czym myślę w tym właśnie momencie, i zrozumiesz, jak bardzo cię kocham, dając ci w darze kamień, choć sama jeszcze żyję.

— Boję się.

— Musisz pomyśleć o naszym wielkim przodku, który pierwszy zdecydował się nosić kamień władzy. On jest naszą odwagą. Część jego stanie się częścią ciebie.

Dlaczego ojciec nie pomógł jej tak, jak ta matka pomogła swojej córce? Ale nie mogła sobie przypomnieć, kim był jej ojciec, ani kim sama jest, była tylko matką i tylko córką.

— Tak długo jesteś bezpieczna, póki nie myślisz o pewnych sprawach.

— Jakich sprawach?

— Jeśli ci je zdradzę, głuptasie, czy zdołasz powstrzymać się od myślenia o nich?

Wiem, o co jej chodzi, pomyślała Patience. O królów geblingów, w których umysłach rósł ten kryształ przez siedem pokoleń. Ich serca były sercami glizdawców i to o nich nie wolno myśleć.

I w tym momencie w jej umysł wdarły się straszliwie obce wspomnienia. Od razu wiedziała, że wstąpiła w otchłań. Poczowała coś, jakby na granicy wyobraźni, jakby głos w tle, jak metaliczny posmak w ustach, jak aromatyczny zapach słodko-gorzkich wspomnień, jak dotyk tysięcy skrzydełek ciem na skórze. Uświadomiła sobie, tak samo, jak przedtem geblingi, których umysły zamieszkały teraz w jej głowie, że te stworzenia są jej braćmi, jej siostrami. Mówili jej o pierworodnym królu geblingów, o niej samej.

Inne geblingi wciąż jeszcze przebijały się na świat przez miękkie skorupki, ich włosy były skręcone i splątane. A ja już przywieram do ciała matki. Czarne ciało drży wciąż od wysiłku. Obok mnie leży mój ojciec. Jego biedne, słabe, bezwłose ciało pokryte jest potem. Chodź do mnie, ojcze, otwórz moje usta.

— Całkiem ukształtowane. Cokolwiek to jest, to nie dziecko — głos zabrzmiał łagodnie. — Nie widziałeś gdzieś w pobliżu jakichś dzieci?

Jego usta poruszają się i wydają piękne dźwięki. Naucz mnie, jak wydawać takie dźwięki.

Twarz ojca krzywi się na mój widok.

— Całkiem ukształtowana małpka. — Dotyka mnie. Popycha mnie. — Sprowadziłaś mnie tutaj, żebym dał życie temu!

Otwiera się kolejne jajo z czymś czarnym w środku. Czarnym jak matka. To coś jest głodne. Czuję, że jest głodne. Chce zabić ojca. Chce zabić mnie. Chce zabić wszystkich i zjeść cały świat.

Ojciec nauczył mnie, co powinienem zrobić. Uratował mnie. Ojciec nauczył mnie, jak odepchnąć inną istotę. Odepchnąłem czarnego stwora, odepchnąłem go, ale on mnie zranił. To boli. Krzyknąłem z przestachu. Mamo, pomóż mi! Ojcze,

uratuj mnie! Słyszę, jak z moich ust wydobywa się przerażający dźwięk, wydaje dźwięki, tak jak mój ojciec. Krzyczę i krzyczę.

Walczą, matka i to czarne stworzenie. Ojciec wrzeszczy rozpaczliwie.

— Zostańcie tutaj i umrzyjcie, na litość Boga, pozjadajcie się nawzajem.

W jego głosie brzmi lęk, ja też jestem przerażony. Ojciec przez dziurę w ścianie wychodzi w jasność. Ojciec zna drogę. Ojcze, idziemy za tobą. Chodźmy z ojcem, krzyczę bezgłośnie i oni mnie słyszą. Idę i idą też wszyscy inni, ci, którzy wyglądają tak jak ja, i ci mniejsi, i ci więksi, wszyscy, którzy potrafią się poruszać, wszyscy z wyjątkiem umierających, których ciała nie chcą funkcjonować jak należy. Krzyczymy za nim — idziemy, ojcze! — ale on nas nie słyszy, ponieważ nie wydajemy dźwięku, a w ciszy on jest głuchy. Widzę to w jego wzroku, kiedy patrzy na nas i nie rozumie naszego wołania, słyszy tylko jęki.

A poza nami ten czarny, który wygląda jak matka, zjada jej wnętrzności. Gdyby mógł, zjadłby także nas. Głód, głód, krzyczy o swym głodzie prosto w nasze uszy. Chodźcie do mnie, krzyczy jego głód, chodźcie i napełnijcie mnie, i czuję, jak moi bracia i siostry odpowiadają mu, stają, a potem zawracają do miejsca naszych narodzin. Nie! Krzyczę. Nie! Chodźcie z ojcem, odejźmy stąd. Z ojcem, z ojcem, powiedzcie każdemu, by poszedł z ojcem.

I najsilniejsi podejmują mój krzyk i oni krzyczą również — chodźcie z ojcem! Kiedy wołamy tak razem, stajemy się silniejsi, silniejsi i silniejsi, aż wreszcie nasza siła jest większa niż głód pożeracza naszej matki.

W dół czarnym tunelem, wszyscy posuwamy się czarnym tunelem. Gdzie jesteście, ojcze? Gdzie jesteście?

Widzę was, jasne siostry i jaśni bracia. Czuję wasze ścieżki w ciemności, wiem, gdzie jesteście, każde z was, tyle różnych dróg. A kroki ojca znaczą mi drogę na zewnątrz. Z biegiem wody. Jak najdalej miejsca urodzin, z biegiem wody...

Patience aż krzyknęła z radości, gdyż po raz pierwszy w swoim życiu ujrzała światło. Stała w wylocie jaskini położonym na stromym zboczu i patrzyła w dół na gęsty las. Pomiędzy drzewami spływały z góry zwanej Stopą Niebios liczne strumienie. I nawet kiedy przypominała sobie, że to ona jest Patience, wciąż nie zapomniała, iż jest również pierwszym królem geblingów, czującym obecność wszystkich pozostałych stworzeń swojej rasy, wychodzących z poszczególnych tuneli, z których każdy po kolei odkrywa niebo i wodę wypływającą z licznych otworów w ścianie góry. Znowu patrzyła oczami geblinga.

Stoimy tam wszyscy w jasnym świetle, wszyscy podobni do mnie, trochę więksi albo mniejsi. Czułem obecność nas wszystkich, tutaj, na skraju świata. A obok mnie stoi ojciec, jemu też woda spływa po twarzy.

— Dla was zaprzedałem duszę — mówi. — Wszystkie moje pragnienia skupiły się na waszej matce. Jak w ogóle mogłem jej tak pożądać? — Wzruszył ramionami. — To coś ją zjadało. Co za potwór... Starłem się go czuć, tak jak czułem

wszystkich pozostałych, ale nie potrafiłem. Moje oczy widziały go, mój nos rozpoznawał jego zapach, lecz mój drugi umysł nie był świadomy jego obecności. Dotknąłem policzka ojca i spróbowałem wody, która płynęła mu po twarzy. Była słona, inna niż woda w jaskini. Zobaczył mój język i skrzywił się.

A potem wyciągnął rękę i sięgnął do mego policzka, a jego usta powiedziały:

— Ale ty nie jesteś glizdawcem, prawda? I w tym, co się stało, nie ma twojej winy.

Potem wstał, wziął mnie za rękę i poprowadził na skraj skały. Tam wskazał tę błękitną jasność, która oślepiała i mnie, i wszystkie dzieci człowiecze, i glizdawcze.

— Niebo — powiedział.

— Chory. Ja — powiedziałem. — Jestem jak on, nie jak matka. Ona została zjedzona przez glizdawca w miejscu połogu, ale ojciec żyje, a ja jestem jak on.

— Urodził się godzinę temu i już potrafi mówić. Do czego ja się przyczyniłem? Co z niego wyrośnie?

Patience przyglądała się, jak przepływa czas. Kapitan Statku uczył swe dzieci wszystkiego, co sam umiał. Budować domy, polować i zdobywać pożywienie, opiekować się własnymi dziećmi i z kolei je uczyć. Ci nowi ludzie chłonęli wiedzę bardzo łatwo. Nigdy nie zapominali niczego, co zrobili choćby tylko jeden raz. Ulepszyli swój świat prędzej, niż ojciec potrafił im pokazać, co należy zrobić, aż wreszcie już rzadko kiedy przychodzili do niego po poradę.

Tylko król geblingów, który nigdy w ten sposób siebie nie nazwał, przychodził często do ojca.

— Glizdawce — mówił mu ojciec. — Twoja matka była glizdawcem, a ja jestem twoim ojcem, ale najważniejszy jest ten potwór, który zjadł twoją matkę i starał się nas odciągnąć od jasnych miejsc. On wygląda jak glizdawiec, ale nim nie jest. Jest waszym bratem i gdy tylko będzie mógł, zabije was wszystkich. Jeśli kiedykolwiek wyjdzie z jaskini, to wy musicie go zgładzić.

Tak więc pierwszy król geblingów był też pierwszym geblingiem, który nauczył się, co to znaczy zabijać, i podobnie jak ludzie używał sekretnej wiedzy o zabijaniu, aby zdobyć władzę. Świadomość, że można zabijać, to straszliwy sekret. Potrafię cię zamordować, jeśli mnie nie posłuchasz. Ale jeśli będziesz uległy, mogę zdradzić ci sekret i ty również zdobędziesz władzę.

Ale kiedy ojciec znalazł mnie pewnego dnia unurzanego we krwi, powiedział:

— Żałuję, że Nieglizdawiec nie zabił cię w dniu twoich urodzin, żałuję, że nie zabił mnie i nie zjadł. Wolałbym to, niż widzieć, kim się stajesz. Żałuję, że przekazałem wam tę wiedzę.

Więc stojąc przed resztą, zabiłem go i zjadłem jego mózg, chociaż nie było w nim kamienia. Nie powiedziałem im, że nie miał kamienia. I teraz moja władza jest doskonała, większa nawet niż władza Nieglizdawca, ponieważ on nie ma nikogo, kto by wypełniał jego polecenia, a ja mam wszystkich.

Na wspomnienie tej sceny z ust Patience dobył się krzyk, gdyż pamiętała smak i zapach krwi ojca, przerażenie, ale i podziw w oczach innych geblingów. Nie mogłam tego zrobić! Nigdy nie mogłabym czegoś takiego zrobić! — krzyczała ze wstrętem. A przecież do tego właśnie została przygotowana. Miała zabijać, by zdobywać władzę i usuwać ze swej drogi wszystko, co zagrażało jej zamierzeniom.

— Ona wpada w obłąd — odezwał się Angel.

— Dajcie jej czas na odnalezienie siebie — powiedziała Reck.

Ich głosy nie docierały do Patience. Ona widziała tylko rzekę krwi płynącą poprzez wieki. Morderstwa królów geblingów, morderstwa heptarchów. Wojny i skrytobójstwa, tortury i gwałty. Pamiętała wszystkie zbrodnie popełnione przez siedem tysięcy lat i nienawidziła samej siebie za to, co zrobiła.

Moje życie to tylko śmierć i spustoszenie, myślała.

A potem nagle ujrzała twarz swojej matki (czy naprawdę była to jej matka?), uśmiechającej się do niej i mówiącej:

— Nie płacz, złamane serduszko. Nie rozpaczaj nad tym, co zrobiono w twoim imieniu. Na każde zniszczone życie przypada dziesięć tysięcy żyjących w spokoju pod twoją władzą. Czy myślisz, że twoja władza przetrwałaby choć przez chwilę, gdybyś nie miała siły zebrania ich i zmuszenia, by pracowali jak jeden mąż? Uczyniłaś słabych silnymi i będą cię kochać na zawsze.

Patience uchwyciła się tego głosu. Uczyniła słabych silnymi. Będą ją kochać na zawsze.

A ponieważ znalazła coś, na czym mogła się oprzeć, co chroniło ją przed upadkiem w przepaść, usnęła.

## Rozdział 13

# PRAWDZIWIY PRZYJACIEL

Obudziła się w łóżku, przykryta trzema pierzynami. Przez okno ze zbitą szybą wpadał chłodny powiew. Drzewa na zewnątrz miały złoty, jesienny kolor. Czy jesteście prawdziwymi drzewami z Ziemi? — pytała je niemo. Czy też obcymi stworzeniami, które zniewoliły drzewa, kryjąc się głęboko w ich środku, używając ich jako maski?

Pomyślała o tych wszystkich dzieciach, które miała podczas setek swych wcieleń. Wyobraziła sobie, jak uśmiechają się do niej wszystkie dobre dzieci, co do jednego. Ale wtedy coś ciemnego wpełzło jej do ust, ciemny robak, i nagle ona sama była glizdawcem, z małą głową i dłońmi przypominającymi wachlarze, bez żadnych skrzydeł, i z setkami organów służących do rozrywania, trawienia i reprodukcji. Nieglizdawcu, czy znasz różnicę między jedzeniem a parzeniem się? Czy potrafisz oddzielić obie te czynności? Czy może jest to ten sam głód?

Otworzyła oczy. Zobaczyła go, zanim zdążyła dostrzec cokolwiek innego. Stał w przytłumionym świetle jesieni. Will. Przyglądał się jej w całkowitym milczeniu, nieodgadniony, jak zwierzę; albo raczej jak góra, jak ściana żywej skały. Dlaczego mi się przyglądasz?

Nie wypowiedziała głośno tych myśli i on jej nie odpowiedział. Gdy zauważył, że otworzyła oczy, skinął głową i wyszedł z pokoju. Zamknął za sobą cicho drzwi. W jego zachowaniu była czułość, łagodność, które wskazywały, że mimo wszystko nie jest z kamienia. Nie brak zdolności przeżywania uczuć czynił go tak nieporuszonym, tylko spokoj. Pogodził się z życiem, więc jego twarz nie miała już więcej nic do powiedzenia, nie wyrażała żadnych niemych błagań. Nie dręczył go głód. Wyglądał jak człowiek syty.

Na myśl o głodzie poczuła znowu zew Spękanej Skały, równie silny jak zawsze, wgrzyzający się w jej łono. Pragnę mieć dzieci, pomyślała. Ta świadomość przyszła równocześnie ze wspomnieniami koszmarów, które przeżyła podczas snu. Nieglizdawiec sprawi, że zapragnę nosić w sobie jego nasienie, tak jak za sprawą jego matki Kapitan Statku pożądał tylko jej. Każe mi myśleć, że to eksta-

za.

Zadrzała. Ale teraz, kiedy Nieglizdawiec pojawił się w jej snach setki razy, gdy widziała go zjadającego własną matkę i mordującego bezradnych, zdeformowanych braci, stał się dla niej tak znajomy, że nie traciła już kontroli nad sobą i nie krzyczała, jak przedtem, podczas snu. Była zbyt zmęczona, by krzyczeć. Muszę po prostu przeciwstawić się temu i już. Albo on zginie, zanim mnie posiadzie, albo ja. Z mego ciała nie urodzą się jego dzieci.

Ale nawet jeśli przeżyję, czy kiedykolwiek będę pragnąć jakiegoś mężczyzny tak, jak pragnęłam Nieglizdawca? Co się stanie, gdy on umrze, nadal mnie przyzywając. Czy to pragnienie pozostanie ze mną na zawsze, nigdy nie zaspokojone?

Za te myśli była zła sama na siebie. Usiadła, przewieszając nogi przez krawędź łóżka. W pierwszej chwili myślała, że upadnie na posłanie, taka była słaba. Otworzyły się drzwi do pokoju i wszedł Angel. Wyglądał zdrowo i silnie, a rana na szyi całkiem się zagoiła.

— Po twej ranie nie ma już śladu i drzewa zmieniły kolor — powiedziała. — Jak długo spałam?

— Czterdzieści dni i czterdzieści nocy, tyle czasu, ile Mojżesz spędził na górze, tak długo, jak deszcz padał w czasie potopu i jak Eliasz błędził po puszczy. Jeśli można to nazwać spaniem. Strasznie często krzyczałaś i nam też nie dawałaś spać. Nawet River skarżył się, że śmiertelnie przestraszyłaś małpę. Jak się czujesz?

Sięgnęła ręką do wygolonego przez Ruina miejsca na głowie. Włosy zdążyły odrosnąć na kilka centymetrów.

— Słabo — odpowiedziała. — Nieglizdawiec mnie wzywa.

— Obawialiśmy się, że kamień władzy okaże się dla ciebie zbyt trudnym brzemieniem.

— To właściwie nie chodzi o kamień. Tylko o te wszystkie niegodziwości, które popełniłam.

— Nie popełniłaś żadnej z nich.

— Ależ tak, Angelu. Nie, nie dyskutuj ze mną. Nie zabiłam swego ojca, by zjeść jego mózg, jak to uczynił pierwszy król geblingów, ani nie zabiłam swej żony, jak mój ojciec. Ale zabijałam. Chciałam być posłuszna tobie i ojcu, pragnęłam chronić własne życie. Zabijałam z łatwością, ale i z przyjemnością, a nawet z dumą. Teraz już nie potrafię wybaczyć sobie tych zbrodni. Jedyne, co mogę, to znaleźć i podążać bardzo wąską ścieżką nadziei wyprowadzającą mnie z życia, jakie wiodłam. Nadziei, że to wszystko, co się wydarzyło, doprowadzi wreszcie do dobra, że z krwi, którą przelałam, wyrośnie nowe życie.

— Wielu po obudzeniu udaje filozofów — skwitował jej słowa Angel.

— Nie pokpiwaj ze mnie — powiedziała Patience. — To ważne. To jest mój — mój wkład w kamień władzy, jeśli w ogóle jest możliwe, abym miała swój udział. Wszystkie dzieci — ludzi i geblingów — oczekują ode mnie zapewnienia

im bezpieczeństwa. Obrony ich przed dziećmi Nieglizdawca. A jednak czasami myślę, że jego dzieci nie byłyby mordercami, gdyby człowiek nie pojawił się na tym świecie. Były połączone jednym sercem i umysłem, zanim ludzkie geny nie uczyniły nas obcymi sobie. Dzieci Nieglizdawca nigdy nie będą samotne. I ja mogę być ich matką.

— Nie mów tego, Patience — poprosił Angel.

— Widzisz, wreszcie zrozumiałam przesłanie, które on śle do mnie, Angelu. Wiem, co Nieglizdawiec zrobił ze swoją matką. On jest pożeraczem, nie ja. Jeśli będę mogła, zabiję go. — Ale sama wiedziała, że jej słowa nie brzmią przekonująco. I nie miało to ostatecznie znaczenia. To nie Angela chciała przekonać, tylko samą siebie.

— A więc on jest glizdawcem? Potomkiem stworzeń, które zabili pierwsi koloniści?

— Jest Nieglizdawcem, Angelu. Tym jedynym. Żyjącym od siedmiu tysięcy lat.

— Życ tak długo. . .

— Jesteśmy tutaj obcy. Życie miejscowe potrafi się adaptować, dokonywać zmian podczas jednego pokolenia, które nam zabrałyby miliony lat. Nieglizdawiec jest inteligentniejszy niż wszyscy mieszkańcy tej planety razem wzięci. Łączy w sobie naturalną siłę istot pochodzących z Imaculaty, a jednocześnie posiada jeden z najbardziej błyskotliwych umysłów ludzkich. Kiedy tylko jakiś jego organ stawał się słaby, Nieglizdawiec reperował go genetycznie. Musiał być gotowy na chwilę, kiedy wybrana partnerka urodzi jego dzieci.

— Dlaczego czekał tak długo?

— Nie wiem. Wiem tylko, jak to było, gdy glizdawce ujrzały ludzi. I maszyny, które pozwalały naszym przodkom latać, kreśląc dziwne obrazy w powietrzu i jednocześnie niszcząc lasy oraz zasiewy pszenicy. Co glizdawce zobaczyły, kiedy na niebie pojawiła się nowa gwiazda i metalowy ptak zawisł nad ich światem? Nie były komarami, które mogły się ukryć w nieruchomym i bezpiecznym zbożu. Stały na szczycie tutejszej cywilizacji, ale my byliśmy od nich silniejsi. A jeśli chcieli nas zastąpić. . .

— Musieli nauczyć się wszystkiego, co my umieliśmy.

— Zboże czeka biernie, aż przyjdzie nieprzyjaciel i je zniszczy. Ale glizdawce wiedziały, że ludzkie istoty nie będą bierne. Byliśmy dla nich śmiertelnym zagrożeniem, największym, z jakim spotkali się do tej pory. Żeby nas pokonać, wnuki glizdawców nie tylko musiały wyglądać identycznie jak człowiek, musiały też opanować do perfekcji wszystko, co człowiek potrafił zrobić. Musiały stać się mądrzejsze, piękniejsze, inteligentniejsze, silniejsze i bardziej niebezpieczne niż ludzie. W jaki sposób jedno jedyne glizdawcze dziecko, Nieglizdawiec, ukryte w lodowej jaskini w Stopie Niebios, mogło nauczyć się wystarczająco wiele, by móc potem przekazać swą wiedzę dzieciom?

— Lodowa grota? Czy to znaczy, że on jest wysoko w górach, tam gdzie lodowiec?

— Czy ty nie rozumiesz, Angelu? Gdybyśmy zbudowali maszyny, nie mógłby nas pokonać. To glizdawce wiedziały od samego początku. Kiedy zniewoliły Kapitana Statku, zmusiły go natychmiast do zniszczenia wszystkich łatwych do wydobycia zasobów metali. Ale metal nadal istniał — pamiętam moich przodków, którzy go poszukiwali, wydobywali i starali się z niego budować maszyny. Mogło im się powieść. Ale kiedy sukces był już blisko, zawsze zjawiały się geblingi. Nasze ziemie zalewały hordy wysłane ze Spękanej Skały.

— Historia naszego świata jest mi dość dobrze znana.

— Angelu! Mówię ci coś, czego nikt nigdy nie wiedział. Mówię ci, dlaczego tak się działo. Widzę już wzór, ponieważ pamiętam wszystko, co się działo. To Nieglizdawiec wysyłał geblingi, żeby powstrzymały ludzi przed budowaniem maszyn, które uczyniłyby nas niepokonanymi. Czekał przez cały czas, utrzymując nas w słabości, podczas gdy on gromadził mądrość i wiedzę. Dał na to sobie siedem tysięcy lat. A potem dopełnił swej własnej przepowiedni, powodując śmierć wszystkich moich braci, a moje...

Delikatnie dotknął jej głowy w geście uspokojenia. Czują chłód jego ręki i miłość, z jaką ją dotykał.

— River powiedział nam, że jesteśmy zaledwie tydzień drogi od Spękanej Skały, a jesienne wiatry są tak silne, że poniosą nas jak na skrzydłach. Ale musimy już ruszać. Zimowe wichury mogłyby odepchnąć nas z powrotem. To dobrze, że właśnie dzisiaj przyszedł do siebie. Zabierzemy cię do Spękanej Skały zdrową.

W jego głosie brzmiała sztuczna nuta. Jakby nie wkładał serca w to, co mówił. Nie potrafiła odgadnąć, dlaczego ją okłamuje. Nic dziwnego, w ogóle z trudem zbierała myśli. Więc odrzuciła wątpliwości, nie zastanawiając się dłużej, co Angel może przed nią ukrywać.

— Powiedz Reck i Ruinowi, że znam mapę Spękanej Skały.

— Wiedzą o tym. Podczas snu dużo do nas mówiłaś. Zapisywałeś całe historie, które wykrzykiwałaś, a Heffiji chowała je na półkach. Staralem się odkryć jej system magazynowania.

— Nie ma żadnego.

— Doszedłem do takiego samego wniosku. Prawdziwy dwelf. Ale żadne inne stworzenie nie mogłoby tego zrobić. Nieglizdawiec wzywał do siebie wszystkich tych, którzy coś umieli. Jedynym sposobem, by na świecie pozostało trochę wiadomości, było powierzać je komuś takiemu jak Heffiji, kto nie zna wartości posiadanej wiedzy, ale potrafi sięgnąć po każdą informację, która ma jakąkolwiek wartość. Wszystko tutaj jest. Cała wiedza świata. Reck i Ruin wezwali geblingi do pilnowania tego miejsca. Mają zamiar oszklić okna i położyć nowy dach.

— Czy geblingi zaakceptowały Reck i Ruina jako swych władców?

Angel wzruszył ramionami.



— Kto wie, co się dzieje w ich umysłach? Mówią jedno, a mogą myśleć zupełnie co innego. Na razie królewska para nie może odejść od ciebie dalej niż na kilka kroków. W przeciwnym razie nie zostanie dopuszczona do Spękanej Skały przez Neglizdawca. Nie bardzo mogą ubiegać się o sukcesję, kiedy są przytroczeni do władczyni ludzi.

— Straciliśmy już wystarczająco dużo czasu — powiedziała Patience. — Zabierz mnie na łódź.

— Możemy dopłynąć do miasta geblingów, ale na górę wejdziemy dopiero, kiedy nabierzesz sił.

— Nie byłam chora, tylko szalona — odparła Patience. — Wariaci są wyjątkowo silni.

— Czy zew... brzmi teraz jakoś inaczej?

— Tylko dlatego, że wiem, kto mnie wzywa.

— A więc już cię nie kontroluje.

— Jeśli kontroluje, to tak umiejętnie, że nie zauważam tego.

— Czuję ulgę.

— Angelu, wiem, że byłam okropna.

— Naprawdę?

— Gdybym dostała kamień władzy, zanim otrzymałam w tym domu odpowiedzi, nie poradziłabym sobie z nim. A gdybym dotarła do Spękanej Skały bez tej wiedzy, którą uzyskałam, okazałabym się bezradna jak dziecko. Patrzę wstecz na wszystkie wasze działania — twoje, ojca, moje własne i geblingów — i dochodzę do wniosku, że wszystko było konieczne.

— Dlaczego w takim razie uważasz, że byłaś okropna?

— Nawet śmierć matki, Angelu. Nawet to.

Westchnął.

— Jakim jestem człowiekiem, jeśli zgadzam się, że moja matka musiała umrzeć? Żyłam tak wiele razy i widziałam swoje życie oczami ojca. Nigdy sobie tego nie wybaczył. Ale ja mu wybaczam.

Angel pochylił się nad nią i pocałował ją w czoło.

— Moja heptarchini, jesteś jedyną, która może rządzić ludźmi.

— Jakim jestem człowiekiem?

— Mądrym.

Nie kłóciła się z nim, chociaż wiedziała, że nie jest to prawda. Nie była mądra. Ale była silna. Opanowała kamień władzy. Stając się wszystkimi, którzy używali kamienia, pozostała też sobą. O sobie wiedziała bardzo wiele, reszta jej umykała. Więc niech Angel nazywa ją mądrą, nie dbała o to.

— Ale czy ja jestem dobra, Angelu?

— Jako heptarchini nie możesz wybierać między dobrem a złem. Tylko między rozwiązaniem słusznym i błędnym.

Długo była jego studentką, więc rozumiała różnicę i wiedziała, że miał rację. Grając rolę heptarchini nie mogła stosować tego samego kanonu moralnego, co inni ludzie. Jej decyzje dotyczyły nie tylko jej samej, ale dużo większej grupy. Tylko jak wielka mogła to być grupa?

— Słusznym dla kogo? — zapytała.

— Dla ludzkości.

Teraz już nie miała wątpliwości, że tu on się myli.

— Nie. Królewski dwór jest całym światem. A ja jestem również geblingiem. Cały świat ożywiony i cały świat nieożywiony, całe życie na tej planecie, poza jednym.

— A ten jeden chce ciebie. Prędeż umrę, niż mu na to pozwolę. On myśli, że jestem zbyt słaby i nie zdołam cię ochronić. Ale myli się, potrafię.

Mówił z nie udawanym ożywieniem. W tych słowach nie kryło się kłamstwo. On naprawdę ją kochał. Patience dotknęła delikatnie jego policzka.

— Służ mi jako wolny człowiek, Angelu.

— Niewolnik czy wolny, służę ci tak samo. Co to za różnica?

— Proszę cię teraz jako wolnego człowieka — pomóż mi.

Angel pomógł jej się ubrać i wyprowadził ją z pokoju.

Ku jej zdziwieniu w domu pełno było geblingów, wszystkie bardzo zajęte. Tylko do jej sypialni nie miały wstępu, w pozostałych pomieszczeniach szklili okna, uszczelniali szpary, reperowali, naprawiali. Patience usiadła we wspólnym pokoju przy tłącym się ogniu, w miejscu gdzie wpadające promienie słońca dawały trochę ciepła. Przyglądała się geblingom, biegającym w górę i w dół po drabinach. Małpa Rivera płątała się im pod nogami. Dziesiątki razy była poszturchiwana, nadeptywana lub zrzucana z wysokości, ale zawsze znowu się wspinała, wykrzykując jakieś bezsensowne nieprzyzwoitości. I kolejny raz obrywała. Patience pomyślała, że Heffiji bardzo przypomina jej małpę — też biegała, płacząc się wszystkim pod nogami, szczęśliwa i przerażona jednocześnie.

— Nie ruszaj tego! — wykrzykiwała co chwila.

Geblingi śmiały się z niej, ale słuchały.

River spał w słoju postawionym na kominku. Z daleka od Żurawiej Wody świat dla niego mógł równie dobrze wcale nie istnieć.

Patience uświadomiła sobie, że próbuje wyczuć milczącą komunikację między geblingami, rozmowy między umysłami bez użycia słów. Pamiętała tak dobrze, jakie to było uczucie, kiedy przeżywała życie pierwszych królów geblingów. A teraz nic nie czuła. Wydawało jej się, jakby wyciągała po coś rękę po to tylko, by przekonać się, że ręka została obcięta. Przyglądała im się w zadumie, pogrążona w smutku. Nigdy nie dowie się o nich więcej, niż powiedział jej kamień władzy. A geblingi zajmowały się swymi sprawami i nie wiedziały, kim ona jest. Nie przypuszczały nawet, że jest jedynym człowiekiem, który rozumie, co to znaczy

być geblingiem, który rozumie, że nieustannie podtrzymywane poczucie wspólnoty jest ich kotwicą i ratunkiem przed światem. Skąd czerpałam odwagę, by żyć, kiedy nie wiedziałam, co czuje inna istota?

— Patience — wyszeptał ktoś za nią. Znała ten głos, wiedziała, że Reck wyciąga dłoń w jej stronę. Sama też wyciągnęła rękę. I rzeczywiście, w tej samej chwili poczuła miękkie futro dłoni geblinga. Przez moment miała nadzieję, że wyczuła Reck, ale nie, to był tylko jej instynkt zabójczyni, który zawsze podpowiadał Patience, że ktoś wyciąga rękę w jej kierunku. Nie mogła żywić nadziei, że stanie się częścią społeczeństwa geblingów.

— Reck — szepnęła w odpowiedzi.

— Baliśmy się, że zawieziemy do Spękanej Skały kobietę, która postradała zmysły.

— Wariatkę powinniście byli zostawić tutaj. Przecież to jest szalone miejsce.

Reck roześmiała się.

— Niezupełnie. Przybyły geblingi, żeby odbudować dom Heffiji i zachować ludzką wiedzę.

— W jaki sposób je wezwaliście?

— Och, one zawsze poznają swego króla. Nie po twarzach ani imionach, nie. Nawet kiedy zobaczyły nas tutaj, uznały nas za jakies przypadkowe geblingi, które przyszły na wezwanie. Ale drugim umysłem zawsze rozpoznają wołanie swego króla.

— Czy przybyły ze Spękanej Skały?

— Nie sądzę. Kiedy zaczęliśmy je wzywać, usłyszały nas najbliższe i przekazały wieść dalej. Im dalej szło wołanie, tym stawało się silniejsze. Nie jesteśmy Neglizdawcem. Nasze głosy nigdy nie sięgnęłyby tak daleko.

— Dobrze, że wniosłyście życie w ten dom.

— Dzięki niemu stało się to, co wydawało się niemożliwe. Mój ukochany brat Ruin ukorzył się. Sprawily to te wszystkie myśli, które Heffiji tu zebrała. Ruin nie dawał jej chwili spokoju, zadawał pytanie za pytaniem, nie ustępował tak długo, póki nie uzyskał wszystkich odpowiedzi. W ciągu swego życia niewiele miał wspólnego z ludźmi, a żadnego Mądrego oczywiście również nie miał żadnej szansy spotkać. Ale teraz wreszcie zobaczył, do czego jest zdolny umysł ludzki.

— Gdyby chciał nas poznać od najgorszej strony, wystarczyłoby mu sięgnąć po kamień władzy — powiedziała Patience.

— Nie sądzę — odparła Reck. — Zawsze było nam żal ludzi i ich osamotnienia. Albo raczej ja was żałowałam, a on wami pogardzał. Ale teraz, no cóż, bez przerwy mi powtarza, że samotność jest podstawą prawdziwej mądrości, że wszystkie wspaniałe myśli zebrane w tym domu były krzykiem rozpaczki jednego człowieka do drugiego, prośbą: poznaj mnie, żyj ze mną w świecie mojego umysłu.

— Bardzo poetycznie powiedziane.

— Jest chory z miłości — tak mu powiedziałam — zakochał się w ludzkiej rasie. Ale ty wiesz, jak to jest. Nigdy nie nienawidziłam ludzi z taką pasją, jak on, dlatego też kiedy odkryliśmy, że jesteście coś warci, nie zrobiło to na mnie specjalnego wrażenia. — Reck podeszła do krzesła ustawionego po drugiej stronie paleniska.

— To zabawne — stwierdziła Patience. — Śniły mi się domy. Różne domy, którymi powinnam się była zająć. Czasami dom Heffiji, a czasami dom mojego ojca, kiedy indziej heptarszy dwór. A nieraz dom, w którym zabito moją matkę.

Reck przyjrzała się jej z zastanowieniem. Usłyszały kroki na schodach. Do pokoju wpadł Ruin. Patience od razu zauważyła, że nie był już nagi. Nosił krótkie spodnie. Krok w kierunku zaakceptowania ludzkiej cywilizacji.

— Dlaczego mnie wołałaś? — zapytał.

Reck odwróciła się w jego stronę, przywołując go skinieniem, by podszedł jeszcze bliżej. W pokoju poza nimi nie było nikogo, ale nie powinni rozmawiać zbyt głośno, w każdym razie nie o sprawach, których nie chcieli zdradzać przed czasem.

— Ona słyszała nasze wołanie — powiedziała Reck.

Ruin przyjrzał się Patience, jakby analizując dziwne nowe zioło, które nagle dostrzegł w leśnej ściółce.

— Kiedy wzywaliśmy do reperacji ważnego domu? A gdzie się znajdował?

— Czasami widziałam ścieżki, ale nie wiedziałam skąd i dokąd prowadzą. Ale czasami, jakby z dużej odległości, dostrzegałam, że dom się pali i wiedziałam, że muszę się śpieszyć...

Reck potrząsnęła głowę.

— W naszym wezwaniu nie było nic na temat ognia.

— Nie posyłał mi też obrazów — dodał Ruin. — Drugi umysł nie jest tak precyzyjny.

Ale Patience nie chciała odrzucić nadziei, że doświadczyła jednak wezwania przez drugi mózg geblingów. Nie mogła pozwolić, by jakieś drobiazgi podważyły jej przekonanie.

— Nie jestem geblingiem, więc mój mózg może przekładać słowa na zrozumiałe dla mnie obrazy. Ale mogę być bardziej geblingiem, niż możecie sobie wyobrazić. Pamiętam, jak to jest, kiedy się posiada drugi umysł. Pamiętam uczucia innych geblingów i mapę Spękanej Skały. A poza tym posiadam kamień władzy. Może on pozwala mi usłyszeć wasze wołanie.

Reck podrapała się po języku długim paznokciem.

— Nie — powiedziała. — Heptarchowie już wcześniej nosili w swych głowach kamień, ale nigdy nie słyszeli, jak król geblingów wzywa swoich ludzi.

Ruin kołysał głową, przyglądając się uważnie twarzy Patience.

— Jeśli nie kamień władzy, to może wołanie Nieglizdawca uwrażliwiło ją tak, że słyszy to, czego ludzkie ucho nigdy nie słyszało.

Reck uniosła palec.

— O jednym musisz pamiętać. Żaden heptarcha nie nosił kamienia, będąc tak blisko Spekanej Skały. Kiedy inne geblingi podchwyciły i przekazywały dalej wołanie, może stało się tak silne, że mogła je usłyszeć.

— To w niczym nie przypominało wołania Nieglizdawca — odrzekła Patience. — Jego jest czyste i silne.

— Nieglizdawiec posługuje się nim znacznie lepiej niż my. Ludzka strona naszej natury osłabia nas. — W głosie Reck czaiła się niechęć.

— Czy wolelibyście nie mieć wśród przodków ludzi?

Reck zaśmiała się gorzko.

— Myślisz, że glizdawce wyglądają w naszych oczach lepiej niż wy? Nikt nie dał nam szans wyboru przodków.

— Widziałam, jak to się stało — powiedziała Patience. I opowiedziała im o narodzinach pierwszych geblingów. Ruin ciągle przerywał, wpytując o każdy szczegół. Słuchał z zamkniętymi oczami, jakby koncentrując się na brzmieniu jej głosu mógł połączyć się z dawnymi geblingami, których stracił na zawsze, kiedy jego rodzime odebrano kamień królów.

Gdy Patience opowiedziała, jak niemowlę Nieglizdawiec zjadło własną matkę, Ruin kiwnął głową.

— Tak, tak — powiedział. — Ale to nie było morderstwo. Widzisz, on musiał zjeść kryształ. Żeby wiedzieć wszystko, co ona wiedziała.

— Teraz robimy to dyskretniej — dodała Reck. — Zachowujemy się bardziej jak ludzie. Czekamy na naturalną śmierć rodziców. Co oznacza, że przez większą część życia pozostajemy samodzielni, zanim stajemy się naszymi rodzicami. Ale nie ma nic nienaturalnego w dziecku zjadającym pamięć rodziców, przynajmniej nie tu, na Imaculacie.

Patience ciągnęła dalej opowiadanie, powtarzając im wszystko, co zapamiętała na temat życia pierwszych geblingów. Skończyła na tym, jak ostatni z królów geblingów, który nosił swój kamień, znalazł ciało ostatniego glizdawca, spalonego żywcem przez ludzi.

— Oczywiście — wtrąciła Reck. — Jeśli coś jest dziwne i niezrozumiałe, trzeba to zabić — takie jest credo człowieka.

— Ludzie zrobili to, co było konieczne — powiedział Ruin. Reck uśmiechnęła się sardonicznie do Patience, jakby dając do zrozumienia: widzisz, że mój brat stał się humanofilem! — Glizdawce także zrobiły to, co musiały zrobić — ciągnął dalej Ruin, — Wiedziały, że ludzie wyposażeni w maszyny mogą je zgładzić. Co robisz, gdy nieprzyjaciel jest zbyt potężny, by go zniszczyć? Sam przywdziewasz jego skórę.

— O tak, wszyscy robili dokładnie to, co nakazywały im geny — potwierdziła Patience.

— Gdyby glizdawce nie podjęły próby parzenia się z ludźmi — dodała Reck — przestałyby istnieć. Nie możemy ich za to potępiać.

— Ale widzisz, heptarchini, my, geblingi, nie jesteśmy istotami, jakimi chcielibyśmy być — tłumaczył Ruin. — Jesteśmy odpadkami drugiej generacji, nieudanym eksperymentem, przeklętymi hybrydami, żalosną groteską. Dwelfy nie mają rozumu. Gaunty woli. Nam geblingom prawie się udało. Ale nie do końca. Dopiero następne pokolenie osiągnie perfekcję, a naszym przeznaczeniem jest umrzeć.

— Ale nikt tego tak nie planował — powiedziała Patience. — Po prostu w ten sposób przebiega ewolucja tutaj, na Imaculacie.

— Jeśli tak stawiasz sprawę — odparła Reck — to znaczy, że chcesz urodzić dzieci Nieglizdawca?

— Z całym szacunkiem dla mądrości naszego najstarszego przodka — wtrącił Ruin — król geblingów postanowił sprzeciwić się temu planowi.

— Jesteśmy w takim stopniu glizdawcami, że możemy wczuć się w każdego innego geblinga — powiedziała Reck — a nasz ludzki pierwiastek daje nam indywidualną wolę przeżycia. Jeśli o nas chodzi, proces adaptacyjny stwarzając nas, gauntów i dwelfów okazał się całkowicie satysfakcjonujący.

— Jesteśmy dziedzicami glizdawców — dodał Ruin. — Różnimy się od ludzi, ale jesteśmy na tyle podobni, że możemy żyć obok siebie. Geny glizdawców są zachowane w nas wystarczająco dobrze. Perfekcyjne kopie, które pragnie stworzyć Nieglizdawiec, stały się zbędne.

— Powinniśmy być sprzymierzeńcami w tej wojnie — powiedziała Patience. Jakby pod wpływem impulsu zsunęła się z fotela i usiadła na podłodze przed ogniem. Oparła się o nogę Reck i złożyła głowę na jej kolanie. — Pamiętam, jak żyłam życiem geblinga. Równie mocno pragnę waszego przetrwania, co uratowania rasy ludzkiej.

Reck pogładziła ją po głowie.

— Nauczyłam się ciebie jak żadnego ludzkiego stworzenia poza Willem. Będę bardzo żałowała, jeśli jedynym sposobem na powstrzymanie Nieglizdawca okaże się twoja śmierć.

— Ale zabijesz mnie — stwierdziła Patience.

— Jeśli nie będzie innego wyjścia, zrobię to.

— Jeśli nie będzie innego wyjścia — powiedziała Patience — proszę, zabijcie mnie.

W chwili gdy to mówiła, przypadkowo spojrzała w stronę drzwi. Stał tam Angel, opierając się rękami o framugi. Po wyrazie jego twarzy poznała, że słyszał ich rozmowę, ale nie godził się na takie rozwiązanie.

Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że Angel może nie posłuchać polecenia, kiedy dojdzie do finalnej batalii z Nieglizdawcem. Angel miał swoje własne

plany i chociaż nazywał ją heptarchinią, traktował wciąż jak małą dziewczynkę pozostającą pod jego opieką.

Zimno przebiegło Patience po krzyżu na myśl, która nagle przysła jej do głowy. A jeśli dla osiągnięcia swoich planów będę musiała ciebie zabić, Angelu?

Nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy, ale była tak osłabiona, że nie potrafiła powstrzymać drżenia ramion. I to zobaczył. Bez słowa wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Jeśli Reck i Ruin zauważyli, co się wydarzyło, nie dali tego po sobie poznać. Ale Reck wyczuła drżenie Patience i zapytała:

— Czy czujesz się wystarczająco silna, by płynąć dalej?

— Siły mi nie potrzeba — odparła Patience. — Jestem przy zdrowych zmysłach, przynajmniej tak mi się wydaje, więc możemy ruszać, jak tylko prace tutaj zostaną skończone.

— W takim razie możemy zbierać się od razu. Nie ma po co zwlekać. Geblingi wypełnią zadanie, czy będziemy na miejscu, czy nie. A poza tym możemy ich nadzorować nawet z oddali.

Reck podniosła się.

— Poczekaj — powstrzymała ją Patience — chcę cię o coś zapytać. O Willa. Siedział przy mnie, kiedy się ocknęłam.

Reck wzruszyła ramionami.

— Will robi to, na co ma ochotę.

— Jak długo tam siedział?

— Nie wiem. Zawsze, kiedy go widziałam, to albo wchodził do twojego pokoju, albo z niego wychodził.

Ruin parsknął śmiechem.

— Ostatecznie to jest mężczyzna. Może lubi na ciebie patrzeć. Od dawna żył w celibacie.

Patience nie zrozumiała. Czyżby Will mógł pożądać jej jako kobiety? Ale zorientowała się, że Ruin żartuje. Roześmiała się.

— Nie śmieję się — powiedziała Reck. — Ja już dawno zrezygnowałam z prób zrozumienia, któreś chadza myśl Willa. On zawsze robi tylko to, na co ma ochotę. Ale nie sądzę, by pragnął ciebie, dziecko. Nigdy nie chodzi mu o zaspokojenie własnych zachcianek. Jego życie jest wieczną służbą.

— Niewolnik z natury — mruknął Ruin.

— Nikt nigdy go nie posiadał — odpowiedziała mu Reck. — Służy, ale tylko wtedy, gdy uważa, że jego służba jest potrzebna. Podejrzewam, że uważa siebie za Kristosa. Zdaje się, że tym miałby być ludzki bóg. Sługą wszystkich.

— Ja należę do sceptyków — powiedziała Patience. — Religia mnie nie obchodzi.

— No cóż, czy ci się to podoba, czy nie, ty obchodzisz religię — stwierdziła Reck. — Jeśli wyjdiesz z tej walki żywa, będziesz miała dużo szczęścia, jeśli

ludzie nie okrzykną cię Kristosem.

— Nadaje się równie dobrze jak każdy inny — osądził Ruin.

— A dlaczego nie ty? — zapytała Patience. — To byłoby ludziom drzazgą w oku, gdyby mieli geblinga za zbawiciela.

— Czemu nie? — Ruin roześmiał się. — Gebling Kristos.

Patience roześmiała się razem z nim. I w tej samej chwili poczuła, jak rośnie w niej zew Spękanej Skały. Jakby odżył po chwili ulgi, którą dał jej na czas choroby, a teraz obudził go dźwięk jej śmiechu. Pożądała Nieglizdawca. Wezwała Sken. Kobieta przy pomocy Willa przygotowała po południu łódź. A rano Patience osobiście zdjęła słój z Riverem z kominka.

— Obudź się — rozkazała.

Powoli otworzył oczy, potem dwa razy mlasnął i cmoknął jak przy pocałunku. W jednej chwili w pokoju znalazła się mała i zaczęła energicznie pompować powietrze.

— W sam czas — powiedział River. — Myślicie, że po to kazałem uratować moją głowę, by przyglądać się teraz bandzie geblingów sprzątających jakiś nędzny dom? Zanieście mnie na łódź! Możecie być pewni, że zapamiętam tę podróż jako najgorszą i najnudniejszą w całym moim życiu!

Marudził tak przez całą drogę z boczem w dół. Dopiero kołysanie łodzi uspokoiło go nieco, a potem zaśpiewał rzece najdziwniejszą pieśń — bez słów i nawet bez melodii. Pieśń człowieka powracającego do swego ciała, uszczęśliwionego, że znowu posiada ręce i nogi, znowu jest sobą. River został zwrócony rzece.

Odbili od zrujnowanego molo Heffiji i pożeglowali na północ w ostatnich podmuchach jesiennego wiatru. Patience czuła radość Nieglizdawca, świadomego, że ona jest coraz bliżej. Ten miesiąc oczekiwania musiał być dla niego bardzo trudny. Nie wiedział przecież, co ją wstrzymuje, czy nie jest ranna lub pojmana, a może zbiera siły do walki z nim. Teraz znowu płynęła ku niemu, więc napełniał jej ciało drzeniem rozkoszy.



## Rozdział 14

# CZUWAJĄCY

Krajobraz w górę rzeki od domu Heffiji był identyczny jak mijany poprzednio. Te same masywne dęby. Te same buki i klony, jesiony i sosny. Ale teraz Patience wiedziała o nich więcej. Ona sama też była czymś i kimś więcej. Pamiętała najwcześniejszych heptarchów, którzy jako małe dzieci uczyli się z atlasów flory i fauny, w których zostały starannie rozdzielone gatunki przywiezione z Ziemi od miejscowych okazów.

Dąb i klon jest pochodzenia ziemskiego, podobnie jak jesion i sosna. Buki, palmy i paprocie to rośliny miejscowe, tylko przypominające wyglądem ziemskie, od których przyjęły nazwy. Orzechy karłowate, gorące jagody, szklane owoce i pajęczyny są także imaculatańskie. Orzechy włoskie przywieźli ze sobą ludzie.

Jak wielu z jej przodków Patience umiała teraz dostrzec różnice między naturalną roślinnością Imaculaty a tym, co zostało przywiezione na statku, zaczęła też rozumieć wrogość między ludźmi i tutejszą inteligentną rasą, którą przybysze gardzili. Z człowieczego punktu widzenia miejscowe formy były brzydkie, dziwne, wręcz niebezpieczne, podczas gdy rośliny przywiezione z Ziemi wydawały się bezpieczne i piękne.

Ale Patience potrafiła dostrzec jeszcze coś, czego żaden z jej przodków zobaczyć nie mógł. Chociaż pamiętała świat, tak jak go widział piąty heptarcha, w jej wspomnieniach nie był to świat obcy. Lasy Imaculaty za piątej ludzkiej generacji były takie same jak dzisiaj — porośnięte prawie całkowicie roślinami z Ziemi.

A przecież wcale nie ziemskimi. Miejscowe gatunki nie zostały zastąpione, one tylko ukryły się udając rośliny, które hodowali ludzie. Czym był przedtem ten dąb? Małym latającym żuczkiem, robakiem, glonem czy wirusem na drobinie kurzu? Cały świat przebrał się, każde żywe stworzenie udawało, że jest przyjazne i znajome ludziom, którzy uznali się za panów tego świata. Wszystko to, co naprawdę należało do ludzi, zostało im zabrane, zamordowane, zniszczone i zastąpione przez imitacje. Patience udawała przed sobą, że potrafi odgadnąć, czym jest w rzeczywistości jeleń pijący wodę, a potem umykający chyżo. Wyobrażała sobie,

że ukrytą osobą, żyjącą w dębie, jest okropne, zdeformowane dziecko, uśmiechające się do niej złośliwie. Odmieńcy, cały świat odmieńców, knujących przeciwko nam, usypiających naszą czujność do czasu, kiedy będą gotowi wymienić również ludzi.

Wzdrygnęła się. I wyobraziła sobie, jak Nieglizdawiec szepcze do niej, wzbudzając pożądlivość ciała. Chodź do mnie, chodź i powij moje dzieci, moje dzieci, moje odmieńce. Wkradniemy się, ty i ja, do każdego domu tego świata. Położymy do kołyszek nasze małe glizdawczeta i będziemy patrzeć, jak zmieniają kształty, aż wreszcie staną się zupełnie takie, jak ludzkie dzieci. Wtedy wyniesiemy człowiecze niemowlę, podetniemy mu gardło i wrzucimy truchelko do worka.

Tysiące takich worków, opróżnianych w ogrodzie, gdzie spoglądający krzywo dąb wysysie ostatnie krople życia z każdego ciała. Patience wyobrażała sobie, jak idzie przez ogród, a małe kosteczki trzeszczą jej pod stopami. Jak przygląda się swemu mężowi, który opróżnia kolejny worek, a potem zwraca do niej malutką głowę glizdawca i mówi: „Ostatni. Ostatni z nich. Na całym świecie pozostało tylko jedno ludzkie dziecko”. I wyjmuje niemowlę z worka, przerażone oczy dziecka spoglądają na nią w rozpacz, a glizdawiec podaje jej małe ciało do zjedzenia.

Ale ona ucieka do miejsca, gdzie ziemia jest miękka i łaskawa dla jej stóp, do małej chaty w głębi lasu, skąd dochodzi głos matki pochylonej nad dzieciątkiem. To miejsce opuściliśmy, myśli. Dziecko, które przeżyje. Będę je chronić, schowam je przed Nieglizdawcem. A kiedy dorośnie, zabije odmieńce. . .

Zajrzała przez okno i dostrzegła dziecko. Było takie piękne, delikatne paluszki zaciskały się na kciuku matki, małe usteczka wydawały śmieszne cmokające dźwięki. Żyj, powiedziała do niego bezgłośnie. Żyj i bądź silny, ponieważ jesteś ostatni.

Ale w tej chwili dziecko uśmiechnęło się do niej szelmowsko.

Angel obudził ją, potrząsając za ramię.

— Krzyczałaś — powiedział.

— Przepraszam — wyszeptała. Chwyciła za burtę i spojrzała poprzez wodę na drzewa. Żadne z nich nie wyglądało inaczej niż poprzednio. Jej sen był nonsensem. Jeśli drzewo wygląda jak dąb, jeśli się je ścina jak dąb, jeśli buduje się z niego domy jak z dębu, cóż to za różnica, że ma jedną wielką genetyczną molekułę zamiast wielu mniejszych? Czy to jakaś różnica, jeśli jelen jest tylko na wpół jeleniem, a w części stanowi kontynuację jakiejś zwierzęcej linii z Imaculaty? Życie to życie, a kształt to kształt.

Poza moim życiem. I moim kształtem. One muszą zostać zachowane. Poprawiona wersja ludzi w wydaniu Nieglizdawca oznacza śmierć dla starych, pełnych wad i samotnych, ale pięknych ludzi urodzonych na Ziemi. Moich ludzi.

Chodź prędzej, śpiesz się, chodź, popędzała ją namiętność Nieglizdawca.

— Popatrz — powiedział nagle Angel. — Ruin na polecenie Rivera wszedł na czubek masztu i zobaczył ostatni zakręt na rzece. A za nim Stopę Niebios. Za

kilka minut będziemy ją mogli zobaczyć nawet z pokładu.

Patience podniosła się. Mimo wszystkiego, co przeszła podczas tej podróży, jej ciało nadal reagowało szybko. Była czujna i gotowa w jednej chwili. To ciało wcale nie wie, że mój wiek można liczyć na trzysta pokoleń, pomyślała. Uważa mnie wciąż za młodą dziewczynę. Moje ciało myśli, że mam jakąś przyszłość.

Stopa Niebios ukazała się jako cień na szczytach drzew.

— Gdyby las nie był tak wysoki — powiedział Angel — dostrzegliśmy ją na tydzień przed przybyciem do domu Heffiji, a nie w trzy dni po jego opuszczeniu.

— Jest bardzo blisko — powiedziała Patience.

— Nie, jest tylko bardzo wysoka. Od podstawy do szczytu ma siedem tysięcy metrów.

— Teraz znowu się skryła.

Byli zbyt daleko, a góra ukazała się tylko na jeden moment, tak że trudno było zobaczyć dokładnie jej kształt. Ale im byli bliżej, tym częściej i na dłużej odsłaniała się przed nimi. Dwa dni później zarzucili kotwicę na kolejnym zakręcie, a kiedy zmierzch ukrył górę, światła Spękanej Skały rozbłyły jak jakaś galaktyka.

Błyski rozrzucone szerokim łukiem od wschodu do zachodu. Tej nocy Reck i Ruin wdrapali się na maszt, by patrzeć na wyłaniającą się z ciemności swoją ojczyznę.

River wyraźnie zmarkotniał. Dla niego oznaczało to tylko koniec podróży, nic więcej. Żył, aby podróżować, i każde przyplnięcie do celu traktował jak małą śmierć.

Następnego dnia rzeka zaczęła się dzielić na wiele szerokich, leniwych strumieni, obmywających porośnięte lasem wysepki.

— Mamy tutaj do czynienia — powiedział Angel — z ogromną tektoniczną kolizją. Znajdujemy się na płycie, która zsunęła się w dół pod wpływem wypiętrzenia Stopy Niebios. Woda z lodowca topniejącego na szczycie góry zgromadziła się w zapadłym obszarze, tworząc jezioro, które obmywa całą podstawę góry. Gdy pierwsi koloniści zobaczyli to, napisali, że czegoś takiego nie ma na żadnej zamieszkanym planecie w całym wszechświecie.

— Na razie — powiedziała Patience.

— No cóż, wszystko może się kiedyś zdarzyć w jakimś nie znanym świecie.

Widzieli już teraz zarysy budynków na zboczu góry. Ruin przez cały dzień siedział na maszcie lub na burcie napięty jak struna, wpatrzony w górę niczym w zbliżającą się ukochaną osobę.

— Nie ma z niego żadnego pożytku — skarżyła się Sken. — Powinniśmy obwiązać go liną i wyrzucić za burtę jako kotwicę.

Reck zareagowała na widok góry zupełnie inaczej niż jej brat. Kiedy on stawał się milczący, ona mówiła coraz więcej.

— Od dzieciństwa słuchałam opowieści o tym miejscu — snuła swe wspomnienia. — Ziemia i woda dziesięciu tysięcy grot Spękanej Skały są tak bogate, że nigdy nie sprowadzono tu nawet kawałka drewna czy kęsa jedzenia. U stóp góry rosną lasy podzwrotnikowe. W miarę jak wznoszą się stoki, zmieniają się także klimaty. Wszystko, co rośnie gdziekolwiek na świecie, rośnie i tutaj.

Opowiadała o powstających na zboczach królestwach ludzi, które zdobywały potęgę i padały. Niektóre zajmowały obszar na trzy kilometry szeroki, na pięćdziesiąt metrów wchodzący w głąb góry i na dwadzieścia metrów wysoki, a jednak z własnym dialektem, armią i kulturą.

— Ale za nimi, w najgłębszych grotach, w całkowitej ciemności, żyją geblingi. Dziesięć milionów geblingów, więcej niż połowa wszystkich zamieszkujących cały ten świat. Podczas gdy ludzie, dwelfy i gaunty prowadzą wojny i knują intrygi na powierzchni Stopy Niebios, my trzymamy jej serce. Kiedy inni budują mury i ściany, by nikt nie mógł się przez nie przedostać, geblingi docierają wszędzie, ponieważ my znamy wszystkie ukryte drogi.

— Czy nie rządzą także na powierzchni? — zapytała Patience.

— Gdy chcemy — odpowiedziała z uśmiechem Reck. — Kiedy uznajemy, że należy rządzić, to rządźmy. Każdy tutaj to wie. Nie musimy powoływać żadnych urzędów.

Patience nie czuła żadnego uniesienia na widok góry. Gdzieś pod szczytem, wiedząc, że ona zbliża się, czekał na nią on, gotowy na jej przyjęcie. Zaczęła marzyć, by zawrócić łódź, popłynąć w dół strumienia i nigdy już nie myśleć o Spękanej Skale czy o heptarchii, w ogóle już nie myśleć o niczym. Coraz częściej nawiedzały ją sny. Budziła się w nocy zlaną potem, drżąca od pożądań, które rządziły jej snem.

Pewnej nocy wstała i wyszła z kabiny. Ruin miał wachtę, ale przeszła tak szybko, że nawet jej nie zauważył. Wpatrywał się w światła góry, gasnące o tak późnej porze jedno po drugim. Podeszła do rufy i usiadła, opierając się o stos zwiniętej liny. River spał w swym słoju, łagodnie kołysany falą. Było zimno, ale to jej odpowiadało, niewygoda odwracała uwagę od wezwania płynącego ze Spękanej Skały.

Sama nie wiedziała, kiedy usnęła, ale gdy otworzyła oczy, Ruina już nie było. Widocznie kto inny objął wachtę. Na kogo wypadała kolej? Niebo było jeszcze całkiem ciemne. Sken? Will?

Usłyszała plusk wody tuż przy łodzi. Natychmiast stała się czujna. Sporo słyszała na temat piratów napadających łodzie na Żurawiej Wodzie, chociaż nigdy nie atakowali tak blisko Stopy Niebios. Ale, oczywiście, było to możliwe. Bezszelstnie wyciągnęła dmuchawę do strzałek i zajęła dogodną pozycję. Znowu usłyszała plusk wody i jakaś dłoń sięgnęła do burty. Potem pojawiła się druga ręka, a łódź przechyliła się lekko jakby pod ciężarem dużego mężczyzny.

Patience rozluźniła się nieco. Znała te dłonie, tylko jeden mężczyzna był ta-

ki duży. Will powoli podciągnął się do pasa ponad burtę. Potem przerzucił nogi, stanął i ruszył w stronę rufy. Był nagi. Patience, nieustannie podniecona z powodu nawiedzających ją bez przerwy erotycznych snów, nie mogła powstrzymać westchnienia.

W jednej chwili zamarł. Patience zawstydzona swoim brakiem opanowania. Will nie okazał zażenowania własną nagością. Zobaczył ją, potrząsnął głową, zrobił jeszcze kilka kroków w jej stronę, po czym zawrócił do kabiny, gdzie leżało jego ubranie.

W świetle księżyca Patience wyraźnie zobaczyła szeroką, białą bliznę, w kształcie pomarszczonego krzyża, biegnącego od pępka do jego męskości i od jednego do drugiego biodra. Po szerokości blizny widać było, że rana musiała być bardzo dawna, może jeszcze z czasów dzieciństwa. Ale i tak jej widok był dla Patience wstrząsem. Tylko jedna sekta znaczyła się znakiem krzyża na zakrytych częściach ciała. Był Czuwającym.

Nie próbował tego ukrywać. Patrzył jej prosto w twarz, kiedy wciągał najpierw koszulę, a potem spodnie. Z jego włosów wciąż kapłała woda. Skarpetki i buty zostawił na pokładzie. Zrobił dwa kroki i stanął tuż przed nią, z jej perspektywy wysoki jak Stopa Niebios. A potem nagle już siedział koło niej i patrzył jej w oczy.

— Czuwający był kiedyś moim panem — powiedział cicho.

Nie wiedziała dlaczego, ale teraz trochę się go bała. Kiedy służyła jeszcze Orucowi, na równi z królem traktowała Czuwających jako potencjalne niebezpieczeństwo, ponieważ w ogóle nie obchodziło ich prawo lub rząd, a kiedy przemawiali, każde słowo brzmiało jak „rewolucja”. Ich oczy płonęły odwagą szaleńców. Byli niebezpieczni, gdyż zwykli ludzie wierzyli, że posiadają specjalną moc od Boga, i dlatego odwiedzali Czuwających w ich pustelniach, przynosząc jedzenie, ubranie, a przede wszystkim chętną uwagę.

Teraz nie ryzykowała niczym. Czuwający pokładali w niej taką wiarę, że nikt nie mógł zagrażać jej mniej.

Ale bała się.

— Czuwający nie piętnują swych niewolników — powiedziała. — Przynajmniej nie robią tego wbrew ich woli.

Will skinął głową.

— Sam też byłem Czuwającym. Jako dziecko.

— Czy wyrzekłeś się ślubów?

— Nie.

— A więc wciąż jesteś Czuwającym?

— Traktuję moje życie jako oczekiwanie. Ale większość pustelników w swych małych szałasach uznałaby mnie za bluźniercę.

— A to dlaczego?

— Ponieważ nie wierzę, że Kristus przyjdzie zjednoczyć wszystkich ludzi, którzy będą odtąd rządzić światem w pokoju i harmonii.

Tego ranka powiedział więcej niż przez wszystkie poprzednie tygodnie. A jednak jego słowa były równie proste jak poprzednio milczenie, jakby to, czy mówi, czy milczy, nie miało dla niego znaczenia. Mogła mu zadać te pytania w jakimkolwiek innym momencie i otrzymałaby te same odpowiedzi.

— Więc na co czekasz?

— Na to, na co wszyscy czekamy — na przyjście Kristosa.

— To jak kręcenie się w kółko.

— Po spirali. Za każdym obrotem coraz bliżej prawdy.

Zastanowiła się nad jego słowami. I nagle zrozumiała, że on ją wystawia na próbę, tak jak zawsze robili to ojciec i Angel. Potrząsnęła głową.

— Po prostu mi powiedz. Albo mi nie mów. Nie dbam o to.

— Wierzę, że Kristus przyjdzie zjednoczyć geblingi, dwelfy i gaunty. A także ludzi, jeśli wystarczająco się ukorzą.

— Czuwający nie wierzą, by geblingi miały duszę.

— Mówiłem ci, że jestem bluźniercą.

— A co ze mną? — zapytała.

Will potrząsnął głową i spuścił wzrok na deski pokładu. Przyglądała się jego twarzy, szczerzej i otwartej. Kiedyś patrząc na to oblicze, uznała go za prostaka. Teraz ujrzała człowieka pozostającego w zgodzie z samym sobą, prostolinijnego nie dlatego, że był

naiwny i ufny, ale raczej mądry i godzien zaufania. Człowieka, którym nie kieruje wyrachowanie. Gdyby nie chciał udzielić odpowiedzi, nie posłużyłby się kłamstwem, po prostu by milczał. Na to jedno nie była przygotowana: na spotkanie z uczciwym człowiekiem.

Wreszcie przeniósł spojrzenie na nią. W jego oczach coś się pojawiło. Ale co? Walczące ze sobą rozpacz i nadzieja?

— Na co masz nadzieję? — wyszeptała.

Nie odpowiedział, tylko sięgnął masywną dłońią do twarzy dziewczyny i potarł wierzchem palca jej usta. Był to gest hołdu dla heptarchy. Poczowała, jak lodowacieje wewnątrz. Następny, który ma wobec niej plany.

Ale jednocześnie potrząsnął głową.

— To kłamstwo — powiedział. — Kiedyś tylko tego pragnąłem od ciebie.

— A teraz?

Ujął rękami głowę Patience, przyciągnął ją do siebie zdecydowanie, ale delikatnie. Nachylił się nad nią, pocałował w policzek, a potem na długą chwilę przytulił się do niej.

Nikt nigdy tak jej nie dotykał. W ogóle nie pamiętała, by od śmierci matki ktokolwiek ją przytulał. W jednej chwili straciła zupełnie panowanie nad sobą, trzęsła się jak osika. Przez ostatni rok stale tłumiała swoje reakcje na wezwania ze Spękanej Skąły, a teraz nie miała wątpliwości, czego pragnie jej ciało. Odwróciła twarz i oddała mu pocałunek.

I nagle krzyknęła z bólu.

Natychmiast od niej odskoczył, przyglądając się uważnie twarzy dziewczyny. Czy zauważył ten dreszcz obrzydzenia, który nią wstrząsnął?

— Przykro mi — powiedział cicho.

— Nie — szepnęła, walcząc o każde słowo. — To Nieglizdawiec, on zabrania mi, zabrania. . . — Ale Patience nie chciała słuchać czyichkolwiek rozkazów. Impulsywnie zsunęła koszulę Willa i przyciągnęła go do siebie, wtulając twarz w jego pierś. Czuła delikatne dłonie mężczyzny na plecach i ciepły oddech na włosach.

Ale im dłużej trzymał ją w ramionach, tym straszliwszą karę wymierzał jej Nieglizdawiec. Chociaż oddychała, miała wrażenie, że nie może złapać powietrza, jakby ktoś przyciskał poduszkę do jej twarzy. Oddycham, powtarzała sobie, ale ciało uległo panice, nie poddając się nakazom woli. Odepchnęła Willa i upadła na pokład, walcząc o oddech.

— To ty jesteś Kristosem — powiedział Will. — Nie widzisz? Jesteś tą, która musi się zmierzyć z glizdawcem w jego legowisku. To ty nas zbawisz. Albo zniszczysz. Wszystkich — ludzi i geblingów, dwelfy i gaunty.

Teraz, kiedy już Will jej nie dotykał, zaczęła oddychać trochę spokojniej.

— On nie ma pełnej władzy nad tobą — powiedział Will. — Może sterować tylko twymi namiętnościami, nigdy wolą. Wszyscy Mądrzy, którzy do niego poszli, nie potrafili opanować swoich pragnień. Wszyscy oni strawili życie na poznawaniu otaczającego ich świata. Ich pamięć, świadomość, dusza stały się doskonałe. Ale Nieglizdawiec zapanował nad ich namiętnościami. Z tym nie umieli sobie poradzić, tej części duszy nie uodpornili, dlatego też poszli do niego, myśląc, że nie mają innego wyjścia.

— Zmusił mnie, bym myślała, że się duszę, chociaż przecież oddychałam.

— Gdybyś naprawdę chciała, mogłaś pozostać w moich ramionach — powiedział Will.

— Nie mogłam.

— Gdybyś tego pragnęła, całkowicie, bez zastrzeżeń, zostałaabyś.

— Skąd możesz wiedzieć, co mogę zrobić, a czego nie?

— Ponieważ on mnie również wzywał i wiem, gdzie jego moc się kończy.

Przyglądała mu się uważnie w świetle księżyca. Najwyraźniej nie kłamał. Ten olbrzym miałby być jednym z Mądrych? Mężczyzna, który orał pole Reck, który nigdy nie odzywał się, który żył jak niewolnik i wierzył przynajmniej w część wierzeń Czuwających — on miałby być jednym z Mądrych?

— Ciebie i mnie — powiedział Will — wychowano na ludzi silnych. Wzrastaliśmy pod opieką mocarnych mistrzów i byliśmy posłuszni. Ale nauczyliśmy się, jak zamienić służbę w wolność. Nauczyliśmy się wybierać posłuszeństwo, kiedy inni myśleli, że nie mamy wyboru. Sprawialiśmy wrażenie, że nie mamy własnej woli, ale wszystko, co robiliśmy, było nią podyktowane.

Myślała o zadaniach, które stawiali przed nią ojciec i Angel, o zasadach protokołu i ćwiczeniach wymagających wyrzeczeń. Czasami rzeczywiście było tak, jak mówił Will. Ale nie zawsze.

— Czy kiedykolwiek odebrał ci oddech? — zapytała.

— Pewnego dnia brałem udział w bitwie. Moim panem był generał. Wróg widząc chorągiew rzucił się prosto na nas. Jak zwykle stałem między trzymającym chorągiew a atakującymi. Właśnie tego dnia Nieglizdawiec zaczął mnie przyzywać. Sprawił, że potwornie się bałem, ale nie opuściłem stanowiska. Wywołał we mnie tak silne pragnienie i głód, że okropnie rozbolała mnie głowa i wyschły mi usta, ale nie opuściłem stanowiska. Czułem taki nacisk na pęcherz i zwieracze, że nie zdołałem utrzymać odchodów, lecz nie opuściłem stanowiska. I wtedy właśnie, kiedy wróg był tuż-tuż, zacząłem się dusić. Nie można zapanować nad potrzebą oddychania i wiedziałem, że nie zaznam ulgi, póki nie opuszczę pola walki i nie ruszę w stronę Spękanej Skały.

— I co zrobiłeś?

— To samo, co ty byś zrobiła. Upewniłem się, że oddycham, i mimo bólu robiłem to, co chciałem robić. Tego dnia zabiłem czterdziestu dziewięciu ludzi. Liczył ten, który trzymał chorągiew, a mój pan podarował mi wolność.

— Czy przyjąłeś ją?

— Jak mogłem przyjąć coś, co już miałem? Byłem wolny. Tak samo jak ty jesteś wolna. Gdybyś nie wątpiła, że naprawdę chcesz się ze mną kochać, wzięłabyś mnie tutaj na pokładzie.

— A ty byś mi się oddał? — zapytała.

— Tak.

— Ponieważ jestem heptarchinią?

— Nie dlatego, że ty jesteś HEPTARCHINIĄ, ale dlatego, że TY jesteś heptarchinią.

— Nie jestem tak silna, jak myślisz.

— Wprost przeciwnie. Jesteś silniejsza, niż sama myślisz.

Nie wierzyła mu, choć tego pragnęła, ale bała się, że jeśli posłucha go jeszcze chwilę, zacznie przeceniać własne możliwości. Zmieniła więc temat.

— Jeśli jesteś jednym z Mądrych — powiedziała — jakie znasz sekrety, które Heffiji chciałyby schować w swoim domu?

— Zadała mi jedno pytanie, a ja jej odpowiedziałem — odparł Will.

Po jego tonie poznała, że nie ma po co pytać ani o pytanie, ani o odpowiedź. Zamiast tego zadała mu własne pytanie.

— Czego się nauczyłeś jako niewolnik?

— Że nikt nie może być niewolnikiem drugiego człowieka.

— To kłamstwo.

— W takim razie nauczyłem się kłamstwa.

— Ale wierzysz w nie.



Will przytaknął.

— Są ludzie, którzy zrobią wszystko ze strachu przed biczem albo z obawy, że stracą życie lub rodzinę. Są ludzie, których można kupić i sprzedać. Czyż nie są niewolnikami?

— Są niewolnikami swoich namiętności. Rządzi nimi lęk. Jaka masz nade mną władzę, jeśli nie boję się twojego bicia? Czy jestem twym niewolnikiem, skoro nie drzę przed utratą rodziny? Słucham cię, jestem wierny tylko dlatego, że tak zdecydowałem. Czy jestem twoim niewolnikiem? A kiedy zaczniesz mnie nienawidzić za moją wolność, która jest większa niż twoja władza i rozkażesz mi zrobić coś, czego nie zamierzam zrobić, wtedy okażę ci nieposłuszeństwo. Możesz mnie ukarać. Wybrałem karę. A gdyby kara okazała się dla mnie nie do zniesienia, wtedy użyję siły, by się jej przeciwstawić. Ale cały czas robię tylko to, co sam uznaję za słuszne.

— W takim razie nikt nie jest silniejszy od ciebie.

— Nieprawda. Postanowiłem być posłuszny Bogu i staram się kierować rozsądkiem, by wypełniać jego cele, kiedy udaje mi się je zrozumieć. Ci, którzy wybrali poddanie się własnym namiętnościom lub wspomnieniom namiętności, czynią to z wolnej woli. Żarłok z własnej woli przepelnia swój brzuch, pederasta żeruje na niewinności — z wolnej woli.

— Kiedy się ciebie słucha, można by pomyśleć, że nasze pragnienia nie są częścią nas samych.

— Bo nie są. Jeśli tego nie wiesz, to możesz stać się niewolnicą Nieglizdawca.

— Znam trochę doktrynę Czuwających.

— Nie mówię o doktrynie. Mówię o odpowiedzi, której udzieliłem Heffiji. O tym, co sprawiło, że Nieglizdawiec mnie wezwał.

Teraz mogła go zapytać wprost.

— Jakie pytanie zadała ci Heffiji?

— Spytała, czy dwelfy mają duszę.

— To jest teologia.

— Ale o to właśnie spytała. Chciała wiedzieć, jaka jej część jest naprawdę nią. Podobne pytanie i ty powinnaś sobie postawić i odpowiedzieć na nie, zanim staniesz twarzą w twarz z Nieglizdawcem.

Patience przyglądała się spokojnej twarzy Willa. Skąd mógł wiedzieć, że od dawna dręczy ją ten problem?

— Mój ojciec uczył mnie, że powinnam słuchać wszystkiego i w nic nie wierzyć.

— Tyle potrafią nawet umarli — odparł Will.

— Umarli nie słuchają.

— Jeśli w nic nie wierzysz, to masz z tego słuchania nie więcej pożytku niż umarli.

— Ja żyję — wyszeptła Patience.

Will uśmiechnął się.

— Wiem — powiedział. Wyciągnął rękę, jakby znowu chciał dotknąć jej policzka. Cofnęła się i potrzęsnęła głową. Odsunął się, nie próbując ukryć zawodu, i rozpoczął naukę.

— Każda część duszy czegoś pożąda. Namiętność dąży do przeżycia przyjemności i uniknięcia bólu. Niewolnicy namiętności to hedoniści, tchórze lub nałogowcy, wszyscy ci, nad którymi litujemy się albo którymi pogardzamy. Oni myślą, że ich namiętności są nieodłączną częścią ich samych. Chcę się napić. Muszę oddychać. Identyfikują się ze swymi potrzebami. Jak łatwo jest nad nimi panować! Wystarczy kontrolować ich przyjemności lub zadawać im ból.

Uśmiechnęła się.

— Tego nauczyłam się już w kołysce. Jednak ludzie, którzy dają się tak łatwo kontrolować, nie są warci, by nimi sterować.

— To prawda — powiedział. — Są najsłabsi. Czy jesteś jedną z nich?

— Kiedy mnie wezwał, nie potrafiłam myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że go potrzebuję. Nawet kiedy przypomniałam sobie, jak on wygląda, wyciągając jego obraz z pamięci geblingów, nawet kiedy uświadomiłam sobie, że powinnam go nienawidzić, nadal potrafił sprawić, bym go pragnęła, jego i jego dzieci.

— Przeszłaś przez Las Druciarza, chociaż tego nie chciał.

— Gdyby naprawdę chciał mnie powstrzymać, udałoby mu się.

— A ja uważam, że nie. Ponieważ już dawno temu oddzieliłaś siebie od swych namiętności.

Przypomniała sobie chłodny powiew płynący od okna bez szyby. Skinęła głową.

— Dobrze więc. — Nie nauczał jak jej ojciec, nie triumfował, gdy ugięła się przed jego argumentem. Po prostu mówił dalej. — Druga część przenajświętszej duszy to pamięć — i nad nią znacznie trudniej zapanować. Pragnie czego innego. To pragnienie tkwi w nas równie silnie jak potrzeba oddychania, ale ponieważ nigdy nie jest zaspokojone, nie wiemy nawet, że istnieje. W chwili pomiędzy oddechami nie musimy oddychać, dlatego też rozpoznajemy potrzebę oddychania, dopiero wtedy, kiedy ją znowu odczuwamy. Ale ta potrzeba nigdy nie znika, więc nawet jej nie zauważamy. Widzisz, nasza pamięć nie jest w stanie wszystkiego zatrzymać. Nie potrafimy zapamiętać każdego obrazu, jaki się pokazał naszym oczom, każdego wydarzenia, jakie się nam przytrafiło, wszystkiego, co przeczytaliśmy, wszystkiego, o czym słyszeliśmy. Za wiele wokół nas się dzieje. Gdybyśmy potrafili zapamiętywać to wszystko, stracilibyśmy zmysły jeszcze w dzieciństwie. A więc wybieramy rzeczy, które są ważne. Zapamiętujemy tylko to, co ma znaczenie. I pamiętamy to w odpowiednim porządku, we wzorach, które pasują do siebie. Kiedy słońce jest na niebie, wszystkie jasne godziny następujące po sobie to dzień, a wszystkie ciemne, które przychodzą po dniu, to noc. Nie musimy tego

pamiętać, pamiętamy tylko, dlaczego tak się dzieje. Jest dzień, ponieważ weszło słońce. Albo słońce jest na niebie, ponieważ jest dzień. Rozumiesz. Nie zapamiętujemy bez ładu i składu. Wszystko jest powiązane przyczynami i skutkami.

— Nie jestem jedną z Mądrych — powiedziała Patience. — Może oni rozumieją przyczyny wszystkiego, ale ja nie.

— Ale właśnie o to chodzi, to powoduje głód. Każdy odprysk doświadczenia, który zapamiętujemy, przychodzi do nas jako opowiadanie wydarzeń, które powiązane są przyczynami i skutkami. Jeśli wszystko jest logicznie połączone, to historia staje się dla nas wiarygodna, nie kwestionujemy jej. Zrobiłem coś, PONIEWAŻ albo zrobiłem coś W CELU. W takim świecie żyjemy, we wzorce zjawisk wywołujących się wzajemnie. Stają się one osnową, dzięki której zapamiętujemy inne wydarzenia. Ale niekiedy zdarza się coś, co nie pasuje.

— To nie jest żadne coś.

— Ludzie o słabym umyśle nigdy tego nie zauważają, lady Patience. Im wszystko pasuje do wszystkiego, ponieważ po prostu nie pamiętają rzeczy, które są inne. Pamięć o nich przepadła, a im się wydaje, że nigdy się nie wydarzyły. Ale dla tych, którzy żyją umysłem, miejsca, które nie pasują, nie znikają. Stają się głodem. Dlaczego!? — krzyczą. Dlaczego, dlaczego, dlaczego? I nie zaznasz spokoju, zanim nie zrozumiesz. Nawet jeśli miałyby to oznaczać zerwanie całej osnowy, którą utkałaś z wcześniejszej wiedzy. Był taki czas, kiedy cała ludzkość zamieszkiwała jedną tylko planetę. Myślano wtedy, że planetę tę okrąża gwiazda. Myślano tak dlatego, ponieważ takie świadectwo dawały oczy. Ale znaleźli się tacy, którzy spojrzeli bystrzej i zobaczyli, że coś się nie zgadza, i tak długo dręczyło ich pytanie — dlaczego, aż znaleźli odpowiedź. A kiedy wszystko już pasowało, mogli wysłać statki na takie światy jak ten.

— Każde dziecko pyta — dlaczego? — powiedziała Patience.

— Ale większość dzieci przestaje pytać — odpowiedział jej Will. — Znajdują wreszcie system, który im wystarcza. Znają wystarczająco wiele opowieści, które pasują do wszystkiego, co ich naprawdę obchodzi, a jeśli nie wyjaśniają wszystkiego — zaraz przestają o tym myśleć.

— Księża mówią, że prawdziwe ja tkwi w pamięci — że jesteśmy tym, co zrobiliśmy.

— Tak mówią.

— Ale ja pamiętam, co robiłam we wcieleniach setek heptarchów i jeszcze kilku geblingów. Czy oni są częścią mnie?

— Widzisz ten problem w sposób, w jaki niewielu może go zobaczyć — powiedział Will. — Jażn nie jest pamięcią, w której tkwi tylko to, w co wierzymy na swój temat. A to się może zmienić. Cały czas się zmienia. Widzimy, co zrobiliśmy, i wymyślamy historię, która — jak uważamy — opisuje nasze działanie, a potem, kiedy już uwierzymy w tę historię, myślimy, że zrozumieliśmy siebie.

— Z wyjątkiem dwelfów, które nie potrafią zapamiętywać.

— Tak.

— A więc co odpowiedziałeś Heffiji? Że nie ma duszy?

— Tylko to, że jej dusza nie ma opowieści. Ponieważ jesteśmy czymś więcej. Wiedziała, co jej powie, teraz stało się to dla niej jasne.

— Wola, oczywiście. To dziwne, Willu, że nazwano cię mianem tego, co uważasz za najważniejsze. A może uznałeś wolę za tak ważną ze względu na imię?

— Nie urodziłem się z imieniem Will. Przyjąłem je tego dnia, kiedy Reck spojrzała na mnie i zapytała: „Kim jesteś?”

— W takim razie, jakie jest pragnienie woli? Powiedziałaś, że wszystkie trzy części duszy mają swoje pragnienia.

— Wola odpowiada za najprostszy wybór, a ten już jest za tobą. Całe twoje życie nie jest niczym więcej jak zachowaniem zgodnym z wyborem, który cię określa.

— Jaki to wybór?

— Między dobrem a złem.

Nie ukrywała swego rozczarowania.

— Cała ta rozmowa ma prowadzić tylko do tego?

— Nie mówię o wyborze między zabijaniem ludzi i ochroną ich życia ani między kradzieżą i uczciwością. Czasami zabijanie jest złem. Czasami zaś dobrem. Ty o tym wiesz.

— Dlatego już dawno temu zdecydowałam nie przejmować się dobrem i złem.

— O nie. Ty postanowiłaś nie dbać o to, czy twoje czyny są legalne, czy też nie.

— Uznałam, że nie ma absolutnego dobra, tak jak nie ma absolutnego zła. Właśnie przed chwilą powiedziałaś to samo.

— Nic takiego nie powiedziałem — rzekł Will.

— Powiedziałaś, że niekiedy zabijanie jest złem, a kiedy indziej dobrem.

— Właśnie. Zabijanie nie jest absolutem. Ale powiedz mi teraz, dlaczego uważasz za złe urodzenie dzieci Nieglizdawcowi?

— Nie chcę tego.

— Dlaczego? Wiesz, że sprawi ci to przyjemność. A twoje dzieci będą doskonale ludzkie, tylko silniejsze, mądrzejsze, szybsze i bez wątplenia między ich umysłami będzie istniała łączność. Wszystkie będą miały taką samą moc, jaką posiada Nieglizdawiec, a w dodatku również najlepsze cechy ludzkie. Będziesz matką rasy doskonałej. Najwspanialszych, inteligentnych istot, jakie zostały stworzone. Kolejny krok w ludzkiej ewolucji. Dlaczego tak zaciekle bronisz się przed tym?

— Nie wiem — odparła.

— Jeśli nie wiesz teraz, to w krytycznym momencie, kiedy będziesz z nim, pragnąc go każdym włosem swego ciała, też nie będziesz tego wiedzieć. Może

spróbujesz mu nawet odmówić, ale nie użyjesz w tym celu całej swej siły. A żeby go powstrzymać, będziesz potrzebowała wszystkich sił, to ci mogę obiecać.

— Pójdź ze mną — poprosiła. — I zabij go dla mnie.

— Jeśli będę mógł, pójdę. I jeśli będę mógł, to go zabiję. Ale nie oczekuj łatwych rozwiązań. Myślę, że jest tylko jedna osoba, którą Nieglizdawiec dopuści tak blisko siebie, by mogła go zranić i powstrzymać.

— W takim razie powiedz mi. Powiedz, co powinnam wiedzieć.

— To proste. Nic nie istnieje bez powiązania z czymś innym. Atom nie jest atomem, jeśli nie ma innych atomów. Wszystkie istnienia są takie — całkowicie samotne, dopóki nie wejdą w kontakt z innymi.

Podobnie jest z ludźmi. Nie istniejemy, jeśli nie wiąże nas świat. Wszystko, co robimy, wszystko, czym jesteśmy, zależy od naszej reakcji na wydarzenia i reakcji tych wydarzeń na nas.

— To wiem.

— Nie wiesz. Najwyraźniej nikt tego nie wie. Gdyby nic z tego, co robisz, nie wywołało zmiany w świecie zewnętrznym, i nic, co się dzieje w świecie wewnętrznym, nie wywołało zmiany w tobie, nie wiedziałabyś nawet, że ten świat zewnętrzny istnieje, a w takim razie nie warto byłoby w ogóle mówić o twoim istnieniu. A twoje istnienie, istnienie nas wszystkich zależy od wszechświata, który zachowuje się zgodnie z ustalonymi wzorami. System. Porządek, któremu podlega wszystko. Prawa, które wiążą atomy i cząsteczki, są niezmiennie. Nie mogą się zmieniać, ponieważ wtedy natychmiast przestałyby istnieć. Ale życie — o, tutaj zaczyna się wolność. I my, którzy myślimy o sobie jako o stworzeniach inteligentnych, mamy tej wolności najwięcej. Ustalamy nasze własne wzory i zmieniamy je zgodnie z naszą wolą. Budujemy systemy i porządki, a potem je obalamy. Ale zauważ, że żaden z naszych wyborów nie ma żadnego wpływu na zachowanie się atomów i cząsteczek. Nie potrafimy zmienić ich porządku. Możemy je wykorzystać, ale nie możemy złamać ich systemu, ani wyrzucić ich poza nawias naszego życia.

— Przypuszczam, że to prawda. W naszej mocy jest spalić las, ale atomy, które wchodziły w skład poszczególnych cząsteczek, połączą się znowu.

— Właśnie. Tak więc to, co robimy, nie jest ani dobre ani złe dla większości wszechświata. Tylko dla innych żywych istot. Głównie dla nas samych, ponieważ potrafimy kontrolować systemy ludzi. Są równie rzeczywiste, jak sam wszechświat, i to dzięki nim istniejemy. Ale potrafimy nimi manipulować. Możemy zmienić system, który stworzył nam warunki do życia. I zmieniamy go zgodnie z prostymi wyborami naszej woli.

— Jakie to wybory?

— Te, które wynikają z pragnień woli. A pragnienie woli jest bardzo proste. Rosnąć.

— Ja nie chcę rosnąć.

— Każde żywe stworzenie ma to samo pragnienie, Patience. Angel dotknął tego problemu w dość dziecinny sposób, kiedy mówił o ludziach, którzy posiadają rzeczy. To najbardziej żalony sposób wzrastania. Sken uczyniła łódź częścią swojej osoby. Dzięki temu czuje się większa. Jedzenie także daje jej podobne złudzenie.

— To śmieszne, co mówisz. — Patience uśmiechnęła się.

— Wcale nie. Królowie również stają się bardzo potężni, ponieważ ich królestwa są ich częścią. Rodzice czują się więksi dzięki dzieciom. Są jednak i tacy ludzie, których głód jest tak potężny, że nie może zostać zaspokojony, aż pochłona wszystko.

— Cały świat jest królewskim dworem — wyszeptała Patience.

— Co powiedziałaś?

— Coś, czego nauczył mnie ojciec.

— On to rozumiał.

— W takim razie to źle czy dobrze pragnąć potęgi?

— Ani źle, ani dobrze. Problem w tym, jaką się do tego wybierze drogę. System żyje dzięki poświęceniom. Nie istnieje taki porządek, w którym każdy nieprzerwanie otrzymywałby wszystko, czego zapragnie. System, który zapewnia nam egzystencję, opiera się na tym, że ludzie się poświęcają. Rezygnują z czegoś, by inni mogli otrzymać to, czego pragną. Ci inni również z czegoś rezygnują i tak dalej. Każde ludzkie społeczeństwo zbudowane jest na tej zasadzie.

Jak zwykle jej umysł wybiegł już myślą naprzód, próbując rozwiązać problem, zanim został wyłuszczonej do końca.

— Chcesz powiedzieć, że dobrzy ludzie poświęcają wszystko, a źli — nic?

— Ależ skąd. Mówię tylko, że dobrzy ludzie poświęcają to, co trzeba poświęcić, czasem nawet własne życie, by przetrwał system, który pozwala istnieć innym. Natomiast źli ludzie manipulują innymi, zmuszając ich do poświęceń po to tylko, by zaspokoić swój głód. Czy widzisz różnicę?

— To teologia. Kristus był dobry, ponieważ złożył w ofierze własne życie.

— Nie mów mi takich głupstw, Patience. Każdy umiera, a niektórzy są męczennikami niesłusznych spraw. Kristus jest Kristosem, ponieważ wierzymy, że poświęcił się dla całego świata. Dla największego porządku. Nie umarłby dla jakiejś mniejszej sprawy. Ponieważ rozumiał wszystkich ludzi i chciał ich chronić.

— Teraz wiem, dlaczego się stałeś heretykiem.

— Oczywiście, że wiesz. Tylko głupcy myślą, że ich Kristus przyjdzie, by zjednoczyć ludzkość w doskonałym pokoju, odrzucając miliony geblingów, gauntów i dwelfów. Ale to nie przyniosłoby dobra, gdyż taki Kristus musiałby zmusić do poświęcenia się połowę mieszkańców tego świata. Więc jeśli Kristus ma być naprawdę Kristosem, z radością poświęci wszystko dla zachowania porządku; który zapewnia życie wszystkim.

— Nie jestem Kristosem. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Will posmutniał.

— Wierzysz — powiedział. — Ale zrozumiesz, że w nie wierzysz dopiero, gdy będzie już po wszystkim. Jeśli któreś z nas będzie wtedy jeszcze żyło.

— To zgrabna teoria filozoficzna — powiedziała Patience. — Taka zwarta i logiczna. Zrobiłbyś karierę w Szkole.

Ta złośliwa uwaga nie dotknęła go.

— Kiedy staniesz z nim twarzą w twarz, Patience, przypomnisz sobie. Z zakątka pamięci wypełźnie świadomość, kim ty jesteś i kim on jest, a wtedy zwątpisz we własne pragnienia i uwierzysz w moje słowa. I zniszczysz go, choć będziesz go kochała bardziej niż cały świat. Zniszczysz go, ponieważ będziesz wiedziała, że on jest całym złem.

— Jeśli go zniszczę, to aby uratować siebie.

— Ty jesteś światem i wszystkimi światami. Ile czasu upłynie, zanim jego dzieci zastąpią całe inteligentne życie na tej planecie, a potem zbudują statki i ruszą na podbój wszystkich innych światów, zamieszkanymi przez ludzi? Żył niegdyś filozof, który powiedział, że nigdy nie będzie wojen między różnymi światami, gdyż nie będą miały one o co konkurować. Ale był głupcem. Do zdobycia jest wielkość, zaspokojenie pragnienia, by każdy ze światów zapełnić własnymi dziećmi. To najpotężniejsza siła sterująca naszym życiem. Przy niej zysk czy władza są trywialne.

— Kiedy stanę twarzą w twarz z Nieglizdawcem — powiedziała Patience — nie będę sobie stawiać wielkiego pytania o dobro i zło. Będę tylko ja, moje ciało i mój rozum. Nic więcej.

— Jego dom przeciwko królewskiemu dworowi. Nagrodą jest świat.

— Nie chcę świata.

— I dlatego go dostaniesz.

Roześmiała się nerwowo.

— Will, co ja mam z tobą zrobić? Przeceniasz mnie. Nigdy nie dorównam twemu wyobrażeniu o mnie.

Potrząsnął głową.

— W moich oczach jesteś piętnastoletnią dziewczyną, czasami przestraszona, czasami dzielna. Widzę, że nie zdajesz sobie sprawy z własnej piękności, przez co jesteś jeszcze piękniejsza. W swoim życiu miałem wielu panów, ale ty jesteś jedyną panią, za którą będę podążał aż do śmierci.

— Ale czy nie rozumiesz, że wymagasz ode mnie za wiele? Nie potrafię być doskonała.

— Jeśli ja potrafię, to i ty potrafisz. — Mówił tak jakby zdawał sobie sprawę z własnej chełpliwości.

— Ty jesteś doskonały? — zapytała.

— Uczyniłem siebie doskonałym, żebym mógł służyć tobie, kiedy nadejdiesz. Wyszkolono cię we wszystkich sztukach rządzenia, poza jedną: prowa-

dzeniem wojny. Więc ja do perfekcji opanowałem wojowanie, aby móc ci służyć. Moimi panami byli wszyscy wielcy generałowie i każdemu dałem zwycięstwo.

— Ty? Niewolnik?

— Zaufany niewolnik. Nauczyli się słuchać moich rad, dzięki nim wygrywali. Przygotowywałem się na chwilę, kiedy ty będziesz mnie potrzebowała.

— Skąd wiedziałeś, że się spotkamy? I to na zabitej deskami wsi, w chacie Reck i Ruina. Jakie były szanse, że w ogóle cię znajdę?

— Wcale nie liczyłem na przypadek. Od kiedy odkryłem prawdę duszy, wołanie Spękanej Skały było zawsze przy mnie, lady Patience. Pewnego dnia maszerowaliśmy drogą od Strażnicy Wodnej i przez krótki moment, kiedy mijaliśmy chatę na północnym skraju wsi, zew zmniejszył się. A nawet poczułem odrazę do marszu w stronę Spękanej Skały. Potem poszliśmy kawałek dalej i wezwanie wróciło. Od razu wiedziałem, że coś w tym domu. . .

— Reck i Ruin.

— Nie wiedziałem, że tam żyją geblingi. A tym bardziej że są one królewską parą. Natomiast byłem pewny, że Nieglizdawiec boi się mieszkańców tego domu, a jeśli Nieglizdawiec się czegoś lęka, to dobrze. Postanowiłem więc się z nimi sprzymierzyć. Więc uciekłem i zamieszkałem u Reck. Przy niej i Ruinie przestałem słyszeć zew Spękanej Skały, żyłem więc w spokoju. Ale nie dlatego tam poszedłem i nie dlatego z nimi zostałem. Czekałem na ciebie.

— Skąd miałeś pewność, że ja tam przyjdę?

— Z tego samego powodu, który mnie tam przywiódł. Gdybyś się nie zjawiła w tym miejscu, nic nie pokonałoby Nieglizdawca.

— To żaden powód.

— A jednak to prawda.

— Twoje słowa brzmią dla mnie zbyt mistycznie.

— Nie sądzę — powiedział Will. — Myślę, że zawierają w sobie akurat tyle mistyki, ile trzeba.

— Wolałam cię, kiedy milczałeś — powiedziała.

— Wiem. Okaż mi cierpliwość. — Wyciągnął rękę. Koniuszkami palców pogłaskał ją po policzku i włosach. A potem jego palce zaczęły się przesuwac w dół po jej ciele, dotykały karku, ramion, piersi, brzucha. Wreszcie dłoń spoczęła na jej udzie. — Przemówię znowu, kiedy zechcesz. Jak niewolnik na polecenie pana. Jak podwładny na żądanie króla. Jak Czuwający do Kristosa. Jak mąż do żony.

Pochylił się i pocałował ją w usta. I znowu Nieglizdawiec wywołał w niej niechęć do uścisków Willa, ale tym razem oparła się jego karze i przyjęła bolesny dar. Potem Will podniósł się i poszedł na drugą stronę pokładu.

— Nadszedł koniec mojej wachty — powiedział — idę zbudzić resztę.

I rzeczywiście. Niebo ponad drzewami na wschodzie pojaśniało, gwiazdy zbladły. Stroma skała Stopy Niebios wznosiła się na północnym niebie, okryta



czapą wiecznego śniegu. Tam czekał na nią Nieglizdawiec, czekał z coraz większą niecierpliwością. Will opowiedział mi parę historii i w niektóre z nich wierzę, ale czy będzie to miało jakieś znaczenie, kiedy przyjdę do ciebie, Nieglizdawcu? Ty jesteś jedynym przeznaczonym mi mężem, o którym mówi przepowiednia.

Ale nawet pod wpływem Nieglizdawca nie przestawała pragnąć dotyku Willa. I spodziewała się, że w decydującym momencie nie tyle pomogą jej te wszystkie filozoficzne rozważania, którymi ją uraczył, co raczej marzenie o człowieczym kochanku. Nie mogła liczyć na świadomość mistycznego podziału na dobro i zło. Ale mogła się oprzeć na wspomnieniu dotyku żywego człowieka.

Odwróciła się, by spojrzeć w dół strumienia, i napotkała spojrzenie Rivera. Wpatrywał się w nią. Po jego twarzy płynęły łzy.

— Czy cię obudziłam? — zapytała bezmyślnie.

Jego usta poruszyły się w milczącej odpowiedzi: „Rzeka jest całym moim życiem.”

Ale wiedziała, że to kłamstwo. Bo przez tych kilka porannych minut ona i Will przypomnieli mu o prawdziwym życiu.

## Rozdział 15

### SZNURKI

W miarę, jak zbliżali się do Stopy Niebios, coraz wyraźniej widzieli, że nie jest to wcale pionowa skała. Była stroma, ale zdarzały się na jej stoku tarasy porośnięte sadami lub obsiane zbożem. Ogromne powierzchnie zbocza góry przeznaczono pod uprawy, między którymi tłoczyły się zabudowania, tworząc wioski, osiedla i duże miasta. Górę aż po wierzchołek przecinały drogi, którymi cały czas kursowały powozy. Platformy bez przerwy wznosiły się w górę i zjeżdżały w dół, wioząc pasażerów i ładunki, łącząc miasta oddalone od siebie o setki metrów w pionie. Całe zbocze góry kipiało życiem.

Kiedy wypłynęli wreszcie na odsłonięty teren, chmury wisały nad nimi na wyciągnięcie ręki. Wyglądały jak jezioro bez dna, które pokrywało górę niczym biały fartuch, szeroki na kilka kilometrów. River wymrukiwał swe komendy, Sken nie odchodziła od koła sterowego, zręcznie wymijając łodzie i inne przeszkody, kierując się wprost do tego pustego miejsca przy nabrzeżu, które wypatrzył dla nich River.

Ku ogólnemu zdziwieniu Will znalazł się na brzegu, zanim jeszcze robotnik portowy w mocno podeszłym wieku skończył cumowanie ich liny na kołpaku. Will odepchnął starca, a potem sam zwinął linę.

— Co ty robisz? — dopytywał Angel, kiedy Will wrócił na pokład. Pracownik portu rzucał za nim jakieś przekleństwa.

— To jest Wolne Miasto i jeśli już na początku wpadniesz w łapy szakali, nie wyrwiesz się z nich.

— A skąd ty to wiesz? — zapytał Ruin.

Will przez moment patrzył na niego nieruchomym wzrokiem, po czym odwrócił się do Reck.

— Byłem już tutaj wcześniej — powiedział.

Reck uniosła brwi.

— Miałem kiedyś pana, który zabrał mnie do Spękanej Skały jako swoją ochronę.

Patience zauważyła, że Will mówi tak samo szczerze i otwarcie, jak przed kilkoma dniami, gdy rozmawiali przed świtem, oświetleni tylko blaskiem księżyca. Tak samo zachowywał się w świetle dnia. Nie kłamał. W każdym razie przekonany był o prawdziwości własnych słów. A przecież podczas całej podróży nawet nie napomknął, że był kiedyś wcześniej w mieście geblingów.

— Byłeś tu? — zapytał Ruin.

— Dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej? — dociekał Angel.

Will zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

— Nie wiedziałem, że zatrzymamy się w tym właśnie miejscu. Przebywałem akurat w tej części Spękanej Skały. — Uśmiechnął się. — Mój pan sądził, że mieszkają tu tajemnicze wiedźmy, które potrafią dokonać rzeczy wprost niewyobrażalnych.

— Czy miał rację? — zapytała Sken.

— Jego wyobraźnia nie była szczególnie bogata, a więc łatwo dało się go zadowolić. — Rzucił drobną monetę mężczyźnie na brzegu. Ten złapał ją w locie i uśmiechnął się. — Teraz ten człowiek skontaktuje nas z kimś, komu starczy pieniędzy na odkupienie naszej łodzi. Nie musi już udawać, że chce jej pilnować.

Od strony rufy doszedł ich głos Rivera:

— Jestem tutaj znany — powiedział. — Utarguję dobrą cenę.

— Wierzę — odparła Patience. — Ale mało cię obchodzi, czy my ją dostaniemy, czy kumple tego portowego łazika.

— No cóż, ja sam nie mogę wydać pieniędzy — przyznał swobodnie River. — Dla mnie nic one nie znaczą. Ale jeśli mnie ukradną, znacznie wcześniej ruszę w podróż powrotną.

— Powinam roztrzaskać twój sój! — wrzasnęła Sken.

— Gdybym miał jeszcze swoje ciało — stwierdził retorycznie River — nauczyłbym cię, co kobieta powinna robić mężczyźnie.

— Dla mnie nigdy nie byłbyś dość męski — odpaliła Sken.

— Sama nie jesteś dostatecznie kobieca, żeby rozpoznać mężczyznę.

Kłótnia toczyła się dalej, pozostali nie zwracali na nią uwagi. W ciągu kilku chwil hierarchia, jaka wytworzyła się na łodzi, przestała obowiązywać. Sken i River, których słowa były dotąd rozkazem, już się nie liczyli. Pozostali automatycznie obdarzyli teraz swym zaufaniem Willa. Władza wiedzy.

Will nie poczuł się skrępowany nagłą odpowiedzialnością, jak Sken na początku podróży łodzią. Patience widziała, że w bardzo naturalny sposób przejmuje dowodzenie nad ich grupą. Przez wszystkie dni i tygodnie podróży nigdy nie wymagał dla siebie szacunku, poza tym jednym porankiem spędzonym z nią, kiedy nikt inny nie mógł go widzieć. Obecnie zajął pozycję dowódcy, jakby mu się należała. Nie musiał rozkazywać ani podnosić głosu. Wysłuchiwał pytań, udzielał odpowiedzi i podejmował spokojnie decyzje, nie dopuszczając do dyskusji. Widziała w życiu wielu ludzi przywykłych do kierowania innymi, większość z nich

zachowywała się wyzywająco, przez cały czas drżąc, że ktoś oskarży ich o bezradność. Will sprawował władzę jakby nieświadomy jej posiadania, a wszyscy inni słuchali go bez sprzeciwu, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że są mu posłuszni.

Gdyby był moim mężem, czy także oczekowałyby, że go będę słuchać? Patience zadała sobie pytanie obserwując Willa i w tej samej chwili ogarnął ją wstyd. Will używał swego autorytetu tylko dla dobra całej grupy. Dlatego równie chętnie słuchał, jak i rozkazywał. Bez względu na to, kto wydawał polecenia, należało je wykonać, jeśli tylko były słuszne. Gdyby więc został jej mężem i nakazał zrobić coś dobrego, ona by okazała posłuszeństwo, podobnie jak on chętnie spełniłby jej słuszne życzenia.

— Nie możesz oczu od niego oderwać — wyszeptał Angel.

Nie widziała potrzeby tłumaczenia się Angelowi, ale odpowiedziała:

— Nie jest takim milczącym niedołęgą, za jakiego go braliśmy.

— Nie ufam mu — powiedział Angel. — To kłamca.

Spojrzała kompletnie zaskoczona jego słowami.

— Przecież widzisz, że jest szczery. Jak możesz mu nie wierzyć?

— To, co mówisz, potwierdza jedynie — stwierdził Angel — że on jest bardzo dobrym kłamcą.

Odsunęła się od nauczyciela kryjąc wzburzenie. Oczywiście Angel mógł mieć rację. Nie przyszło jej do głowy, chociaż powinno, że otwartość i uczciwość Willa mogą być taką samą maską, jak te, których ona używała. Czyż przez całe życie nie uczyła się mówić przekonująco? Może on również?

A może Angel wyczuł, jak bardzo zbliżyła się do Willa? Czyżby był zazdrosny o wpływ tego człowieka na nią? Ale nie. Angel nigdy nie kierował się zazdrością. Wierzyła mu od najmłodszych lat. Jeśli on wątpił w Willa, jej całkowita ufność wobec tego mężczyzny mogła okazać się niebezpieczna dla niej.

Ale nie potrafiła nie ufać Willowi. Tamtej nocy, w czasie ich rozmowy, po raz pierwszy w życiu poczuła, że poznaje prawdę o samej sobie. Nie potrafiła go teraz odepchnąć. Cokolwiek Angel o nim myślał, zdolności Willa trudno było kwestionować, gdy już ich dowiódł. A ona go kochała, tego była pewna. . .

A jednak jakaś wątpliwość utkwiała w niej niby drzazga. Angel stał właśnie na pokładzie i rozmawiał z Willem, nie zwracając na Patience uwagi, ale jego słowa zasiały w niej ziarno niepewności. Jej zaufanie dla Willa nie było już tak całkowite. A do Angela zamiast wdzięczności, czuła urazę. Nikomu nie ufaj, tak uczył ją ojciec. Ona przy Willu zapomniała o przestrodze. Zachowała się głupio, jakby była fanatyczką religijną — Czuwającą — tak całkowicie mu zawierzyła. Czekać i patrzeć. To powinna robić. Czekać i patrzeć.

Will sprzedał łódź prawie od razu i za dość niską cenę, w którą wliczony był też River. Pilot przeklinał Willa, że tak marnie go wycenił. Olbrzym pękał ze śmiechu.

— Nie targowałem się, ale za to szybko znajdziesz się na rzece — powiedział.  
— Myślałem, że o to ci chodziło.

River mlasnął tylko językiem i małpa wykonała rozkaz, odwracając stój tak, by River mógł patrzeć w dół rzeki i nie widział już swych poprzednich właścicieli. Natomiast Patience Will podał inny powód przyjęcia niewysokiej ceny.

— Łatwiej nam będzie odejść, jeśli uznają, że nie dbamy o pieniądze. Wezmą nas za bogatych turystów, którzy przybyli do Spękanej Skąty, żeby się zabawić. W Wolnym Mieście nie ma oficjalnego rządu ani spisanych praw. Ale póki wierzą, że przybyliśmy wydawać pieniądze, jesteśmy całkowicie bezpieczni. Możemy zostawić sakiewkę ze stalą na jezdni i kiedy wrócimy po tygodniu, nadal tam będzie leżała.

— Ludzie są tu tak uczciwi? — zapytał Angel.

— Kradzież jest zorganizowana. Wielcy złodzieje pilnują, by mali złodziejaskowie nie uszczknęli nic z ich zarobku. Jeśli będziemy się trzymać dobrze oświetlonych głównych ulic, chodników i przejść, nic nam nie grozi. Rabusie czekają na nas w domach publicznych i jaskiniach hazardu. Stamtąd wychodzi się, mając w kieszeni tylko tyle, ile potrzeba na opłacenie łodzi do domu.

— A co się stanie, jeśli odkryją, że jesteśmy tutaj jedynie przejazdem? — dociekała Patience. — Że nie zamierzamy tracić tutaj majątku, a po powrocie do domu opowiadać innym, jak cudownie się bawiliśmy?

Will uśmiechnął się.

— Może zostawimy za sobą parę ciał. Angel mówił mi, że jesteś w tym dobra. — Ani w jego słowach, ani w ich tonie nie słyhać było echa ich poprzedniej rozmowy. A więc był kłamcą. Albo teraz ukrywał swą miłość do niej, albo wtedy założył fałszywą maskę. Tak czy siak, Angel miał rację — Will potrafił kłamać.

Powiedzieli do widzenia Riverowi, który ich całkowicie zignorował. Potem opuścili przystań i wynajęli pokoje w oberży, usytuowanej na trzecim poziomie nad rzeką. Patience występowała w roli młodej dziedziczki, podróżującej ze swym dziadkiem. Will był ich ochroniarzem, Sken służącą. Reck i Ruin podawali się za kupców, wynajmujących się przy okazji jako przewodnicy. Najbardziej zaskoczył ich Ruin. Will uparł się, że nowe wcielenie geblinga wymaga odpowiedniego odzienia. Ruin pojawił się na pokładzie wykąpany, wyczesany i niezwykle starannie ubrany, z wyelegantowaną siostrą u boku.

Patience uświadomiła sobie, że poprzednio odrzucali ubranie nie z ignorancji, lecz z wyboru. Byli królewską parą i jeśli chcieli, umieli wyglądać dostojnie.

Podczas wspólnej podróży, pomyślała Patience, sądziłam, że tylko ja jedna występuję w przebraniu. Okazało się, że wszyscy udawaliśmy, a teraz znowu założyliśmy nowe maski. Czy zniknie ostatnia zasłona, czy ukaże się prawda o nas wszystkich, kiedy dojdziemy do Nieglizdawca, o ile jeszcze będziemy razem? Jeśli w ogóle istnieje jakaś prawda. Może jesteśmy tym, co udajemy, przybierając nowe osobowości przy każdej zmianie kostiumu?

Ale wiedziała, że przynajmniej ona w obliczu Nieglizdawca nie będzie miała się za czym ukryć. Obronić ją może tylko spryt i siła, które musi doskonalić. Czuła się jakby była naga, jakby każdy mógł poprzez ubranie dostrzec jej szczupłe i białe dziewczęce ciało, którego tak bardzo pożądał Nieglizdawiec.

— Musisz zejść do kasyna gry — powiedział Angel.

— Mam coś lepszego do roboty, niż tracić czas w ten sposób — odparła Patience. Siedziała przy oknie, patrząc na port i ciągnące się w głąbi lasy.

— Siedzieć i dumać? Hołubić miłe sercu uczucia? Sken odezwała się od strony łóżka:

— Jeśli ja mogę się kąpać codziennie, to ty możesz zejść na dół i zagrać w kalikę.

— Sken ma rację, wiesz o tym. Udajemy, że jesteśmy poszukiwaczami przyjemności. Więc musimy ich szukać. Choćbyśmy nie mieli na to najmniejszej ochoty.

— Odwiedź w moim imieniu jakąś dziwkę, Angelu. Postaraj się za dwóch.

— Ale mimo tych słów wstała od okna i podeszła do lustra. Jej włosy nie odrosły jeszcze po operacji. Tam, gdzie były wygolone, miały teraz jakieś dwa centymetry.

— Angelu, zetnij mi resztę do tej długości, dobrze? — poprosiła.

— To nie będzie bardzo twarzowa fryzura — powiedział Angel.

— Może konieczne stanie się założenie peruki. Nie sprzeczasz się — powiedziała z czarującym uśmiechem. To właśnie Angel nauczył ją tak się uśmiechać, więc wiedziała, że uzna jej wymówkę za żart.

I rzeczywiście, odpowiedział jej uśmiechem. Chociaż chwilę za późno. Jego myśli były czymś zajęte. Teraz, kiedy znaleźli się w Spękanej Skale, w pobliżu Nieglizdawca, z trudnością udawało im się zachować spokój.

Angel wyciągnął z kuferka nożyce i zaczął obcinać włosy. Bez nich wyglądała dziwnie poważnie.

— Gdzie jest najbliższy tunel? — zapytała.

— Reck twierdzi, że byłoby szaleństwem wchodzić tutaj w tunele. Droga zabrałaby nam trzy razy tyle czasu, a w dodatku w pierwszych jaskiniach mieszkają rabusie.

— Nie pytałam, czy powinniśmy korzystać z tuneli, tylko gdzie jest najbliższe wejście?

Angel westchnął.

— Prawdopodobnie jedno jest gdzieś przy tylnej ścianie gospody. Chociaż na zboczu domy są wybudowane jeden na drugim. Kto wie, gdzie może być wyjście z tunelu?

— Jeśli raz znajdę się w tunelu, będę wiedziała, gdzie jest Nieglizdawiec. Mam w pamięci obraz labiryntu ze wspomnień geblingów. Odnajdę drogę.

— To on zmusza cię, byś poszła tunelami. Tobie się tam nic nie stanie, Nieglizdawiec cię ochroni, lady Patience, ale my nie mamy tego zabezpieczenia. Przy-

puszczam, że byłoby po jego myśli, gdybyśmy tam pozostali martwi i gdybyś tylko ty bezpieczna, zdrowa i... samotna dotarła do niego.

— Angelu, jeśli chcę na chwilę wejść do tunelu, to nie rozumiem, dlaczego miałabym tego nie zrobić.

— Chcesz tego?

— Tak sądzę.

A może jednak tę myśl podsunął jej Nieglizdawiec? Skrzywiła się, spoglądając na swe odbicie w lustrze.

— Czy powinnam we wszystko wątpić? — zapytała.

— Po prostu chcę, abyś wybrała najlepsze rozwiązanie. Patience nie odpowiedziała. Każdy czuł się w obowiązku dać jej dobrą radę. Jakby obecność Nieglizdawca w jej umyśle uniemożliwiała podejmowanie własnych decyzji. A może i ta niechętna przyjaciołom myśl pochodziła od Nieglizdawca, który chciał ją rozdzielić z życzliwymi jej towarzyszami drogi. Zastanawiała się, czy może ufać swojemu osądowi. Jakież to byłoby wygodne, gdyby mogła skoncentrować się wyłącznie na trzymaniu Nieglizdawca na dystans i pozwoliła Angelowi się prowadzić. Angel potrafi zapewnić jej bezpieczeństwo. Może powinna była słuchać jego rad przez cały czas. Pomyślała o Willu, Reck i Ruinie, którzy siedzieli w sąsiednim pokoju, i zwątpiła, czy słusznie postąpiła, ciągnąc ich ze sobą całą drogę od Lasu Druciarza. Stanowili jedynie dodatkową komplikację. Wystarczyłby jej Angel i pomoc Sken, gdyby potrzebowała brutalnej siły. Reck i Ruin byli zbyt nieprzewidywalni. Czy kiedykolwiek interesy ludzi i geblingów okazały się zbieżne? A Will? Przecież jego religia — z Patience jako bóstwem, boginią miłości i ofiarą to szaleństwo! Ten poranek na łodzi był snem, kłamstwem. Co za sens iść w góry z tą gromadą zupełnie obcych jej istot. Kto wie, jakie mają wobec niej zamiary?

Niewiele brakowało, by — zgodnie z radą Angela — zdecydowała się wyjść natychmiast z obozu i zostawić tu geblingi. Mogliby po prostu zniknąć w tłumie. Gdyby tylko znalazła się wystarczająco daleko od Reck i Ruina, Nieglizdawiec wyrzuciłby ich ze Spękanej Skały i geblingi nigdy nie zdołaliby za nią podążyć.

Ale czuła się jakoś dziwnie na myśl o takiej ucieczce. Prześladowało ją wspomnienie ust na policzku, palców na skórze. Czy jestem tak niedojrzała, że powstrzymuje mnie jakieś niemądre uczucie? A jednak tak właśnie było. I coś jeszcze. Wspomnienie, że sama była królem geblingów. Czuła, jakby życie milionów stworzeń mieszkających w Spękanej Skale zależało od niej. Odpowiadała za nie, były w jej władzy. Wyraźnie pamiętała, że niegdyś — kiedy jeszcze tylko kilka tysięcy geblingów zamieszkiwało górę — rządziła nimi. Nie potrafiła odrzucić odpowiedzialności, w każdym razie nie tak łatwo. Więc nic nie powiedziała.

Angel odłożył nożyczki.

— Śliczna — stwierdził.

— Wyglądasz jak więzień, który wyszedł właśnie z Radosnych Piekieł —

stwierdziła Sken.

— Dziękuję — odpowiedziała Patience. — Uważam to uczesanie za twarzo-  
we. — Założyła perukę i znowu stała się kobietą. — W co się gra w tym domu?

— Właściwie to jest bardziej miejsce widowisk. — Angel poprawił z tyłu jej  
włosy. — Mają scenę i trupę gauntów, z gier hazardowych — zawody między  
ślizgawcami i robalami. Stawki bywają wysokie.

— Nigdy nie widziałam takiej walki — powiedziała Patience.

— To nic ładnego — stwierdziła Sken.

— Powinniśmy na coś postawić, inaczej pomyślą, że nie przyjechaliśmy tu  
dla hazardu, i zaczną się zastanawiać, czy nasza obecność nie oznacza kłopotów.  
— Angel podrzucił ciężką sakiewkę w powietrze i złapał ją. Sken ani na moment  
nie spuszczała z niej wzroku.

— Ale bardziej mam ochotę na widowisko. Co takiego pokazują?

— Nie wiem. Jest to prawdopodobnie demonstracja rozrzucańca.

— Może powinniśmy poszukać czegoś gdzie indziej.

Angel zmarszczył brwi.

— Jeśli masz zamiar wybrać się do teatru, to znalazłyby się pewno lepsze  
miejsca niż Wolne Miasto.

— Jestem tutaj w interesach — powiedziała Patience. — Tak więc nie mam  
specjalnego wyboru.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Will wsunął głowę do środka.

— My jesteśmy gotowi, co z wami?

— My też — odparł Angel.

W pomieszczeniu, gdzie odbywały się walki, było dość tłoczno. Angel po-  
prowadził ich najpierw do miejsca, gdzie przyjmowano zakłady. Wszystkie lśniące  
kolorami ślizgawce przyłączone były do swych szklanych pudełek, w czasie  
odpoczynku odrastały im nowe członki. Nie miały więcej niż pięć centymetrów  
średnicy.

— Myślałam, że są większe — powiedziała Patience.

— Będą, ale podczas walki — poinformowała ją Sken. — Głodzą je, by nie  
ważyły zbyt wiele w czasie transportu. Ale wszystkie ślizgawce są takie same.  
Liczą się robale.

Robale trzymane były w rojach, do każdej walki przygotowywano po kilkana-  
ście. Na razie poruszały się powoli i bez celu. Patience wkrótce przestała się nimi  
interesować i rozejrzała się po pokoju gry.

Dziwne, jak łatwo w takim miejscu mieszały się ludzie z geblingami. Nie czu-  
ło się podziałów ani szowinizmów. Dostrzegła nawet kilka dwelfów, które nie  
były służącymi, i parę gauntów, które niekoniecznie musiały być prostytutkami,  
choć trudno to było stwierdzić z pewnością. Gaunty nie radziły sobie najlepiej  
w grach losowych — zawsze przegrywały. Chyba ludzie nie mogli się zachowy-



wać tak niesportowo, żeby okradać te biedne stworzenia, które nie potrafią się obronić.

Każdy człowiek w tym pomieszczeniu był piękny, a przynajmniej chciał za takiego uchodzić. Stroje kilkunastu grubych dam i zażywnych mężczyzn miały podkreślać ich zamożność. Wszędzie błyskały klejnoty i złote łańcuchy. Brokaty lśniły na szerokich ramionach, welwety spływały z rozłożystych bioder. Ale przy gauntach wyglądali oni jak własne karykatury. Ideałem urody wśród ludzi byli masywni, silni mężczyźni oraz kobiety o pełnych kształtach. Twierdzono, że to dobrze odżywiona rasa, i mówiono to z prawdziwym uznaniem. Ale zarówno mężczyźni, jak i kobiety stąpali tak ciężko, jakby pod ubraniem nosili zbroje z brązu. Za to gauntki poruszały się posuwicie, bez wysiłku, niby tancerze. Zdawało się, że ich nogi nie są połączone z tułowiem, tak że głowa pozostawała zawsze na tym samym poziomie.

Kiedy ruszają się, ich ciała są pieśnią ziemi.

Kiedy mówią, ich głosy są pieśnią powietrza.

Kiedy kochają! Och, rozkosz, jaką dają,

Jest tak silna, jak kołysanie morza.

Tak brzmiał „Hymn do gauntów”, na wpół satyryczny, na wpół szalony utwór napisany przez starożytnego poetę, który okazał się nazbyt ekscentryczny, by zapamiętano jego imię lub by zapomniano jego wiersze.

A ojciec powiedział jej tak: ludzie nie odczuwają braku maszyn na Imaculacie, ponieważ gauntki są równie użyteczne i o wiele piękniejsze.

Teraz szczególnie jeden gaunt rzucił się jej w oczy. Młodziutki, o jasnych włosach, szczupły. Był nieproporcjonalnie wysoki w stosunku do swojej wagi. Patience zauważyła, jak tu i tam pojawia się w tłumie obstawiających zakłady. Jakoś zawsze tak się składało, że ręką, a czasem ramieniem bardzo delikatnie ocierał się o krocze kogoś z bogato wyglądających kupców. Homoseksualista? Nie — w chwili, gdy zwracali na niego uwagę, wręczał im jakiś papier. W takim razie musiał sprzedawać coś, co kojarzyło się z seksem.

To było nieuniknione, że dotarł również do Angela. Ale wtedy Patience spostrzegła coś dziwnego. Jej nauczyciel zareagował tak jak wszyscy: moment zdziwienia, spojrzenie pełne miłego zaskoczenia piękną gauntką, uśmiech rozpoznania na widok kartki i wyraz rozczarowania towarzyszący odejściu chłopca. Chociaż nikt tego nie mógł widzieć, dla Patience było oczywiste, że Angel przez cały czas zdawał sobie sprawę z obecności gauntki. Gdyby ktoś podszedł go naprawdę zniechęca, na jego twarzy nie pokazałby się nawet cień zdziwienia, przy-

najmniej do chwili, kiedy by zrozumiał, o co chodzi. Wtedy mógłby udawać naturalną reakcję, ale nie tak doskonale. Najwyraźniej musiał być świadom roli, jaką spełniał gaunt, ale nie chciał tego ujawnić. Takie zachowanie poważnie zaniepokoiło Patience, ponieważ w pokoju gry nikt nie zwracał uwagi na Angela poza nią i ich towarzyszami podróży. Z jakiegoś powodu Angel interesował się młodym gauntem, lecz chciał to przed nimi zataić.

Patience podeszła do Angela, który teraz przyglądał się uważnie przygotowanym ślizgawców do kolejnej walki, i wyszeptwała:

— Co on sprzedawał? Mała dziwka reklamowała samą siebie?

Angel wzruszył ramionami.

— Gdzieś to wyrzuciłem.

Patience zauważyła skrawek papieru na podłodze i podniosła go. Informacja zapisana była symbolami, a nie normalnym alfabetem, co tłumaczyło, dlaczego wystarczył na nią jeden kawałek papieru. „Lord Strings i jego cudownie cudowna maszyna do topnienia śniegu. Łoże. Wejście wyłącznie za zaproszeniami.”

— To tylko sex-show — powiedział Angel. — Niewarte uwagi.

— Dużo jeździłeś po świecie — stwierdziła Patience. — Mnie interesuje to, co tobie może się wydawać nużące.

— Masz dopiero piętnaście lat.

— I kochanka.

Zmarszczył się.

— Czekającego na mnie wśród lodów — dodała. Wymówiła te słowa z wystarczającym naciskiem, by dać mu do zrozumienia, że traktuje sprawę serio.

Grymas znikł z jego twarzy.

— Jeśli chcesz tam iść.

I w tej chwili domyśliła się, że właśnie do tego cały czas zmierzał. Czy chciał, żeby zauważyła jego oszukańcze zachowanie? A może planował jeszcze bardziej zakamuflowany manewr? Z jakiegoś powodu Angel chciał pójść na topnienie śniegu i zobaczyć rozrywkę proponowaną przez lorda Stringsa. Podobnie jak wiele razy w przeszłości, Angel zaskoczył ją. Co takiego dojrzał w małym gauncie, że zdecydował się tam pójść?

Angel zrobił spore zakłady na najbliższą grę, choć nie aż tak wysokie, by zwrócić na siebie powszechną uwagę. Stawiał na wygraną ślizgawca, i to o ponad pięć centymetrów. Założenie było ryzykowne, ale ewentualna wygrana znaczna. Patience nigdy nie widziała hazardującego się Angela, chociaż ojciec dość często brał udział w zakładach. Zawsze zastanawiała się, czy hazard go bawi, czy jest tylko jednym z ruchów w dyplomatycznej rozgrywce.

Ślizgawca wpuszczono do zbiornika, w którym miała się rozegrać walka. Kiedy tylko znalazł się wewnątrz, jego ciało zaczęło się powiększać, gdyż pochłaniał wszystkie otaczające go pożywki. Zanim trzy sekundy później uwolniono robale, stał się już dwa razy większy niż na początku.

Robale w pierwszej chwili poruszały się powoli, jakby ogłupiałe, pływały bez określonego celu. W chwili jednak, gdy jeden z nich trafił przypadkowo w ślizgawca, stały się szybkie i świadome celu.

Ślizgawiec oczywiście zauważył je także i natychmiast potraktował jako kolejne danie. Otoczył je ścianą ze sztywnego żelu. Soki trawienne ślizgawca niszczyły ich ciała, a robale wiły się w agonii. Jednak ich ruchy nie były chaotyczne. Poruszały się w stronę żółtka, gdzie mieściła się jego prymitywna inteligencja i cały system rozrodczy. Gdyby zdążyły go dopaść, złożyłyby tam swój własny materiał genetyczny, który pokonałby ciało ślizgawca i zmusiłby go do urodzenia małych robali. Ale ten ślizgawiec rósł zbyt szybko. A w dodatku jego żółtko znalazło się przypadkowo z innej strony niż robale. Żaden z nich nie dotarł do celu. Jednak ten, który był najbliżej, znajdował się w odległości czterech centymetrów.

Angel nie okazał żadnej emocji. Po prostu wyciągnął do Patience rękę jak dziadek do wnuczki i powiedział:

— Chodźmy, mała panienko. Lepiej posilmy się, zanim stracimy wszystko.

Kilka osób parsknęło śmiechem. Nikt by się tak nie zachował, gdyby rzeczywiście groziło mu bankructwo.

Jadalnia miała szklane ściany, wychodzące z jednej strony na jezioro i las, a z drugiej na cudowny ogród. Potrawy były równie wykwintne jak te, które Patience jadła na Królewskim Wzgórzu, chociaż wiele owoców było karłowatych i dziwnie cierpkich, a mięso podano z ziołami, których wcześniej nie znała.

Kiedy skończyli obiad i zapadł już zmrok, Angel odegrał komedię, ostentacyjnie dopytując się, gdzie odbywa się topnienie śniegu. Właściciel restauracji rzucił długie, pełne dezaprobaty spojrzenie w stronę Patience. Najwyraźniej miejsce, w którym odbywało się przedstawienie, nie było odpowiednie dla porządnej dziewczyny. Nawet ci, co przyjechali zabawić się w Wolnym Mieście, nie zabraliby tam niewinnej panienki. Angel nie okazał zmieszania.

— Dlaczego właściwie tam się wybieramy? — zapytała go wreszcie, gdy weszli na drewniany chodnik wiszący nad dachami i ogrodami ulicy, biegnącej trzy poziomy niżej. Geblingi podążały za nimi, ale nie na tyle blisko, by słyszeć ich rozmowę. Will i Sken, oboje duzi i ciężcy, znaleźli się dla bezpieczeństwa daleko w tyle.

— Nie zauważyłaś? — zagadnął Angel. — Ten chłopak przyszedł tam tylko dla nas. Stanowiliśmy cel, do którego zmierzał od chwili, kiedy pojawił się w pokoju gry. Gdy przekazał mi wiadomość, zniknął.

— Cóż to może znaczyć?

— Gaunty nie posiadają woli, Patience. Wyczuwają pragnienia istot przebywających w ich pobliżu i starają się zaspokoić te najsilniejsze. Trudno im powierzyć jakieś zadanie, gdyż łatwo rozproszyć ich uwagę. Ale temu młodzieńcowi nic nie przeszkodziło w wykonaniu polecenia.

— Nieglizdawiec?

— Pomyślałem, że tylko on potrafiłby utrzymać gaunta w takim stanie skupienia.

— W takim razie powinniśmy raczej ominąć to miejsce.

— Jak już poprzednio starałem ci się na próżno wytłumaczyć, Nieglizdawiec chce nas poprowadzić do swego leża, a my chcemy się tam dostać. Dopiero kiedy tam trafimy, nasze cele przestaną być tożsame.

To była beznadziejnie głupia odpowiedź. Nieglizdawiec chciał, żeby dotarła do niego wyłącznie Patience, nikogo innego nie oczekiwał. W takim razie to nie ona była w niebezpieczeństwie, lecz jej towarzysze. Gdyby Nieglizdawiec mógł, odsunąłby ich, aby podążyła do niego sama.

Nie miała czasu na rozważania, dlaczego Angel opowiada takie nonsensy, ponieważ właśnie dotarli na miejsce. Patience przypuszczała, że wciąż jeszcze traktuje ją jak dziecko, które można zbyć głupimi odpowiedziami, zachowując prawdę dla siebie. Nadal jej nie doceniał. A może to ona się myliła? Może kierował się najprostszymi motywami, tylko Nieglizdawiec utrudniał jej ich zrozumienie? Nie zauważyłaby przecież, gdyby Nieglizdawiec zakłócił jej procesy myślowe, ale Angel mógł to dostrzec i uznać, że nie może zdawać się na jej osąd sytuacji. Przestraszyła się i w tym samym momencie poczuła w sobie radość Nieglizdawca.

Poprzednie przedstawienie właśnie się kończyło i kierownik sali znalazł dla nich łożę na wprost owalnej sceny. Młody gaunt, od którego dostali zaproszenie, był tutaj z dwoma kurewkami i niezwykle wysokim, smutno wyglądającym gauntem o długich, siwych włosach.

Wszyscy oni byli nadzy, delikatnej budowy i nieziemsko piękni, tacy właśnie, jakie powinny być gaunty. Lecz kiedy kończyli swój numer, Patience zorientowała się, że to, co ogląda, nie jest zwykłym pokazem erotycznego tańca, mającym za zadanie rozgrzać zajmujących łożę ludzi. To była opowieść przekazywana za pomocą ruchów ciała. Smutnie wyglądający gaunt nawet nie był podniecony. Po prostu stał, wysoki, wyprostowany, z głową zwieszoną na jedno ramię, z włosami spadającymi na twarz. Wyglądał tak, jakby ramiona podtrzymywały mu jakieś sznurki spływające z sufitu, do których nie przyczepiono jednak głowy. Chłopak usiłował osiągnąć starego. A dziewczyny, równie młode i o prawie tak samo chłopięcych figurach, podtrzymywały go z tyłu popychając i dotykając. Z trudem ich gesty można było uznać za prowokacyjne. Chłopak był podniecony — ostatecznie właśnie za to płacili klienci — ale wyglądał na nie zainteresowanego tym, co robiły dziewczęta. Wreszcie, kiedy muzyka obwieściła moment kulminacyjny, zbliżył się do starego gaunta. Patience zastygła w oczekiwaniu na pokaz gwałtownego stosunku seksualnego, ale zamiast tego zobaczyła, że chłopak wspiął się po starcu, którego równowaga była bardzo niepewna, jak po drzewie, i klęknął na jego ramionach. A potem podciągnął głowę do góry za włosy. Teraz już całe ciało było napięte jak struna.

Cisza. Koniec.

Publiczność zaczęła bić brawo, ale bez entuzjazmu. Najwyraźniej Patience nie była jedyną osobą, która dostrzegła w pokazie coś niezwykłego, niezgodnego z oczekiwaniami większości. Kulminacja okazała się jedynie estetyczna, nie erotyczna. Toteż widownia była, całkiem słusznie, zawiedziona. Została oszukana.

Ale Patience nie czuła się oszukana. Tych kilka krótkich chwil rozpało w niej pragnienie, któremu się poddała, nie panując już nad sobą. Płakała. Nie była to tego typu namiętność, jaką obdarzał ją Nieglizdawiec, nie tak nieodparta, nie tak zniewalająca. Było to raczej melancholijne marzenie o czymś zupełnie niefizycznym. Pragnęła ze wszystkich sił, by jej ojciec mógł być znowu przy niej. Tak bardzo chciała zobaczyć jego uśmiech. Tęskniła za uściskiem swej matki.

Tym, co poruszyło ją w tańcu, była miłość, taka, o jakiej mówili Czuwający — czysta potrzeba obecności drugiej osoby. Prawie bezwiednie odwróciła się, szukając wzrokiem Willa. Stał tuż przy drzwiach łoża. Zobaczyła na jego otwartej twarzy doskonale odbicie tego samego pragnienia. Wezbrała w niej radość, bo Will patrzył na nią, również szukając odzewu na swoje pragnienie.

Wróciła spojrzeniem na scenę. Nikt nie klaskał, ale cztery gaunty trwały w bezruchu. Może pokaz wcale się jeszcze nie skończył? Muzyka umilkła. Słychać było tylko oddechy i szepty publiczności. Gaunty długo stały nieruchomo. Potem powoli stary zaczął się zginać. Chłopak ciągnął go z całych sił za włosy, ale stary kulił się coraz bardziej, jakby utrzymanie ciężaru było ponad jego siły.

Opadając w dół, równocześnie obracał się. Kiedy wreszcie legł na podłodze, podparty na łokciu, leżący na nim chłopiec wciąż podciągał mu głowę. Twarz gaunta znalazła się dokładnie na wprost łoża Patience. Jego oczy zdawały się patrzeć na nią i tylko na nią. Te oczy wyrażały błaganie. Tak, odpowiedziała milcząco. To jest doskonałe zakończenie tańca: upadek starca w całkowitej ciszy, jego podniesiona głowa i twarz spoglądająca w niebo, dopóki wysiłek chłopca nie poszedł jeszcze na marne.

Wtem, jakby jej uznanie zostało usłyszane, pogasty naraz wszystkie światła. Ciemność zapadła jedynie na sekundę czy dwie, ale kiedy lampy zabłyśły znowu, scena była pusta. Patience zaczęła bić brawo i kilka osób dołączyło się do niej, chociaż większość straciła już zainteresowanie spektaklem.

— Chciałabym się z nimi zobaczyć — powiedziała Patience. — Chociaż to tylko gaunty, ale widowisko było piękne.

— Sprowadzę ich — odrzekł Will.

— Ja pójdę — odezwał się Angel.

— W takim razie oddaj mi pieniądze — zaproponował Will.

— Nikt mnie nie okradnie.

— Byłem już tutaj wcześniej — stwierdził Will. — Na otwartych ulicach można się czuć bezpiecznie, ale nie w takich domach.

Angel odczekał chwilę, po czym oddał dwie sakiewki Willowi. Patience wiedziała, że prawdopodobnie resztę pieniędzy schował gdzie indziej, ale poszedł na

kompromis, gdyż bez sensu byłoby się kłócić o coś równie głupiego.

Gdyby pokaz odniósł sukces, musieliby przekupić kierownika sali, żeby sprowadzić do łoży choćby jednego z gauntów. Ale występ okazał się klapą, więc inni goście poprosili tylko o dwie dziewczyny. Angel wrócił do łoży w towarzystwie starego i młodego gaunta.

Na scenie zaczynał się już inny pokaz, bardziej typowy dla tego miejsca. Patience zaciągnęła zasłony, gdyż chciała ukryć wewnątrz łoży przed oczami postronnych i przytłumić rozmowę. Will pozapalał świece, by mogli się lepiej widzieć.

— Podobało ci się? — zapytał stary gaunt.

— Bardzo — odpowiedziała Patience.

— O tak, byłaś tą, która czuła. Ty pragnęłaś prawdziwego zakończenia. Wielu sprawiłem zawód, ale ciebie czułem mocniej niż innych.

— Jak zazwyczaj kończycie swój pokaz? — spytała Sken.

— O, przy takich widzach zazwyczaj trykamy każdy każdego po trzy razy. Ta publiczność to szumowiny. Żadnego zrozumienia dla sztuki. — Uśmiechnął się do Patience. — Nigdy nie było tak dobrego zakończenia jak dzisiaj. Upadek, a moja głowa wciąż w górze. Dziękujemy ci, pani.

Powinna się była tego wcześniej domyślić. Gaunty zawsze odpowiadały na najsilniejszą potrzebę. Nic dziwnego, że sprawiły jej tak wielką przyjemność. Wpływ Nieglizdawca wzmocnił wszystkie jej pragnienia, dlatego musiała być najbardziej dominującą osobą na sali.

Ale chociaż impuls dla takiego zakończenia pochodził od niej, to oni byli wykonawcami.

— Jesteście tacy piękni — powiedziała.

— Ty nawet nie chcesz spróbować tego oto Kristiano, prawda? — zapytał wyraźnie zdziwiony stary gaunt, wskazując młodzika.

— Nie — odpowiedziała.

— Ani mnie. A jesteś przecież napalona jak kotka w marcu. Czułem to, zanim jeszcze weszłaś do tego budynku.

— To nieważne — zachnął się Angel.

Patience kątem oka zauważyła ruch przy drzwiach do łoży, jakby Will gotował się do jeszcze gwałtowniejszego zakończenia rozmowy.

— Kim jesteście? — zapytała Patience.

— Nazywam się Strings — odparł. — Oczywiście niezupełnie jestem lordem Strings, nigdy nie słyszałem o gauncie, który byłby lordem, ty chyba też nie. Po prostu — Strings. A to jest Kristiano, mój kochany chłopiec, najlepszy, jakiego kiedykolwiek miałem.

— Najlepszy artysta od lodów po Żurawią Wodę — powiedział Kristiano. To był oczywiście slogan, ale chłopak wypowiedział go z całym przekonaniem.

— Podróżujemy — powiedział Strings. — A wy gdzie podążacie? Możemy

pojechać z wami i grać dla was co wieczór. Wasze potrzeby są tak silne i prowadzicie nas ku pięknu, którego tak pożądamy.

Reck i Ruin podczas całego przedstawienia nie odezwali się nawet jednym słowem. Powszechnie wiadome było, że geblingi gardzą ludzką fascynacją seksem. Ich własne łączenie się w pary miało dzięki empatii inny wymiar, każde zawsze wiedziało, kiedy i w jaki sposób sprawić rozkosz drugiemu. Nie męczyła ich żądza ani potrzeba ulżenia samotności, bo oni nigdy nie czuli się samotni.

Nic dziwnego nie było więc w tym, że Ruin natychmiast sprzeciwił się propozycji gaunta.

— Dla naszych celów wystarczy nam w zupełności nasze własne towarzystwo.

Angel zwrócił się do geblinga chłodno:

— Już jest nas zbyt wielu.

Strings posmutniał.

— Proszę, tak bardzo nie lubię kłótni.

— Oglądanie was było ogromną przyjemnością — powiedziała Patience. — Ale moi przyjaciele geblingi mają rację. Jesteśmy tu, by skosztować rozkoszy Wolnego Miasta, jednak czeka nas jeszcze bardzo długa droga.

Strings roześmiał się, a Kristiano dotknął jej kolana.

— Pani, o wielka pani, Strings nie może odejść od kogoś, czyje pragnienia są tak silne.

— Wiem, gdzie idziecie — powiedział Strings. — I znam drogę.

Will odezwał się cicho:

— Wyjdźmy stąd. Już.

Patience czuła rozterkę. Najwyraźniej gaunt był bardzo wrażliwym instrumentem empatii. Ale nawet uwzględniając tę jego szczególną cechę, w jaki sposób mógł się dowiedzieć, dokąd zmierzali? Przecież empatia nie umożliwiała mu odbierania nie wypowiedzianych słów i wyobrażonych obrazów.

W odpowiedzi na jej wątpliwości głowa Stringsa opadła w tył pod niemożliwym wprost kątem, jakby nie trzymały jej żadne kości ani mięśnie. Zaczął coś mruzczyć. Jego słowa brzmiały niby zakłęcie:

— Nie jestem taki stary, żeby nie pamiętać smaku pragnień, które przebijają sztyletem twoje serce. Zasmakowałem głodu, pragnienia dotarcia tam, gdzie lód i gdzie on czeka, gdzie czeka. Przyzywa cię silniej, niż wołał kiedykolwiek, ale pod pokładami żądzy, jaką śle do ciebie, czuję coś jeszcze mocniejszego. Jesteś jego wrogiem. Jesteś jego kochanką. A ja jestem twoim przewodnikiem do komnaty miłości.

Podczas tej przemowy Kristiano nieświadomie zaczął się poruszać, jakby słowa były poematem, a jego taniec — kompozycją muzyczną. Nawet w niewielkiej przestrzeni łoża ruchy chłopca były pełne wdzięku. Ustawił się, prawdopodobnie

instynktownie, w taki sposób, by światło wyraźnie obrysowywało linię ramion, dłoni i profil twarzy i aby mógł współgrać z cieniem.

Jak ktoś tak młody może być jednocześnie tak doskonały w najtrudniejszej ze sztuk? W chwili gdy Patience zadała sobie to pytanie, знаła już odpowiedź: Kristiano tańczył to, co pokazywał mu Strings. Chłopiec był jego marionetką. A to by znaczyło, że Kristiano reaguje na starego gaunta jak na człowieka lub geblinga — kogoś o silnej woli.

— W jaki sposób gaunt zmusza do tańca drugiego gaunta? — zapytała.

Strings, wybity z transu, wyglądał na zmieszanego.

— Tańca? — Potem spojrzął na Kristiano, dopiero teraz uświadamiając sobie, że chłopak poruszał się. — Nie teraz — powiedział i Kristiano natychmiast znieruchomiał.

— Nakazałeś mu tańczyć, kiedy mówiłeś do mnie — stwierdziła. — Jak możesz tego dokonać, skoro nie masz woli?

Przygotowywał się do kłamstwa, widziała to. Ale jeśli rzeczywiście był wyznaczonym przez Nieglizdawca przewodnikiem na szczyt góry — wysłanym kiedyś po Mądrych, którzy przybyli tutaj przed nią, a teraz po siódmą siódmą siódmą córkę — musiała poznać prawdę. Z jakiegoś powodu była pewna, że zadała ważne pytanie.

Skrzywił się.

— O pani, torturujesz mnie pragnieniem prawdy.

— W takim razie ulżyj swej męce i odpowiedz mi.

— Jestem potworem wśród gauntów — powiedział.

— Dlatego, że posiadasz wolę?

— Ponieważ chcę mieć wolę. Chcę. Prowadziłem ich na górę. Od kiedy potrafiłem znaleźć w sobie ich głód, prowadziłem wszystkich do złotych drzwi. Tam właśnie chcieli pójść. Ale nigdy stamtąd nie wrócili. Ty dałaś mi tyle radości! Czy myślisz, że potrafię ci wybaczyć, jeśli wydasz na świat poczęte w jaskini życie? Woda, która spływa z jego jaskini, także daje życie. Zabiorę cię na górę jak wszystkich innych i ty też nigdy już nie zejdziesz na dół. Co ja mam wtedy począć? Czy będziemy mogli kiedykolwiek znowu zatańczyć, gdy opuści nas publiczność, która pobudza do życia?

I znowu Kristiano tańczył w rytm recytacji Stringsa, w niezwykle sposób przydając życia słowom.

— Jestem stary — powiedział Strings. — Ten chłopak to mój własny syn. Cóż mogę jeszcze zatańczyć? Od lat już tylko stoję pomiędzy tancerzami i nagle się zjawiaś ty.

— To oznacza, że masz siłę — stwierdziła Patience. — Wystarczającą, by narzucać ją innym.

— Nie mam woli, wielka pani, ale mam pragnienia równie silne jak wasze, gorące jak płomień, zimne jak oczekująca cię sypialnia. Pożądania doskonałości,



a tancerze podążają za mym pragnieniem i stwarzają ją. Pozwól mi pójść za tobą, o pani. Wpatrywał się w nią błagalnym wzrokiem.

Starła się zrozumieć tę prośbę. Wszystko, co jej powiedział, było prawdą. A czasami nawet więcej niż prawdą. Musiała wiedzieć i to, co przed nią ukrywał. Pozwoliła, by owładnęło nią pożądanie, ujawniła, że pragnie Willa, i odkryła swój strach. Na chwilę udało jej się stłumić potrzebę dotarcia tam, gdzie czekał na nią Nieglizdawiec.

Twarz gaunta wykrzywiła się jakby w agonii. Oddychał z ogromnym trudem. A potem odezwał się znowu:

— Nie idź w górę, o pani, on tam cię zatrzyma samą jedną i nikt ci nie pomoże.

— Nie jestem sama — odpowiedziała.

— Ale będziesz, będziesz. Tylko ty i kłamca — kukła Nieglizdawca. Mądry człowiek, który był tu i wrócił, zdrajca. . .

Kiedy to mówił, Patience zrozumiała, że zna jednego takiego człowieka. Twierdził, że należy do Mądrych, przyznał, że był w Spękanej Skale i stamtąd wrócił. Spojrzała na niego, inni również. To Will był gotów ją zdradzić.

I być może uwierzyłaby w to, gdyby nie powróciła wzrokiem do Stringsa w chwili, gdy jego głos zamierał i gaunt opadł bezsilny na krzesło, z wysiłkiem łapiąc oddech. Kristiano jęknął, błyskawicznie doskoczył do starego, by sprawdzić jego puls. Szczęśliwy, że Strings żyje, przytulił ojca do piersi.

Choć światło było słabe, Patience zobaczyła, co się stało. Strings nie upadł z wycieńczenia. Dosięła go ręka Angela. Ucisk w to miejsce — tego nauczył ją nauczyciel — pozbawiał żywe stworzenia przytomności. Angel uciszył Stringsa w momencie, gdy gaunt wystarczająco już pogrążył Willa, choć jeszcze nie powiedział wszystkiego. Zrobił to w chwili, gdy wszyscy patrzyli na olbrzyma. Jedynie ona dostrzegła ruch ręki. Uciszył Stringsa, zanim ten wymienił imię zdrajcy lub wskazał go palcem czy choćby spojrzeniem.

— Ty — powiedział Angel. Patrzył na Willa. — Mówił o tobie. Byłeś tutaj już wcześniej. I słyszałem, jak chępiłeś się przed Patience pewnego ranka na łodzi, że ciebie też wzywał zew Spękanej Skały. W takim razie jesteś jednym z Mądrych. Czy zaprzeczysz temu?

Gdyby nie widziała, czego dokonały palce Angela, uwierzyłaby zarzutom. Ale teraz była pewna, że zdrajcą jest Angel. Nawet słowa, którymi oskarżał Willa, potwierdzały to. Nauczyciel musiał być młodym człowiekiem, kiedy usłyszał zew. Przyszedł tutaj tak samo jak pozostali i podobnie jak inni nie potrafił się obronić. Ale Nieglizdawiec potrzebował kogoś do pomocy. Angel musiał dopilnować, by urodziła się córka lorda Peace. Więc zszedł z góry, uzbrojony w wiedzę, jak naprawić to, co uczyniono prawowitemu heptarsze. I już wkrótce narzeczona Nieglizdawca została poczęta, a gdy przyszła na świat, Angel poświęcił swe życie, by ją wychować i przygotować. I wreszcie przywieść ją tutaj. Przez cały ten czas był na usługach Nieglizdawca. Cały ten czas. A jej ojciec zawierzył mu. Miała ochotę

rzucić się na niego z gołymi rękami, sięgnąć palcami do wiotkiej skóry i porwać ją na strzępy. Nigdy w życiu nie czuła takiego gniewu i takiego wstydu jak w tej chwili, gdy zrozumiała, że całą swą dziecięcą miłością obdarzyła człowieka, który tylko udawał wobec niej serdeczne uczucia. On był katem, a ona jego jedyną ofiarą. Teraz prowadził ją na ścięcie, a ona ślepa, nie widząc, kim był naprawdę, kochała go.

Ale teraz już przejrzała na oczy. Postanowiła jednak wykorzystać swe umiejętności i ukryła wrzący gniew.

Ruin roześmiał się na myśl, że Will miałby być jednym z Mądrych, ale Reck pozostała czujna. Patience napotkała jej spojrzenie i przez moment patrzyła na nią uporczywie, podczas gdy Angel kontynuował swe oskarżenia. Czy kobieta gebling ją rozumiała? Będę grała, a wy musicie zachować się tak, jakbyście chcieli pozostać przy mnie w drodze na górę.

Jej myśli pędziły jak szalone, układając wszystko w logiczną całość. Widziała teraz swą przeszłość w innym świetle. Angel był wrogiem. Próbował nie dopuścić do jej spotkania z Reck i Ruinem, a teraz chciał się ich pozbyć, zanim dotrą do Niegłizdawca. Był zbyt doświadczonym mordercą, by geblingi miały szansę dotrzeć żywe na szczyt góry bez pomocy Willa, jeśli Angel byłby z nimi. A zatem Angel z nimi nie pójdzie.

— Willu — zwróciła się do mężczyzny — w związku z tym, co się stało, nie mogę ci już dłużej ufać. — Miała nadzieję, że on również w jej wzroku potrafi wyczytać błaganie i zrozumie, że ma jej pomóc w tej rozgrywce. — Ale nie chcę, by Angel cię zabił.

— Jak to? — wyszeptał wstrząśnięty Angel.

— Tak więc zawiążę ci oczy i zostawię ze Sken, która cię będzie pilnowała. Zapłacę kierownikowi sali, by pozwolił ci tu pozostać przez całą noc. Nie staraj się iść za nami, bo inaczej sama odbiorę ci życie.

Will nie odpowiedział ani jednym słowem. Czy zrozumiał?

— To szaleństwo — powiedział Angel. — Jest niebezpieczny, a ty chcesz go zostawić żywego?

— Ten człowiek nikomu nie zagraża — wtrąciła się Reck. Ale wyglądała na zaniepokojoną, jakby nie była już pewna, czy ma wierzyć, że Will ich zdradził, czy trwać w swym zaufaniu do niego.

— Kłócić możemy się później — oznajmiła Patience — kiedy wyjdziemy z łoży. — Spojrzała na kurtynę, która była jedyną przegrodą między nimi a publicznością. — A może chcemy być częścią przedstawienia?

Patience kazała związać Willa sznurem, którym Sken zawsze była obwiązana w pasie. Lina była długa i mocna. Patience starała się być przez cały czas między Angelem i Willem, gdyż lękała się, że nauczyciel wbije w olbrzyma zatruty nóż, a potem usprawiedliwi się, że zrobił tylko to, co uważał za słuszne. Patience nie wiedziała jeszcze, jak rozwiązać kryzys bez przelewu krwi. Ale czuła, że może

ufać Willowi, i pragnęła zachować go przy życiu. On zaś ani na chwilę nie odrywał wzroku od Patience, choć nie zaprzeczył oskarżeniom. Miała nadzieję, że w ten sposób okazuje jej zaufanie.

Każde słowo Angela, każdy jego ruch przejmowały ją teraz złością i odrazą. Czyż nie patrzyła na mistrza w zabijaniu? Cała jej wiedza na temat ataku i obrony pochodzi od niego. Przyzwyczyła się ufać tym umiejętnościom, wierzyła, że jest w stanie pokonać każdego i wszystko. Ale teraz zastanawiała się, czego Angel jej nie nauczył? Może próbować tego lub tamtego — wbicia igły, wstrzyknięcia rzutki w gardło, ataku pętlą — ale on jest w stanie przewidzieć każdy jej ruch, podczas gdy ona nie domyśla się nawet, co on przed nią ukrywa.

Czy zauważył, że trzymała się między nim a Willem? Czy spostrzegł, że tak manipulowała, by pierwszy opuścił łożę i nie mógł rozdzielić jej z geblingami? Czy zrozumiał, że próba zdemaskowania go przez Stringsę zbyt wyprowadziła go z równowagi? Sam fakt, że zdołała zauważyć uciszenie gaunta, świadczył o słabszej formie nauczyciela.

Angel wyprowadził ich do holu. Sken stała przy drzwiach łoży i spoglądała na oddalających się korytarzem towarzyszy.

— Powinniśmy zabrać gaunta — szepnął Angel. — Jeśli nawet jest kontrolowany przez Neglizdawca, to zna drogę.

— Angelu, jestem przerażona — odparła. — Wierzyłam Willowi, a on przez cały czas był na służbie u Neglizdawca. — Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do nauczyciela jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką. Lecz nim jej palce dotarły do miejsca, w którym ucisk spowodowałby omdlenie, napotkały jego dłonie. Wtedy już wiedziała, że nie dał się oszukać. Był całkowicie świadomy, że ona przestała mu ufać. Ujrzała samą siebie padającą bez czucia w jego ramionach. Powiedziała by geblingom, że zrobiło jej się słabo od nadmiaru wrażeń. A one uwierzyłyby mu. Bez jej ochrony Reck i Ruin nie przeżyliby długo. To byłby koniec.

Ale jego palce nie nacisnęły czułego miejsca dziewczyny.

— Kocham cię — wyszeptła. Pozwoliła, by usłyszał w jej głosie ból, spowodowany świadomością jego zdrady.

Wciąż nie mógł się zdecydować, by i ją uciszyć. W tej chwili palce Patience dotarły do poszukiwanego miejsca i ona się nie wahała. Angel osunął się na podłogę.

— Chodźmy — zwróciła się do geblingów.

— Co się stało? — pytał Ruin.

— Angel jest zdrajcą.

Patrzyli na nią przez chwilę, nic nie rozumiejąc.

— Widziałam, jak uciszał gaunta, zanim ten zdążył wymienić imię. To Angel jest człowiekiem Neglizdawca.

— W takim razie musimy uwolnić Willa — stwierdziła Reck. Sken, która od drzwi przyglądała się całemu zajściu, wróciła do łoża, by go rozwiązać. Ale w tej samej chwili na końcu korytarza pojawił się kierownik sali.

— Co tu się dzieje!?! — krzyknął. Zauważył ciało Angela na podłodze. — Coście zrobili!?! Mordercy! Mordercy! — Pognał z powrotem.

— Co za głupoty — skrzywił się Ruin — przecież Angel żyje.

— Głupoty czy nie, sprowadzi nam na kark policję. Zatrzymają nas do czasu wyjaśnienia sprawy, posadzą ludzi i geblingi w osobnych celach, a wtedy Nieglizdawiec mnie stamtąd wyciągnie, a wy zostaniecie — stwierdziła Patience.

Kierownik nadal wrzeszczał i jasne było, że wkrótce pojawi się znowu. Publiczność również niepokoiła się. Patience chciała poczekać na Willa i Sken, ale nie było na to czasu. Ruin chwycił ją za rękę i razem z Reck pociągnęli dziewczynę korytarzem w przeciwnym kierunku, niż pobiegł kierownik.

— Skąd wiecie, że tam jest wyjście? — pytała Patience w biegu. — Kierujemy się w głąb góry.

Dotarli do kręconych schodów prowadzących do pokojów dla aktorów, gdzie po przedstawieniu dalej można było zakosztować improwizowanej przyjemności. Ponieważ nie było innej drogi, zaczęli się wspinać. Patience prowadzona przez geblingi potknęła się i upadła na schody.

— Nieglizdawiec wie, co zrobiłam — powiedziała. — Czuję to, pragnie mnie ukarać za to, że zostawiłam Angela. — Chciała iść, ale nie mogła zrobić ani kroku. Nieglizdawiec wywoływał w niej wszelkie możliwe, sprzeczne namiętności. Nie potrafiła się skoncentrować, zebrać myśli.

Ruin szedł przodem, a Reck za nią. Ciągnęli ją i pchali w górę po schodach. Mijali rzędy garderób, gdzie nagie gaunty i ludzie myli się po skończonym właśnie przedstawieniu lub przygotowywali do następnego. Geblingi wzięły ją pod ramiona i poprowadziły korytarzem. Krok. I kolejny. Ruch to było coś, na czym mogła się skoncentrować. Atak Nieglizdawca zaczął słabnąć — tak silnego nacisku nawet on nie potrafił utrzymać długo. Powoli odzyskiwała panowanie nad sobą, szła już szybciej i bez pomocy geblingów.

— Czy w garderobach są okna wychodzące na drugą stronę? — zapytała.

— W tej — odpowiedział jej Ruin.

Nagi młody gebling masował sobie krocze, kiedy wdarli się do jego pokoju i pobiegli otworzyć okno.

— Na zewnątrz jest zimno — powiedział łagodnie.

— Zaniknij drzwi — poprosiła Patience.

— Przykro mi — odparł. — One się nie zamykają.

— Strasznie wysoko — stwierdził Ruin wyglądając przez okno. — A chodnik nie jest tu bardzo szeroki. Jeśli nie uda nam się na niego skoczyć, następny jest dużo niżej.

Patience wyjrzała.

— Nawet dziecko by to potrafiło — powiedziała. Wysunęła się przez otwór. Zawisała na rękach i opadła. Geblingi nie miały innego wyjścia jak podążyć za nią. Reck upadła i potłukła się boleśnie.

— My, geblingi, nie w całości pochodzimy od cholernych małp — stwierdziła. — Nie mamy instynktu skakania.

Patience nie zawracała sobie głowy przeprosinami. Noc była ciemna, chmury wisiały tuż nad nimi, z trudem dało się rozpoznać drogę, ale ruszyli pośpiesznie przed siebie. Nagle Patience poczuła ogromne zmęczenie. Wdrapali się już wysoko pod górę. Od czasu opuszczenia łodzi nie spała, dlaczego nie miałyby teraz wrócić do swego pokoju i odpocząć? Powinna przecież odzyskać siły. Ale odrzuciła te pragnienia. Wiedziała, skąd się biorą. Nieglizdawiec zamierzał im wszystko utrudniać. Odsunięcie geblingów było zadaniem Angela. Ale teraz Nieglizdawiec musiał posłużyć się innymi ludźmi, by odciągnęli ich od dziewczyny. Albo nawet zabili. Patience nie miała zamiaru sama stawić czoła Nieglizdawcowi. Znała jego siłę i potrzebowała pomocy. Jeśli geblingi miały być jej jedyną podporą, nie mogła ich utracić. Poza nimi nie ufała już nikomu. Każdy mógł okazać się nieprzyjacielem.

Zatrzymali się w gospodzie tylko po to, żeby Patience zabrała swój huk, nóż Sken oraz ubranie, które nadawałoby się do wspinaczki po pokrytej śniegiem górze. Ponieważ nie istniał żaden ludzki spisek przeciwko nim, mogli w miarę bezpiecznie dotrzeć do swych pokoi, ale nie mieli dużo czasu. Ani na chwilę nie rozdzielali się. Najpierw geblingi były z nią w pokoju, który dzieliła ze Sken i Angelem, a potem ona z kolei przeszła do ich izby. Kiedy już mieli wychodzić, ktoś zapukał do drzwi.

— Prawdopodobnie to tylko gospodarz — powiedziała Reck.

— To śmierć — stwierdziła Patience. — Nieglizdawiec z pewnością już zadba o to, byśmy nie spotkali na swej drodze w górach niczego oprócz śmierci.

Ruin otworzył szeroko okno. Patience wdrapała się na parapet. Chodnik znajdował się trzydzieści metrów w dole. To było zbyt wiele nawet dla niej. Ale zawsze dobrze radziła sobie ze wspinaniem.

— Zaufajcie swej ludzkiej części — powiedziała. — Będziecie potrzebowali wszystkiego, co zostało wam po waszych przodkach małpach. — Stała na parapecie, złapała się za rynnę i podciągnęła w górę. Reck ruszyła tuż za nią. Kiedy wszyscy znaleźli się na dachu, usłyszeli huk. Z pokoju, w którym jeszcze tak niedawno się znajdowali, buchnęły płomienie.

— Chyba musimy się pośpieszyć, prawda? — zapytał Ruin.

— W górę! — ponagliła ich Patience.

Ruszyli biegiem po dachu do drabiny prowadzącej na następny poziom. Ile kilometrów po lodzie będą musieli przejść, żeby dostać się na szczyt Stopy Niebios? Patience nie chciała sobie tego przypominać. Chwyła dłońmi drabinę i zaczęła wspinaczkę.

## Rozdział 16

### ANGEL

Sken usiłowała rozwiązać Willa. Wreszcie zaczął się niecierpliwić.

— Czy nie byłoby prędzej przeciąć liny?

— O, teraz to potrafisz gadać. Dlaczego nie odezwałeś się wcześniej ani słowem? — Użyła tępego noża, którym posługiwała się przy jedzeniu. — Czemu ani słowem nie bąknałeś, że jesteś niewinny, kiedy cię wiązałam?

— Ponieważ ktoś był winny, a nie wiedziałem kto.

Sznury wreszcie puściły.

— Angel.

— Tak mi się wydawało. — W chwili, gdy przecięła główny węzeł, uwolnił dłonie i stopy. Poderwał się zaraz na równe nogi — był dość krótko związany, więc mięśnie nie zdążyły mu jeszcze zesztynieć.

Kiedy dochodził do drzwi, koło loży przebiegał właśnie kierownik sali. Wymachiwał pałką i prowadził grupę wysoce nieregularnej armii. Na pewno nie byli to strażnicy z prawdziwego zdarzenia, tylko zebrany ad hoc tłum gotów służyć życzeniu Nieglizdawca. Ale prawdziwi żołnierze na pewno zjawią się wkrótce za nimi. Will zdecydował, że nie ma sensu iść za nimi. Na tyle dobrze znał Patience i geblingi, że na razie jeszcze nie drżał o ich bezpieczeństwo. A miał co innego do załatwienia;

— Lady Sken, czy wystarczy ci sznura na związanie człowieka, zanim oprzytomnieje?

Sken podeszła do Willa, pochylonego nad ciałem Angela.

— Zostawili go?

— Nieglizdawiec ich ponaglał.

Sken szturchnęła Angela nogą.

— Wiesz na pewno, że jest nieprzytomny? On zna różne sztuczki.

— Jak jeszcze bardziej go będziesz szarpać, to wreszcie się otrząśnie. A wtedy nie chciałbym się znaleźć w jego rękach.

Sken związała Angela — Will wiedział z doświadczenia, że wspaniale to robi — i razem zanieśli starego człowieka do łoża. Dopiero wtedy Will zwrócił uwagę na Kristiano i Stringa. Stary gaunt oprzytomniał.

— Co mi się stało? — dopytywał się.

— Angel uznał, że twoja opowieść staje się nazbyt osobista.

— Opowieść? O, tak. Tak... moja opowieść. Próbowałem kłamać. Czułem, jak bardzo pragnie, żebym skłamał.

— A jednak powiedziałeś prawdę?

— To przez dziewczynę. Pragnęła prawdy bardziej niż on pragnął kłamstwa. Nie było mi łatwo. Chyba zemdlałem.

— Ktoś ci dopomógł.

— Znałem go — powiedział Strings. — Znałem ich wszystkich. Ale Angel? On był dobry. Kiedy prowadziłem go na górę, nie było w nim nawet śladu zła.

— Nie mam pojęcia, co według kryteriów gaunta jest złem — wtrąciła się Sken.

— Nasze kryteria są takie same jak innych — wyjaśnił gaunt. — I tak jak w wypadku innych, nasze postępowanie nie ma związku z tym, co uważamy za dobre czy złe. Nieprzypadkowo zostałem wybrany na przewodnika Mądrych. Jestem bardzo sprytny.

— Twój taniec był niezwykle piękny.

— Sprytny. Tylko sprytny. To najwięcej, na co może liczyć gaunt. Prawda, Kristiano? — zmierzwił włosy pięknego gaunta. — Reprezentuję szczyt ambicji naszej rasy. Ale nie żałujcie nas, do końca pozostaniemy niewinni. Nasze czyny nie zależą od nas samych. To pozwala nam dożyć późnego wieku bez poczucia winy.

Willowi wydało się, że słyszy gorzką ironię w głosie gaunta.

— Czy wiedziałeś, gdzie ich prowadzisz?

Wzruszenie ramion wystarczyło za odpowiedź.

— Oni wszyscy chcieli tam pójść.

— Ja też chcę — powiedział Will. — Zaprowadzisz mnie?

— On nie chce, żebym cię tam zabrał — powiedział Strings. — A jego życzenia są najsilniejsze. Zawsze go słucham.

— Teraz nie zwraca na nas uwagi.

Strings zastanawiał się przez chwilę.

— Masz rację, jednak przypuszczam, że to nic nie znaczy. Zostawił mnie w spokoju na dziesięć lat. Ale trzy dni temu odezwał się znowu. Nigdy w życiu nikt mnie tak nie poganiał. Przebywałem po drugiej stronie Spękanej Skąły, grałem w przyzwoitym miejscu, gdzie przychodzili dobrze urodzeni, mądrzy ludzie. A on zmusił mnie do porzucenia tego wszystkiego. Kazał mi przybyć tu, do tej spelunki. Nie lubię pracować w takich miejscach. Tłum ma żaloszny gust. Dlaczego chcesz, bym mówił dalej?

— Lubię dźwięk twego głosu.

— O nie, ty chcesz ode mnie znacznie więcej. Ty chcesz wiedzieć... Tak. No cóż, czy ktokolwiek może zrozumieć, kim naprawdę jest gaunt? Czy jestem dobry czy zły? Możesz mi zaufać czy nie? Czy ty potrafisz to powiedzieć, Kristiano?

Kristiano uśmiechnął się. Na jego twarzy malował się słodki spokój świętego. Albo idioty.

— Jak silne są twe namiętności, człowieku? Jesteś wielkości konia i masz jego siłę, ale dla mnie to nic nie znaczy. Dla mnie ważne jest twe pożądanie, żarłoczność i ambicja. Możesz mi zaufać, jeśli twe namiętności są wystarczająco silne i stałe.

— Z twojej listy namiętności wymieniasz tylko złe.

— Z mojego doświadczenia wynika, że jedynie one mają prawdziwą moc. Chyba że chodzi o fanatyka. Spotkałem kiedyś Czuwającego. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Zmuszał mnie, bym go biczował, aż spływał krwią. A pewnego dnia opanował go taki religijny zapał, że od tego umarł. Wolę już pragnienia grzeszników niż czystość świętych.

— A co z twoimi własnymi pragnieniami? — zapytał Will. — Powiedziałeś, że również je czujesz.

— O, ja jestem namiętną istotą, samą namiętnością, która nigdy nie zostaje spełniona. Prowadziłem mych braci do żołądka Nieglizdawca. On nie jest łaskaw dla swych sług. Nigdy nie ukoił w nas wyrzutów sumienia.

— Budzisz się ze smakiem żalu w ustach i zasypiasz, gdy bolesny jęk wypełnia ci uszy.

Will i Sken spojrzeli na Angela, który się właśnie ocknął.

— Wiem, co znaczy być gauntem — dodał Angel. — Nieglizdawiec z nas wszystkich uczynił gaunty.

— Zamknij się — rozkazała mu Sken. — Dziewczyna tak wierzyła w ciebie.

Will zmierzył ją takim wzrokiem, że zamilkła.

— Ze wszystkich poza tobą — dodał Angel. — Poza Willem. Strings, czy potrafisz w to uwierzyć? Will jest jednym z Mądrych. Tyle tylko, że on nigdy nie przyszedł do Nieglizdawca. Chociaż był w Spękanej Skale, nigdy nie był u Niego.

Will potrząsnął głową.

— Byłem w Spękanej Skale, ale wtedy nie czułem jeszcze wołania. To stało się potem. Kiedy nauczyłem się wystarczająco wiele, by stać się wartym wzywania.

— Nie mogę cię rozwiązać — westchnął z żalem Strings w odpowiedzi na pragnienie Angela. — On jest za silny.

Angel westchnął.

— Tak, bardzo silny. Ja próbowałem, wiesz przecież. Przez całą drogę ze Spękanej Skąły do lorda Peace starałem się nie być mu posłusznym, próbowałem nawet się zabić. A potem wiele razy chciałem ostrzec lorda Peace, opowiedzieć



mu o wężu, którego hoduje na własnym łonie. Ale przeważyło pragnienie pozostania z Patience. Chciałem się nią opiekować i przyprowadzić ją bezpiecznie do Niego. Gdybyś próbował się z nią przespać, zabiłbym cię.

— A teraz? Kiedy on już cię nie przyciąga?

— Czy naprawdę odszedł? Nic dziwnego, że czuję się taki pusty. Moja głowa jest jak wypełniony powietrzem balon. Nie mam już nic do powiedzenia. Z trudem pamiętam, kim byłem kiedyś. Czy naprawdę poszedł sobie? Ale ja ją nadal kocham.

Angel uśmiechnął się.

— Jestem wspaniałym łgarzem. Nie możesz mi wierzyć, kiedy wydaję się najbardziej wiarygodny. Ostrzegam cię. Zabijcie mnie teraz. To jedyny sposób, by mieć pewność, że nie będę wam zagrażał.

— Jest inny sposób — powiedział Will. — Będę cię trzymał przez cały czas przed sobą.

— Odszedł — powiedział Angel. — A ja wciąż kocham Patience. Tak bardzo się bałem, że gdyby go nie... ona była moim całym życiem. Wszystkim, na czym mi zależało. Ona jest moim dzieckiem tak samo, jak była dzieckiem swego ojca i swojej matki, ponieważ żyła również dzięki mnie. Nieglizdawiec nie potrafi przenieść wiedzy do ludzkiego umysłu — musiałem się sam tego nauczyć i to zrozumieć. Mądrzy przede mną powiedzieli, że tego się nie da zrobić, a ja to zrobiłem. Gdybym odkrył teraz, że ona mnie nigdy nie obchodziła, że zrobiłem to tylko dla Nieglizdawca, moje życie nie miałoby sensu. Kim w ogóle byłbym wtedy? — Nagle, ku zdziwieniu Willa, Angel zapłakał. — A przecież przez cały czas miałem nadzieję, że jej nienawidzę, że kiedy on ją zabierze ode mnie i wreszcie opuści mój umysł, odkryję, iż była godna nienawiści i zasługiwała na moją zdradę.

Teraz już łzy nie pozwoliły mu dalej mówić. Strings pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Tak to się z nami dzieje. Mamy świadomość tego, co robimy. Wiemy to, nie chcemy tego robić, ale nie potrafimy się powstrzymać. Tak naprawdę to jesteście bardzo żalonymi stworzeniami.

Sken spojrzała na niego zdziwiona.

— Mówiłeś przecież, że nie czujecie się winni.

Strings westchnął.

— Kiedy tak mówimy, ludzie czują się lepiej. Ale to kłamstwo. Pamiętamy każdą rzecz, którą zrobiliśmy. Pamiętamy nawet to, co chcieliśmy zrobić. Jak moglibyśmy się rozgrzeszyć?

Kristiano zaczął delikatnie masować czoło Stringsa, jego palce tańczyły wdzięcznie po twarzy starego gaunta. Will ciekaw był, jakby się czuł, gdyby te palce dotykały jego czoła. Zanim jeszcze uświadomił sobie, czego pragnie, Kristiano podszedł do niego i obdarzył taką samą pieśczęcią jak poprzednio swego

ojca. Will poczuł wstyd. Kristiano natychmiast się wycofał, ukrył w kącie łoża i zakrył twarz.

— Przepraszam — powiedział Will.

— O, Kristiano jest bardzo wrażliwy. A ty masz wielką siłę. — Strings uśmiechnął się. — Kiedy pragniesz czegoś, kiedy postanowisz, że tego naprawdę pragniesz, wtedy, no cóż, to jest po prostu zdecydowane.

Will wzruszył ramionami.

— Gdzie ona jest? — zapytał Angel.

— Odeszła. Z geblingami. Żeby się z nim zmierzyć.

— Ona nie może... ona nie rozumie... on jest o wiele silniejszy, niż kiedykolwiek jej ujawnił. Silniejszy niż geblingi, silniejszy niż ona. A mając tylko troje przeciwników może się na nich skupić, poradzi sobie z nimi...

— Dlatego właśnie — powiedział Will — Strings zaprowadzi mnie i Sken na górę.

— I mnie także! — zawołał Angel. — Jesteś Czuwającym, prawda? Na litość boską, pozwól mi odkupić moje winy.

— Nie zrozumiałeś zasad wiary. To Kristus je odkupi.

— Nie będzie żadnego Kristosa! Jego dzieci staną się parodiami ludzkich stworzeń!

— Rozumiem — powiedział Will. — Ale nigdy nie pozwolę ci iść z nami w góry. Jeszcze chwilę temu prosiłeś, bym cię zabił. To był niezły pomysł.

— Nie, nie — jęknął Angel. — Potrzebujesz mnie.

— Nawet Nieglizdawiec nie potrzebuje cię teraz.

— Nie możesz mnie zabić. Jako Czuwający odrzucasz morderstwo, prawda?

— Przysięgałem także, że nigdy nie pozwolę niewiernemu wykorzystać mojej wiary przeciwko mnie.

— Potrafię pomóc.

— Nieglizdawiec zna wszystkie ścieżki twojego umysłu, Angelu. Ile to lat trwało? Pełzał każdym przejściem twojej czaszki i zna sekretne skrytki, których ty nigdy nie znajdziesz.

— Tak myślisz? Trzymałem ręce na jej głowie i karku, byłem gotowy ją uśpić. Mogłem powiedzieć, że zemdlą i odejść z nią i geblingami, a potem zabić je bez najmniejszego kłopotu, wtedy moglibyśmy pójść do niego sami, Patience i ja — i on chciał, żebym to właśnie zrobił, sprawił nawet, że ja tego chciałem. — Uśmiechnął się triumfująco. — Ale nie zrobiłem tego. Nie zrobiłem. Wytrzymałem, wytrzymałem tak długo, aż to ona mnie uśpiła. Nie trwało to latami, nie był to heroiczny opór, jaki ty wykazałeś, Willu, skoro nigdy mu się nie poddałeś. Nikt na ten temat nie napisze epickiego poematu. Ale Nieglizdawiec mógł zwyciężyć, gdybym mu się wtedy nie oparł. — Jego głos przeszedł w intensywny szept, błaganie, modlitwę. — Naprawdę ją kocham, Willu, i nawet jeśli mnie zabijesz, musisz pamiętać, że uratowałem ją, uratowałem...

— Jest silniejszy, niż na to wygląda — powiedział Strings.

— Cóż ty wiesz na ten temat? — zapytał cierpliwie Will. — Wy potraficie tylko pożądać. Jemu brakuje tego samego, co wam — własnej woli.

— Wiem swoje — powiedział Strings. — Możesz mi mówić, że się mylę, ale sam chcesz, żebym ci to powiedział. Ponieważ pragniesz mu przebaczyć.

— To jego pragnienie odczytujesz.

— Nie — powiedział Strings. — On chce, żebym go zabił. A ja mógłbym to zrobić. Mam sposoby.

— Cóż cię powstrzymuje? — zapytał Angel.

— On. — Strings wskazał na Willa. — To jest mistrz współczucia. On lituje się nad tobą.

— Jak mam to delikatnie załatwić — powiedział Will — jeśli mówisz mi, czego ja naprawdę pragnę.

— Ale przecież ty chcesz, żebym powiedział mu prawdę. Przyrzekam ci, że w chwili, kiedy naprawdę zechcesz, abym umilkł, tak się stanie.

Will roześmiał się.

— Przez lata milczałem i nikt nic o mnie nie wiedział. Teraz moja świadomość znalazła sobie głos.

Angel poruszył się niepewnie, napinając więzy.

— Nawet nie próbuj — ostrzegła go Sken. — To na nic się nie zda.

Angel powoli usiadł i wyciągnął przed siebie ręce. Był całkowicie wolny.

— Głupia — powiedział. — Nie ma takiego sznura, który mnie utrzyma, jeśli chcę się uwolnić.

Sken sięgnęła po nóż, ale w tej samej chwili spostrzegła, że trzyma go Angel.

— Przysięgam, że go związałam — tłumaczyła się. — I mój nóż, jak on. . .

— Mógłbym zabić was wszystkich — powiedział Angel. — Ale, jak widzicie, nie zrobiłem tego. Ponieważ nie jestem tym, którym byłem. On już mną nie rządzi. Chcę pójść z wami i nieść jej pomoc. Kocham ją bardziej niż którekolwiek z was i najbardziej ją skrzywdziłem, a teraz przyszedł czas, by to naprawić. Jeśli razem staniemy przeciw niemu, nie będzie już mógł nade mną zapanować i będę z nim walczył. . .

— Ani przez chwilę nie odpowiadasz za własne czyny — stwierdził Will.

— Odpowiadam. Jestem silniejszy, niż myślisz.

— Ja również. — Strings kierowany życzeniem Angela podszedł do niego powoli i cicho. Zarzucił mu pętlę na szyję i zacisnął mocno. — Rzuć nóż — rozkazał.

Angel upuścił nóż. Kristiano podniósł go. Strings uwolnił Angela z pętli.

— Nikomu jeszcze to się nie udało — powiedział Angel. — Nikt nigdy mnie tak nie zaskoczył.

— Jestem tancerzem — rzekł Strings. — I to dobrym.

— Nie miałem zamiaru nikogo skrzywdzić — odparł Angel. — Po prostu chciałem pokazać, co mógłbym zrobić i z czego sam zrezygnowałem.

— A ja tylko chciałem ci pokazać, że nie mógłbyś.

— To wszystko jest szalone — oznajmiła Sken. — Jak dobrze byłoby znowu być na rzece.

— Czy zanim go zabijesz — Strings zwrócił się do Willa — pozwolisz mi zadać mu jedno pytanie?

Will skinął głową.

— Tak wielu do niego zaprowadziłem, ale żaden z nich nigdy nie wrócił — powiedział Strings. — Co Nieglizdawiec z nimi zrobił? — Malująca się na twarzy gaunta ciekawość nagle znikła. Spojrzał na Willa zmęczonymi oczami. — Czy nie mógłbyś zostawić mnie teraz w spokoju, Willu? Przez ciebie nie chcę usłyszeć odpowiedzi na to pytanie. Ale ja wiem, że chcę ją poznać. I jak tylko cofniesz przymus, będę chciał tego znowu. To pytanie będzie mnie dręczyło, tak samo jak dotąd. Błagam cię więc, oddaj mi pragnienia mego serca i pozwól mi chcieć wiedzieć.

Ale Will uważał, że nie byłoby dobrze, gdyby Strings znał los ludzi, których poprowadził na górę. Gdyby go zaczął dręczyć żal, nie byłby w stanie poprowadzić Willa do legowiska Nieglizdawca.

— Willu — wyszeptał Strings — jeśli nie pozwolisz mi teraz zadać tego pytania, to będzie znaczyło, że jesteś taki sam jak Nieglizdawiec, ponieważ manipulujesz pragnieniami innych istot wtedy, gdy ci to dogadza.

Porównanie do Nieglizdawca mocno zabolowało Willa. Strings widząc to, uśmiechnął się.

— Powiedz mi, Angelu — poprosił.

— Jesteś przebiegły — stwierdził Angel. — Ty też znasz sztuczki, które pozwalają ci manipulować umysłami ludzi.

— Widzisz, my, gaunty, posiadamy wolę. Jest ona słaba i nie bardzo możemy na niej polegać. Przypomina stare, wyschłe ciasto, które kruszy się, gdy tylko jakiś człowiek, gebling lub nawet, choć to już po prostu obrzydliwe, dwelf pragnie od nas czegoś. Ale kiedy jesteśmy sami, nie wpatrujemy się tępo w niebo, wyglądając jakiegoś następnego stworzenia. Samotni potrafimy myśleć, planować, a niekiedy nawet działać. Odpowiedz na moje pytanie, proszę, choć wiem, że nie chcesz, bym znał odpowiedź.

Will skinął na Angela.

— Ja też chciałbym się dowiedzieć.

— To nie było nic... bolesnego — powiedział Angel. — On implantował w nich, w nas, we mnie... wydaje mi się, że to był rodzaj wirusa, który powoduje, że w mózgu rośnie kryształ. To wszystko. Większości dał rok lub dwa, by kryształ miał czas na penetrację, zebrał wspomnienia i mądrość ze wszystkich zakątków mózgu. A potem zabierał te kryształy.

— W takim razie musiał ich zabijać — szepnął Kristiano.

— Nie — powiedział Angel. — Oni byli ludźmi, nie pochodzili z Imaculaty. Potrafią żyć bez kamienia. Nie umierają, kiedy zabiera się im kryształ. Oni po prostu zapominają. Wszystko. Ale dopóki żyją, pozostaje coś niby cień w ich umysłach, w ich myślach pojawiają się jakieś przypadkowe informacje. Niekiedy mogą nawet znaleźć jakieś ścieżki, odkryć część ze swej osobowości. Nie wiem. Ale on ich nie zabija. Pozwala im umrzeć w naturalny sposób.

— Pozostają więźniami do śmierci? — zapytał Will.

— Nie. Niezupełnie więźniami. Kochają go.

— Dziękuję — powiedział Strings. — Uczyniłem źle, ale nie aż tak źle, jak myślałem.

— Ty nigdy nie robisz źle — wyszeptał Kristiano. Dotknął dłoni Stringsa. — Masz za dobre serce. — Stary gaunt uśmiechnął się i skinął głową.

— Z tobą było inaczej — zwrócił się Will do Angela. — Nie zabrał twojego kamienia.

— Potrzebowałem mnie w świecie ludzi. Musiałem doprowadzić do urodzin Patience.

— Na czym polegała twoja mądrość? — zapytał Will. — Co takiego studiowałeś, że on cię wezwał?

— Studiowałem powstawanie życia. Sposób, w jaki rosną różne organizmy od stadium genetycznych komórek w ciele rodziców do finalnej postaci — narodzonego potomka.

— Nie różne organizmy. Ty studiowałeś ludzi.

— Wiem wszystko, co można wiedzieć na temat ludzkiego niemowlęcia, płodu, embriona, jaja i spermy. Wiedziałem już wtedy.

— Nie zabrał ci kamienia, ale i tak przekazałeś mu swoją wiedzę. Angel potrząsnął głową.

— Nie.

— Tak — powiedział Will. — Jeśli chciał zebrać informacje potrzebne mu do zniszczenia rasy ludzkiej, musiał dowiedzieć się tego, co ty wiedziałeś.

— O, tak — potwierdził Angel. — Ale ja go nie nauczyłem. Ja studiowałem z nim. Badałem komórki, które wytworzył sam w sobie, gotowe połączyć się z żywymi genami ludzkimi, które przyniesie mu Patience. Chciał być pewien, że jest już przygotowany na tę chwilę. Chciał wiedzieć, że potomstwo spełni jego oczekiwania.

— A czego się spodziewał?

— Nie chodziło mu o to, jak potoczy się ich życie. Badałem je tylko po to, by przewidzieć możliwości wzrostu. On działał cuda. Jego wspianała molekula genetyczna zmieniała się sama, a ciało wytwarzało nowe hormony, które wnikały w gamety i powodowały zmiany. Brakowało im ludzkiego komponentu jako stymulatora. Ale komórki były gotowe, choć bez ludzkiej dominanty. Mogłem sty-

mulować sztuczny wzrost, klonować życie z samej jego spermy. Ale żadna z tych istot nie żyła dłużej niż kilka minut. Nie jestem cudotwórcą.

— Czego się nauczyłeś?

— W ciągu tych kilku minut potrafiły dokonać tego, co ludzka zygota osiąga w czasie sześciu miesięcy. Dlatego też umierały. Zamęczał je, zmuszając pojedyncze komórki do reprodukcji w niesamowitym tempie. Roztwór odżywczy, którym je żywiłem, był zbyt słaby, choć go w nie wtlaczałem. Rosły w oczach, a potem obumierały. To go przerażało. Parę razy nawet sprawił, że chciałem się zabić.

— Czy to znaczy, że on jest jałowy? — zapytał Will. — Jego dzieci umrą w łonie?

— Nie. Już teraz nie.

— Co masz na myśli?

— Wyjaśniłem mu, czego potrzebują jego komórki. Przede wszystkim powinny rosnać wolniej, ale nie zgodził się na takie rozwiązanie. Chciał, by jego dzieci stały się dorosłe w ciągu godzin, minut, a potem zjadły jego kamień, posiadały całą jego wiedzę i odeszły z miejsca urodzenia.

— Rozmawiał z tobą?

— Śniłem o tym. Sprawił, że również pragnąłem widzieć, jak rosna tak szybko. Więc powiedziałem mu, że jego dzieci potrzebują jaja. Źródła materiału i energii na tyle bogatego, by pozwolił im rosnać w niezwykłym tempie. Nie będzie mógł mieć tak wielu dzieci, jak początkowo planował. Ale staną się dorosłe w godzinę. Boi się o nie, wie, że nie potrafi im zapewnić bezpieczeństwa. Więc ze swego własnego ciała wytworzy bardzo gęste, bardzo bogate żółtko, które implantuje wraz ze swą spermą. . .

— W lady Patience.

— Czuwający, czy wierzysz w Boga? Módl się za nią.

— A więc dzieci będzie tylko kilkoro.

— Lepiej, żeby te dzieci nigdy nie zostały splodzone — powiedział Angel. — Bo w przeciwnym razie po godzinie od swego urodzenia zejda z góry. Ze zdolnością porozumiewania się między sobą, którą odziedziczą po glizdawcach, nieporównanie silniejszą niż mają geblingi. Starożytne glizdawce były jednym jestestwem. Niezależnie, jak wiele ciał wyjdzie z jego oblubienicy, to będzie jedno dziecko. I jeśli zapanują nad tym światem, będą jednością, wiedzącą wszystko, co wie każde z nich osobno. Jeśli któreś przeżyje. . .

— Żadne — rzekł Will.

— Już ja tego przypilnuję — zagrzmiała Sken. — Małe potworki.

— Potworki? — powtórzył Angel. — O tak, ujrzysz potworki.

— Strings, jak szybko możesz nas zaprowadzić do legowiska Nieglizdawca? — zapytał Will.

— Tuż za Wolnym Miastem znajdują się platformy, które biegną cały czas w górę. Jeśli Nieglizdawiec nie spróbuje nas powstrzymać, możemy tam dotrzeć w ciągu dwunastu godzin. Jeśli wyruszymy o świcie, o zmierzchu będziemy na miejscu.

— Mogę się założyć, że to nie okaże się takie łatwe — powiedział Will. — Nie możemy stanąć w szranki z Nieglizdawcem bez odpoczynku. Strings, czy gdzieś tutaj można by się przespać kilka godzin?

— Zapłaciłeś za łóżę — powiedział Strings.

— I nie będziemy zapewne pierwszymi, którzy zostaną tutaj na całą noc.

— Za to pierwszymi, którzy będą tu spali. — Strings uśmiechnął się.

— Sken, zostanę teraz na dwugodzinnej wachcie — powiedział Will. — Po-tem obudzę ciebie.

— Miałam nadzieję na więcej snu — mruknęła.

— To wszystko, na co możemy sobie pozwolić. A ty, Angelu, śpij przez cały czas. I choć uważasz się za niepokonanego mordercę, pamiętaj, że byłem kiedyś żołnierzem i moje ciało jest równie sprawne jak twoje.

— Powiedziałem ci, jego we mnie nie ma.

— Ostrzegam cię tylko na wypadek, gdyby wrócił. — Will uśmiechnął się.

— Czy to znaczy, że nie masz zamiaru zabić Angela? — zdziwiła się Sken.

— Właśnie — odparł Will.

— A zabierzesz mnie ze sobą? — zapytał Angel.

— Znam wołanie Nieglizdawca — powiedział Will — i nie czuję pogardy dla tych, którzy go posłuchali. Każda urodzona dusza dostaje jakieś zadanie od Boga. Masz prawo do odkupienia samego siebie. Ale obiecuję ci, że zginiesz z mojej ręki, kiedy tylko zobaczę, że Nieglizdawiec znowu nad tobą zapanował.

— Wiem — stwierdził Angel — i chcę, żebyś to zrobił.

— Zrobi — zapewnił go Strings.

— Cztery godziny — oznajmił Will. — O świcie wyruszamy na szczyt. Nie jesteśmy potężną armią, ale z bożą pomocą Nieglizdawiec nie poradzi sobie z nami.

— Skąd wiesz, że Bóg nie zechce zwycięstwa Nieglizdawca?

— Jeśli wygra, będziemy wiedzieli, że Bóg tego właśnie chciał. — Will uśmiechnął się. — Rzeczywistość jest najdoskonalszym przedstawieniem woli Boga. Tylko przewidywanie jego zamiarów powoduje wszystkie kłopoty.

— Przyszłość ludzkości spoczęła w rękach fanatyka — westchnął Angel. — Jak zwykle.

## Rozdział 17

# DOM MĄDRYCH

— Powinnaś była więcej ćwiczyć na łodzi — powiedział Ruin.

Patience nie mogła złapać tchu. Z Reck także było nie lepiej. Tylko Ruin wydawał się nie poddawać zmęczeniu, kiedy pokonywali biegiem wąskie uliczki.

Mimo jego wytrzymałości to Patience, jak dotąd, wybierała drogę, przemykając się pomiędzy budynkami, wdrapując na dachy, drabiny i kraty. Geblingi nie były obeznane z miejskim krajobrazem; nie miały wycucia, gdzie zaprowadzi ich ślepa uliczka ani który budynek połączony będzie z następnym poziomem. Za to Patience w latach dzieciństwa często wdrapywała się na różne pałace i publiczne budynki na Królewskim Wzgórzu, gdzie część obszaru była równie gęsto zaludniona i tłoczna jak Spękana Skąła.

Słyszeli za sobą przekleństwa żołnierzy, ale zakręt drogi wyprowadził uciekinierów za występ muru i skrył przed ich wzrokiem. Patience zauważyła otwartą bramę, prowadzącą do niewielkiego ogrodu na uboczu. Rozejrzała się szybko, szukając drogi ucieczki. W ogrodzie stał jednopiętrowy budynek, za którym wznosił się kamienny mur, łączący się ze ścianą góry. Najprawdopodobniej mur stanowił element konstrukcyjny drogi na wyższym poziomie. Rura kanalizacyjna wystawała parę metrów powyżej muru. Aby spływające ścieki nie zatruwały mieszkańców, budowniczowie połączyli rurę z szerokim, drewnianym kanałem ściekowym, który prowadził aż do beczki zbiorczej. Patience i geblingi do tej pory zawsze natykali się na drabiny, schody lub windy, które umożliwiały przedostanie się na wyższy poziom, lecz najwyraźniej te dwa obszary były oddzielone i jedyne, co je łączyło, była kanalizacja. Patience wydawała się ona bitym gościńcem prowadzącym ku bezpieczeństwu.

Problem w tym, że podczas wspinaczki nie będą mogli nigdzie się ukryć. Ale jeśli przyczają się w ogrodzie, żołnierze mogą ich nie zauważyć. Zanim Nieglizdawiec zorientuje się, co się stało, i skieruje swą armię znowu we właściwym kierunku, minie kilka minut. Choć jest tak potężny, nie potrafi widzieć oczami tych, którymi rządzi, ani nawet rozumieć ich świadomych myśli. Może ich tylko



popychać w wybraną przez siebie stronę. To dawało Patience trochę czasu i pole do manewru. Tylko dlatego Reck i Ruin nie zostali jeszcze zabici, a Patience pozbawiona ich pomocy.

Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę w ciągu jednej zaledwie sekundy. Wciągnęła oba geblingi przez bramę ogrodu. Była lekko uchylona, w przejściu leżały śmieci — widomy znak, że właściciel jej nie używał. Patience starała się niczego nie dotykać. Poprowadziła swych towarzyszy w głąb ogrodu, za spiętrzone skrzynki, które pozwoliły im ukryć się przed oczami przechodniów. Sama powróciła do bramy, czekając z pętlą w ręku. W bramie mogła się zmieścić tylko jedna osoba. Da sobie z nią radę. A jeśli będą mieli szczęście, nikt się nie zjawi.

Usłyszeli tupot żołnierskich butów. Kapitan wykrzykiwał rozkazy. Potem kroki przycichły, odgłos marszu oddalił się.

Patience już miała odejść od bramy i dołączyć do geblingów, ale Ruin zamachał do niej gwałtownie, sygnalizując: „wracaj”. Obróciła się dokładnie w chwili, kiedy żołnierz z nastawionym do przodu mieczem wkroczył przez bramę. Błyskawicznie zarzuciła mu pętlę na szyję i zacisnęła ją. Przypadkiem pętla spadła dokładnie w miejsce, gdzie chrząstka łączyła dwa kręgi na karku. Siła i szybkość jej ataku były tak duże, że kręgosłup został natychmiast przecięty. Głowa zachybotała się i spadła z ramion. Zarówno ruch ciała, jak i pętli spowodowały, że głowa potoczyła się na Patience, trafiając ją w pierś, a potem dopiero na ziemię.

Angel powiedział, że tego nie da się zrobić, pomyślała. Mówił, że nie uda mi się odciąć ludzkiej głowy jednym pociągnięciem pętli.

A w tej samej chwili pojawiła się w jej głowie inna myśl: Nigdy nie zmyję tej krwi.

Ciało żołnierza, wciąż utrzymując się w pionie, zrobiło krok przed siebie, jego ręce wyciągnęły się do przodu jakby w obronie przed upadkiem. Potem już korpus nie otrzymał żadnego polecenia od mózgu i opadł na ziemię.

Patience natychmiast wciągnęła zwłoki do ogrodu, aby nikt nie mógł zobaczyć ich z zewnątrz. Przyłożyła głowę do tułowia i umocowała kawałkami skały. Niech nie zauważą od razu, że nie żyje. Mógł to być bezużyteczny manewr, ale Angel nauczył ją, że takie drobiazgi zazwyczaj się jednak opłacają. Zyskiwało się więcej czasu, niż traciło. A poza tym to osoba, która znajdowała ciało, powodowała odłączenie głowy. Wszystko stawało się znacznie bardziej przerażające — i przez to demoralizujące.

Ruin i Reck domyślili się już, jaki ma być kolejny ruch, i wdrapywali na dach domu. Po pokonaniu kilku innych doszli w tym do pewnej wprawy. Schowani za komin starali się pozostać niewidoczni dla przechodzących ulicą ludzi. Patience szybko do nich dołączyła. Miała znacznie większe doświadczenie we wspinaniu. Za chwilę już była na czele.

Na dachu pracował chłopiec, mniej więcej dziesięcioletni. Reperował gont

i trzymał w ręku młotek. Na ich widok w jego oczach pojawił się morderczy błysk. To patrzył Nieglizdawiec, który chciał ich powstrzymać, wykorzystując chłopca i jego narzędzie. Patience widziała, jak wzrok dziecka prześlizguje się po niej i zatrzymuje na geblingach. Na jego twarzy malowała się nienawiść.

— Nie chcę cię zabijać — powiedziała Patience.

— Idźcie stąd, wynocha! — krzyknął chłopak do geblingów. — Wy, nieczyste nasienie!

Reck nałożyła strzałę na łuk.

— To tylko dziecko — zawołała Patience. — On nie odpowiada za to, co robi.

— Ja też nie — odparła Reck.

Zanim jednak zdołała posłać strzałę, Patience skoczyła w bok i uderzyła chłopca w brzuch. Stracił równowagę i upadł na kamienną ścianę. Ale młotka nie wypuścił. Więc musiała go uderzyć jeszcze raz. Tym razem usłyszała trzask łamanych żeber.

— Żyj! — krzyknęła do niego. — Żyj i przebac mi! Potem pobiegła, prowadząc geblingi do rury ściekowej.

— Żeby nas pokonać, Nieglizdawiec musi tylko wysłać armię dzieci — stwierdził ponuro Ruin. — Zachowaj swe współczucie na czas, kiedy nie będziemy walczyć o życie.

— Zamknij się, Ruin — burknęła Reck. Popchnęła ręką rurę kanalizacyjną, która zachwiała się. — Mamy się po tym wspinać? To ceramika. Złamię się.

— Szkielet jest drewniany — powiedziała Patience. A w murze są wgłębienia. Łatwo się wchodzi. — Udowodniła to, wdrapując się po wystęпах muru obok rury. Ruin i Reck ruszyli za nią.

Usłyszeli krzyki rozlegające się na dole. To wrócili żołnierze. Patience i geblingi byli teraz zupełnie odsłonięci. Nie mieli gdzie się schować. Tak widoczni jak karaluchy na białej ścianie, a nawet w połowie nie tak szybcy. Patience wiedziała, że jedynym ich ratunkiem jest wdrapywać się czym prędzej coraz wyżej i wydostać się z zasięgu strzał żołnierzy.

— Może uda mi się stąd paru trafić — powiedziała Reck. Kobieta gebling była wyraźnie sfrustrowana, gdyż przez cały dzień nie miała sposobności użyć broni.

— Choćbyś zabiła pięciu, nadal pięćdziesięciu będzie do nas strzelać — stwierdziła Patience.

Dotarła do miejsca, w którym rura kanalizacyjna wychodziła ze ściany. Niestety, mur był tu nowszy i erozja jeszcze nie zdążyła wyłobić pęknięć, na których mogłaby się oprzeć całym ciężarem. Z nogą w ostatniej szparze, rękami chwyciła rurę. Równowaga była dość chwiejna, ponieważ rura nie została porządnie zacementowana.

Pomyślała, że jeśli rzeczywiście chce pokrzyżować szyki Nieglizdawca, wystarczyłoby teraz tylko odchylić się lekko do tyłu i byłoby po wszystkim. Ale

w chwili, kiedy poczuła takie pragnienie, wypełniła ją desperacka chęć życia. Złapała się palcami za szczyt ściany. Kamienie trzymały mocno, zaczęła się podciągać. Było to trudniejsze niż podciąganie się na gałąź drzewa, nie mogła rozbujać się należycie i nadać ciału siły rozpędu. Ale powoli, czując coraz mocniejszy ból w mięśniach, wreszcie miała mur na wysokości pasa. Podciągnęła się ostatnim wysiłkiem.

Po tej stronie droga biegła pół metra poniżej muru zabezpieczającego pojazdy przed stoczeniem się z góry. W chwili, gdy stanęła na twardym gruncie, poleciał grad strzał. Oczywiście Nieglizdawiec nie chciał, by ktokolwiek ją zranił. Teraz tylko geblingi wisały na ścianie. Były co prawda wysoko i stanowiły trudny cel, ale nic ich nie chroniło. Prędzej czy później jakaś strzała musiała je trafić.

— Nie mogę dosięgnąć! — krzyknął Ruin.

Oczywiście. Geblingi, które były od niej niższe, nie mogły dokonać tego, co ona. A Patience podejrzewała, że już nie starczy jej siły, by wciągnąć je na górę.

W tym samym momencie Nieglizdawiec wzmocnił swój zew. Zostaw ich. Nieczyste stworzenia, owłosione i gruboskórne, przypominają ludzi, ale sekretnie pragną cię zdradzić i zabić. Musiała użyć wszystkich sił, by mu się przeciwstawić i nie pobiec do niego. Jej przyjaciel, jej kochanek.

Przywołała w pamięci słowa Willa, który mówił, że jej pragnienia nie są nią samą. Wyobraziła sobie, że namiętność, którą wywoływał w niej Nieglizdawiec, pozostaje jakby obok, podczas gdy jej ego nie poddaje się emocjom. Dzięki temu nie musiała robić tego, co jej nakazywały szaleńcze pragnienia.

Ściągnęła przez głowę suknię, przywiązała ją do płaszcza. Potem, w samej koszuli, drżąc z zimna usiadła, zapierając się nogami o mur, i przerzuciła sukienkę przez ścianę. W lewej ręce ścisnęła węzeł, w drugiej skraj płaszcza. Zaparła się, wykorzystując siłę całego ciała, a nie tylko rąk.

— Sądzisz, że mam się po tym wdrapywać? — krzyknął Ruin.

— Nie musisz, jeśli umiesz latać — odkrzyknęła mu. Nieglizdawiec atakował ją gniewem, ciskał gromy w jej umyśle, ale opierała się, mimo że pragnęła odejść i zostawić geblingi na pastwę losu. Zrobię to, co postanowiłam — powtarzała w myślach, a nie to, na co mam ochotę, i czuła jak emocjonalna część jej jaźni staje się coraz mniejsza, jakby uciekała przed nią. To dzięki Willowi, pomyślała. On swym milczeniem, siłą, mądrością potrafi odepchnąć wszystkie niepożądane uczucia.

Materiał zaczął się drzeć, najpierw trochę, potem coraz bardziej, ale w tym momencie głowa Ruina ukazała się nad ścianą. Kiedy znalazł się już koło Patience, przechylił się przez ścianę i wykrzykiwał słowa zachęty do Reck. Nagle z drugiej strony muru rozległ się krzyk.

— Trafili ją — powiedział Ruin. Potem zawołał w stronę siostry: — To nic, wcale cię nie boli, wspinaj się dalej, no już.

Po ciężarze skonstruowanej z materiału drabiny Patience czuła, że Reck prze

w górę. Ruin wychylił się, złapał siostrę za ramię i pomógł jej się wdrapać. Strzała tkwiła w jej lewym udzie, ale gebling miał rację, bez kłopotu dało się ją wyciągnąć. Reck dyszała ciężko, jej oczy wyrażały przerażenie.

— Nigdy — powiedziała — nigdy więcej nie będę nigdzie się wspinać. Mam lęk wysokości.

— I ty chcesz traktować Spękaną Skałę jak dom? — spytała Patience. Sprawdziła sukienkę. Materiał nie wytrzymał tarcia o mur, rozpadła się po prostu w rękach. — Cieszę się, że było was tylko dwoje — powiedziała. — Trzecie po prostu by spadło.

Odwiązała płaszcz od sukienki. Strzała upadła jej pod nogi. Przerzuciła ją z powrotem ponad ścianą.

— Mam nadzieję, że trafi w czyjeś oko.

Ruin przyglądał się jej.

— Dlaczego nie zostawiłaś nas?

— Myślałam o tym — przyznała.

— Wiem, czuliśmy cień myśli, które ci przesyłał.

— No cóż, jeśli mam brać ślub, to potrzebuję gości na wesele. Muszę wziąć was ze sobą. — Żart zabrzmiał gorzko. Zawinęła płaszcz wokół bioder, żeby chronić choć kawałek ciała przed zimnym wiatrem, który hulał po nie osłoniętej drodze. — Muszę też ogrzać się przy ogniu.

— Przynajmniej przez chwilę nie musimy gnać do przodu. — Reck próbowała stanąć na zranionej nodze. — Boli — jęknęła.

Ruin rozejrzał się wokół.

— Gdybym tylko znalazł odpowiednie ziele. . .

— Mówią, że cokolwiek rośnie na tej planecie, rośnie też w Spękanej Skale.

— Gdzieś w Spękanej Skale.

— Tam widać kępę drzew — wskazała Patience. — I jeśli będziemy mieli szczęście, nie natkniemy się na nikogo nasłanego przez Nieglizdawca.

Tutaj domy stanowiły już rzadkość, po kilku minutach marszu znaleźli się pomiędzy ogrodami. Szli drogą wiodącą skrajem dużego sadu. Drzewa były karłowate, bo tylko takie mogły rosnąć na tej wysokości. Dawno już straciły liście. Ruin szwendał się pomiędzy nimi. Wreszcie zawołał Reck i przyłożył włochatą roślinkę do jej rany.

— Nie możemy się tu na długo zatrzymać — powiedziała przytrzymując liść. — Niedługo kogoś na nas naśle.

— Nigdy w życiu nie pracowałam tak ciężko — wyznała Patience. — Jestem taka zmęczona.

— Nie spaliśmy od chwili zejścia z łodzi — rzekł Ruin. — Nieglizdawiec już się cieszy. Wie, że kiedyś musimy się wreszcie zdrzemnąć.

— Teraz — powiedziała Patience.

— Nie — odparła Reck. — Idźmy wyżej. Tam, gdzie nie ma ani ludzi, ani geblingów, których by mógł przeciwko nam użyć.

Patience zobaczyła, że na ich poziomie nadciągają z zachodu ciężkie chmury.

— Idzie mgła — stwierdziła. — Możemy schować się we mgle.

— To nie będzie mgła, tylko śnieg — poprawił ją Ruin. — Potrzebujemy schronienia. I rzeczywiście musimy dostać się wyżej.

— Czy nadal nie możemy skorzystać z tuneli? — zapytała Patience. — Tunel dawałby schronienie, a jednocześnie byłby najprostszą drogą wiodącą do Nieglizdawca.

— O tak, oczywiście — powiedział Ruin. — Tyle tylko, że wejścia zdarzają się rzadko na tej wysokości. Dotarliśmy prawie do granicy zamieszkiwanego obszaru. Musimy znaleźć inną drogę.

Ziele podziałało i Reck mogła już za nimi nadążyć. Nie dokuczał jej ból, chociaż nadal krwawiła. Wreszcie znaleźli schody prowadzące po stromym zboczu na następny poziom. Brama na dole była zachęcająco otwarta. Brama na górze nie witała równie gościnnie.

— Mogliby być przynajmniej na tyle przyzwoici i zamknąć również wejście na dole — powiedziała Reck.

Ale wyszkolona na dyplomatę Patience wśród innych nauk poznała również i tę, że właściciel zakłada prosty zamek wtedy, gdy niezbyt poważnie traktuje ochronę swej prywatności. Przy użyciu strzałki otworzyła go w kilka chwil.

Znaleźli się w dużym ogrodzie, tym razem bez drzew. Na jego końcu wznosiła się potężna ściana Stopy Niebios. Tutaj skała nie była wygładzona. Do środka prowadziło kilka grot. Od czasu przybycia do Spękanej Skały nie widzieli tak naturalnego kamienia. Wyglądał, jakby żaden człowiek nie położył na nim nigdy ręki.

— Czy to już szczyt? — zapytała Patience.

Reck potrząsnęła głową.

— Szczytem jest lodowiec, ale miasto nie może rozprzestrzeniać się wyżej. Przynajmniej na razie.

— Czy wiecie, gdzie jesteście?

— Wiedziałbym, gdybym znalazł się w grocie — odpowiedział Ruin.

Szli w stronę wejścia pomiędzy dwoma żywopłotami, gdy nagle znaleźli się w chmurach, które całkowicie zasłoniły im widoczność.

Natychmiast zatrzymali się, sprawdzając dotykiem swoją obecność, chwycili się za ręce, by nic ich nie mogło rozdzielić.

— Twoja dłoń jest lodowata, heptarchini — powiedziała Reck. — Cała drżysz.

— Ona nie ma futra — przypomniał Ruin. — Musimy ją ogrzać, póki jesteśmy w chmurze.

— On nie chce, żebyś zwlekała — wyszeptała Patience. — Już tak długo na mnie czeka.

Położyli się na ziemi, Reck z jednej strony dziewczyny, Ruin z drugiej, osłaniając ją najlepiej jak mogli od śniegu, który zaczął w tej chwili sypać.

— Czy wszystko w porządku? — zapytała w pewnej chwili Reck.

— Mogę myśleć jedynie o tym — powiedziała Patience — jak bardzo go pragnę. — Potem cicho zaśmiała się. — I jeszcze o tym, jak bardzo chce mi się spać.

Przytulili ją mocniej i w ciepłym uścisku geblingów zasnęła.

Chmura odpłynęła, ale zostawiła po sobie grubą warstwę śniegu i mroźne powietrze. Ból w udzie Reck wzmógł się. Był na tyle silny, że ją obudził. Reck nie czuła oddechu śpiącej koło niej dziewczyny. Milcząco zawołała brata.

Ruin otworzył jedno oko.

— Jak ona się czuje? — wyszeptała Reck.

— Jest słaba. Ale myślę, że on tego właśnie chce.

— Jaskinia wiele tu nie pomoże, w środku jest chłodniej niż na zewnątrz.

— Wstań i rozejrzyj się, może zobaczysz jakieś światło — nakazał jej Ruin.

— Ja zostanę z dziewczyną.

Reck oderwała się od śpiącego ludzkiego stworzenia. W oddali dostrzegła pełgające światełka. Czekająca ich długa droga w ciemnościach.

— Szmat drogi — powiedziała Reck. — Ale nie możemy iść po pomoc. Więc trzeba ją wziąć ze sobą, choć jest tak zimno. — Reck uklękła i potrąciła nagie ramię Patience, a potem potrząsnęła nią lekko. — Ona się nie budzi.

Jakby w odpowiedzi Reck poczuła coś, czego nie doznała w czasie całej wspólnej wędrówki z Patience: Nieglizdawiec odrzucał ich. Teraz, tak blisko jego leża, uczucie to uderzyło w nią z taką siłą, że nie mogła złapać tchu. Krzyknęła z bólu.

— Zbyttnio się zbliżyliśmy do niego! — załkała.

Ponieważ Patience zapadła w głęboki sen, Nieglizdawiec mógł całą swą siłę skupić na odpychaniu ich.

— Obudź ją! — jęknął Ruin.

Reck ledwie go słyszała. Nie mogła właściwie myśleć o niczym innym jak o nagłej potrzebie ucieczki w dół po zboczu. Marzyła, by rzucić się ze skały w Żurawią Wodę. Wstała i ruszyła w stronę muru.

— Nie! — wrzasnął Ruin. Złapał ją za nogę. Chociaż odpychanie działało na niego z równą siłą, miał większą wprawę w stawianiu oporu. Rana dodatkowo osłabiła Reck, więc musiał siostrę przytrzymać.

— Obudź się! — wrzasnął do Patience. — Obudź się, by znowu musiał cię wzywać.

— Puść mnie! — krzyczała Reck. — Chcę skoczyć!

— On chce nas zabić! — nie dawał za wygraną Ruin, chociaż sam miał ochotę wykonać samobójczy skok.

— Co tu się dzieje? — doszedł ich nagle z oddali czyjś głos.

— Gdzie jesteście, tralala? — wyśpiewywał ktoś inny.

— Jest zimno jak w zamku królowej zimy! — wykrzyknął jeszcze ktoś. Kimkolwiek byli, najwyraźniej cała grupa bawiła się świetnie.

— Tutaj! — krzyknął Ruin. — Pomocy!

— Puść mnie! — wrzeszczała Reck.

Potencjalni wybawcy zbliżali się. Ruin zobaczył tylko, że są to ludzie.

— Nie szarp jej! — krzyknął jeden.

— Pomóżmy mu — odezwał się drugi w tej samej chwili.

Byli starzy, a zachowywali się jak pijani lub szaleni. Ruin wątpił, czy zdołają powstrzymać Reck. Tylko jedno mogli ich uratować.

— Obudźcie tę, która leży na ziemi. Tam, dziewczyna na śniegu — obudźcie ją.

— Spójrzcie. Nie za ciepło ubrana. . .

— Na śniegu, to nie najmądrzejsze.

— Dobrze, że nadeszliśmy. Wiemy, co trzeba zrobić. Postawili Patience na nogi.

— Poklepcie ją! — krzyknął Ruin.

Doszedł go dźwięk uderzeń. I nagle usłyszał głos Patience:

— Przestańcie.

I w tym samym momencie pragnienie śmierci ustąpiło. Reck przestała się wyrywać.

— Zabierzmy to przemarznięte stworzenie do domu. . .

— Tak — powiedział Ruin. — Ale z nami. Ona nie może iść bez nas. . .

— Czy chcemy towarzystwa geblingów?

— O, one są całkiem w porządku. Przecież, mimo wszystko, to jest ich miasto. Bardzo miłe geblingi.

— Tak. Weźcie nas wszystkich — powtórzył Ruin.

Jakieś ręce pomogły mu wstać. Inni podtrzymali Reck, która była zbyt wyczerpana, by zrobić choć krok o własnych siłach. Patience szła przed nimi, szepcząc:

— Idę, no idę, to nie jest droga. . .

— Ale oczywiście, że to jest droga. My znamy drogę, czyż nie? Czy to nie jest droga?

Na obu końcach długiego, niskiego pokoju płonął ogień. Było wręcz gorąco. Ruin i Reck usiedli po bokach Patience i trzymali ją za ręce. Zwrócili twarze w stronę paleniska. Starzy ludzie kręcili się wokół nich, rzucając cały czas jakieś bezsensowne uwagi.

Patience starała się nie zważać na nich. Zamartwiała się, jak wyrwą się z tego miejsca. Oczywiście burza śnieżna nie miała nic wspólnego z Niegłizdawcem. Ale potrafił ją znakomicie wykorzystać do własnych celów. Teraz bała się zasnąć. Jeżeli nie będzie przez cały czas czuwać, nie uda jej się uchronić Ruina i Reck. Zabiją się albo uciekną. To wszystko było takie skomplikowane. Potrzebowali jej

pomocy, by dostać się do Nieglizdawca. Ona potrzebowała ich, by zabili Nieglizdawca, zanim się z nią połączy. A Nieglizdawiec był taki silny. Nie mogli się z nim mierzyć. Nikt nie mógł się z nim mierzyć.

— Nie — powiedziała Reck.

— Czy on tobie robi to samo? — zapytał Ruin.

— Czuję rozpacz. Wiem, że nie może się nam udać.

Patience skinęła głową.

Papłający staruszkowie zainteresowali się ich rozmową:

— O czym te dzieciaki rozmawiają? Głowa do góry, nie ma nad czym rozpaczać. To jest szczęśliwe miejsce, więc nie róbcie takich ponurych min. Może zaśpiewamy, co?

Kilku rozpoczęło śpiew, ale ponieważ nikt nie pamiętał słów, melodia też wkrótce zamarła.

— Potrzebujemy Willa — powiedziała Reck.

— Po co? — zapytał Ruin. — Tutaj nie ma nic do orania, a jedyną osobą z naszego towarzystwa, która doszła tak wysoko, jest Angel.

— Potrzebujemy go — powtórzyła Reck.

Ale wyjaśnienia udzieliła Patience:

— Potrzebujemy człowieka, który się nigdy nie ukorzył przed Nieglizdawcem.

— Nieglizdawiec! — krzyknął jeden ze staruszków, a reszta przyłączyła się do niego. — Nieglizdawiec! Nieglizdawiec!

Patience udało się ignorować starców aż do tej pory.

— Co o nim wiecie?

— O, my jesteśmy starzy przyjaciele!

— Przyszliśmy tutaj, by go odwiedzić, a on pozwolił nam zostać tak długo, jak nam się będzie podobało.

— Nikt z nas nigdy nie wrócił do domu.

— Niektórzy oczywiście pomarli. Właściwie już całkiem sporo.

— Czy Nieglizdawiec was również zaprosił?

Łyse i siwe głowy pochyliły się nad nimi. Staruszkowie zachowywali się jak małe dzieci, ani chwilę nie mogli ustać spokojnie. Ich zgrzybiałość zmyliła czujność Patience. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że jej ścieżka była tą samą, którą już inni przeszli poprzednio.

— Tak — powiedziała — Nieglizdawiec nas zaprosił. Ale zgubiliśmy drogę w śnieżycy. Czy możecie nam powiedzieć, gdzie jesteśmy?

— Przed złotymi drzwiami — wyjaśnił jeden. Inni przytaknęli. — Ale nie możecie wejść wszyscy razem. Tam wchodzi się pojedynczo.

— On chce, byśmy przyszli razem — odparła Reck.

— Kłamczucha, kłamczucha! — krzyknął jeden ze starców.

Patience spojrzała na Reck, a jej wzrok mówił: ty jesteś pustelnicą, ja zaś dyplomatką. Zostaw to mnie. Ale prawdę mówiąc nie miała pojęcia, jak sobie



poradzić z tymi ludźmi. Wydawali się całkowicie nieszkodliwi. A jednak znali Nieglizdawca, a Nieglizdawiec znał ich, więc mogli okazać się kłopotliwi.

— Teraz musimy odpocząć — powiedziała.

— Tylko żadnych sztuczek — ostrzegł najmłodszy z mężczyzn, którego włosy nie zdołały jeszcze całkowicie posiwieć, choć skóra na jego twarzy obwisła.

— Czy mogłabym poznać pańskie imię? — zapytała Patience.

— Wymiana! — krzyknął mężczyzna. — Ty powiedz pierwsza.

— Nazywam się Patience.

— Patience, nie powinnaś spacerować w tak cienkim ubraniu podczas burzy śnieżnej. — Roześmiał się, jakby powiedział najlepszy dowcip.

— Teraz twoje imię.

— Oszukałem cię — powiedział. — Ja nie mam imienia.

— Myślałam, że miało być bez sztuczek. Wyglądał na kompletnie zgnębionego.

— Ale Nieglizdawiec zabrał nasze imiona i nie oddał ich — powiedział starszek.

Patience nie była pewna, w co gra, ale próbowała wykonać następny ruch.

— Jeśli straciliście imiona, musicie być bardzo niezadowoleni.

— Och, nie.

— Wcale nie.

— Kto by potrzebował imion?

— Jesteśmy bardzo szczęśliwi.

— Mamy wszystko, co trzeba.

— Ponieważ niczego nie potrzebujemy — to powiedział najmłodszy z nich. Sam sobie potakiwał głową, jak przemądrzałe dziecko. Ale jego oczy nie były oczami dziecka. Wypełniał je smutek i poczucie straty.

Nagle Patience przyszło do głowy, że za tą cczą paplaniną może kryć się potrzeba kontaktu. Posiadamy wszystko, co trzeba, ponieważ nic nie potrzebujemy. To oznacza, że nie posiadają nic. Delikatnie zaczęła badać sprawę.

— Co jeszcze dobrego zrobił dla was Nieglizdawiec? — zapytała.

— Och, zabrał wszystkie nasze zmartwienia.

— Teraz nigdy już o nic nie musimy się martwić. . .

— Niedobrze mi się od tego robi — nagle wtrącił się Ruin.

Staruszkowie zamilkli.

Patience uśmiechnęła się do niego, rzucając mu jednocześnie mordercze spojrzenie.

— Może Nieglizdawiec sprawi, że przez kilka minut poczujesz się lepiej i nie będziesz musiał nic mówić.

Ruin zrozumiał aluzję i powrócił do ognia.

— A co zrobił z waszymi zmartwieniami? — chciała się dowiedzieć Patience.

— Zabrał je.

— Zdjął je z naszych głów.  
— Włożył do swojej głowy.  
— Nie musimy się już więcej martwić o... — zaczął któryś, ale nie dokończył. Spoglądali na siebie bezmyślnie, czekając, żeby ktoś inny się odezwał.  
— A o co się martwiliście? — zapytała Patience.  
— Stare sprawy — powiedział jeden. — Ale jestem bardzo śpiący.  
— Chodźmy spać — zaproponował inny.  
— Ojej, już ziewam.  
— Dobranoc.

Najmłodszy mężczyzna ziewnął także, ale pochylił się nad Patience, uśmiechnął się i wyszeptał:

— Zdolność długich komórek genetycznych do zapisu inteligencji. — Po czym przewrócił się na podłogę.

Wszyscy staruszkowie ułożyli się razem i zaczęli, jak na komendę, głośno chrapać.

— To są Mądrzy — powiedziała Patience.

— Dobry dowcip — roześmiała się Reck.

— Ja nie żartuję. To są Mądrzy. Ci wezwani przez Nieglizdawca, którzy zatrzymali się w domu Heffiji i odpowiadali na jej pytania. Nieglizdawiec wyżarł jądro ich umysłów, a puste łupiny odrzucił.

Uklękła koło mężczyzny, który podjął wysiłek, by powiedzieć jej, kim jest naprawdę.

— Teraz już cię znam — powiedziała łagodnie. — Przyszliśmy tu po to, by zwrócić wam wszystko, co on zabrał.

— Dlaczego miałby coś takiego robić? — zapytała Reck.

— Zbierał całą wiedzę, jaka była w posiadaniu rasy ludzkiej, by wykorzystać ją dla siebie. — Ruin rozgrzewał dłonie, trzymając je między udami. — Jednego tylko nie rozumiem — dlaczego pozostawił ich przy życiu?

— To nie mogą być wszyscy Mądrzy świata — stwierdziła Reck.

— Wołanie Nieglizdawca zaczęło się sześćdziesiąt lat temu — tłumaczyła Patience. — To są ci, którzy przybyli tu jeszcze jako młodzi ludzie. A nawet oni umrą wkrótce i gdyby nie dom Heffiji, przepadłaby cała ich wiedza.

— Ale istnieje dom Heffiji — powiedziała Reck. — A ty, mimo wszystkich wysiłków Nieglizdawca, przyszedł do naszej wioski. A gdy Ruin i ja byliśmy w niebezpieczeństwie, ci bezrozumni staruszkowie pomogli nam. Dlaczego tak się dzieje?

— Fart — odparła Patience. — Szczęśliwy przypadek. Czasem coś musi się nam udać.

— Nie może nami rządzić przypadek — protestował Ruin. — Wścieka mnie myśl, że przyszłość moich ludzi i całego świata miałaby zależeć od przypadkowego splotu wydarzeń.

— Odejdź od ognia — poradziła Reck. — Przypalisz sobie futro.  
Odwrócił się, jego zwalista sylwetka odcinała się wyraźnie na tle płomieni.  
— W przypadkowym zwycięstwie nie ma za grosz wielkości.  
— Godzę się na przypadkowe szczęście — powiedziała Reck. — Nawet na pomoc bogów. Bylebyśmy tylko wygrali.  
— Will powiedziałaby, że to ręka Boga doprowadziła nas tak daleko — wtrąciła Patience.  
— Jeśli Bóg bierze udział w tej grze, i to po naszej stronie, dlaczego sam nie rozprawi się z Nieglizdawcem? — zapytała Reck.  
— Bóg nie ma innej możliwości działania jak tylko przez nas — odpowiedział Ruin. — Może robić tylko to, co my robimy dla niego.  
Reck roześmiała się w głos.  
— Co! Czyżbyś był sekretnym Patrzącym, mój geblingu, mój bracie? Czy chodząc po lesie stałeś się religijny?  
— A cóż ludzie mogą wiedzieć o swoim Bogu? Chcą go, ponieważ marzą, by ktoś rządził Ziemią i Niebem. Ale Bóg ma władzę tylko nad ludzką wolą. Ponieważ on sam jest ludzką wolą — jest słabym Bogiem. Bóg geblingów to co innego. Widzieliśmy go, czyż nie? Wszyscy razem, bowiem geblingi mają wspólną duszę. Zazwyczaj nie zwracamy na to uwagi, ale w razie największej potrzeby działamy wspólnie, nie zawsze świadomie robimy to, co niezbędne dla naszego przetrwania. I taki jest Bóg geblingów — wspólna, niewypowiedziana wola. Drugi umysł. Nawet ludzie mają jego przebłyski, dlatego lady Patience usłyszała odległe echo naszego wołania i dlatego Nieglizdawiec może do nich przemawiać. Razem stworzyli wspólnego Boga, który nimi rządzi. Jest słaby, godny współczucia, myli się — ale rządzi. — Ruin szarpnął włos na policzku. — Rządzi nawet Nieglizdawcem, który jest, tak jak geblingi, na wpół człowiekiem. Ludzki Bóg leży niby korzeń na jego ścieżce — jeśli go nie widzi, może się o niego potknąć.  
— Nie sądzę, by znalazło się wielu księży, których ucieszyłaby twoja teologia — westchnęła Patience.  
— Dlatego też nie wystawiam jej na sprzedaż — powiedział Ruin. — Ale to nie szczęśliwy traf doprowadził nas tutaj. Nie jesteśmy samotnymi stworzeniami, które starają się uratować swój lud. Jesteśmy instrumentem naszych współplemieńców, nieświadomie przez nich stworzonym, dzięki któremu mają być ocaleni.  
Patience powiązała słowa Ruina z tym, co usłyszała zaledwie kilka dni wcześniej na łodzi.  
— Will mówi, że geblingi...  
— Nie obchodzi mnie, co on mówi — stwierdził Ruin. — Teraz potrzeba nam jego siły, nie słów. Siły, która pozwoliła mu stawić opór wołaniu Nieglizdawca.  
— Mówi, że zarówno ludzie, jak i geblingi posiadają duszę, i że pragnie nas uratować ten sam Bóg.

— Jeśli tak jest, to zaklinam tego Boga, aby przywiódł do nas Willa, zanim staniemy przed Nieglizdawcem. — Ruin naigrywał się, ale jego słowa nikomu nie wydawały się zabawne. Żart miał ukryć jego rozpaczliwą wiarę. Patience to czuła. Wymyślił dla siebie Boga, w którego mógł wierzyć i teraz modlił się do niego.

I został wysłuchany.

Poprzez wycie wiatru na dworze usłyszeli wysokie, słodkie głosy Kristiano i Stringsa, śpiewających w harmonijnym duecie. I jeszcze jeden głos, wzywający Patience.

— Angel.

— Zabił Sken i Willa — powiedziała Reck. — I Nieglizdawiec przywiódł go do nas.

Usłyszeli skrzypienie śniegu pod stopami tuż za progiem.

— Patience! — zawołał znowu Angel. Zapukał do drzwi.

— Odejdź — odkrzyknęła Patience. - Nie chcę cię zabijać.

Reck szykowała strzałę, Ruin trzymał w pogotowiu nóż.

— Patience, uwolniłem się od niego! — krzyczał Angel. — Wpuść mnie po-  
trafię ci pomóc.

— Nie wierz mu — powiedziała Reck.

— Odejdź! — zawołała Patience. Trzymała przygotowaną strzałkę. — Zabije cię!

Drzwi otworzyły się nagle z takim impetem, że aż uderzyły w ścianę. W tej samej chwili strzała utkwiała w drewnie, mniej więcej na wysokości brzucha. Reck gotowa była wystrzelić po raz drugi, gdy tylko ktoś się pojawi.

Jednakże Patience wiedziała, że Angel nie mógłby otworzyć drzwi z taką siłą.

— Willu — powiedziała — ty możesz wejść.

W drzwiach ukazał się Will, za nim szedł Angel, starannie powiązany i prowadzony przez Sken. Strings i Kristiano zamykali procesję. Wszyscy byli ciepło okutani.

— A więc jesteśmy — w głosie Stringsa brzmiała radość. — Dom Mądrych. A Mądrzy, jak widzicie, posnęli.

Tak było rzeczywiście. Nawet krzyki i walenie w drzwi ich nie zbudziły. To oznaczało obecność Nieglizdawca, który utrzymywał starców w stanie snu.

— Willu, dlaczego się nie odezwałeś? — zapytała Reck. — Byliśmy pewni, że Angel...

— Nie odezwał się — tłumaczył Angel — ponieważ nie wiedział, czy nie jesteście we władzy Nieglizdawca. Strzała wbita w drzwi wyglądała bardzo przekonująco.

Patience spojrzała na Angela. Więzy były oczywiście żartem. Wiedziała, że mógłby się z nich z łatwością uwolnić, gdyby tylko chciał. Przyglądała się bawczo jego twarzy.

— Wiem, dlaczego tak na mnie patrzysz — powiedział Angel. — Tysiące razy zastanawiałem się, co pomyślisz o mnie, kiedy dowiesz się prawdy.

Ale Patience wcale nie rozważała jego zdrady. Myślała: jego oczy przygaśły. Jest słaby i samotny jak nigdy w życiu. Nawet jeśli Nieglizdawiec jest twoim wrogiem, Angelu, jego obecność dodawała ci zawsze sił. A teraz wyglądasz jak dziecko, które opuścili rodzice. Czekasz na jego powrót. Myślisz, że dasz sobie radę, ale i tak czekasz na niego, by przywrócił cię z powrotem do życia.

— Nie jestem już tym, kim byłem — powiedział Angel. — Teraz nie potrzebuję więzów. Byłem młody, kiedy mnie wziął, młody i nie przygotowany. Ale znam go i teraz, gdy odszedł, nie pozwolę mu już wrócić.

— Dlaczego go przyprowadziłeś? — Ruin zwrócił się do Willa. — Czemu po prostu nie zabiłeś go tam?

Will spojrzał tylko przelotnie na geblinga, jakby odpowiadając: a kim ty jesteś, że mam zdawać ci sprawę ze swoich poczynań?

— Moja heptarchini — zwrócił się do Patience — przyprowadziłem ci twego sługę. Chciałby odkupić swe winy.

On stanie się sobą i moim prawdziwym sługą dopiero wtedy, gdy Nieglizdawiec zginie, pomyślała Patience. Ale póki Nieglizdawiec żyje, Angel nie służy heptarchii, jest nadal niewolnikiem królestwa glizdawców.

— Stawałem przeciwko niemu — rzekł Angel. — Znam jego słabe punkty. . .

— Gdybyś je znał — wtrącił Ruin — zabiłbyś go już wcześniej.

— On myśli teraz wyłącznie o tobie, Patience — powiedział Angel. — Obchodzi go tylko jedno — dożyć chwili, kiedy cię zapłodni. Czekał na to siedem tysięcy lat, przez cały czas odnawiając samego siebie, tak że w końcu znienawidził smak własnego życia, ale kiedy nadejdiesz, osiągnie to, na co czekał. Ani ja, ani Will, ani geblingi nic go nie obchodzimy. . .

— Uwolnił cię — stwierdził Ruin — żebyśmy ci zaufali i wzięli cię ze sobą. Potem znowu odzyska nad tobą władzę, a ty zdradzisz nas w chwili największej słabości.

— Te więzy nie mogą mnie utrzymać — powiedział Angel. — Albo zabierzcie mnie ze sobą, albo zabijcie.

Patience potrząsnęła głową.

— Nie zrobiłeś mi, Willu, przysługi, przyprowadzając go ze sobą.

— Przysługa nie była moim celem — odparł Will.

— Co nim było?

— Mój cel jest celem Boga.

Ruin roześmiał się głośno.

— A jaki jest cel Boga? — zapytał Angel pogardliwie.

— My jesteśmy jego celem — odpowiedział Will. — Nasze życie. Istnienie tych, którzy tworzą i odkrywają, budują i niszczą, którzy kochają i nienawidzą, którzy rozpaczają i cieszą się. My jesteśmy jego celem. Jego wolą jest, byśmy żyli:

ludzie i geblingi, dwelfy i gaunty, każda rasa, która ma swój początek w łonie, a koniec w grobie.

— Bardzo śliczne — stwierdził Ruin. — Lecz tymczasem naszym zadaniem jest złożyć do grobu Nieglizdawca, a możemy tego dokonać jedynie wtedy, gdy najpierw pozbędziemy się Angela.

Patience wyciągnęła pętlę z włosów, ale trzymała ją zwisającą na jednej ręce.

— Im więcej nas będzie, by stawić mu czoło, tym lepiej. Przywołując mnie, nie będzie się już mógł skoncentrować na reszcie.

— Taką mamy nadzieję — wtrąciła Reck.

— Nie pozwoli nikomu podejść do siebie blisko, tylko mnie — powiedziała Patience. — Jedynie z łuku można go będzie zabić, tak więc to zadanie należy do ciebie.

— Oczywiście — odpowiedziała dziewczyna gebling. — Po to się urodziłam.

— Ale nikt z nas nie zna jego anatomii i nie wie, gdzie należy strzelać, by go zabić. Ruin, spędziłeś życie z istotami żywymi. Jedynie twoja intuicja może nam wskazać, jak skutecznie zadać cios.

— Ja to wiem — wtrącił Angel — wiem, gdzie trzeba celować: w oczy, by przebić się przez. . .

— Ty teraz nic nie wiesz — przerwała mu Patience. — Mógł okłamać cię tysiące razy, a ty mu wierzyłeś, ponieważ chciałeś wierzyć. — Obeszła Angela i stanęła za jego plecami. — Przypuszczam, że Nieglizdawiec najskuteczniej kontroluje te umysły, które dobrze zna. Najłatwiej, będzie mu zapanować nad Angelem. Ale również nad Reck, Ruinem i nade mną. Trzymał nas w garści tyle razy, że zna ścieżki naszych umysłów równie dobrze, jak geblingi tunele w Spękanej Skale. Musimy skoncentrować wysiłki, by mu się przeciwstawić. Ale on nie zna ciebie, Willu, ani ciebie, Sken. Nie w taki sposób jak nas. Will potrafi stawić mu opór, a Sken — wybaczone słowa — widocznie nie ceni cię wysoko, skoro nie zawołał cię wcześniej. Więc musisz wejść na końcu i stanąć za nami. Powstrzymać geblingi przed ucieczką, zmusić je, by zmierzyły się z Nieglizdawcem, użyły całej swej siły i zabiły go. A wreszcie, jeśli im się nie uda, będziesz musiała zabić mnie, nim wydam na świat dzieci Nieglizdawca.

— Nie jestem taką bohaterką — odparła Sken.

— Nie przybyliśmy tu popisywać się naszą odwagą — stwierdziła Patience. — Naszym zadaniem jest morderstwo. Śmierć Nieglizdawca, jeśli nam się uda. Moja, jeśli się nie powiedzie.

— Geblingi, jeśli tylko będą mogły, zaczną od zamordowania ciebie — powiedział Angel. — To najprostszy sposób, by zapobiec narodzeniu się jego dzieci. Nim postawisz krok w jego pieczarze, otrzymasz od Reck strzałę. Nie możesz im ufać.

— Jeszcze ty, Angelu, mój nauczycielu, mój przyjacielu, mój ojciec — mówiła dalej Patience. — Jak mogę cię zostawić za plecami, skoro wystarczy jedna myśl

Nieglizdawca, byś go posłuchał.

Zarzuciła mu pętlę na szyję, przesunęła ją szybko i lekko. Delikatnie pociągnęła. Na szyi pojawiła się obręcz z krwi. Twarz Angela przez chwilę wyrażała zdziwienie, a może również i wdzięczność. Potem runął na krzesło. Patience pochyliła się nad nim i precyzyjnym ruchem zdjęła pętlę. Pozostali odwrócili się, by dać jej chwilę na odreagowanie tej strasznej chwili. Zrobiła to, co konieczne, nie zepchnęła swego okropnego, straszliwego obowiązku na nikogo innego. Oto prawdziwa heptarchini, wszyscy to widzieli.

— Tak mi przykro — powiedział Strings. — Tak bardzo przykro. Był dobry. I chciał zabić Nieglizdawca, naprawdę chciał.

— Wystarczy — skwitował Will. — Już po wszystkim.

— Woła mnie — jęknęła Patience. — To jest ponad moje siły.

— Widzisz, heptarchini — powiedział Ruin — jeśli już o tym mowa, to najmniej możemy polegać na tobie.

— Teraz idę — szepnęła Patience.

— On zna ścieżki jej umysłu nie gorzej niż myśli Angela, lecz ona bardziej go obchodzi. Może zrobić z nią wszystko, co zechce. A jednak to ona układa nasze plany.

Patience podeszła do drzwi.

— Teraz — powiedziała. Otworzyła je i wyszła na oświetlony księżycem śnieg. Wiatr unosił za nią biały obłok, który niczym tchórzliwy cień umykał do ciepłego pokoju. Will zdjął lampę ze ściany i ruszył za nią, potem szli Ruin i Reck, a Sken tuż za nimi. Kobieta była pełna entuzjazmu.

— Teraz wreszcie zobaczę, jak wygląda Nieglizdawiec.

Inni nie zwracali na nią uwagi. Will trzymał Patience za ramię. Wrywała się z jego uścisku, próbując biec do swego przeznaczenia.

— Powoli, spokojnie — szeptał Will. — Teraz już cię nie opuszczę, lady Patience. Pamiętaj, że to, co teraz czujesz, nie pochodzi od ciebie. Stawimy mu czoło wszyscy razem. Nie jesteś sama.

Zbliżyli się do wejścia do jaskini.

— Idę — powtórzyła Patience.

W Domu Mądrych staruszkowie budzili się, ziewali i przeciągali. Jeden z nich pochylił się nad ciałem Angela.

— Co za paskudne cięcie — powiedział i zajął się więzami. Angel otworzył oczy. Potem usiadł i delikatnie dotknął karku.

— O mało nie przecięła za głęboko. O mały włos.

— Dlaczego spałeś? — zapytał mężczyzna, który go rozwiązał.

— Już czas — mruknął Angel. — I teraz on już ją ma. Podniósł się i gwałtownie rozchylił poły płaszcza, odkrywając trzy noże.

— Co się dzieje?

— Zobaczcie — odparł Angel. — Zobaczcie. A potem dodał cicho do kogoś, kto nie mógł usłyszeć jego słów. — Możesz sobie mnie teraz wzywać. Nadchodzę.



## Rozdział 18

### MIEJSCE NARODZIN

Kiedy weszli do jaskini zaczęło właśnie świtać, na wschodzie pojaśniało niebo. Nie czekali na wzejście słońca. Teraz ich światłem miał być blask latarni.

Patience prowadziła, Will trzymał jej rękę w stalowym uścisku. Szli korytarem skalnym cały czas w górę, a pod ich nogi spływał lodowaty strumień. Ściany, podobnie jak podłogę, pokrywała szadz. Coraz trudniej było im iść. Ślizgali się po skutej lodem ziemi, a stopy kostniały im w strumieniach. Po pół godzinie dotarli do złotych drzwi. Były to tylko drewniane deski, kiedyś pomalowane na żółto. Drzwi nie miały zamka. Ani klamki. Zarówno na deskach, jak i na pokrytej lodem skale wyryto kilkanaście imion. Drzwi mogły mieć najwyżej sto lat. Imiona na skale przetrwały ze trzy tysiące lat.

Patience była teraz spokojniejsza. Idąc w stronę Nieglizdawca odczuwała ulgę i bardziej panowała nad sobą. Drzwi stanowiły ostatnią barierę pomiędzy nimi. I chociaż straszliwie pragnęła znaleźć się po ich drugiej stronie, czuła jednocześnie cię rozpaczliwego pragnienia, by pozostały zamknięte.

— Opieraj się mu tak mocno, jak tylko możesz — powiedział Ruin. — Idź tak wolno, jak tylko zdołasz.

Patience skinęła głową. Oddychała z trudem, a Ruin mówił dalej:

— Przyjrzę mu się i ustalę, gdzie powinna trafić strzała. Prawie nic nie wiadomo o jego ciele, nie mamy pojęcia, które organy są ważne. Jedno jest tylko pewne: że nie posiada mózgu. Serca prawdopodobnie również. Ostatecznie możemy ugodzić go tyle razy, ile się nam uda. Wtedy straci swe płyny i umrze. Dlatego musisz poruszać się możliwie jak najwolniej. Potrzeba nam będzie bardzo dużo czasu.

Patience znowu przytaknęła.

— Posłuchajcie wszyscy — powiedział Will. — Nie wiemy, ile nas wyjdzie z tego żywych. Ale jeśli wydarzy się najgorsze, to znaczy Nieglizdawiec zostanie ojcem dzieci Patience, ten, kto przeżyje, musi je zabić. Angel powiedział mi, że dzieci będą rosły szybko. I będzie ich kilkanaścioro. A muszą zostać zabite wszystkie, co do jednego, bo w przeciwnym razie jesteśmy zgubieni.

— To będą moje dzieci — wyszeptała Patience. — Moje.  
— Boże, dopomóż nam — jęknęła Sken. — Czy będą wyglądały jak glizdawce?  
— Ludzkie niemowlęta — odparł Will. — Zabijając je będziesz się czuła jak morderczyni.

Reck zauważyła, że Patience strasznie się poci. Nad jej ciałem w chłodnym powietrzu tunelu unosiła się para. Reck aż nazbyt dobrze pamiętała ową upiorną potrzebę, którą narzucił jej Nieglizdawiec. Nie była wtedy w stanie racjonalnie myśleć, nawet nie zdawała sobie sprawy, że skok z góry oznacza niechybną śmierć. Kiedy Nieglizdawiec rozkazywał z taką mocą, nie można było go nie posłuchać. Zwróciła się do Ruina:

— Zbyt wiele od niej wymagamy. Ona osłania nas przez cały czas, a sama nie posiada żadnej osłony. Kiedy będzie z nim, nie zdoła myśleć o niczym innym.

Patience płakała i szarpała się w uścisku Willa. Kiedy zatrzymała się, zew stał się nie do wytrzymania.

— Pozwól mi iść, Willu — błagała.

— Patience! — rozległo się w tunelu. Reck i Ruin odwrócili się za siebie. — Patience! Ja pójdę! Ja pójdę pierwszy!

Will oddał latarnię Sken i potrząsnął mocno Patience za ramiona.

— Nie zabiłaś go!

— Nieglizdawiec nie pozwoliłby mi! — załkała.

Angel pojawił się w odległym końcu tunelu, na ginącym w mroku zakręcie. W obu dłoniach trzymał noże. Ślady krwi znaczyły upiorny wzór na jego szyi.

— Z drogi — krzyknął. — Zabiję go, zdołam to zrobić. Przepuście mnie. Wy tego nie potraficie, żadne z was, zróbcie mi przejście.

Przepchnął się między nimi, odpychając Willa na bok, i otworzył drzwi uderzeniem ramienia. W tej samej chwili Patience uwolniła się z uścisku Willa i ruszyła biegiem za Angelem. Ruin i Reck pobiegli za nią. Ale była już zbyt daleko. Nagle zwolnili kroku, wydawało im się, że toczą przed sobą ciężki głaz.

— Pomóż nam! — krzyknął Ruin.

Will popychał ich do przodu, a Sken biegła za nimi z latarnią.

W komnacie panowała jasność. Słońce już weszło. Lodowy sufit był miejscami tak cienki, że przenikało przezeń światło. Ujrzeni Angela leżącego pośrodku pomieszczenia. Był martwy. Kiedy upadał, noże wysunęły mu się z rąk. W tyle głowy tkwiła wąska strzałka. Patience trzymała jeszcze w dłoni dmuchawkę, lecz zaraz ją odrzuciła. Dmuchawka odbiła się kilka razy na lodzie, po czym trafiła w koryto strumienia, który uniósł ją tunelami, prowadzącymi do najdalszych zakątków Spękanej Skały.

— Teraz ona należy już do niego — powiedział Will. — Nie zrobi nic, by nam pomóc.

— Gdzie on jest? — wyszeptała Reck.

Jakby w odpowiedzi z białego tunelu w pobliżu sufitu wysunęła się nagle czarna sylwetka. Gdzie jest jego słabe miejsce, zastanawiała się rozpaczliwie Reck. Gdzie mogę go ugodzić śmiertelną strzałą?

— Mój łuk — zwróciła się do Ruina. — Powiedz mi, gdzie mam celować.

Grzbiet stworzenia tworzyły twarde segmenty, których nie dałoby się przebić.

— Nie wiem — powiedział Ruin. — Nie ma takiego miejsca.

— To mówi Nieglizdawiec — sprzeciwiła się siostra.

— Nie ma takiego miejsca — powtórzył.

Nieglizdawiec zbliżył się do Patience. Nagle podniósł się, odsłaniając brzuch. Nie był to miękki, gładki brzuch, jaki spodziewała się zobaczyć Reck. Wystawały z niego liczne członki, które sięgały do przodu jak miękkie miecze, a potem opadały i cofały się. Były wilgotne, ociekały jakimś płynem. Po bokach Nieglizdawca trzepotały jego słabe rączki, przypominające wachlarze.

— Patrz, jak się trzęsie — wyszeptwała Reck. — Jest stary.

— To nie starość, tylko namiętność — powiedział Ruin. — Musimy go wykrwawić. To nasza jedyna nadzieja.

Patience zwróciła się nagle do nich.

— Nie ma nadziei! — zawyła. Była zwierzęciem. Przenosiła swój wzrok z jednego na drugie. — Nie dla was! — I zarzuciła z pasją pętlę na Reck.

Ale zanim broń trafiła celu, dłoń Willa przygniotła twarz Reck ku ziemi. Pętla dosięgnęła jego prawej ręki, tnąc nadgarstek aż do kości. Odpadł kawał skóry jak ściągnięta rękawiczka, z rany połała się krew.

Will krzyknął z bólu, ale prawie w tej samej chwili zajął się innymi. Nie mógł trzymać jednocześnie Reck i Ruina, przydusił więc mężczyznę-geblinga do ziemi, oparł stopę na jego nodze i nagle szarpnął go w górę. Ruin krzyknął, kiedy coś chrupnęło w jego nodze. Teraz musiał zostać w komnacie.

— Sken! — zawołał Will. Kobieta ruszyła natychmiast ku niemu, poślizgnęła się na lodzie, ale złapała się Willa, który miał jeszcze dość siły, aby razem z nią utrzymać się na nogach.

— Trzymaj Reck w tym miejscu — rozkazał Will. Potem klęknął i zanurzył ramię w kryształowo czystej wodzie płynącego pośrodku komnaty strumienia.

— Patience! — krzyknął. Z rany popłynęła czerwona wstążeczka krwi. — Patience, on nie rządzi tobą!

Silne ramię Sken opłotło talię Reck dokładnie w chwili, gdy Nieglizdawiec nakazał jej uciekać z tego miejsca. Ale jednocześnie czuła w swym drugim umyśle wołanie Ruina. Zostań. Zabij. Drżącymi rękami sięgnęła po łuk, wypuściła strzałę. Nieglizdawiec usunął się zwinnie, strzała spadła, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Założyła następną, starając się lepiej skoncentrować. Wdarł się w jej umysł, zamglił wzrok.

Patience też to widziała, widziała to wszystko. Nie było nadziei, by się mu oprzeć, potrafiła tylko myśleć o tym, jak bardzo go pożąda. A jednak pamięta-

ła słowa Willa, tłumaczącego jej, kim naprawdę jest, opowiadającego o małym, zapomnianym ja, zamaskowanym wspomnieniami i pragnieniami. Muszę im pomóc, pomyślała. Nie mogła oprzeć się Nieglizdawcowi, ale mogła odciągnąć jego uwagę.

Zrobiła krok do przodu i zawołała.

— Nieglizdawcu!

Ściągnęła tunikę przez głowę i naga ukłękła przed nim.

— Nieglizdawcu!

Poślizgnęła się na lodzie i w następnej chwili leżała przed nim, ofiarowując mu siebie.

Reck poczuła, jak jego nacisk na nią maleje. Nagle ciało Nieglizdawca wygięło się w łuk i opadło na Patience. Zagłębił w niej jeden ze swych wyrostków. Dziewczyna krzyknęła, odczuwając niesłychaną ulgę. To, czego pragnęła przez całe tygodnie, dokonywało się.

Górna część ciała Nieglizdawca zaczęła się rytmicznie kołysać. Na chwilę zapomniał o obecności innych stworzeń. On też zbyt długo czekał na spełnienie swego pragnienia. Reck wypuściła dwie strzały. Jedna trafiła go w oko. Druga w język, który wysunął się z ust.

— Nie w głowę! — krzyknął Ruin. — W brzuch. Celuj w brzuch, gdzie zebrała się cała krew.

Reck założyła następną strzałę, ale tym razem nie napięła jej, gdyż poczuła przemożną ochotę, by ją połknąć. Pragnęła włożyć ją do ust, a potem wcisnąć w gardło. Podniosła strzałę na wysokość twarzy i uśmiechnęła się do śmierci, którą miała przed sobą.

Nagle pięść Sken trafiła ją prosto w brzuch. Ból usunął Nieglizdawca z jej myśli. Jednocześnie dotarło do niej, że strzała nie uszkodzi brzucha Nieglizdawca wystarczająco. Tak nie da się go zabić. Tylko Patience była dość blisko. Heptarchini leżała teraz na plecach i z łatwością mogła sięgnąć ręką po jeden z noży Angela. Dygotała z rozkoszy. Reck pomyślała, że w jakiś sposób trzeba ją pozbawić przyjemności, którą zapewniał jej kochanek, zmusić do zrozumienia, co się naprawdę dzieje. Tylko nagły ból mógł spowodować, by zapomniała o rozkoszy, zdążyła złapać nóż i rozplatać mu brzuch.

Więc Reck naszykowała strzałę i wycelowała, lecz nie w Nieglizdawca, a w samą dziewczynę. Strzała zagłębiła się w udzie heptarchini.

Patience szarpnęła głową w nagłym bólu. Czy dostrzegła noże?

— Zabij go! — krzyknął Ruin.

Zobaczyła je. Złapała jeden, wzniosła do uderzenia, ale nagle znowu krzyknęła w ekstazie. Wiedziała, co powinna zrobić, ale jej ciało nie słuchało poleceń rozumu. Patience w tej chwili zrozumiała, jak to jest być gauntem. Przy Nieglizdawcu nie posiadamy woli, myślała. Walczyła, by podnieść rękę, ale liczyła się jedynie miłość do niego i cudowna perspektywa zapłodnionego łona. Powoli jej

ramię opadło. Ale palce nie wypuściły noża. Nie pozwoliła mu upaść, choć teraz nie pamiętała już nawet, dlaczego go trzyma.

W tej chwili Sken zaczęła naigrywać się z geblingów.

— Króle geblingów! I na co tu przyszliście? Gdzie są wasze armie, gdy jesteście w największej potrzebie!

— Geblingi — wyszeptała Reck. I w tym samym momencie oboje z Ruinem wiedzieli, że posiadają jedno narzędzie, które może uwolnić Patience spod władzy Nieglizdawca.

— Musimy wezwać geblingi — wyszeptał Ruin.

— Geblingi muszą ją wezwać — powiedziała Reck.

Krzyknęli swymi cichymi umysłami. Poczuj i powtórz to nagłace wołanie — zabić Nieglizdawca, zabić mordercę dzieci, zabić mordercę matki.

Wszędzie w Spękanej Skale geblingi usłyszały te słowa w swoich drugich umysłach. Przerwały swe czynności. To był król, wiedziały, kto je przyzywa, to był ich król, który rozpoczął ostateczną batalię. Zabić Nieglizdawca. Powtórzyli echem cichy krzyk, przekazując go dalej i dalej.

Woźnice pozwolili wołom iść, gdzie oczy je poniosły, rozmawiający zamilkli. Ten, kto coś robił, wypuszczał narzędzia z rąk. Wszyscy przyłączyli się do gorączkowego okrzyku. Zabij Nieglizdawca!

W jednej chwili wiadomość rozeszła się po całej Spękanej Skale, powtarzana jak echo przez dziesięć milionów geblingów. Kiedy w przeszłości podnosił się taki krzyk, wzywał wszystkie geblingi do bitwy przeciwko ludziom. Tym razem wiadomość była dużo prostsza. Czas zadać śmierć ich bratu, ich wrogowi, ich diabłu — Nieglizdawcowi.

I ten sam krzyk urósł jak potężne wołanie w umyśle Patience. Stawał się silniejszy i silniejszy, przedzierając się przez rozkosz, jaką dawał jej kochanek. Znowu poczuła nóż w dłoni i wiedziała, że pragnienie jego śmierci było jej prawdziwym pragnieniem, chociaż ciało chciało czego innego. Poczuła jego krew, zanim uświadomiła sobie, że wbiła nóż. Nieglizdawiec wyprężył się do tyłu, a potem opadł na jej ciało. Krzyknęła z bólu i uderzyła go jeszcze raz. Skoczył w stronę swego legowiska na górze, ale opadł na lód i ślizgając się rozpoczął śmiertelny taniec. Ponieważ więź między nimi była jeszcze silna, Patience poczuła wszystko, czego pragnął w czasie tych ostatnich chwil swego życia. Wykrzyczała jego krzyk. Wreszcie umilkł i jej głos należał znowu do niej.

W komnacie słyhać było tylko zmęczone oddechy. Patience zwinęła się na boku i cicho płakała, a krew Nieglizdawca zamarzała na niej.

Sken puściła Reck i oparła się o lodowatą ścianę. Dziewczyna gebling upadła, z trudem łapiąc oddech.

— Will — wyszeptała.

Ruin doczołgał się do Willa, ciągnąc za sobą złamaną nogę. Przetoczył wielkiego mężczyznę na plecy. Twarz Willa była sina z zimna, ale lodowata woda

powstrzymała upływ krwi.

— Uratuj go, jeśli możesz — wyszeptała Reck. Ruin natychmiast wyciągnął igłę z nitką i gorączkowo począł zaszywać porwane żyły i tętnice.

Reck odwróciła się do Sken.

— Czy możesz pomóc heptarchini? — Nie spojrzała nawet, by sprawdzić, czy kobieta ją posłucha. Sama przesunęła się po lodzie do brata. — Przytrzymał nas tutaj, doprowadził nas tu, gdzie nikt inny nie mógł. . .

— Podaj mi skórzaną sakiewkę — powiedział Ruin. — Nie tę, nie, powąchaj. Ma pachnieć sztylecim ziele. Tak, o to mi chodzi. — Reck otworzyła sakiewkę i Ruin zagłębił w niej język, który przyłożył potem do poszarpanej rany. — To pomoże odrodzić się ciału Willa, pobudzi końce nerwów do szukania nowych połączeń.

Wtedy usłyszeli krzyk Patience. Cichy. Reck podniosła na nią wzrok. Dziewczyna przekreśliła się i leżała teraz na brzuchu, który dwukrotnie się powiększył.

— Co się stało? — wyszeptała Reck.

Ruin zobaczył ukazującą się pomiędzy nogami Patience głowę na wpół ukształtowanego płodu.

— Dziecko Nieglizdawca!

— Za późno! — zawołała Sken.

Reck sięgnęła po łuk i strzały, ale Sken już sunęła po lodzie ze swoją siekierą w dłoni, zasłaniając cel. Patience zerwała się na nogi, zanim Sken do niej dobiegła. Trzymała i osłaniała swe dziecko.

— Zabiję je! — krzyknęła kobieta.

Patience skinęła głową, ale trzymała nowo narodzonego z daleka od kobiety. Czy wydawało jej się tylko, czy dziecko rosnęło w oczach? Nie, naprawdę było większe, wyglądało na w pełni ukształtowane ludzkie niemowlę.

— Zabierz dziecko — rozkazała Reck.

— I tak umrze! — krzyknęła Patience. — Czy nie widzicie? Zabiłam jego ojca zanim dał mu siłę przeżycia.

To była prawda. Na ich oczach dziecko rosnęło, a jednocześnie jego członki stawały się coraz słabsze, skóra napinała się i wreszcie zaczęło wyglądać jak ofiara głodu. Kiedy otworzyło usta, udało mu się powiedzieć tylko jedno słowo:

— Pomocy.

Zabrzmiało to groteskowo. Z pewnością było to dziecko Nieglizdawca, potwór, ale wyglądało jak każde inne bezradne, wymagające opieki niemowlę.

Umarło. Patience poczuła nagły bezwład ciała. Nie musiała go już bronić. Wtedy Sken wyrwała jej niemowlę, rzuciła na ziemię i zamachnęła się siekierą.

— Ono nie żyje! — zawołała Patience.

— Rosło — odpowiedziała Sken. — I odezwało się.

— Ale teraz nie żyje!

Sken opuściła siekierę. Reck zebrała z podłogi ubranie Patience i podała jej.

— Tylko jedno — stwierdziła z ulgą. — I Nieglizdawiec nie zdążył dać mu siły do życia. Udało się. W sam czas.

Patience odwróciła się i wciągnęła koszulę przez głowę.

W tunelu prowadzącym od złotych drzwi rozległy się krzyki. Uzbrojone geblingi wdarły się do komnaty i nagle zamarły. Na lodzie leżało rozplątane ciało Nieglizdawca, a obok ciało ludzkiego dziecka. Za geblingami do komnaty weszło kilku starców. Teraz już nie wyglądali na zagubionych.

— Oto królewska para geblingów — powiedziała Sken gorzko. — Oto heptarchini. — Widać było, że wstrzymuje łzy. Wyciągnęła rękę w stronę martwego ciała. — Oto dziecię z przepowiedni.

Reck uciszyła ją.

— To dziecko nie było Kristosem. Ono było potomkiem glizdawców i miało przynieść śmierć ludziom i geblingom. Gdyby nie umarło, zamordowałabym je własnymi rękami.

Starcy podeszli do ciała Nieglizdawca. Jeden z nich sięgnął po drugi, nie wykorzystany nóż Angela i rozplątał głowę Nieglizdawca. Otworzyła się jak skorupa orzecha, odsłaniając wewnątrz zielony kryształ.

— Kamień władzy — wyszeptała Reck, podchodząc bliżej.

Nie był to pojedynczy kamień, ale wiele setek połączonych kryształów. Stary człowiek odsunął jeszcze bardziej płaty skóry i kamień potoczył się na ziemię.

— Tutaj trzymał wszystko, co mu ofiarowaliśmy — powiedział jeden ze starszków.

— Cała nasza wiedza — dodał drugi.

Starzec przyklęknął i dotknął kryształu, jakby chciał dowiedzieć się, gdzie w tym żywym klejnocie znajduje się cząstka jego wiedzy. Najmłodszy spuścił głowę i zawył jak pies.

— Oddaj mi moją mądrość!

Reck odwróciła się od starców i podeszła wolnym, zmęczonym krokiem do Patience. Objęły się i Reck pomogła wycieńczonej kobiecie wyjść po lodzie z komnaty. Geblingi pomagały w tym samym czasie Ruinowi, przygotowując dla niego nosze. Inne owijały Willa kocami. Sken spojrzała na przechodzącą koło niej Patience.

— Heptarchini — odezwała się — czy zgrzeszyliśmy?

Patience zatrzymała się przed grubą kobietą, po której twarzy spływały łzy. Dotknęła jej policzka palcem.

— Czy uniosłam siekierę na Syna Bożego? — pytała Sken wysokim, słabym, jakby dziecinnym głosem. — Czy będę potępiona na wieki?

W odpowiedzi Patience przytuliła ją.

— Grzech nie został popełniony — wyszeptała. — Dzisiejszy dzień będzie naszą chwałą na wieki.

## Rozdział 19

### KRYSTAŁY

W Domu Mądrych buzował ogień. Było dopiero popołudnie, ale na zewnątrz panował mrok, niebo zasnuły ciężkie chmury niosące śnieg. Ogień na paleniskach rozpraszał chłód wdzierający się szparami. Sken, całkowicie naga, siedziała zanurzona aż po kark w ogromnej, parującej wannie, od czasu do czasu obrzucając przekleństwami Stringsa, który szorował jej plecy. Guant znosił to z całkowitym spokojem. Patience wiedziała, że służy on Sken tylko dlatego, gdyż Reck i Ru-in sobie tego życzyli. Sken właśnie kolejny raz go skłęła, ale potem zaczęła mu opowiadać — już po raz trzeci — jak to zabiła ludzi Druciarza podczas potyczki w lesie kilka miesięcy wcześniej. Strings słuchał w sposób wręcz doskonały, wtrącał uwagi dokładnie wtedy, kiedy chciała usłyszeć od niego: „coś takiego” lub „odważny czyn” albo „wprost niezwykle”.

Patience wiedziała również, że Sken opowiada o bitwie z Druciarzem, ponieważ to było coś, o czym mogła z przyjemnością myśleć. Na temat wydarzeń w jaskini Nieglizdawca niewiele miała do powiedzenia. Trudno było się chwalić, że zamierzała zabić konające niemowlę. Wszyscy wybieramy opowieści, z którymi chcemy dalej żyć, a resztę zapominamy, pomyślała Patience.

Podeszła do paleniska znajdującego się po wschodniej stronie pokoju. Siedzieli tam starzy ludzie, przypatrujący się w skupieniu, jak geblingi starannie pracują nad ogromnym kamieniem Nieglizdawca. Reck kierowała pracą oddzielania setek kryształów, które przywarły do siebie. Geblingi lały na nie jakiś roztwór, a potem starannie podważały kolejny kryształ. Wiele małych kamyków, wielkości tego, który Patience nosiła w swoim mózgu, leżało już na tacy koło ognia i wysychało.

— Czego szukacie? — zapytała Patience.

— Wszystkie te kamienie to kryształy Mądrych, które im odebrał i zjadł — powiedziała Reck. — Ale gdzieś w środku powinien być jego własny. Ten właśnie chcemy wydobyć.

— Co z nim zrobicie? — dociekała Patience.

— Zobaczymy, jak go znajdziemy. — Reck odciągnęła ją od ognia. — Wi-



dzisz, jak ci starcy patrzą? Oni wiedzą, skąd pochodzą kamienie, i chcieliby je odzyskać.

— Czy nie możemy tego zrobić? Oddać im kamienie umysłu. Przecież zostały im zabrane.

— A skąd mamy wiedzieć, który do kogo należał? Tak niewiele wspomnień im zostało — tylko pamięć tego domu i cień przeszłości — a przypadkowo oddany kamień zdominuje człowieka. Nie zrobimy im tym przysługi. A poza tym te kamienie równie długo tkwiły w głowie Nieglizdawca, jak w głowach swych prawowitych ludzkich właścicieli. Czy ci starcy wyglądają na tak silnych, by wytrzymać wspomnienia Nieglizdawca?

Patience potrząsnęła głową.

— Ale to tragiczne. Tak wielka wiedza staje się bezużyteczna.

— To? — zapytała Reck. — Te kamienie były tylko sposobem przekazywania wiedzy z pokolenia na pokolenie glizdawców. Wy, ludzie, przynieśliście na tę planetę inny sposób. I on nadal istnieje.

— Dom Heffiji — szepnęła Patience.

— To, czego nauczyliśmy się kiedyś, możemy poznać znowu — powiedziała Reck. — Ruin już teraz coś tam papie o założeniu uniwersytetu, administrowanego przez geblingi, którego głównym zadaniem byłaby opieka nad Heffiji i skatalogowanie informacji zebranych w jej domu. Nic nie zostanie stracone.

— Poza tymi starcami.

— I jakaż jest w tym tragedia, heptarchini? — zapytała Reck. — Czy to, co się im przydarzyło, jest gorsze niż śmierć? A przecież nią kończy się każde życie. Ich wiedza żyje nadal w domu Heffiji. O większej nieśmiertelności trudno marzyć. A ci starszycy na dodatek żyją. Nieważne, co teraz o tym myślisz, to jednak życie jest dobre i słodkie, nawet kiedy mamy za sobą wielką stratę i głęboki żal.

— Straciłam obu moich ojców — wyszeptła Patience — obu ich zabiłam własnymi rękami.

— Byłaś w rękach Nieglizdawca, kiedy umierał Angel.

Patience skierowała się w stronę drugiego paleniska.

Will leżał na sienniku, wyciągnięty przed ogniem. Kristiano klęczał koło olbrzymia, wycierając jego nagi, spocony tors wilgotną szmatką. Patience uklękła obok chłopaka.

— On to lubi — powiedział Kristiano. — Ale boi się.

Patience ujęła dłoń gaunta w swoje ręce.

— Czy ja mogę?

Kristiano upuścił szmatkę, uśmiechając się słodko, ale enigmatycznie. Przez chwilę Patience zobaczyła siebie oczami gaunta: ta ludzka kobieta przyszła usłużyć Willowi przez moment, ale to gaunt służył mu wiele godzin, bez przerwy. Jeśli miłość polega na dawaniu tego, co najbardziej pożądane, w takim razie tylko gaunt kochają prawdziwie. Ale Patience odrzuciła niemiłą ironię tego pięk-

nego dziecka. Jesteś, kim jesteś. Ja mam inne zadania do wykonania i nie mogę ofiarować wszystkiego jednemu człowiekowi. A nawet nie wiem, czy mogę obdarować czymkolwiek pojedynczego człowieka.

Oczy Willa patrzyły na nią, ale nie odezwał się ani słowem. Ani Patience nie przesłała mu uśmiechu, ani on jej. Nieglizdawiec zginął. To było zwycięstwo. Ale Patience zabiła Nieglizdawca i trzymała w rękach jego jedyne dziecko, kiedy umierało. Jej pamięć wypełniało tyle okropności i bólu, że już nie była pewna, czy zostało w niej miejsce na miłość.

Ruin siedział w pobliżu, jego złamana noga była mocno poharatana, a twarz posępna, kiedy tak patrzył w ogień. Po chwili podeszła Reck z karafką wody i dała Ruinowi się napić. Pił długo i chciwie, potem dotknął jej ręki w milczącym podziękowaniu. Reck podała karafkę Patience, która uniosła głowę Willa i wlała mu wodę do ust. Will chleptał z wdzięcznością. Wreszcie delikatnie położyła go znowu na sienniku.

Teraz Will odezwał się:

— Skąd wzięłaś siłę, żeby to zrobić? — wyszeptał.

— To nie była moja siła — odpowiedziała mu Patience. — Użyczono mi jej. Geblingi wołały do mnie. Razem, jednym głosem. Na tyle uwolnili mnie od Nieglizdawca, że potrafiłam znaleźć własne ja. A więc wykonałam zadanie swego życia.

— Uratowałam świat.

— Zamordowałam wroga, który mi ufał. Do końca pozostałam skrytobójczynią.

— Wykonałaś wolę Boga — wyszeptał Will. A potem zamknął oczy.

— On ma rację — odezwał się Ruin — i ty to wiesz. To prawda, co mówił o woli Boga. W każdym razie takiego Boga, w którego ja wierzę. Pragnienie życia nas wszystkich — ludzi, geblingów, gauntów i dwelfów — było silniejsze niż dążenie Nieglizdawca do naszej śmierci. Każdy element był potrzebny. Ty nie mogłaś wcześniej zabić Angela, bo musiał przynieść w miejsce narodzin noże, przeznaczone do zadania ciosu Nieglizdawcowi, który uważał, że odebrał ci już wszelką broń. Strzała Reck uratowała ciebie. Will złamał mi nogę i w ten sposób uratował mnie. Sken, bezużyteczna i głupia, powstrzymała Reck przed popełnieniem samobójstwa pod wpływem Nieglizdawca. Mnóstwo elementów, zawiła i trudna do powiązania sieć; pajęczyna, która mogła się zerwać w każdym miejscu.

Ruin kiwnął głową, czując gniew na samego siebie, że tak mocno wierzy we własne słowa.

— To my jesteśmy Bogiem, jeśli Bóg jest. Nieglizdawiec padł przed nami.

Patience przypomniała sobie niewyobrażalną radość, jaką czuła, leżąc pod ciałem Nieglizdawca. A potem znowu leżącą się na nią posokę i nóż zagłębiający się we wnętrzu jej ciała. I nie było teraz ważne, co wtedy czuło jej ciało, ale to, co

działo się w jej umyśle. Kiedy nadeszła śmierć, Nieglizdawiec krzyknął do niej swym niemym głosem, tym samym, który tak długo rządził jej życiem. Krzyknął: ja żyję! Chcę żyć! Muszę żyć! I był to jednocześnie desperacki krzyk jej własnego serca. Przecież nie chciał niczego więcej niż każdy człowiek. Żyć, przekazywać swe geny własnym dzieciom, oddalać od siebie śmierć tak długo, jak tylko się da. Życie glizdawców trwało całe wieki, ale on żył najdłużej ze wszystkich, czekając na chwilę, gdy zostanie zbawcą swojej rasy. A jego śmierć stała się śmiercią dziesięciu tysięcy pokoleń glizdawców.

Jego śmierć była śmiercią cudownego dziecka, które trzymała w ramionach, nowego kształtu umierającej rasy, która próbowała się dostosować i przeżyć. Zobaczyli, jak nadciągamy, i wiedzieli, że okazemy się chorobą, na którą nie ma lekarstwa. Zrobili wszystko, co było w ich mocy. Ich ostatnia nadzieja narodziła się w moim łonie, przybierając ludzki kształt, aby przypodobać się temu Bogu, który przybył ich zniszczyć. Ale my nie przyjęliśmy ich hołdu, o nie. Zabiłam Nieglizdawca, zanim płód ukształtował się, a kiedy dziecko się urodziło, pozwoliłam mu umrzeć w swych ramionach.

Czy to lepiej, że my przeżyjemy, a oni zginą? Nie umiała tego ocenić inaczej niż patrząc z punktu widzenia człowieka. To nie była walka o sprawiedliwość, tylko bijatyka dzikusów. Wygrywa okrutniejszy. Okazała się doskonała w roli zbawczyni świata.

— Nieglizdawiec trzymał w kamieniu pamięć o tej planecie — powiedziała Reck. Tak jakby czytała myśli Patience. — Jego wspomnienia sięgały do pierwszego glizdawca, który pomyślał. Wszystkie wspomnienia wszystkich pokoleń naszego gatunku. Mieliśmy przecież tyle samo przodków glizdawców, co i on.

— Spójrzcie życzliwie na linię ludzką — wyszeptał Will.

— Uczyniła nas pięknymi, wystarczy spojrzeć — powiedział Ruin.

— Jesteście piękni — rzekła Patience, mierząc wzrokiem Reck. — Pamiętam, jak sama byłam geblingiem. Zachowałam o tym pamięć wewnątrz mojego ciała. Pamiętam głosy moich bliskich w drugim umyśle. I jeszcze coś. Byłam samotna, bo nigdy nie znałam swego ojca. A potem, kiedy dostałam kamień władzy, wreszcie dowiedziałam się, jak wyglądało jego życie. Zobaczyłam je jego własnymi oczami.

— O mało przez to nie straciłaś zmysłów — przypomniał jej Ruin.

— Chciałabym, żeby każdy człowiek mógł przeżyć takie szaleństwo. A przynajmniej przez chwilę, by naprawdę poznać swą matkę lub ojca. To byłby wielki dar.

— Znać ich, ale nie być nimi — odezwał się Will. — Jesteś bardzo silna, lady Patience. Niewielu by wytrzymało posiadanie w swym umyśle wspomnień innych ludzi. Ja nie mógłbym.

— Ty? — zdziwiła się Patience, — Ty jesteś najsilniejszy. Jego oczy wpatrywały się w dal, odrzucając pochwałę.

— Czy zachowam rękę? — zapytał.

— Będzie na swoim miejscu pięknie połączona z resztą ciała — odpowiedział Ruin. — A jeśli chodzi o jej ożywienie, zrobiłem, co mogłem, by nerwy mogły się zregenerować.

— Na niewiele się zdam bez prawej ręki.

Patience położyła dłoń na czole Willa, potem przesunęła palcami po policzku, a wreszcie dotknęła opuszkami jego ust.

— Każdy z nas musi wybrać teraz nową drogę życia — powiedziała. — Żadne przepowiednie nie mówią, kim będę po śmierci Nieglizdawca. Nie skończyłam jeszcze nawet siedemnastu lat, a już wypełniłam zadanie swego życia. Czy to oznacza, że muszę nauczyć się handlu?

Reck zachichotała, a Will uśmiechnął się blado.

— Jesteś heptarchinią — rzekł Ruin.

— Pewien mężczyzna na Królewskim Wzgórzu na pewno nie zgodzi się z tym — odparła Patience. — A nie jest to zły człowiek ani zły heptarcha.

— On jest dzierżawcą — odparł Will. — Miał rządzić do chwili, aż twoje zadanie zostanie wypełnione.

— Kiedy armia złożona z milionów geblingów stanie u jego granic, być może zechce pomyśleć o abdykacji — powiedział Ruin.

— Nie! — krzyknęła Patience.

— Chyba nie myślisz, że kierowałby nami altruizm? Dla geblingów najlepiej będzie, jeśli na tronie heptarchii zasiądzie ktoś, kto był geblingiem. Dla ciebie nie jesteśmy już podludźmi.

— Nawet kropla krwi moich ludzi nie zostanie przelana w moim imieniu — stwierdziła Patience.

— Masz rację — potwierdził Ruin. — Praca twojego życia została zakończona.

— Zamknij się, Ruin — powiedziała Reck.

Podeszła do nich Sken, zapinając ostatnie guziki czystej sukni, która leżała na niej jak rękawiczka. Rumiana twarz aż lśniła w blasku ognia.

— Heptarchini, geblingi przyniosły ciało twego niewolnika. Chcą wiedzieć, co chcesz z nim zrobić.

— Chcę go pochować z honorami — odparła Patience. — Tutaj. Pomiedzy Mądrymi. Wszystkie te groby są grobami zasłużonych.

— Przykro mi, że nie odłączyliśmy na czas jego głowy — wtrąciła się Reck.

— Wiemy, że zachowujecie głowy najmądrzejszych, by służyły wam radą, gdyż nie macie kamienia, który można zjeść.

— Byliśmy zajęci — dodał Ruin — i czas minął.

— Ależ on miał kamień — powiedziała Sken. — Czyż nie, Willu? Tak przecież powiedział. Miał kamień w mózgu, podobnie jak ci wszyscy starcy. Tylko jemu Nieglizdawiec nie wyjął kamienia. Czy nie mam racji, Willu?

Will zamknął oczy.

— Angel miał kamień? — zapytał Ruin.

— Niech z nim umrze — odezwał się Will.

— Przynieście tutaj jego ciało. Przynieście go do mnie! — krzyczał Ruin. Pozostali milczeli. Gebling wstał, opierając się o komin. Na jego twarzy tańczyły refleksy ognia. — Król geblingów będzie miał jego kamień.

— Nie! — krzyknęła Reck. — Nie możesz tego zrobić.

— Kiedy nasz przodek umarł, heptarcha człowiek zabrał jego kamień i umieścił go w swoim mózgu. Niektórzy heptarchowie byli tak słabi, że tracili zmysły, ale nie wszyscy. Czy uważasz, siostrze, że jestem słaby?

— Ale ty jesteś królem geblingów — powiedziała. — Nie możesz wziąć na siebie takiego ryzyka.

— Ty także jesteś królową geblingów — odparł. Odwróciła wzrok.

— Czy myślisz, że nie wiem, co planujesz? — zapytał Ruin. — Ja to rozumiem, Reck. Rozumiem, zgadzam się i wiem, że zdołasz znieść wszystko, co ofiaruje ci kamień, a potem przekazać go swoim dzieciom. Ale kim ja będę w takim razie? Niepozornym królikiem geblingów, słabym cieniem ludzkiego heptarchy, który ma w swoim mózgu obie rasy i jeszcze słabszym twoim cieniem. Będą cię nazywali Matką Glizdawców. A jak będą nazywać mnie, jeśli nie zrobię tego, na co siebie stać?

— Co wy planujecie? — zapytała Patience.

W tym momencie zbliżyły się do nich geblingi, które pracowały nad kamieniem Nieglizdawca. Jeden trzymał pojedynczy kryształ na swojej dłoni.

— Oto on — powiedział. — Był w samym środku, najstarszy ze wszystkich.

— Nigdy nie widziałam tak dużego kamienia — szepnęła Reck.

— Sporo większy niż twój własny — przypomniał jej Ruin.

Reck wzięła kamień, włożyła do ust i połknęła.

— Nie! — krzyknęła Patience.

— Już to zrobiła — powiedział spokojnie Will.

— On był taki silny! Czy zdoła wytrzymać...

Reck uśmiechnęła się.

— Nasi przodkowie nie mieli racji, niszcząc cały swój świat. Więc ja muszę go pamiętać, a po mnie moje dzieci. Nie chodzi mi akurat o Nieglizdawca — kimże on był w porównaniu z tysiącami generacji przed nim? One są wszystkie tutaj, wszystkie we mnie. A teraz je poznam i będę mówić ich głosem.

Kiedy Will odezwał się z siennika na podłodze, jego głos był nabrzmiały gorączką.

— A co z moją przyjaciółką Reck? Czy zachowa swój własny głos?

— Jeśli tak — odpowiedziała mu Reck — będzie nim głosić mądrość. Ruin upierał się, by przygotować dla niej posłanie. Reck śmiała się tylko, ale kiedy łóżko było już gotowe, położyła się, ponieważ działanie kryształu się rozpoczęło.

Potem przynieśli z dworu ciało Angela i położyli je na stole. Patience podeszła do niego, spojrzała na zeszywniałą twarz, maskę obojętności, którą ćwiczył przez całe życie.

— Nigdy nie miałeś szansy dowiedzieć się, kim naprawdę jesteś — powiedziała. — Już nigdy cię nie poznam.

Posadzili Ruina obok stołu, na którym leżało ciało.

— On był twoim niewolnikiem — zwrócił się do Patience. — Muszę mieć twoje pozwolenie.

— Był niewolnikiem Nieglizdawca, ale uwolnił się przed śmiercią — odpowiedziała. — Powiedz mi tylko, jeśli rzeczywiście musisz mieć ludzką pamięć, to dlaczego właśnie ma to być jego pamięć? Przecież leży tu pięćset kamieni.

— One wszystkie były połączone z mózgiem Nieglizdawca — powiedział Ruin. — Nie chcę mieć w sobie nic z niego. Ten krzyż wzięła na siebie moja siostra. Tak długo go nienawidziłem, ona nigdy. Jeśli więc mam zrozumieć ludzką istotę, to czemu nie Angela właśnie? Strings powiedział, że zanim znalazł się w mocy Nieglizdawca, był dobrym człowiekiem. Czy nie wolisz, by król geblingów stał się po części istotą ludzką przez pamięć dobrego człowieka?

Jeden z geblingów przetoczył ciało na bok, wziął nóż Ruina i przeciął czaszkę, dostając się do kamienia, który wrósł w mózg. Patience nie patrzyła. Odwróciła się w stronę Willa, który ciągle leżał koło ognia. Podeszła do niego, ujęła lewą rękę, tę nie uszkodzoną, i ścisnęła ją mocno.

— Nie zakończyliśmy naszych spraw — powiedziała.

— Teraz nie jestem mężczyzną dla ciebie — odparł.

— Jeśli mam być prawdziwą heptarchinią, a nie tylko tytułarną, potrzebuję człowieka, który poprowadzi moją armię.

— Będę ci służył, jak tylko będę potrafił.

— Tę armię dopiero trzeba stworzyć. Z wolontariuszy i zabijaków, jakich uda mi się zebrać. Potrzebuję mężczyzny, który ich wyszkoli, by mogli wywalczyć należne mi miejsce.

— A więc teraz już chcesz tego?

— Widzę, co chcą uczynić Reck i Ruin, i wiem, że mają rację. Nadszedł czas, by na wzór geblingów zjednoczyć całą ludzkość. Pod panowaniem królowej, która pamięta, że była geblingiem. Podobnie jak geblingi będą rządzone przez króla, który pamięta, że był człowiekiem. A z kolei ci władcy będą potrafili rozmawiać z kobietą, która pamięta, że była glizdawcem. Każdym glizdawcem, który kiedykolwiek żył na tej planecie.

— Będę ci służył.

— To za mało — powiedziała Patience.

— Cóż więcej mogę ci dać? Cała moja mądrość sprowadza się do umiejętności dowodzenia wojskiem.

— Z mojego łona narodziło się dziecko, ale okazało się potworem i teraz nie żyje. Potrzebuję dziedzica. Nieglizdawiec nie będzie już czuwał nad nieprzerwanym trwaniem linii heptarchów. A więc potrzebuję małżonka, który da mi dzieci duże i silne, bystre i zręczne. Potrzebuję małżonka, który nauczy moje dzieci, co to jest siła i mądrość.

Nie odpowiadał, tylko wpatrywał się w sufit.

— I jeszcze coś — dodała. — On odszedł ze mnie. Pożądanie, które paliło mnie tyle tygodni, znikło. Wtedy na łodzi, kiedy dotykałeś mnie, a ja ciebie pragnęłam, bałam się, że jest to tylko odbicie pożądania, które wzbudzał we mnie Nieglizdawiec. Teraz, kiedy odszedł, widzę, że nadal cię kocham. Bóg pozwoli chyba swemu Czuwającemu odpowiedzieć na potrzebę słabej i przestraszonej dziewczyny.

Uśmiechnął się.

— Słaba i przestraszona.

— Czasami — powiedziała. — A tobie to się nie zdarza?

— Jestem przerażony. Tobą. Nigdy nie myślałem, że mógłbym poślubić kobietę, która jest w stanie zabić mnie kawałkiem sznurka.

— Czy to znaczy, że poślubisz mnie? — zapytała.

— Zrobię wszystko, by ci służyć.

Pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta. Za nimi leżeli spoceni Reck i Ruin, rzucając się na swych posłaniach w gorączce. Strings i Kristiano krzatali się koło nich — zwiążali im ręce, by nie mogli uszkodzić sobie oczu, wycierali ich czoła i śpiewali cicho, by odpędzić przerażające majaki.

Will i Patience czuwali, a gdy geblingi odzyskiwały przytomność, przemawiali do nich. Niekiedy Ruin stawał się Angelem i Patience mogła z nim rozmawiać. Po stokroć błagał ją o wybaczenie, a ona jego. Zdradziłem cię, mówił. Zabiłam cię, odpowiadała. I wybaczała sobie do kolejnego razu, kiedy straszliwe wspomnienia wracały nową falą.

Reck nie wyrażała swego szaleństwa słowami, chyba że przedzierały się do jej mózgu nauki Mądrych. Leżała wpatrując się w sufit, w ogień, w ściany, tam gdzie akurat spoczął jej wzrok. Kristiano i Strings śpiewali jej starożytne pieśni geblingów o chwalebnych czynach bitewnych, zakazanych miłościach, grzechach ojców, za które odpowiadają ich dzieci, wielkich władcach geblingów i ich wojnach o duszę tego świata. Nikt nie wiedział, czy Reck słyszała muzykę lub czy pomogła jej ona podążać jakąś ścieżką w ciemności. Aż pewnego zimowego dnia, kiedy śnieg zasypał dom na trzy metry i po jedzenie musieli wychodzić przez drzwi na piętrze, Strings nagle przestał śpiewać i odwrócił się od Reck.

— Ona chce, bym nucił dalej — wyszeptał.

Will i Patience podeszli i słuchali, jak Kristiano także dołącza swój głos. Zapłakali z ulgi, widząc uśmiech na twarzy Reck. Odnalazła drogę. Glizdawce nie zabrały jej całkowicie w swój świat.

Późną zimą, kiedy śnieg stał się szary od sadzy lecącej z komina. Will odzyskał nieco czucia w prawej ręce. Potrafił zacisnąć dłoń w pięść. Nie utrzymałby wprawdzie miecza, ale nie był już zdany jedynie na lewą rękę. Czuł taką dumę, że uznał się godnym zadania wyznaczonego mu przez Patience. Jako heptarchini ogłosiła go swoim małżonkiem. Kochali się w promieniach zimowego słońca wpadającego przez okna.

Jakiś czas potem wezwał ich Kristiano, gdyż obudził się Ruin. Kiedy weszli do pokoju, klęczał koło postania siostry, a na jego twarzy malował się niepokój. Widząc Patience i Willa wstał i uściskał ich. Spoglądał na nich z jakimś nowym szacunkiem.

— Znosicie to przez całe życie — powiedział. — Samotność.

Ale dłoń Willa właśnie dotykała jej ramienia, więc Patience pomyślała, że samotność ta nie jest ani tak kompletna, ani tak nieznośna, jak myśli Ruin. On znał tylko Angela, dobrego, złamanego bólem Angela, którego izolacja od ludzkości była większa, niż można to sobie wyobrazić. Ale tak przecież powinno być. Król geblingów musi poznać tragiczną stronę egzystencji ludzkiej. Nie miała zamiaru mu powiedzieć, że nie każdy człowiek jest tak okrutnie samotny.

Później, kiedy wiatry zmieniły kierunek przynosząc ciepło z południa, śnieg zaczął topnieć i pierwsze pąki pokazały się na drzewach, obudziła się Reck. Jej spojrzenie było odległe, błądziła myślami gdzieś daleko i często zamierała wpatrzona w jakiś punkt, jakby nie do końca rozbudzona. Jej głowę wypełniały myśli, których nie dało się wyrazić słowami. Nie opowiadała im opowieści o swym życiu pomiędzy glizdawcami, ponieważ nie istniały na to odpowiednie słowa. Ale kiedy snuli plany na temat przyszłego rządu, przysłuchiwała się i od czasu do czasu odzywała się spokojnie i rozwiązywała skomplikowane problemy przyszłości.

Teraz już nie nazywali jej Reck. Ona nawet nie pamiętała tego imienia, ponieważ glizdawce nie mają imion i nigdy ich nie potrzebowały. Lecz choć straciła imię w labiryncie swego umysłu, ich nie zapomniała. Kochała gaunty, geblingi, dwelfy i ludzi, tak jak matka kocha swoje dzieci. Zaczęli nazywać ją Matką Glizdawców i chociaż Ruin opłakiwał swą straconą siostrę, kochał przecież również nową duszę, która wypełniła jej ciało. Pocięszała go po stracie, tak jak pocięszała każdego z nich.

Wkrótce wszyscy uświadomili sobie, że Matka Glizdawców stała się silniejsza dzięki wspomnieniom Nieglizdawca. Strings i Kristiano mówili, że ona jest cały czas z nimi, nie mogli zrobić nic bez jej zgody. O dziwo, niczego jednak od nich nie wymagała i w rezultacie otrzymali wolność, jakiej nie posiadali nigdy wcześniej. Nadal znali potrzeby wszystkich mieszkających w Domu Mądrych, ale nie musieli im ulegać. Czuli w sobie Matkę Glizdawców, która budziła ich własną wolę i umacniała ją.

— Związani z nią — powiedział Strings — jesteśmy wolni.

Słyszając to Ruin rozgłosił wieść po całej Spękanej Skale, że gaunty powin-



ny przybyć do Domu Mądrych. Zjawiali się jak płatki kwiatów niesione ciepłym wiatrem — niewolnicy w chwili przybycia, opuszczali dom jako uwolnieni. I nie tylko gaunty. Za nimi ciągnęły geblingi, dwelfy i ludzie. Matka Glizdawców nie należała już do małej grupy, która przyszła z nią do Stopy Niebios. A oni wiedzieli, że kiedy opuszczą Spękaną Skałę, żeby podjąć czekające ich zadania, Matka Glizdawców zostanie tutaj, ponieważ jej praca już się zaczęła i na zawsze zatrzyma ją w tym miejscu.

Drzewa wiśniowe były w pełnym rozkwicie, kiedy król geblingów, heptarchini i Will, jej mąż i dowódca armii, zeszli z góry.

## Rozdział 20

# NADEJŚCIE KRISTOSA

Plotki krążyły przez całą zimę, a na wiosnę huczał już cały dwór. Nawet król Oruc słyszał szept. Nazywali ją Agaranthemem Heptek, a jej mężem był lord Will, który wziął do niewoli dziesiątki wielkich generałów i sam był największym generałem. Inni nazywali ją Kristosem i mówili, że zabiła własnymi rękami wielkiego szatana. Teraz Bóg daruje jej świat, a król Oruc najpierw będzie musiał patrzeć na śmierć wszystkich swoich dzieci, a potem sam zginie w męczarniach.

Mówiło się także o geblingach. Jak to wszystkie geblingi tego świata zamaryły na chwilę z twarzami wykrzywionymi grymasem nienawiści, gdy córka z przepowiedni uczyniła cud w sercu świata. Teraz król geblingów stał się aniołem i nadchodził, by zniszczyć wszystkich ludzi na Imaculacie. Za nim stała Matka Glizdawców, wielki smok, który powstał ze szkieletu starszego od statku kosmicznego, jakim ludzie przybyli na tę planetę. To ona wzywała do oczyszczenia Imaculaty, do ostatecznej walki między ludźmi i geblingami.

Na wiosnę plotki stały się rzeczywistością. Zebrała się armia geblingów. Szpiedzy potwierdzali tę wiadomość. Widziano też Patience, ktoś nawet z nią rozmawiał. I on przyniósł od niej takie pisemne przesłanie:

— „Lordzie Orucu, mój przyjacielu” — cytował łącznik. Oruc zadygotał słysząc, że nie nazwała go królem i na tę jej gorzko ironiczną protekcjonalność. — „Przybywam wreszcie do ciebie, by podziękować, że dobrze się opiekowałaś moim królestwem. Zostaniesz sownie nagrodzony za doskonale wykonaną pracę, ponieważ nigdy nie zapomnę niczego, co kiedykolwiek zrobiłeś”. Wiadomość podpisana była jej dynastycznym tytułem i dobrze znanym mu imieniem: Patience.

Wiedział, że to oznacza jego śmierć, i przygotował się do wojny. Wezwał innych królów i nakazał im stanąć wraz z nim przeciwko inwazji geblingów i zdrajcy Patience. Miał to być kolejny w historii najazd geblingów i najstraszliwszy ze wszystkich. Jeśli chcieli, by ludzkość przetrwała, muszą połączyć siły.

Większość królów zgodziła się z nim i przywiodła swe armie pod chorągwie heptarchy. Ale świadomi byli, że w każdym obozie, w każdym namiocie męż-

czyżni i kobiety wymawiają szeptem imię Agaranthemem Heptek, przypominają przepowiednię o siódmej siódmej siódmej córce i zastanawiają się, czy nie popełniają bluźnierstwa, przystępując do walki przeciwko Bogu i jego Kristosowi. Jak mogę obronić ludzkość, myślał król, jeśli moi ludzie nie są pewni, czy chcą pobić wroga?

Zebrał swe dzieci i wnuki i powiedział o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Wszyscy postanowili trwać przy nim, wiedząc, że jeśli geblingi wygrają, nie znajdą dla siebie żadnej kryjówki.

Armie rozłożyły się obozami w odległości zasięgu wzroku w dzień przesilenia wiosennego. W obozie geblingów nie powiewały żadne flagi. Pokryte szarym futrem ciała zakrywały cały horyzont, szpiedzy powtarzali, że to, co widać, jest tylko forpoczta ich armii. Armia ludzi, największa, jaką udało się kiedykolwiek zebrać jakimkolwiek heptarsze, wyglądała żałośnie: jak kamyk, ku któremu zmierzała fala powodzi. Oruc wybrał swe pozycje najlepiej jak umiał — wygodne do obrony wzgórze z otwartą przestrzenią przed sobą i osłonięte z tyłu gęstym lasem. Ale nie mógł liczyć na zwycięstwo w obliczu tak liczego wroga. W nocy przed bitwą ukrył się w namiocie i płakał nad śmiercią swych dzieci i wnuków.

Kiedy jednak nadszedł ranek, generałowie przynieśli niezwykle wieści. Armia geblingów odeszła.

Oruc osobiście zszedł na pole, które miało być miejscem przelewu krwi. Tylko zdeptana ziemia świadczyła, że poprzedniego dnia stała tu wielka armia. Pozostał jeden namiot i jedna chorągiew.

Kiedy tak stał, odsłoniło się wejście do namiotu i ukazała się ona: Patience, dokładnie taka, jaką pamiętał. Minione lata nic jej nie zmieniły. U jej prawego boku stał ogromny mężczyzna ze zwisającą bezwładnie prawą ręką. Po jej lewej stronie stał mały, porośnięty futrem, niezwykle władczy gebling. Lady Patience, lord Will i król Ruin, sami, na jego łasce, Oruc przepłakał całą poprzednią noc. Teraz już nic nie rozumiał.

Lord Will krzyknął, a jego głos niósł się daleko, aż do pierwszych szeregów żołnierzy, którzy powtarzali te słowa stojącym dalej. Wieść była prosta:

— Oto córka z przepowiedni. Prawem dziedzictwa jest waszą królową. Nie przeleje nawet kropli ludzkiej krwi, by udowodnić swe prawa. Jeśli odrzucicie ją, z radością umrze. Jeśli przyjmiecie ją, wybaczy wam.

A kiedy był już pewny, że każdy w armii Oruca usłyszał jego słowa, krzyknął:

— Gdzie są żołnierze Agaranthemem Heptek? Gdzie są Czuwający?

Żołnierze Oruca nie zawahali się ani przez moment. Ich połączone głosy uderzyły w niebo jak wiatr wiejący od morza. Rzucili broń i zbiegli do niej, najpierw wykrzykując jej imię, a potem wyśpiewując:

— Kristos! Kristos! Kristos!

Oruc zebrał wokół siebie swą rodzinę, gotowy umrzeć z godnością. Ale kiedy Patience kazała go przyprowadzić do siebie, zobaczył, że dziewczyna uśmiecha

się życzliwie. Nie znalazł na jej twarzy cienia dzikości lub śladu pragnienia zemsty w głosie.

— Miałeś trudne zadanie i wykonałeś je dobrze — powiedziała z prostotą. — Przybyłam jako heptarchini całej ludzkości. Proszę, byś rządził Korfu jako mój wicekról. Tytuł ten będzie dziedziczny, dopóki twoi potomkowie okażą się tego godni.

Wtedy pokłonił się przed nią, gdyż darowała życie jego dzieciom, a jemu — życie i królestwo. Rządził na Królewskim Wzgórzu jak dotąd, a ona odwiedzała go raz do roku. Służył jej dobrze i lojalnie, a ona wywyższyła go ponad wszystkich innych królów.

Ale Heptam nie był już centrum świata. Powstało nowe miasto w dole rzeki, o kilka dni drogi od Spękanej Skały. Miasto zbudowano wokół uniwersytetu, a uniwersytet wzniesiono koło pewnego domu na wzgórzu w pobliżu Żurawiej Wody. Miasto przejęło nazwę od uczelni, a ta z kolei od domu. I z tego nowego miasta, zwanego Domem Heffiji, rządzili król geblingów i heptarchini. Było to miejsce, do którego wszyscy ludzie i geblingi, i dwelfy, i gaunty z całego świata schodzili się w poszukiwaniu sprawiedliwości, mądrości, łaski i spokoju.

I każdego roku król Ruin i Agaranthemem Heptek opuszczali Dom Heffiji i płynęli Żurawią Wodą do Stopy Niebios. Co roku wdrapywali się do jaskini na skraju lodowca, który górował nad całym ich światem. A tam siadali z Matką Glizdawców i opowiadali jej, co się dzieje na świecie, i jak wszyscy inni pielgrzymi, którzy przybywali do tego świętego miejsca, słuchali jej mądrych słów i napełniali się jej miłością i radością. Tak też robiły ich dzieci i dzieci ich dzieci przez wszystkie wieki istnienia świata.

**KONIEC**